

AGATA

PRZYBYŁEK

Matrimonio z odzysku



*Komedia
równie zabawna
co inteligentna!*

**Alek
Rogosiński**

Matrimonio z odzysku

AGATA
PRZYBYŁEK

Matrimonio z odzysku



Copyright © Agata Przybyłek, 2017

Copyright © Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o., 2017

Redaktor prowadząca: Sylwia Smoluch

Redakcja: Kinga Gaska

Korekta: Aleksandra Powalska-Mugaj

Skład i łamanie: Stanisław Tuchołka / panbook.pl

Projekt okładki: Maciej Sobczak

Fotografia na okładce: shutterstock.com/Alex Gukalov

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej: Dariusz Nowacki

Wydanie elektroniczne 2017

ISBN 978-83-7976-719-9

CZWARTA STRONA

Grupa Wydawnictwa Poznańskiego sp. z o.o.

ul. Fredry 8, 61-701 Poznań

tel.: 61 853-99-10

fax: 61 853-80-75

redakcja@czwartastrona.pl

www.czwartastrona.pl

Rozdział 1

Bycie mężatką ma swoje niezaprzeczalne minusy. Nie dość, że jest się sprzątaczką, kobietą do towarzystwa i matką w jednym, to w dodatku nie ma się we własnym domu nawet odrobiny prywatności. Gdy więc dzieje się coś niespodziewanego, zaskakującego i przerażającego, najlepiej choć przez krótki moment zaznać odrobiny samotności. A by do tego doprowadzić, trzeba uciekać. Od ścian, które mają uszy, dziecka potrzebującego towarzystwa i mamusi uwielbiającej składać niespodziewane wizyty. Najlepiej za stodołę swojej siostry, Anki. Tam jest cisza i spokój. I nikomu nie przyjdzie do głowy szukać cię właśnie w tym miejscu.

– Mężczyźni są dziwni – stwierdziła kucająca obok mnie Beata.

Zarówno ona, jak i ja miałyśmy na sobie teraz kolorowe sukienki, z tym, że mojej urok odbierał przybrudzony już gips usztywniający złamaną lewą rękę. Nosiłam go już prawie trzy tygodnie, ale nic nie zwiastowało szybkiego pożegnania z tym utrudniaczem życia. Lekarz podczas wizyty kontrolnej był nieugięty: co najmniej sześć tygodni i żadnych dyskusji. Na szczęście palce miałam sprawne, dzięki czemu mogłam bezkarnie prowadzić samochód i wykonywać prawie wszystkie prace w gospodarstwie domowym.

Ale nie o tym.

Kiedy tak sobie z Beatką kucaliśmy schowane za stodołą, delikatny, lipcowy wietrzyk rozwiewał moje rude, kręcone włosy, a przed oczyma rozpościerał się widok na pola i łąki, wśród których uwielbiałam spacerować. Zboża z dnia na dzień

stawały się coraz bardziej złociste, maki i chabry kwitły na potęgę, a do żniw zostało już niewiele czasu.

Całe to piękno wiejskiego krajobrazu nie miało dla mnie jednak w tamtej chwili żadnego znaczenia. Zarówno mój wzrok, jak i uwaga maksymalnie skupione były na trzymanej w ręku kopercie i niedużej fotografii. To właśnie przez te dwa diabelskie kawałki papieru, które dotarły do mnie wczoraj, musiałam z samego rana zadzwonić po Beatę. Gdy tylko przyjechała, chwyciłam ją za rękę i pędem zaciągnęłam za tę stodołę, by ukryć się przed domownikami.

– Ale Zuzka, dokąd mnie ciagniesz? – zdołała tylko krzyknąć, nim nakazałam jej, żeby się nie odzywała, bo sprawy takie jak ta wymagają nadzwyczajnych środków ostrożności.

Beata, jak na dobrą przyjaciółkę przystało, wyczuła, że rzeczywiście musiało wydarzyć się coś ważnego, bo nie protestowała już więcej. Pokornie biegła za mną przez podwórko Anki, potykając się co jakiś czas o wystający z ziemi patyk albo kamień.

– Tu będzie dobrze – zawyrokowałam, kiedy już znalazłyśmy się za stodołą.

Na wszelki wypadek rozejrzałam się jeszcze dookoła. W zasięgu mojego wzroku nie było jednak nikogo. (No dobrze, może poza fruującymi nad zbożem wróblami. One jednak wyglądały na nieszkodliwe). Wyciągnęłam więc w końcu spod sukienki kopertę, którą wcześniej musiałam starannie ukryć, i pokazałam ją przyjaciółce.

– Co to jest? – Beata zerknęła na nią niepewnie.

– Dowód zbrodni – wyjaśniłam jej ściszym głosem i drżącą dłonią wyciągnęłam z koperty zdjęcie, na odwrocie którego uprzejmy nadawca umieścił nawet datę.

– Zbrodni? – wyjąkała i spojrzała na mnie ze strachem. Jej opalona twarz nieco pobladła.

– Tak. – Energicznie skinęłam głową i jeszcze raz zlustrowałam okolicę. W zasięgu mojego wzroku nadal nie było jednak żywego ducha. I dobrze.

– Ale jakiej zbrodni? Zuzka?

Z bijącym szybko sercem wepchnęłam Beacie zdjęcie do ręki.

– Patrz – rozkazałam.

Przyjaciółka przez chwilę przyglądała się nabazgrołonej dacie.

– Nic mi to nie mówi. To jakieś święto? – zapytała w końcu.

– Nie na to! – warknęłam, wyrwijając jej zdjęcie, i tym razem podałam jej fotografię obrazem do góry. – Tu patrz! – Wskazałam palcem na środek zdjęcia, które ukazywało dwoje ludzi.

– Aaa – mruknęła pod nosem i dopiero wtedy zaczęła przyglądać się fotografii. Jej twarz pobladła jeszcze bardziej już po kilku sekundach. – Ale... – zaczęła niepewnie, podnosząc na mnie wzrok.

Wydechając głośno powietrze, pokiwałam głową.

– Tak, dobrze widzisz. – Oparłam plecy o ścianę stodoły i przymknęłam oczy. – To mój mąż w towarzystwie jakiejś pięknej blondynki – wyszeptalam, czując, że wszystko we mnie aż drży.

Przed moimi oczyma znowu stanęło to diabelskie zdjęcie, na które patrzyłam dzisiaj już chyba z czterdzieści minut. Aż nader wyraźnie przedstawiało ono piękną, elegancką kawiarnię (do jakiej Ludwik nie zabrał mnie od lat!), w której przy jednym z niedużych stolików rozmawiali sobie ta blondynka i mój mąż. Słowo „rozmawiali” nie opisuje do końca całej sytuacji. Ona, owszem, siedziała na krześle i coś mówiła, ale z wywalonym biustem oraz śmiejąc się przy tym radośnie. Jednak mój mąż samą konwersacją nie był raczej zainteresowany. Z twarzą nie dalej niż trzy centymetry od jej wymalowanego policzka zupełnie niedyskretnie wpatrywał się w ten jej odsłonięty dekolt. I to w miejscu publicznym!

– Ale... – znowu odezwała się Beata na widok mojej nietęgiej miny. – Przecież to nie musi coś znaczyć. – Nerwowo przełknęła ślinę.

Przejechałam zdrową dłońią po swoich bujnych lokach.

– Może i nie, ale jak dla mnie wygląda to bardzo jednoznacznie – szepnęłam pełnym gorzkiego głosem.

– Może to sprawy służbowe? – naiwnie zasugerowała Beata, za co zgromiłam ją wzrokiem.

– Służbowe? Przecież on jest nauczycielem! W gimnazjum! A ona nie wygląda na gimnazjalistkę – rzuciłam.

– Hm... A może to matka jakiejś jego uczennicy? Może Ludwik udziela jej informacji na temat córki?

– W wakacje?

– No, dlaczego nie?

– I to w kawiarni? Beata, nie bądź głupia. Przecież mamy lipiec.

– To co, że lipiec? Może z tą córką rzeczywiście są problemy i twój mąż, jak na dobrego człowieka przystało, udziela jej porad wychowawczych? To by było nawet w jego stylu.

– Beata, czy ty siebie słyszysz? – Spojrzałam na nią z wyrzutem. – Jeśli on swojego dziecka nie raczy wychowywać, to chętnie wychowywałby inne?! – Uniosłam się trochę na wyrost, bo wiele można Ludwikowi zarzucić, ale nie brak zainteresowania synem. Kochał Marcela na zabój i gotów był zrobić dla niego wszystko. W złości jednak mówi się różne rzeczy. Rozumiecie.

– No to ja nie wiem. – Beata znowu niedyskretnie zerknęła na zdjęcie. – Może chce od niej coś kupić. Na przykład dla ciebie.

– Coś kupić w eleganckiej restauracji? Akurat!

– Może to handel obwoźny?

– Wspaniały Ludwik kupi perfumy dla żony... Guzik, Beata, guzik

z pętelką! On mi w życiu nic nie kupił! Wątpię, by nagle zapragnął mnie czymś obdarować.

– A zmywarka w tamtym roku?

– Oj, to się nie liczy. Nie mam na myśli sprzętów AGD.

– W takim razie co?

– Kwiaty, perfumy, biżuterię... Coś romantycznego i kobiecego. Tylko dla mnie, dla mojej przyjemności – mówiłam rozmarzonym głosem. – Tfu! O czym my właściwie rozmawiamy! – Otrząsnęłam się w końcu i zesłam na ziemię. – Ktoś z prezencją tej babki nie wygląda na pospolitą handlarkę.

– Tonący brzytwy się chwyta – szepnęła smutno Beata. – Mimo wszystko może nie jest tak, jak myślimy – wysiliła się na entuzjazm, żeby dodać mi otuchy. – Może to tylko spotkanie towarzyskie.

– Mając żonę i dziecko, umawia się na randki. – Dla mnie wszystko było jednak jasne. Okrutnie jasne i przerażające. Bo co ja zrobię, jeżeli Ludwik zechce mnie dla tej ze zdjęcia zostawić? Był, jaki był, ale żeby od razu zdradzać i odchodzić?! No o to nie podejrzewałam go nawet w najśmielszych snach!

– I mówi to kobieta, która raptem kilkanaście dni temu całowała się z wuefistą i mieszka pod jednym dachem nie tylko z mężem, ale też byłym narzeczonym? – odbiła piłeczkę Beata na dźwięk agresji w moim głosie.

– To zupełnie inna sytuacja – postanowiłam się bronić, choć, gdy mi o tym wszystkim przypomniała, poczułam się głupio. – To on mnie przez ostatnie lata zaniedbywał, nie ja jego... – nagle zabrakło mi argumentów.

– Twoja psycholog mówiła co innego.

– A od kiedy tak ślepo wierzysz w psychologię?! – wyrwało mi się pełnym wyrzutu tonem, ale natychmiast przyłożyłam rękę do ust. Potem pospiesznie zerwałam się na nogi i ponownie rozejrzałam po okolicy. – Pusto. – Wróciłam do Beatki po kilku minutach i kucnęłam pod ścianą.

– W ogóle skąd to masz? – Uniosła nieco fotografię.

– Przyszło pocztą.

– Nie o to pytam! Chodzi mi o nadawcę! Kto ci to wysłał?

– A bo ja wiem? – Wzruszyłam niezagipsowanym ramieniem. – Nie podpisał się.

– Może masz jakichś wrogów?

– Moi jedyni wrogowie siedzą od pewnego czasu za kratkami. Zresztą jeszcze niedawno nienawidziła mnie cała wieś – przypomniałam Beacie. – Zapomniałaś?

– Wybacz. – Uśmiechnęła się blado. – Nie chciałam być niemila.

– Jasne.

– Ale teraz wszyscy cię lubią, nie? Przez ten film.

W milczeniu pokiwałam głową. Rzeczywiście, kilka dni temu zostałam

gwiazdą filmu dokumentalnego, czym zaskarbiłam sobie sympatię całej wsi.

– A więc to anonim? – Beata zapytała po chwili z przejęciem.

– Na to wygląda. Jest tylko mój adres i ta data na odwrocie.

– Niedobrze...

– Nie? – Spojrzałam na nią z niepokojem.

– No bo jak dostałaś anonim, rzeczywiście może to być grubsza sprawa. Nie wysłała się takich zdjęć do żon, gdy ich mężowie grzecznie popijają herbatki.

– Wiedziałam! – Na dźwięk tych słów znowu wyprostowałam plecy i oparłam się o ścianę. – Zdradza mnie. Jak nic. – Przyłożyłam dłoń do ust i zagryzłam wargę, chcąc stłumić napierający na moje gardło szloch.

– Zuzka... – Beata popatrzyła na mnie z litością i pogładziła po ręce. – Przecież ty jego też zdradziłaś – próbowała pocieszyć, ale sami musicie przyznać, że wyjątkowo marnie jej to wyszło.

– A raptem wczoraj zasugerował, że moglibyśmy postarać się o drugie dziecko. Na pewno ma coś na sumieniu. Jaki facet mówi takie rzeczy ot tak? W dodatku po tym, gdy wcześniej unika mnie w sypialni jak ognia? Mogłam od razu się domyślić, że coś jest na rzeczy, a ja, głupia, jeszcze się ucieszyłam. – Nagle załała mnie fala smutku.

– Cóż...

– Co ja bez niego zrobię? No co? – Zaczęłam płakać, gdy spróbowałam wyobrazić sobie życie bez Ludwika. – Będzie mi brakowało nawet prania tych jego skarpet, którego tak nie lubię...

– Oj Zuzka. – Beata przysunęła się bliżej i otoczyła mnie ramieniem. – Nie możesz się teraz załamać. Macie małe dziecko, a Ludwik... Kurczę, no, wydaje mi się, że Ludwik cię kocha. Jesteście ze sobą już dłuższy czas, tworzycie rodzinę... Może zamiast płakać, powinnaś pokazać mu to zdjęcie i wszystko wyjaśnić?

– W każdym filmie czy książce mówią, że facet zawsze podczas konfrontacji zaprzeczy. – Pociągnęłam nosem.

– Życie to nie jest film. Ani książka.

– Może i nie, ale seriale ostatnio są coraz bardziej życiowe – załkałam. – I wiele jest opartych na faktach. Podają czasami o tym informację na samym początku.

– Wydaje mi się jednak, że Ludwik nie jest taki głupi. – Beata próbowała zachować rozsądek. – Po co miałby cię zdradzać? Ani on sławny, ani bogaty.

– Może poleciał na kasę?

– Ale na co mu te pieniądze?

– A bo ja wiem? Może na nowy samochód.

– Przecież dopiero co kupił.

– W takim razie poleciał na sławę.

– Kretynka! Sławną kobietę to on ma w domu. Dopiero co zostałaś gwiazdą

telewizji! – przypomniała mi Beata, w odpowiedzi na co zrobiło mi się niedobrze.

Po tym, jak kilka tygodni temu chciała mnie przejechać rozwścieczona sklepowa, zjawiała się w Jaszczurkach ekipa z telewizji, która kręciła o moim nieszczęściu film dokumentalny. Ile ja przez to straciłam nerwów, to głowa mała! Nigdy więcej żadnych ekscentrycznych reżyserów, milczących kamerzystów czy rozchwianych emocjonalnie dziennikarek. Po moim trupie.

– No to ja nie wiem... – Z rezygnacją wbiłam wzrok w ziemię.

– Mężczyźni są dziwni – westchnęła ponownie Beata. – Nie wiem, o co może tu chodzić.

Powiewający lekko wiaterek przewrócił stojącą niedaleko pustą, plastikową butelkę po wodzie.

– Myślisz, że tu chodzi o mnie? – Spojrzałam badawczo na Beatę.

– Jak to o ciebie? – Popatrzyła mi w oczy.

– No że ja się ostatnio zapuściłam, nie dbam o siebie, nie angażuję w te jego pasje tak, jak tłumaczyła mi Matylda Mak.

– Co ty bredzisz, kobieto? Przecież jeszcze chwilę temu sama mówiłaś, że to on cię zaniedbuje, nie ty jego! Mam ci przypominać, że znika na całe dni albo noce i lata w kraciastych gaciach po lasach z poszukiwaczem skarbów, a ty zajmujesz się dzieckiem i domem? Kto tu może mówić o zaniedbaniu?

– A widzisz! – Nad moją głową jakby zapaliła się lampka. – Może to wszystko są kłamstwa? Może on wcale nie jeździ nigdzie z kumplami, ale z tą, tą... – Powtórnie zalałam się łzami na myśl o blondynce ze zdjęcia.

– Nie obraż się, Zuzka, ale to głupie. Kto jak kto, ale Ludwik na pewno by cię nie zdradził. Już prędzej ty jego – rzuciła Beata, nim zdążyła ugryźć się w język, w odpowiedzi na co rozszlochałam się głośniej.

– A ja głupia całowałam się z wuefistą, zamiast zajmować się mężem! – załkałam.

– Nie rób z siebie ofiary! Ludwik jest za poczciwy. Muchy by nie skrzywdził.

Pociągnęłam nosem.

– No niby tak... – przyznałam niechętnie, wiedząc, że to prawda.

– No widzisz? – Beata aż podskoczyła z radości. – To się na pewno da wszystko wyjaśnić! Porozmawiacie ze sobą wieczorem, będzie dobrze...

– Nie. – Zdrową dłonią otarłam nos, czując, że wracają mi siły i dość mam tego mazgajstwa.

– Co nie? Zuzka! – Beata uderzyła dłonią w kolano. – Tłumaczę ci przecież od kilku dobrych chwil, że on po prostu nie może cię zdradzać. Każdy, ale nie Ludwik.

– Ja nie o tym! – Otarłam także łzy.

– Nie?

– Nie powiem mu na razie o tym zdjęciu.
– Ale jak to? – Beata rozdziawiła buzię.
– Normalnie – powiedziałam, powoli odzyskując zdrowy rozsądek.
– Może i dobrze. – Beata zrobiła zamyśloną minę. – To taka głupota, że lepiej puścić takie zdjęcie w niepamięć.
– Mam dużo lepszy pomysł. – Uśmiechnęłam się do niej, w odpowiedzi na co znowu spojrzała na mnie wystraszona.
– Aż się boję, co też ty mogłaś wymyślić – jęknęła z niepokojem.
– Dowiemy się, kim jest ta kobieta – szepnęłam wspaniałomyślnie.
– Ale po co?
– Po co, po co... – przedrzeźniłam jej ton. – Żeby...
– Albo wiesz co! Nie mów! Masz teraz taką minę, jakbyś chciała ją zabić. Wolę nie wiedzieć, co ci chodzi po głowie.
– Ale...
– Zresztą jak ty w ogóle chcesz to zrobić?
– Najpierw mu przejrzę skrzynkę mailową i telefon.
– Ale Zuzka, to przecież nieetyczne!
– Nieetyczna to jest zdrada! – ponownie wyrwało mi się zbyt głośno, ale byłam tak pochłonięta swoim nowym pomysłem, że tym razem po prostu ten fakt zignorowałam. Poza tym kto miałby podsłuchiwać dwie kobiety siedzące za stodołą? I po co? – Zresztą jesteśmy małżeństwem. Nie mamy przed sobą tajemnic.
– Nie? – Beata uniosła brew. – A pocałunki z Markiem? A to, kim jest dla ciebie Teodor? Z tego, co wiem, nie powiedziałaś Ludwikowi, że mieszkacie pod jednym dachem z twoim byłym narzeczonym.
– Oj cicho! – warknęłam na nią. – Po czyjej jesteś stronie?
– No twojej, twojej. Staram się tylko sprowadzać cię na ziemię, żebyś się w tych swoich niecnych planach zanadto nie zapędziła.
– Nie mogę dopuścić do rozwodu dla dobra swojego i Marcela, to chyba oczywiste. Nie nadaję się na samotną matkę.
– Owszem, zgadzam się, ale nadal uważam, że wystarczyłaby rozmowa. Nie musisz bawić się w zazdrosną wariatkę.
– Po pierwsze, to ja się w nikogo nie bawię, tylko zamierzam ratować małżeństwo, a po drugie, to nie ja, ale my, moja droga, my. – Popatrzyłam na nią z uśmiechem i pokiwałam głową, myśląc już o tym, jak dobrać się do telefonu Ludwika.

Rozdział 2

Po rozmowie z Beatą wróciłam do domu pełna sił i chęci działania. Odsunęłam na bok wczorajsze smutki i chyba z milion razy powtórzyłam sobie w myślach, że powinnam być silna. Czasy, gdy kobiety mogły się nad sobą bezkarnie roztkliwiać, już dawno minęły. Dwudziesty pierwszy wiek wymaga od nas twardych tyłków i ukrywania łez. Z jednej strony to dobrze, bo użalanie się nad sobą w żaden sposób nie zmienia rzeczywistości, ale z drugiej strony pozbawia nas tego, co stereotypowo kojarzy się z kobiecością, czyli prawa do wzruszeń i okazywania emocji.

Z kulturą jednak nie ma co dyskutować. Muszę być silna. A stanę się taka tylko wtedy, gdy schowam gdzieś to cholerne zdjęcie i nie będę musiała więcej na nie patrzeć. Z każdą chwilą coraz bardziej zaczynało mnie palić w rękę.

Ale to nie wszystko. Rozmowa z Beatą uświadomiła mi też, że los bywa przewrotny. Chociaż to Ludwik tym razem nawywijał, ja też miałam swoje za uszami. A mówiąc konkretniej – Marka i nasze pocałunki. Cholera. To prawda, że karma wraca. Jednak wszystko spowodowała ta paskudna rutyna! Ile można trwać w związku bez emocji, w którym zamiast „kocham cię”, pyta się „co na obiad” albo „czy wyprałaś moje skarpety”? Przecież w tych zdaniach, nawet gdyby się chciało, nie można doszukać się ani krzty romantyzmu!

Pokręciłam głową z dezaprobatą. Skoro takie rzeczy dzieją się w naszym małżeństwie po czterech latach wspólnego życia, to co będzie później? Aż strach pomyśleć. Niedługo naprawdę będziemy z Ludwikiem małżeństwem z odzysku.

Jeżeli wcześniej nie dopadnie nas widmo rozwodu, oczywiście. Bo ta blondyna z fotografii nie wyglądała na taką, co łatwo odpuści. (Mojego męża, oczywiście. Chociaż pewnie inne rzeczy też...)

Po powrocie do domu pospiesznie pobiegłam na górę i ukryłam tę diabelską fotografię na samym spodzie mojej szuflady z bielizną. Było to miejsce, do którego Ludwik nigdy nie zaglądał, miałam więc pewność, że fotografia pozostanie bezpieczna. A potem, jak gdyby nigdy nic, wygładziłam leżącą na łóżku narzutę i zesłam na dół, gdzie mój czteroletni synek Marcel wpatrywał się właśnie w telewizor razem z Teodorem.

– Co oglądacie? – zapytałam, podnosząc z podłogi małą, niebieską skarpetkę.

– Scooby-Doo – odpowiedział mi Marcel.

– Aha. – Pokiwałam głową i przeniosłam wzrok na siedzącego w fotelu Teodora.

To on uratował mi życie w wypadku, w którym rozwścieczona sklepowa usiłowała mnie przejechać. Złamał sobie przy tym nogę i kilka ostatnich dni spędził, jeżdżąc na wózku inwalidzkim. Po dzisiejszej wizycie u lekarza, na którą skoro świt zawiózł go Ludwik, przerzucił się jednak na kule.

– Potrzebujesz czegoś? – zapytałam.

– Nie, dzięki. – Uśmiechnął się do mnie. – Właśnie zjedliśmy z Marcelem drugie śniadanie. Twoja siostra wpadła na chwilę i przyniosła nam ciasto. Właściwie to tobie, ale nie wiedzieliśmy, kiedy wrócisz, więc się poczęstowaliśmy. Położyłem resztę w kuchni, na blacie.

– Dzięki.

– Mam przekazać ci od Ani, żebyś do niej wpadła. Ma do ciebie jakąś sprawę.

– Zaraz do niej zajrzę. A nie wiesz, gdzie jest Ludwik?

– Chyba pojechał gdzieś ze swoimi kumplami. Widziałem, jak pakował do bagażnika swój wykrywacz metalu. Mówił coś o Albercie i Piotрку.

A niech to, zdenerwowałam się w duchu. Akurat wtedy, gdy mi jest potrzebny jego telefon! Nie mówiąc nawet o tym, że wczoraj zaproponował mi powiększenie rodziny, a dziś, jak zawsze, ot tak sobie zniknął. I to bez słowa.

– Rozumiem. – Na zewnątrz pozostałam jednak niewzruszona. – Mówił, kiedy wróci?

– Nie mówił, ale zawsze możesz przecież do niego zadzwonić.

– No tak – mruknęłam, chociaż nie zamierzałam tego robić. Może jeszcze przerwałabym Ludwikowi okazywanie czułości tej jego blondynce i...

Nie, stop. Nie mogę o tym myśleć.

– Będziecie jeszcze przez jakiś czas oglądali telewizję? – ponownie skupiłam się na Teodorze. – Skoczyłabym do Anki, dowiedzieć się, co ode mnie chciała.

– Jasne, leć. Nigdzie nam się nie spieszy, prawda, młody? – Popatrzył na mojego synka, który wpatrywał się w telewizor, nie zwracając na nas uwagi. – Scooby-Doo jest naprawdę fascynujący. Te wszystkie potwory i duchy...

– Nie wątpię. – Uśmiechnęłam się pod nosem. – Wracam za kilka minut – rzuciłam jeszcze i skierowałam się do drzwi.

Anka i moja mama mieszkały po sąsiedzku, miałam więc do nich bardzo blisko. W dodatku obie siedziały właśnie na podwórku razem z dziećmi Ani, kilkumiesięczną Zosią i ośmioletnim Pawełkiem.

– Cześć – pozdrowiłam je, przechodząc przez furkę w płocie, którą zamontowaliśmy przed laty, by mieć do siebie jeszcze bliżej.

– Cześć kochanie – westchnęła mamusia.

– O, Zuzka – rozpogodziła się Ania. Trzymała na kolanach ubraną w białą sukienkę Zosię, która bawiła się grzechotką. Pawełek natomiast budował zamek z piasku w piaskownicy pod drzewem razem z kolegą z klasy.

– Ale tu macie wesoło – podsumowałam ten widok. – Wakacje w pełni. – Zbliżyłam się do Ani i pogłaskałam po twarzy Zosieńkę.

– Poczekaj do popołudnia! Właśnie rozłożyliśmy z Pawłem basen. – Ania zakołysała małą. – Gdy tylko woda się nagrzeje, będziemy się kąpać.

– Życie jak w Madrycie!

– Może przyprowadź Marcela? Dla niego też znajdzie się miejsce.

– Jeżeli zdołam odciągnąć go od telewizora, to przyjdziemy. Odkąd Kasia wyjechała w góry, prawie od niego nie odchodzi.

– Pewnie za nią tęskni.

– To prawda, przez ostatnie dni prawie się nie rozstawali. Na szczęście wyjechała tylko na tydzień. Ale cieszę się, że Tomek przekonał ją do tej podróży. Oderwie się dzięki temu od problemów z matką.

– Ludmiła jest nieugięta w swoim postanowieniu? – Ania zmrużyła oczy.

– Znasz ją. Nie zamierza utrzymywać Kasi, jeżeli ta nie przeprowadzi się do niej do Berlina. Na nic się tu zdają nasze prośby czy groźby. Ta kobieta nie zna takiego pojęcia jak miłość.

– Biedna dziewczyna. Mieć taką matkę... – Pokręciła głową. – A jak Kasi podoba się w Zakopanem?

– Z tego, co wywnioskowałam z naszej wczorajszej rozmowy przez telefon, jest zachwycona. Mieszkają w cudownym pensjonacie na Harendzie. Dziś mieli wjechać z Tomkiem na Kasprowy. Obiecała, że wieczorem przyśle nam zdjęcia.

– No to super. – Ania wygładziła dłonią brzeg bluzki, którą podwiał delikatny wiaterek.

– A dlaczego mama dzisiaj taka milcząca? – zwróciłam się do mamusi. Siedziała obok, nic nie mówiąc, co było do niej co najmniej niepodobne.

Ta jednak tylko głośno westchnęła, zamiast odpowiedzieć.

– Mama źle znosi dzisiejszy upał – wyjaśniła mi Ania.
– To może nie powinna siedzieć na dworze, ale wrócić do domu?
– Też jej o tym mówiłam, ale jak grochem o ścianę...
– Wszystko mi jedno, gdzie umrę – odezwała się mama słabym głosem. –
Z dwojga złego wolę wśród ludzi niż w samotności.

No tak. Cała mamusia.

– Podobno masz do mnie jakąś sprawę. – Wolałam nie komentować jej słów,
więc popatrzyłam na Ankę.

Ta zerknęła niepewnie w stronę naszej rodzicielki. W mig zrozumiałam, że
nie chce przy niej o tym mówić.

– Ale może zanim pogadamy, zrobiłabyś mi kawę? – zaproponowałam
przesadnie entuzjastycznie. – Jeszcze dziś nie piłam.

– Dobry pomysł! – Uszczęśliwiona poderwała się z krzesła. – Sobie też
zrobię. A przy okazji zmienimy Zośce pieluchę. Popatrzy mama w tym czasie na
chłopców?

Mamusia nie odpowiedziała, ale wzięłyśmy to za potwierdzenie
i oddaliśmy się w stronę domu.

– Wstała dziś w złym humorze. – Ania nachyliła się do mnie, gdy weszłyśmy
do środka. – Od rana do nikogo się nie odzywa.

– Przejdzie jej. Może ma spadek cukru?

– Mierzyłyśmy rano. Jest w normie.

– O tym chciałaś rozmawiać? – Przeszłyśmy do kuchni.

– Nie. – Anka wzięła czajnik i napełniła go wodą. – Głupio mi o tym mówić,
ale mam do ciebie prośbę.

– Coś się stało?

– I tak, i nie. Ta praca Jurka za granicą okazała się niewypałem. Facet nie
wyplacił im pieniędzy za pierwszy miesiąc. W tej sytuacji nie ma sensu, żeby
siedział tam i marnował czas. Próbował szukać czegoś innego, ale żaden
z chłopaków, z którymi poleciał, nie zna języka i trudno im się dogadać.

– Fatalnie.

– I to jak. Tym bardziej, że wydaliśmy na ten jego wyjazd wszystkie nasze
oszczędności. Jurek nie ma nawet za co kupić biletu, żeby wrócić do Polski...

– Rozumiem. Chciałaś prosić mnie o pożyczkę.

– Oczywiście my ci to wszystko oddamy, tylko w tej sytuacji nawet nie
wiem kiedy. – Spuściła wzrok. – Jeszcze ta moja ciąża... – Dotknęła swojego
brzucha. – Same wydatki.

– Ania, nie ma sprawy. – Uśmiechnęłam się do niej uspokajająco. – Jasne, że
pożyczę wam te pieniądze. Powiedz tylko ile i zrobię ci przelew.

– Boże, Zuzka, jesteś kochana! – Popatrzyła na mnie z wdzięcznością.

– Nie ma o czym mówić. W końcu jesteśmy rodziną.

– Czasem naprawdę się cieszę, że mam siostrę. – Przytuliła do siebie Zosię.
– Tylko czasem? – Uniosłam brew.
– Oj, bo sama wiesz, jaka jesteś...
– No jaka jestem?
– Trudna, Zuzka. Jesteś trudna! – W domu rozległ się jej gromki śmiech. – Ale mów lepiej, co u ciebie? – zapytała, by zmienić temat, i oparła się plecami o kuchenny blat. – Odkąd filmowcy wyjechali, masz w końcu spokój, co?
Teraz to ja spuściłam wzrok.
– Prawdę mówiąc, nie do końca – wyznałam smutno, a potem opowiedziałam jej to, co wcześniej Beacie.
Słuchała mnie z przejęciem.
– Rozumiem twoje wzburzenie, ale nie sędzę, by Ludwik był typem faceta wdającego się w romanse – odezwała się dopiero, gdy skończyłam. – Ma żonę, dom, dziecko, stałą pracę... Na co mu skok w bok? Moim zdaniem za dużo by stracił. W pewnym wieku facetom wszystkiego się odechciewa. Nawet seksu.
– Beata też tak mówi.
– No widzisz? Więc może coś w tym jest? Zresztą jak na twój wiek i status socjoekonomiczny – zlustrowała mnie wzrokiem – to naprawdę nie wyglądasz źle. Po co Ludwik miałby chcieć cię wymienić na inną?
– Myślisz? – Zerknęłam na swoje nogi. Na łydkach miałam niewielkie siniaki będące efektem ostatniego, dość częstego wpadania na stół w salonie. (Nie pytajcie).
– Może ewentualnie mogłabyś minimalnie schudnąć, ale to wszystko. No i makijaż trochę poprawić. Czeka, ty w ogóle go masz?
– Nie mam...
– No właśnie. A jakbyś czasem podmalowała oko, to krzywda by się nikomu nie stała. Wręcz przeciwnie. Poza tym jest okej. Uważam, że niejeden facet gotów się jeszcze za tobą obejrzeć.
– Dzięki – mruknęłam, myśląc o Marku.
– Moim zdaniem nie powinnaś przejmować się tym zdjęciem. – Ania nie dostrzegła jednak mojej markotnej miny. – To pewnie tylko jakiś głupi żart.
– A jak nie? – Spojrzałam jej w oczy.
– Zuzka, przestań! – ofuknęła mnie. – Ludwik cię kocha.
– Ja jego też, co nie zmienia faktu, że... – w porę ugryzłam się w język. Nie mogłam przecież powiedzieć własnej siostrze, że całowałam się z Markiem! – Że ja też nie jestem wobec niego do końca *fair* – wybrnęłam z opresji.
– Co masz na myśli?
– Mieszkam pod jednym dachem z byłym narzeczoną. Swoją pierwszą, wielką miłością – przypomniałam jej niezbyt taktownie, żeby ratować swój tyłek. Komu jak komu, ale siostrze nie zamierzałam opowiadać o swoich chwilach

uniesień z wuefistą. Zresztą i tak nie było o czym mówić. Sprawa zamknięta.

– No tak. – Zrobiła zamyśloną minę. – W sumie masz rację.

– Z czym?

– Z tym, że mieszkanie z Teodorem pod jednym dachem nie jest uczciwe wobec Ludwika. Trzeba coś z nim zrobić. Tym bardziej, że on nadal cię kocha.

– Ania! – Zgromiłam ją wzrokiem.

– No co, a nie mam racji? Patrzy na ciebie jak zakochany kundel. Jeszcze, nie daj Boże, ty też poczujesz do niego miętę. Stara miłość nie rdzewieje, kochana. Co do tego, że poczciwy Ludwik cię nie zdradza, nie mam żadnych wątpliwości, ale kto wie, czy ty...

– Za kogo ty mnie masz! – przerwałam jej, choć poczerwieniały mi policzki.

– Wiem! – Ania uniosła do góry palec. – Skoro filmowcy wyjechali, przecież Teodor może przenieść się do służbówki u nas. Tam jest cicho i spokojnie. To idealne miejsce dla samotnego kawalera. Nikt nie będzie mu tam przeszkadzał.

– Pamiętaj, że ma złamaną nogę.

– Oj, jakoś sobie poradzi. To duży chłopiec. Nie zapominaj, że był żołnierzem. Nie z takimi rzeczami miał w życiu do czynienia.

– No nie wiem... – Nadal nie byłam do końca przekonana do tego pomysłu. Nie podobało mi się skazywanie Teodora na samotność. Nie zasługiwał na to. Zresztą dobrze było mieć go pod ręką. Czasem przydawał się do pomocy w opiece nad Marcelem. Poza tym miło się z nim rozmawiało. Dotrzymywał mi towarzystwa, gdy Ludwik znikał. Życie z Teodorem u boku było jakieś takie łatwiejsze.

– Ale to nie wszystko! – oderwała mnie od tych myśli Anka.

– Nie? – Popatrzyłam na siostrę zaskoczona okazywaną przez nią energią. W naszym duecie to ja od zawsze byłam tą, która miewa szalone pomysły. Muszę przyznać, że zdziwiła mnie jej postawa. Zupełnie się tego nie spodziewałam.

– Znajdziemy mu dziewczynę. Jak się zakocha, to natychmiast wylecisz mu z głowy.

– Co? – Nie mogłam uwierzyć w to, że mówi poważnie.

– Urządzimy casting. – Wzięła się pod boki. – Na pewno mamy jakieś wolne koleżanki, które mogłyby przypaść mu do gustu. A jak nie, to damy ogłoszenie do gazety.

– I otworzymy biuro matrymonialne? – Roześmiałam się głośno. – Przecież to jakiś absurd.

– Wcale nie. Miłości trzeba pomagać – odpowiedziała zupełnie poważnie, po czym przeszłyśmy do pokoju, żeby zmienić Zośce pieluchę.

– Ty chyba naprawdę masz za dużo wolnego czasu – mruknęłam, siadając na fotel.

– Wcale nie, ale chętnie zabawię się w swatkę.

– Ale... – chciałam jeszcze zaprotestować, lecz Anka była nieugięta.

– Moim zdaniem to bardzo dobry pomysł – powiedziała twardo. – Wybierzemy mu jakąś przyzwoitą kandydatkę z zasadami. Mądrą, a do tego ładną. Dziewczynę idealną, dzięki której zapomni o tobie raz na zawsze.

– Jasne – mruknęłam daleka od entuzjazmu. Nie do końca podobał mi się jej pomysł. Ja i szukanie kobiety dla Teodora? Naprawdę? Powiedźcie, że to jakiś żart!

W moim gardle zebrała się wielka, dławiąca gula emocji. Niby już nic do niego nie czułam i kochałam Ludwika, ale myśl, że miałabym oddać Teodora jakiejś kobiecie, w dodatku samodzielnie ją wybrać, nie wzbudziła we mnie entuzjazmu. Wręcz przeciwnie.

Czy moja siostra musiała wpaść na ten genialny pomysł właśnie teraz? Jakbym nie miała wystarczająco dużo problemów z własnym mężem!

Rozdział 3

Wróciłam od Anki w nie najlepszym humorze, a mojego męża (co za tym idzie, jego telefonu też) jak nie było, tak nie było. Nie chcąc pogrążyć się w beczynnym oczekiwaniu, zabrałam Marcela na spacer. Poszliśmy nad płynącą nieopodal rzekę, a potem skręciliśmy w wąską alejkę prowadzącą na teren starego pałacu. W oddali, za drzewami, mogliśmy już dostrzec budynki zabytkowego kompleksu.

– Mamo? – Marcel popatrzył na mnie swoimi wielkimi oczami.

– Słucham cię, syneczku? – zwróciłam się do niego.

– A czy ty mnie kochasz? – zapytał z przejęciem.

– Oczywiście, że kocham.

– To dobrze. Bo ja ciebie też – zapewnił żarliwie. – Już tylko ty mi pozostałaś do kochania.

– Jak to tylko ja? A tata?

– On jest chłopakiem. – Marcel pokręcił głową. – Taka miłość się nie liczy.

– Skoro tak mówisz... Jak nie, to nie.

– Sama widzisz, mamo. Tylko ty, ja i samotność – westchnął smutno.

Nie myślałam, że czterolatek jest zdolny do takich refleksji.

– A ciocia Ania, babcia Grażynka i Zosia? One też bardzo cię kochają – postanowiłam nieco go pocieszyć.

Marcel zrobił zamyśloną minę.

– Dużo tego. – W końcu przytknął palec do ust. – Szkoda tylko, że nie kocha

mnie moja wybranka.

– Twoja wybranka? – Uśmiechnęłam się lekko.

– No. Jak dorosnę, to się z nią ożenię.

– Znów spodobała ci się jakaś koleżanka z przedszkola?

– E tam. – Machnął ręką. – Przecież w przedszkolu są same małolaty.

Musiałam mocno się powstrzymać, by nie parsknąć śmiechem. Skąd on zna takie określenia?

– Rozumiem – udało mi się zachować powagę. – W takim razie kto ci wpadł w oko? – Odgoniłam natrętnego komara, który usiadł mi na rękę.

– W oko?! – Marcel zatrzymał się zaniepokojony.

– Och, tak się mówi, jak ktoś ci się spodoba – wyjaśniłam, widząc, że nie zrozumiał.

– Aaa – rozdziawił buzię. – Kasia mi się podoba – zdradził w końcu imię tej swojej wybranki.

– Kasia? – Przebiegłam w myślach po twarzach jego koleżanek z przedszkola i ze wsi. – Ale przecież nie znamy żadnej Kasi.

– Mamo, ty już o niej zapomniałaś? – jęknął z rozpaczą. – Przecież ona jeszcze do nas wróci! Obiecała!

– A, ta Kasia! – nagle mnie olśniło. – No oczywiście, że wróci. Wybacz, kochanie, gapa ze mnie. – Uśmiechnęłam się przepraszająco. – Więc zakochałeś się w Kasi?

– Tak. Bo ona jest taka piękna. Ma takie długie włosy. I ładnie się ubiera. I lubi oglądać ze mną bajki... – rozmarzył się.

– Niewątpliwie. – Złapałam go za rękę i znów ruszyliśmy przed siebie.

– Tylko Tomek trochę nam czasem przeszkadza. Ciągłe przychodzi i nie daje się nam bawić. A teraz to już w ogóle przesadził. Zabrał mi Kasię i pojechali w góry. Jak tak można, mamo? Przecież zawsze mówisz, że trzeba się dzielić.

Znów omal nie parsknęłam śmiechem.

– Ale wujek Teodor mówi, że jak się kogoś kocha, to się nie zwraca na takie rzeczy uwagi. – Marcel nie dostrzegł mojej reakcji.

– Tak powiedział wujek? – zdziwiły mnie jego słowa.

– No. I że jak się kogoś kocha, to nie myśli się o swoim szczęściu, ale tej osoby. Myślisz, mamo, że Kasia jest z Tomkiem szczęśliwa?

– Na to wygląda – mruknęłam, zastanawiając się, co też ten Teodor nakładł mojemu dziecku do głowy.

– To szkoda. – Marcel natomiast znów smutno westchnął.

Przez kilka chwil szliśmy w milczeniu. W końcu dotarliśmy na plac przed pałacem.

– Mogę pobiegać? – Marcel natychmiast puścił moją rękę.

– Dobrze – zgodziłam się. – Tylko nie oddalaj się ode mnie – powiedziałam

i zapatrzymałam się na największy z budynków.

To tutaj odbywały się kilka dni temu zaręczyny Joanny i Jacka – dwójki filmowców, którzy kręcili o mnie film. Niestety, po pięknych dekoracjach nie było już śladu. Po wyjeździe ekipy telewizyjnej z Jaszczurek wszystko wróciło do normy. Szare ściany pałacu też.

Czując, że ogarnia mnie nostalgia, podeszłam do schodów i usiadłam na stopniu. Beton był nagrzwany od słońca, więc ryzyko, że się przeziębę, prawie nie istniało. Wygładziłam dłonią sukienkę i powiodłam wzrokiem po okolicy. Marcel gonił właśnie żółtego motylka, co jakiś czas zatrzymując się w gęstej trawie. Uśmiechnęłam się na jego widok, ale zaraz posmutniałam. Przecież jeżeli niedługo miał zostać pól sierotą, to powinno mi go być żal, prawda?

Choroba. Znowu niespodziewanie wróciłam myślami do tematu potencjalnej niewierności Ludwika. Choć może rzeczywiście Beata z Anką mają rację? Dlaczego mój mąż miał mnie zdradzić?

Zmrużyłam oczy przed wyłaniającym się zza chmur słońcem i przejechałam dłonią po włosach. Z jednej strony mi też wydawało się, że ta jego zdrada to jakiś absurd, ale może on również poczuł się w naszym małżeństwie tak samo źle, jak ja kilka tygodni temu? Może jemu też zachciało się gwałtownych emocji i porywów serca?

Być może. Tylko dlaczego, zamiast szukać tego wszystkiego w relacji z żoną, musiał od razu zaliczać skok w bok?

– Mamo! – głos Marcela niespodziewanie oderwał mnie od tych myśli. Klęczał właśnie na trawie i zawzięcie grzebał dłońmi w ziemi.

– Słucham cię, kochanie? – odkrzyknęłam mu, siląc się na entuzjazm.

– Moneta! – Wygrzebał z trawy dwa złote i dumnie uniósł je do góry. – Znalazłem pieniążek! – ogłosił radośnie, po czym podbiegł do mnie i wręczył mi bilon do ręki. – Ile to jest? – zapytał.

– Dwa złote. – Przejechałam palcami po metalu, chcąc strzepać z niego resztki piasku. – Możemy ci kupić za to batonik.

– Super! Ale wiesz co, lepiej nie. – Popatrzył mi w oczy.

– Nie chcesz batonika?

– Chcę, ale lepiej wpłać mi to na konto. Oglądałem kiedyś z tatą taki film, że jak się ma pieniądze na koncie, to jest łatwiej nimi rządzić. Tylko musisz wtedy mi dać swoją kartę. Przecież będę musiał jakoś zapłacić – wyjaśnił i za chwilę już go przy mnie nie było.

Zachichotałam pod nosem i popatrzyłam na monetę. Naprawdę nie wiem, po kim to moje dziecko jest takie mądre, bo na pewno nie po matce ani ojcu. Ja i Ludwik, co smutne, mamy ostatnio skłonność do robienia głupot, niestety.

Rozdział 4

Ludwik nie wrócił do domu nawet na kolację, co sprawiło, że zaczęłam się trochę o niego martwić. Taka niestety smutna rola żony. Tylko że kiedyś przerażone panie wypatrywały swoich mężczyzn powracających z polowań czy bitew, a teraz ściskają w dłoni telefon, zastanawiając się, czy nie leżą pijani na kanapie u kolegi, bo być może w telewizji leci właśnie jakiś mecz.

Ale w sumie, co za różnica, z jakiego powodu musimy się martwić?

Choć Ludwik bardzo często wyjeżdżał na poszukiwania skarbów ze swoimi kolegami, w przeciwieństwie do dzisiejszej sytuacji, zawsze mnie o tym uprzedzał. Snułam się więc po domu zupełnie bez celu. Co i rusz wyglądałam przez okno albo wychodziłam na ganek i z nadzieją wpatrywałam się w podjazd. Kilkakrotnie łąpałam się też na tym, że chciałam do niego zadzwonić. Jednak za każdym razem, gdy brałam do ręki telefon, pojawiała mi się w głowie sylwetka blondynki ze zdjęcia. Albo tonęła w objęciach mojego męża, albo odsłaniała przed nim swoje pełne kształty. Bo co będzie, jeżeli swoim telefonem przeszkodzę im w uprawianiu miłości i, nie daj Boże, usłyszę coś, czego nigdy nie chciałabym słyszeć? Przecież to mogłoby przekreślić całe moje małżeństwo i szansę na szczęśliwą przyszłość. Mówi się przecież, że czego oczy nie widzą, tego sercu nie żal...

Gnębiona tymi wizjami postanowiłam zakopać komórkę pod poduszkami w sypialni. Swoją drogą, co za absurd! Do czego to doszło, żebym bała się zadzwonić do własnego męża, by nie przyłapać go na zdradzie?

Nie chcąc o tym wszystkim myśleć, wsadziłam Marcela do wanny, namydliłam, wyszorowałam, wysuszyłam, a potem położyłam do łóżka. Przeczytałam mu bajkę, oczywiście o Scooby-Doo, i poczekałam, aż zaśnie. Dopiero wtedy pocałowałam go w czółko, wyszłam z jego pokoju i lekko przymknęłam za sobą drzwi. Stojąc na korytarzu, przez chwilę rozważałam, czy też nie powinnam już się wykąpać i położyć spać, ale w końcu stwierdziłam, że jest jeszcze za wcześnie. Gdybym teraz zasnęła, obudziłabym się o czwartej i tłukła po domu, czekając, aż ktokolwiek z domowników wstanie. A z doświadczenia wiem, że nie jest to zbyt przyjemne. Bo ile można bez celu surfować po internecie?

Jak na złość, gdy zajrzałam do sypialni, odkryłam też, że nie ma w niej żadnych świeżo wypranych ubrań, które można by poskładać. Dywan i regały też świeciły czystością. Czyżby rzeczywistość sprzysięgła się nagle przeciwko mnie?

Zrezygnowana wyciągnęłam spod poduszki telefon (tak na wszelki wypadek, gdyby Ludwikowi znudziły się jednak amory) i poszłam w końcu na dół. Pozbierałam porozkładane w salonie zabawki Marcela i wstawiłam wodę, gdy z pokoju pod schodami wyjrzał Teodor.

– Och, to ty tak się krzątasz. – Uśmiechnął się na mój widok i podszedł do blatu oddzielającego salon od kuchni. Odsunął sobie jeden z barowych stołków i sprawnie się na nim usadowił. Podobnie jak ja zdążył już przywyknąć do radzenia sobie mimo gipsu.

– Nie mam co ze sobą zrobić. – Stałam naprzeciwko niego. – Wakacje to trudny czas.

– A ja myślałem, że fantastyczny.

– Nie przywykłam do tego, żeby w domu było tak czysto. Zazwyczaj panuje tu taki rozgardiasz, że wizja sprzątanania mnie przeraża. A dziś, gdy mam czas i chęci, by się za nie zabrać, to proszę, klops – powiedziałam, nie całkiem zgodnie z prawdą.

– Pierwszy raz słyszę, żeby ktoś narzekał na to, że ma w końcu chwilę odpoczynku. – Gdy się roześmiał, wokół jego oczu powstały drobne zmarszczki.

– Jak się jest matką, to trudno się odnaleźć w ciszy, porządku i spokoju. Te rzeczy nie mają nic wspólnego z normą.

– Pewnie masz rację. – Pokiwał głową dokładnie w momencie, w którym zagotowała się woda.

– Chcesz coś do picia? – zapytałam, po czym wzięłam z suszarki obok zlewu czystą filiżankę.

– Może herbatę. Kawa o tej porze raczej by mnie zabiła.

– Ja też napiję się herbaty. – Wzięłam jeszcze jedną filiżankę. – Mam taką dobrą, zieloną z ekstraktem z bursztynów. Beata przywiozła mi znad morza. – Wyciągnęłam z szafki pomarańczową torebkę. – Spróbujemy?

– Mam nadzieję, że to nie jest sposób, by się mnie pozbyć, i nie zamierzasz

otruć mnie jakąś podejrzaną esencją.

– Nawet mi to do głowy nie przyszło. Jesteś świetną nianią Marcela. Mam powody, żeby o ciebie dbać.

– Szkoda, że tylko takie – do jego na pozór rozbawionego głosu wdarła się nutka nostalgii. – Ale chętnie spróbuję tej herbaty. A twojego syna bardzo lubię. Mądry z niego chłopak. Dobrze się dogadujemy.

– Zawsze lubiłeś dzieci. – Nasypałam do filiżanek trochę wysuszonych listków, po czym zalałam je wrzątkiem. – Byłbyś dobrym ojcem.

– Być może.

– Jeszcze nie jest za późno – zauważyłam i odstawiłam czajnik na gaz.

– Co sugerujesz? – Teodor uniósł brew.

– Że mógłbyś w końcu zerwać z życiem w celibacie i rozejrzeć się za jakąś kobietą. Marnujesz dobre geny. – Postawiłam przed nim filiżankę. Te słowa z trudem przeszły mi jednak przez gardło, pomimo że wypowiedziałam je lekkim tonem.

Teodor roześmiał się w odpowiedzi.

– Będę miał to na uwadze, dzięki. – Upił łyk herbaty i lekko się skrzywił.

– Niesłodka?

Pokiwał głową, więc podałam mu łyżeczkę i cukier. Potem odsunęłam sobie drugi ze stołków i na nim usiadłam. Przez chwilę popijaliśmy herbatę w milczeniu. Jej słodkie nuty przeplatały się z gorzkimi. Tak samo jak ostatnio w moim małżeństwie.

– Wyglądasz na smutną. – Teodor zauważył, że zrzędała mi mina. – I nie wydaje mi się, żeby powodem tego stanu był nadmierny porządek.

Spuściłam wzrok i zapatrzyłam się na filiżankę. Nie powinnam mówić mu o zdjęciu. W ogóle nie powinnam mu się zwierzać. Takie rozmowy zawsze źle się kończą. Przecież właśnie od zwierzeń rozpoczął się mój pseudoromans z Markiem. Nie chciałam powtórki z rozrywki, jednak te jego pełne zrozumienia oczy wzbudzały moje zaufanie.

– Po prostu jestem zmęczona – odpowiedziałam wymijająco z nadzieją, że nie będzie drażył tematu.

– A ja myślę, że coś cię trapi.

– Czy ty zawsze musisz być taki spostrzegawczy? – westchnęłam, nadal wpatrując się w filiżankę.

– Zazwyczaj nie jestem.

– Czyżby? – W końcu zerknęłam mu w oczy.

– Nie próbuj obracać kota ogonem. Widzę, że coś cię męczy. A fakt, że nie chcesz o tym rozmawiać, martwi mnie jeszcze bardziej.

– Po prostu... – zawahałam się. – Cóż. No dobrze, może rzeczywiście nie wszystko jest w najlepszym porządku. Ale nie martw się, to nic poważnego.

– Mogę ci jakoś pomóc?
– Nie sądzę. – Nie byłam w nastroju na poważną rozmowę, choć bardzo doceniałam jego troskę. – Zresztą pewnie to wszystko niedługo się wyjaśni. Nieważne.

– Wiesz, że zawsze możesz na mnie liczyć?
– Wiem, wiem. – Spróbowałam się uśmiechnąć, ale marnie mi to wyszło. – Z tym problemem muszę poradzić sobie sama.

– Zawsze byłeś Zosią Samosią.
– I to jedno mi się nie zmieniło.
– Ale wiesz, że czasem niewiele da się zdziałać samemu?
– Z tego co pamiętam, z ciebie też był niezły indywidualista.
– Służba w wojsku trochę to zmieniła.
– Co masz na myśli? – Upiłam łyk herbaty.
– Tam jesteś odpowiedzialny nie tylko za siebie, ale i kumpli. To trochę tak jak w małżeństwie. Każdy twój niepoprawny ruch może ściągnąć niebezpieczeństwo na was oboje. Jesteście zespołem.

W odpowiedzi spuściłam wzrok. Nie wiedziałam, co mu odpowiedzieć, bo trafił w sedno. Tylko czy moje małżeństwo było jeszcze diadą? Ostatnio żyliśmy bardziej obok siebie niż razem. Choć pozornie wszystko było w porządku, najpierw ja prawie zdradziłam Ludwika, teraz on mnie... Oboje zaczęliśmy szukać szczęścia gdzieś poza naszym małżeństwem. (Choć bardzo chciałam wierzyć, że Ludwik zachował więcej zdrowego rozsądku niż ja i nie zrobił niczego głupiego). Rozmowa z Teodorem uświadomiła mi, jak bardzo nasz związek ostatnio się rozjeżdżał.

Nagle też fakt, że całowałam się z Markiem, zaczął ciążyć mi wyjątkowo mocno.

– Tak, coś w tym jest – mruknęłam wymijająco.

Teodor musiał jednak poczuć, że poruszył niepożądany temat, bo lekko dotknął mojej ręki.

– Nie martw się, Zuzka – powiedział miękko. – Nie wiem, co dokładnie się stało, ale jestem pewien, że wszystko się poukłada. Kto jak kto, ale ty zasługujesz na szczęście. – Pogładził moją dłoń palcami.

Na kilka sekund zastygliśmy w bezruchu. Choć wiedziałam, że powinnam cofnąć rękę, by ten wieczór nie skończył się tak jak wtedy, gdy pocieszał mnie Marek, nie mogłam tego zrobić. Dotyk Teodora był niezwykle czuły i kojący. Napawał poczuciem bezpieczeństwa i sprawił, że zrobiło mi się cieplej na sercu. Przywołał też falę wspomnień.

Dawno temu, kiedy byliśmy razem, wykształciłam w sobie dziwny nawyk. Za każdym razem, gdy kłócili się moi rodzice, sprzeczałam się z Anką lub koleżankami albo po prostu nie wychodziło mi w szkole, uciekałam do Teodora.

Nie mówiąc nikomu, do kogo i po co idę, wybiegałam na podwórko, wyciągałam ze stodoły rower, po czym jechałam na nim prosto do domu jego rodziców. Zazwyczaj dostrzegał mnie już z okna i czekał na ganku. Na jego widok pospiesznie zsiadałam z roweru i niewiele myśląc, rzucałam się mu w ramiona.

A on o nic nie pytał. Wyczuwał, że stało się coś złego, i po prostu był. Tulił mnie do siebie, zabierając tym samym wszystkie moje smutki i niepokoje. Dopiero wtedy kłębiące się we mnie emocje zmieniały się w morze łez. Wypłakiwałam się w jego męskie ramiona, a on, nadal nic nie mówiąc, czekał, aż mi przejdzie, i gładził po plecach. Potem zabierał mnie do swojego pokoju, zamykał drzwi, podawał chusteczki i kładliśmy się na łóżko, żeby porozmawiać. To był taki nasz rytuał. Niby drobna rzecz, ale do tej pory pamiętam, jak potrzebna była mi świadomość, że mam do kogo uciec, że nie jestem z problemami sama.

Nawet gdy wyszłam za Ludwika i czasem się pokłóciliśmy, odczuwałam boleśnie pozostałości tego nawyku. Po naszych awanturach zawsze wybiegałam przed dom, szukałam wzrokiem roweru i dopiero, kiedy biegłam w jego stronę, by uciec, uświadamiałam sobie, że nie mam do kogo. Zatrzymywałam się w miejscu skołowana i nie mogłam złapać tchu. Uczucie pustki uderzało mnie niemal fizycznie. Do tego stopnia, że zaczynałam się dusić i trząść. I to wcale nie z powodu kłótni z Ludwikiem, ale braku osoby, która umiałaby zrozumieć moje emocje i wziąć je na swoje ramiona. Z braku kogoś, kto, niewiele mówiąc, przygarnąłby mnie do siebie i pocieszył.

A teraz to cudowne poczucie bezpieczeństwa wróciło. Teodor siedział w mojej kuchni i wiedząc, że mam jakiś problem, tak po prostu gładził mnie po rękę. Jak gdyby czas nagle się cofnął, a my na kilka chwil ponownie staliśmy się zadurzonymi w sobie nastolatkami.

Niestety (a może i stety), z tej cudownej, nierealistycznej chwili rozmarzenia wyrwał nas dźwięk mojego telefonu.

– Przepraszam. – Odskokczyłam od Teodora jak poparzona i wyrwałam mu rękę. – Muszę odebrać. – Rzuciłam się na telefon, czerwieniąc się po uszy, po czym nacisnęłam zieloną słuchawkę. Nie chcąc widzieć jego miny ani zdradzić swoich uczuć, odwróciłam się twarzą do kuchennego okna.

– Halo? – zapytałam. Dzwoniła Kasia.

– Och, Zuzka, jak dobrze, że odebrałaś! – usłyszałam w telefonie jej podenerwowany głos.

– Coś się stało? – Na jego dźwięk wzdłuż mojego kręgosłupa przebiegł zimny dreszcz.

– Właściwie to tak. – Kasia nie owijała w bawełnę. – Właśnie dostałam mandat.

– Mandat? – W pierwszej chwili pomyślałam, że się przesłyszałam. W końcu w moim wieku można już mieć problemy ze słuchem.

– Tak, mandat – powtórzyła, rozwiewając moje wątpliwości. – Tylko bardzo cię proszę, Zuzka, nie denerwuj się tym.

– Dostałaś mandat? – Mimo tych ostatnich słów zrobiło mi się gorąco. – Ale za co?

– Za zakłócanie porządku w miejscu publicznym, czy coś takiego, później ci to wszystko wytłumaczę. Teraz dzwonię tylko po to, żeby zapytać, czy mogę podać policji twój adres. Wiesz, jako mój. Ten policjant upiera się, że muszę gdzieś mieszkać, a apartament w Warszawie wynajęty, matka w Berlinie... – zaczęła tłumaczyć nieco nieskładnie.

– Tak, jasne, nie ma problemu – zgodziłam się mechanicznie.

Słowo „mandat” trochę wytrąciło mnie z równowagi. Za co ona mogła dostać mandat? I to prawie w nocy? Przecież to takie porządne dziecko! Ze świecą drugiej takiej Kasi by szukać! Może ten policjant ją z kimś pomylił?

– Dzięki – rzuciła i natychmiast się rozłączyła.

Ja zaś odsunęłam telefon od ucha i odwróciłam się do Teodora.

– Kasia dostała mandat – powiedziałam słabym głosem.

– Za co?

– Za zakłócanie porządku w miejscu publicznym czy coś takiego.

– Pewnie siedzieli z Tomkiem w jakimś parku i byli za głośno. To się czasem zdarza.

– Albo ktoś ich napadł – wyszeptałam z przejęciem i na wszelki wypadek złapałam się blatu.

– Napadł? Dlaczego?

– A bo ja wiem? Ktoś ich zaczepił, oni zaczęli krzyczeć, tamci zwiali, a policja, zamiast ich uratować, jeszcze wlepiła im mandat.

– Zuzka... – Teodor rozłożył ręce z politowaniem. – Może twoja historyjka jest logiczna, ale wątpię, żeby miała jakiegokolwiek oparcie w rzeczywistości – znów spróbował mnie pocieszyć. – A może po prostu wyrzucili śmieci gdzieś na szlaku? Przecież mówiłaś, że mieli dziś być w górach.

– Cóż – nieco się uspokoiłam. – Rzeczywiście, ta wersja brzmi jakoś tak prawdopodobniej.

– No widzisz? – Teodor też się rozpogodził. – Na pewno nic złego się nie stało.

– Oby. – Wysiliłam się na uśmiech i popatrzyłam na swoją filiżankę z herbatą. – Chyba nie będę tego już pić. – Złapałam ją, wylałam resztkę esencji do zlewu, po czym wstawiłam naczynie do zmywarki.

– Ja swoją dokończę. – On natomiast upił kolejny łyk. – Posiedzę tu jeszcze przez chwilę.

– Jasne. – Zamknęłam zmywarkę. – A ja pójdę się położyć, jestem zmęczona tym dniem. Poczekam na telefon od Kasi już w łóżku.

– To dobry pomysł, powinnaś się wyspać. Sen bardzo pomaga na smutki – powiedział z czułością, a przez moją głowę przemknęła myśl, że byłby naprawdę dobrym mężem.

– Tak właśnie zrobię – nie powiedziałam tego jednak na głos.

– W takim razie dobranoc.

– Dobranoc. – Przeszłam obok niego i skierowałam się na górę.

Zajrzałam do Marcela, ale spał jak zabity, więc rzuciłam się na łóżko i zaczęłam myśleć. O Ludwiku, o sobie, o Teodorze, a przede wszystkim o Kasi. Lecz nim udało mi się zatopić w tych myślach na dobre, w pokoju rozległ się dźwięk mojej komórki.

– Kasia! – Rzuciłam się w stronę telefonu i natychmiast przyłożyłam go do ucha. – Co się stało?! Jesteś cała?

– Cześć Zuzka – jej głos brzmiał o wiele spokojniej niż wcześniej. – Więc jednak panikujesz.

– Wszystko dobrze? – wpadłam jej w słowo, w odpowiedzi na co lekko się roześmiała.

– Przecież mówiłam ci, że nic złego się nie stało.

– A mandat?

– No właśnie... – westchnęła. – Sto pięćdziesiąt złotych diabli wzięli. No ale trudno, raz się żyje. Następnym razem będziemy zachowywać się z Tomkiem bardziej... – zawahała się, szukając dobrego słowa. – Przyzwoicie.

– Co nabroiliście?

– Och, mam nadzieję, że nic! – zachichotała rozbawiona.

– To o co chodzi?

– O miłość, Zuzka! – wyrzuciła z siebie entuzjastycznie, przez co wystraszyłam się, że jest pijana. Albo co gorsza, pod wpływem narkotyków.

– Wybacz, Kasia, ale niewiele z tego wszystkiego rozumiem – mimo wszystko usiłowałam być spokojna. – Mogłabyś mi to wytłumaczyć? – poprosiłam. – Po kolei? I jakoś tak jaśniej?

– Mogłabym, mogła – wróciła do poprzedniego tonu. Widocznie dostrzegła moje zniecierpliwienie. – Po prostu w górach jest pięknie. Ludzie są mili, widoki cudowne, a możliwość spędzania czasu z Tomkiem sam na sam przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, to coś niesamowitego. Naprawdę nam się tu podoba. Z wysokości kilkuset metrów nad poziomem morza życie wygląda inaczej.

– Jak to się ma do twojego mandatu?

– Och – nagle z jej głosu zniknęło rozmarzenie. – Po prostu... Gdy zeszliśmy z Kasprowego, buzowała w nas taka adrenalina, że nieco poniosło nas w okazywaniu sobie czułości, jeżeli rozumiesz, co mam na myśli.

– Ukarali was mandatem za to, że całowaliście się w pensjonacie?

– Nie w pensjonacie, ale na ławce w parku. I nie... – znów zawiesiła głos,

zastanawiając się, co powiedzieć. – Oj, nie tylko się całowaliśmy – wyrzuciła z siebie dopiero po chwili rozanielona. – Tomek w końcu... No wiesz. Zbliżyliśmy się do siebie. Wiedziałam, że te górskie widoki tak na niego podziałają! Wiedziałam! – pisnęła z radością.

– Uprawialiście seks na ławce w parku? – Mnie jednak nie było do śmiechu.

– Boże, Zuzka, ale ty spłycasz. To nie był zwykły seks. To był seks z miłości, rozumiesz?! W końcu! Wyczekany!

– Wolę nie wiedzieć, czym to się różni – jęknęłam. Widocznie nie rozumiałam współczesnej młodzieży. Za moich czasów takie rzeczy robiło się w łóżku, a nie miejscu publicznym. I bez tłumu gapiów. A już na pewno policji. W dodatku zwykle po ślubie. Albo chociaż mając na palcu pierścionek!

Kasia parsknęła śmiechem.

– Nie bądź taką sztywniarą, staruszek. W końcu mam kogoś, kto naprawdę mnie kocha. Powinnaś się cieszyć.

– Tak, to wspaniale, ale to nie znaczy, że wszystko wam wolno. Istnieją w końcu jakieś reguły, zasady moralne...

– No ja wiem, wiem.

– Kasia, na litość boską, czy wy wstydu nie macie? – nie wytrzymałam w końcu.

– Wybacz, Zuzka, ale muszę lecieć – wpadła mi w słowo, najwyraźniej nie chcąc słuchać moich wywodów. – Tomek czeka, jeżeli rozumiesz, co mam na myśli. Zadzwoń jutro – rzuciła pospiesznie, po czym się rozłączyła.

– Tak, dobrego wieczoru – mruknęłam sama do siebie, nadal oszołomiona rozwiąznością współczesnej młodzieży. Następnie odłożyłam telefon na koidrę i usiadłam na łóżku.

– No tak. – Potarłam czoło dłonią. – A ja dziś znów będę musiała spać sama – szepnęłam ze smutkiem.

Ot sprawiedliwość. Kasia przeżywa swoją wielką, szaloną miłość, a ja co? No właśnie. Nic. Zero emocji, zero namiętności, już nawet zero nudy i rutyny, pozostała mi tylko masa problemów. W tym niewierności!

Zamiast jednak ronić z tego powodu łzy, rozejrzałam się dookoła. Zlokalizowałam swoją leżącą na fotelu pod oknem piżamę i poszłam pod prysznic. Potem położyłam się do łóżka, przeczytałam kilka stron książki i zamierzałam iść spać. Jak typowa matka Polka w typowym polskim domu.

Jednak nim zdążyłam zamknąć powieki, dostałam SMS. Natychmiast zerwałam się z łóżka i chwyciłam leżący na szafce obok telefon. Jeden rzut oka wystarczył, bym dowiedziała się, że to wiadomość od Ludwika.

„Jestem pijany i siedzę właśnie u Piotra. Po poszukiwaniach skarbów wpadliśmy do niego z chłopakami na mecz. Możesz po mnie przyjechać?” – napisał, a we mnie aż się zagotowało.

– Niedoczekanie twoje! – Rzuciłam telefon na stojący pod oknem fotel i opadłam na łóżko. Co ja jestem? Firma przewozowa?! Albo co gorsza, niewolnica, która siedzi posłusznie w domu i czeka, aż jej mąż i władca da znak, by ruszyła mu z pomocą?

A siedź sobie u tego Piotrka nawet i do rana, pomyślałam, zaciskając zęby ze złością, i szczerze nakryłam się kołdrą.

Tylko Teodor miał rację. Sen czasem rzeczywiście jest najlepszym lekarstwem na zmartwienia, złości i smutki.

Rozdział 5

Rano obudziłam się obok śpiącego Ludwika. Byłam tym faktem trochę zaskoczona. Nie miałam pojęcia, jak wrócił do domu, skoro poprzedniego wieczoru pił, ani nie pamiętałam, bym przebudziła się, kiedy wrócił. Widocznie zrobił to wyjątkowo bezszelestnie. Jak na pijanego faceta, oczywiście. Albo to ja miałam wyjątkowo twardy sen.

Zresztą, czy to ważne? Najważniejsze przecież, że był, pomyślałam, i z tej euforii aż pogłaskałam go po policzku. Spał. Tu, ze mną, w domu, a nie u potencjalnej kochanki. To przy mnie, umęczonej codziennością i bez makijażu zamierzał się obudzić. Na skutek tych myśli poczułam się nieco lepiej niż wczoraj. Może jednak nie wymieniłby mnie na wypacykowaną lalę?

Boże! Naprawdę nie mam pojęcia, co myśleć o tej jego potencjalnej niewierności. Może powinnam usiąść gdzieś na łące z pękiem kwiatów i odrywając kolejne płatki, szeptać: „zdradza, nie zdradza”?

Zamiast jednak wybiec na tę łąkę, przez kilka chwil leżałam na boku i wpatrywałam się w rozluźnioną twarz Ludwika. Wodziłam wzrokiem po każdej drobnej zmarszczce, załamaniu czy wypukłości, szukając dowodu zdrady. Może nawet nie pozostałości po kobiecej szmince (to chyba byłby znak ponad moje siły), ale po prostu czegoś, co byłoby *inne*. Trochę trudno mi sprecyzować, jakiej dokładnie wpatrywałam *inności*, bo nigdy nie przyglądałam się zdradzającemu mężczyźnie, lecz Ludwik na pewno w żaden sposób nie wyglądał *inaczej*. Jego twarz była dokładnie taka sama jak wczoraj i przedwczoraj. I przez wcześniejsze

dni też.

Zrezygnowana odwróciłam się na plecy, naciągając przy tym na siebie kołdrę. A może on po prostu dobrze się z tą swoją zdradą krył?! Może to tylko pozory?

Boże, jęknęłam w myślach, jeszcze kilka dni życia w niepewności i dostanę paranoi!

Nie chcąc popaść w obłęd, usiadłam na łóżku i przejechałam zdrową ręką po włosach. Rozejrzałam się po sypialni. Gdyby przy fotelu pod oknem nie leżała nieduża, zmięta kupka ubrań Ludwika, którą musiał rzucić tam w środku nocy, byłoby tu idealnie czysto. No właśnie! Ta myśl wyjątkowo nie wywołała u mnie frustracji, lecz wybuch radości. Bo czy to nie kolejny dowód na to, że Ludwik raczej mnie nie zdradzi? Jaka kobieta chciałaby takiego bałaganiarza? Nie każda jest przecież tak naiwna, by zgodzić się na bycie sprzątaczką, praczką i kucharką. I to jeszcze z bonusem w postaci jęków typu: „dlaczego w tym domu zawsze jest brudno” albo „dlaczego ty znów zrobiłaś coś nie tak”.

Rozpogodzona wygramoliłam się z łóżka i rzuciłam ku pomiętym ubraniom. Miałam zamiar poskładać je i odłożyć na półkę, ale gdy tylko moje palce natrafiły na kilka grudek zaschniętego błota, zmieniłam ten plan i postanowiłam od razu wynieść je do łazienki. Lecz kiedy tylko zrobiłam pierwszy krok, by tego dokonać, mój wzrok padł na leżący na szafce przy łóżku telefon Ludwika.

Serce zabiło mi mocniej i zatrzymałam się w miejscu. To chyba dobry moment, żeby wyjaśnić zamieszanie, jakie zapanowało w naszym domu, prawda?

Kątem oka zerknęłam na męża. Rąbek kołdry zasłaniał mu usta i nos, ale doskonale widziałam jego zamknięte powieki. Nadal spał w najlepsze, lekko przy tym pochrapując.

Odłożyłam więc trzymane w dłoni ubrania na brzeg łóżka, a następnie podeszłam do szafki. I właśnie wtedy, nie wiedzieć czemu, poczułam się jak przestępca. Moje serce zaczęło bić jak szalone, a oddech stał się krótszy i płytszy. Tylko właściwie dlaczego?! Jeżeli Ludwik mnie nie zdradza, to niczego niepokojącego w jego telefonie nie znajdę. Przecież nie zamierzałam zrobić nic złego, prawda?

Popatrzyłam na niego raz jeszcze. Nadal twardo spał.

Wyciągnęłam do przodu drżącą rękę, ale nim sięgnęłam po jego komórkę, zastygłam w bezruchu. A może jednak nie powinnam tego robić? Bo co będzie, jeżeli on rzeczywiście z kimś się spotyka? Może lepiej żyć bez tej wiedzy? No i to przecież naruszanie prywatności korespondencji.

Na litość boską! Ten ostatni argument niemal mnie rozwścieczył, to jest przecież mój mąż! A w małżeństwach nie ma miejsca na ceregiele. Ani na prywatność.

Zła sama na siebie chwyciłam w końcu tę jego komórkę. Pospiesznie

odblokowałam ekran i weszłam w kontakty.

Muszę przyznać, że trochę zaskoczyła mnie łatwość, z jaką wszystko zrobiłam. W filmach to zawsze okazywało się trudne. Nagle pojawiała się jakieś tajemnicze zabezpieczenie, hasło czy kod albo facet po prostu się budził, a tutaj nic. Wszystko było do bólu zwyczajne. Ludwik nie miał żadnego szyfru, a do tego dalej twardo spał.

No nic. Nie zamierzałam nad tym jakoś wyjątkowo ubolewać. Pochyliłam głowę i wbiłam wzrok w ekran, a potem zaczęłam przeglądać kontakty.

Albert, Anka, Jurek, Kamil, Piotrek, ja... – czytałam w myślach, przebiegając wzrokiem kolejne. Nie było w nich nic niepokojącego. Wszystkich tych ludzi znałam, wszyscy to byli nasi znajomi.

Nagle poczułam się jakoś tak pewniej. Dziewczyny miały rację. Jak mogłam oskarżyć kogoś tak dobrego i prostodusznego jak Ludwik o niewierność? Przecież to śmieszne.

Ale właśnie wtedy TO się stało. Właśnie wtedy TO dostrzegłam. TO, czego tak bardzo nie chciałam widzieć.

Między znanymi mi imionami pojawił się napis „ZŁOTKO”.

Aż zakręciło mi się w głowie.

– A więc jednak – wyrwało mi się szeptem. Moje ciało mimowolnie zaczęło się trząść, a ten cholerny telefon wypadł mi z ręki.

Zacisnęłam zęby i natychmiast wykonałam skłon, by go podnieść, choć miałam ochotę nie tylko rzucić go na podłogę, ale i z całej siły cisnąć przez okno, a potem wdeptać w ziemię i przejechać po nim czołgiem!

– Zuzka? – Ludwik obudził się, słysząc hałas.

Zastygłam w bezruchu.

– Co się dzieje? – zapytał sennym głosem.

– Nic, nic, śpij. – Zacisnęłam palce na telefonie i w końcu się wyprostowałam. – Chciałam tylko sprawdzić godzinę, bo w mojej komórce rozładowała się bateria. – Spróbowałam się uśmiechnąć i odłożyłam to diabelstwo na miejsce.

– Aha – mruknął od niechcienia, po czym (tak po prostu!) zamknął oczy i odwrócił się na drugi bok.

Mnie natomiast znów zalała fala wściekłości. To wszystko?! W takim momencie stać go tylko na senne „aha”?! Tylko tyle, gdy rozpada się nasze małżeństwo?! Pod powiekami zebrały mi się piekące łzy.

– Złotko – szepnęłam niemal bezgłośnie, nim wstrząsnął mną szloch. A do mnie mówi tylko Zuzka!

Nie chcąc rozplakać się tu na dobre, wybiegłam do łazienki. Usiadłam na zamkniętej desce sedesowej i zaczęłam wyć. Głośno i przeraźliwie, jak chyba jeszcze nigdy. Ludwik ma romans – tłukło się po mojej głowie. Cholera! Może ja

też nie zawsze byłam święta, ale żeby od razu nazywać tę drugą w telefonie „Złotko”? Przecież to serca trzeba nie mieć!

Moim ciałem znów wstrząsnął szloch, więc odkręciłam wodę w wannie, by zagłuszyć moje jęki. Nim jednak zabrałam dłoń z kurka, przez moją głowę przemknęła najgłupsza myśl w życiu: a może by się tak teraz utopić? Skoro i tak już nic dobrego mnie w życiu nie czeka, to czemu nie?

Wariatka, natychmiast zganiłam samą siebie. Przecież masz dziecko. I niewiernego męża – zaczęłam chlipać głośniej.

Nie mogąc odnaleźć się w tej katastroficznej sytuacji, chwyciłam leżący na parapecie tablet (nie pytajcie, skąd on tu się wziął, bo nie umiem wam tego wytłumaczyć) i połączyłam się z internetem. Pospieszenie weszłam na Facebooka. Była dopiero ósma, ale miałam ogromną nadzieję, że przy nazwisku przyjaciółki zobaczę zieloną kropkę. Beata, podobnie jak ja, nie mogła ostatnio dobrze spać i skarżyła się, że wstaje skoro świt, a potem tłucze się bez celu po domu. Szczęście w nieszczęściu! Położyłam tablet na kolana i otarłam dłonią łzy. Potem stuknęłam palcem w nazwisko Beaty.

– Jak dobrze, że jesteś – napisałam. – Ludwik ma romans – postanowiłam nie owijać w bawełnę.

– SKĄD WIESZ?! – odpowiedź przyszła niemal natychmiast.

– Sprawdziłam jego telefon. Zapisał ją: Złotko.

– Nie wierzę...

– Uwierz. To się dzieje naprawdę, chociaż sama nadal żyję nadzieją, że to tylko zły sen.

– A to drań przebrzydły! Utłukę gada! Jak się trzymasz?

– Siedzę w łazience i płaczę – na potwierdzenie tych słów głośno pociągnęłam nosem.

– Ocieraj łzy, wychodź stamtąd i rób mi kawę. Ubieram się i zaraz do ciebie jadę.

– Ale teraz?

– A na co mam czekać? Aż się odwodnisz?

– Jesteś kochana. – Znowu pociągnęłam nosem.

– Przywiozę tort bezowy. Cukier pomaga w takich chwilach – wystukała Beata na klawiaturze swojego telefonu, po czym wylogowała się z Facebooka.

Zrobiłam to samo i wyłączyłam tablet. Odłożyłam go na parapet, a potem stanęłam przy umywalce i popatrzyłam na swoje odbicie w lustrze. Miałam zapuchnięte oczy i czerwone policzki. Wyglądałam jak pół nieszczęścia. A gdzie tam, jakie pół! Wyglądałam jak dziesięć nieszczęść razem wziętych, przez co znowu głośno zapłakałam. No bo skoro ja tak wyglądam, to przecież nic dziwnego, że Ludwik mnie zdradza, prawda? Kto chciałby być w związku z kimś takim, mając do wyboru jakieś Blond Złotko?

Nagle cały mój wczorajszy entuzjazm gdzieś prysnął. Już nie trzeba było niczego wyjaśniać, już nie było żadnej nadziei. Dopadła mnie brutalna rzeczywistość.

– Mój mąż ma romans – wyszeptalam na głos.

Zrobiło mi się od tych słów niedobrze na żołądku.

Rozdział 6

Zdradzanie kogoś kogo się kocha, jest niekomfortowe. Może niekoniecznie w chwili tego aktu, ale gdy dopadają cię wyrzuty sumienia, na pewno. Snujesz się po domu jak cień i za każdym razem, gdy twój mąż na ciebie spojrzy, masz ochotę zapaść się pod ziemię, by nie dostrzegł żadnej, nawet najmniejszej oznaki twojej zdrady. Rumieńców na policzkach, dyskretnego uśmiešku do telefonu albo tego, że choć nigdy tego nie robiłaś, nagle, zmywając naczynia, zaczynasz nucić pod nosem.

Jednak bycie zdradzaną jest jeszcze gorsze. Ta wiedza nie uwiera, ale sprawia, że odczuwasz ból. Psychiczny i fizyczny. Twoje myśli kręcą się tylko wokół tego tematu, zaczyna boleć cię głowa i brzuch. Właściwie to boli cię każda część ciała. Bo zdrada jest trochę jak amputacja. Byliście z mężem jednym, a teraz tej drugiej połówki nie ma. Nawet jeżeli nie fizycznie, to emocjonalnie. I jest to ból nie do zniesienia. Chociaż bardzo chcesz, nie możesz się go pozbyć. Ciągle go odczuwasz.

Beata zjawiała się w ciągu pół godziny. Wypatrzyłam należący do niej samochód już z okna i pospiesznie wyszłam jej na spotkanie. Marcel jeszcze spał, Ludwik i Teodor również, więc nie musiałam martwić się tłumaczeniem któremukolwiek z nich, po co i dlaczego wychodzę. Na wszelki wypadek zostawiłam im jednak na stole w kuchni śniadanie. Nie, nie dlatego, że nikt nie umiałby go zrobić (choć w przypadku Marcela to rzeczywiście wątpliwe). Chciałam tylko chronić swoją kuchnię, a raczej panujący w niej ład. Nigdy nie

wiadomo, co dwóch facetów i dziecko wymyślą, a ja dopiero posprzątałam. Wolałam dmuchać na zimne i mimo chwilowej niechęci, złości, żalu i wielu, wielu innych emocji, które żywiłam w tym momencie do swojego męża, zrobiłam im naleśniki. Niech Ludwik wie, że mam dobre serce. W przeciwieństwie do tego jego Blond Złotka. Ta to musi zamiast niego posiadać kawał zimnego kamienia. Bo czy ktoś, kto kieruje się miłością, byłby w stanie rozwalić rodzinę z małym dzieckiem?!

Wróćmy jednak do przybycia Beaty. Wsiadła ze swojego samochodu w krótkich spodenkach i kolorowej bluzce, po czym ruszyła do furki, ściskając w rękach pojemnik z tortem bezowym. Następnie sprawnie pokonała długość podjazdu prowadzącego pod mój dom i stanęła przede mną.

– Cześć kochanie. – Popatrzyła na moją nietęgą minę.

– Cześć. – Spróbowałam się uśmiechnąć.

– Jak się trzymasz?

– Bywało lepiej.

– Widzę. – Zlustrowała mnie wzrokiem. Mimo grubej warstwy makijażu nadal wyglądałam jak zapłakany bóbr. – Ale nie martw się, coś wymyślimy. – W przeciwieństwie do mnie, była pełna energii. – I przywiozłam tort. – Uniosła do góry plastikowy pojemnik. – Mam nadzieję, że choć trochę pomoże.

– Nie wiem, co bym bez ciebie zrobiła. – Pod moimi powiekami znów pojawiły się łzy.

– Tylko mi się tu teraz nie rozklejaj! – Beata natychmiast zapobiegła ich wylaniu. – Idziemy! – zadyrgowała.

– Idziemy? Dokąd? – Przesunęłam dłonią po oczach.

– No jak to dokąd? Za stodołę Anki, żeby spokojnie porozmawiać. Przecież nie będziemy robiły tego tutaj.

– No tak, masz rację. – Z tych nerwów zupełnie straciłam zdolność logicznego myślenia. – A tort? – Popatrzyłam na pudełko.

– Tort idzie z nami. – Beata rzuciła dziarsko, po czym ruszyła ku bramce prowadzącej na podwórko Ani. – No rusz się! – Po kilku krokach odwróciła się do mnie.

– A łyżeczki? Czym zjemy to ciasto?

– Wszystko mam, chodź już! – krzyknęła.

Nie pozostało mi nic innego, jak tylko pobiec za nią. Po kilku minutach szybkiego marszu dotarłyśmy na miejsce.

Stodoła Anki, a raczej tereny za nią, nie zmieniły się od czasu, gdy ostatnio schowałyśmy się tu z Beatką. Nadal było tu cicho, spokojnie i brudno. Pod murami walały się jakieś butelki i papiery, które musieli zostawić pracujący kiedyś u Ani robotnicy. A zamiast trawy był wszechobecny piach.

– To nie są idealne warunki, aby jeść tort – zauważyłam, gdy razem z Beatą

stanęłyśmy, wpatrując się w to pobojuwisko.

– Może i nie, ale przynajmniej nikt nam tu nie będzie przeszkadzał – mruknęła, robiąc zamyśloną minę.

Na chwilę obie zamilkłyśmy.

– Wiem! – nagle jakby mnie olśniło. – Tam dalej – wskazałam ręką na teren za stodołą sąsiadów Anki – mieszkają ludzie, którzy mają dwa duże sady.

– Sady? – Beata spojrzała na mnie jak na wariatkę. – Nie obraż się Zuzka, ale ta zdrada Ludwika naprawdę źle na ciebie działa. Co mają sady do naszego tortu i stodoły Anki? Chcesz teraz robić sok?

– Żaden sok, czekaj – pozostałam niewzruszona i nie zwracając uwagi na jej krzyki, popędziłam za stodołę sąsiadów.

Terenów za stodołami nie oddzielały żadne siatki czy płoty, więc nie było to jakieś wyjątkowo trudne. Dość szybko przedarłam się przez wysoką trawę i dotarłam do wielkiej góry drewnianych skrzynek.

– No. – Mruknęłam i pochyliłam się ku nim.

– Zuzka, wracaj tu! Co ty robisz?! – usłyszałam jeszcze krzyk Beaty.

Ignorując jej wrzaski, chwyciłam zdrową dłońią największą ze skrzynek, a potem wróciłam do rozemocjonowanej przyjaciółki.

– Co to jest? – Obrzuciła mnie spojrzeniem.

– Kanapa – ogłosiłam dumnie. – Pożyczyłam sobie.

– Przecież to kradzież. Zuzka!

– Albo innowacyjność myślenia. – Postawiłam skrzynkę pod stodołą Anki i sprawnie się na niej ulokowałam. – Jak zwał, tak zwał. Siadasz? – Popatrzyłam na Beatę.

– Będę się kiedyś przez ciebie smażyć w piekle. – Pokręciła głową, ale usiadła.

– Nie marudź, przecież jak zjemy, to ją oddamy – spróbowałam uspokoić przyjaciółkę. – Dawaj ten tort, naprawdę go potrzebuję. – Z nadzieją popatrzyłam na trzymany przez nią pojemnik.

– Więc naprawdę jest źle? – Podała mi go bez większych oporów.

– Zapisał ją w telefonie „Złotko”. – Sprawnym ruchem zdjęłam plastikową pokrywkę. – Nawet się z tym swoim romansem za bardzo nie kryje. Mógłby ją chociaż podpisać jako hydraulik albo dentysta, wiesz, tak dla niepoznaki. Ale nie, wolał „Złotko”. Musiał mi dopiec – jęknęłam i w końcu włożyłam pierwszy kawałek tortu do ust. – Rany! Jaki on dobry.

– Smacznego. – Beata spojrzała na moje pełne policzki.

– Chcesz też? – Podałam jej drugą łyżkę.

– Nie, dzięki. Dopiero co zjadłam śniadanie.

– Rozumiem. – Wsadziłam sobie kolejny kawałek tortu do ust. Naprawdę był dobry. I obrzydliwie słodki. Właśnie czegoś takiego teraz potrzebowałam.

– No co teraz zrobisz? – niezbyt taktownie wróciła do poprzedniego tematu Beata.

– Najpierw zjem tort.

– A potem?

– Nie wiem. Albo go zabiję – przełknęłam trzymany w ustach kęs – albo mu wybaczę. Albo jedno i drugie.

– Biedna. – Beata otoczyła mnie ramieniem. – Naprawdę ci współczuję.

– Ja sobie też. Chyba nadal jestem w szoku, nie dociera to do mnie. Niby wiem, że ponad połowa facetów zdradza swoje kobiety, ale w życiu nie przyszłoby mi do głowy posądzać o to Ludwika. Nawet wczoraj, choć widziałam zdjęcie, łudziłam się, że każdy, ale nie mój mąż.

– Cóż... – Beata popatrzyła przed siebie. – Ale Zuzka – po chwili zadumy zwróciła się do mnie – może to jest właśnie nasz punkt zaczepienia?

– Jaki punkt?

– No bo popatrz, jeżeli i ja, i ty, i Anka nie możemy uwierzyć w zdradę Ludwika, to może rzeczywiście nie ma żadnej zdrady?

– Zapisał ją w telefonie Złotko. I był u niej wczoraj cały dzień, gdy ja siedziałam sama w domu.

– To są tylko twoje głupie domysły.

– Może. A może właśnie taka jest prawda. – Znów uniosłam do ust łyżkę z kawałkiem tortu. Chociaż brzmi to śmiesznie, cukier naprawdę pomógł mi myśleć.

– Ogarnij się, Zuzka. – Beata nie dała się zbić z tropu. – Gdzie twój wczorajszy entuzjazm? Przecież chciałaś prowadzić śledztwo.

– Moja energia wyparowała wraz z namacalnym dowodem.

– A ja tam myślę, że ten kontakt może nic nie znaczyć. Tak jak ta fotografia. Może to tylko jakieś głupie nieporozumienie i wszystko da się odkręcić.

– Od kiedy jesteś taką optymistką?

– Od kiedy ty się tak szybko poddajesz. Oddaj mi Zuzkę, którą znam, bo ta tutaj nie zachowuje się jak moja przyjaciółka.

– Tamtej Zuzanny mąż nie zdradzał. Była szczęśliwa. Zaniedbana, ale mimo wszystko szczęśliwa.

– Mówię ci przecież, że tej wcale też nie musi zdradzać! Opierasz się tylko na jakichś swoich domysłach. Nie wiemy, jak jest naprawdę.

– Jasne. A Blond Złotko to tylko jego przyjaciółka. Przecież tak jak ja widziałas, że gapił się w jej biust! I to perfidnie, bo w miejscu publicznym. – Po moich policzkach popłynęły łzy.

– Ja tam nie wiem, kim ona dla niego jest, ale myślę, że powinnyśmy to wszystko wyjaśnić, zanim zrobisz się gruba i wielka od jedzenia słodczy.

– Sama przywiozłaś mi ten tort.

– Ale nie myślałam, że pochłoniesz go na raz! I liczyłam na to, że mimo wszystko zachowasz choć odrobinę rozsądku.

Słyszając jej słowa, głośno przełknęłam ślinę.

– No dobrze. – Odłożyłam do pojemnika trzymaną w dłoni łyżkę. – To co proponujesz, Sherlocku? Mam wrócić do domu jak gdyby nigdy nic i zapytać Ludwika wprost, czy mnie zdradza? A co ja jestem masochistka?

– Nie, no oczywiście, że nie. – Beata pokręciła głową.

– No to co innego mogę zrobić?

– Pomyślałam, że może po prostu, tak jak wczoraj mówiłaś, dowiemy się, kim jest ta kobieta.

– Co? – Jak Boga kocham, gdybym miała coś w ustach, to chyba bym się tym zakrztusiła. – Co ty powiedziałaś?

– Że mogłybyśmy odnaleźć tę blondynkę i...

– To ją zapytać, czy ma romans z Ludwikiem – nie dałam jej skończyć. – Świetny pomysł, naprawdę świetny. Może jeszcze się zaprzyjaźnimy i usiądziemy przy kawie, żeby wymienić się doświadczeniami dotyczącymi tego, jak to jest uprawiać seks z moim mężem. Nie, czekaj! To ona by mówiła, a ja z zazdrością słuchała. Bo mój mąż od dawna już przecież ze mną nie sypia! – rozszlochałam się jak jakaś histeryczka.

– Zuzka... – Beata natychmiast otoczyła mnie ramieniem.

– Dlaczego on mi to zrobił? No dlaczego... – zapłakałam, choć tak naprawdę sama byłam sobie winna. Przecież to ja pierwsza całowałam się z wuefistą.

– Nie wiem. – Beata pogładziła mnie po głowie. – Ale wyjaśnimy tę zagadkę.

– Boże, czy ty mnie słuchasz? Przecież ci mówię, że tu nie ma co wyjaśniać. Wszystko jest jasne i klarowne jak masło. A na dodatek... A na dodatek skończone – wydusiłam, zanosząc się łzami. – Będę rozwódką. Boże. To jeszcze gorzej niż starą panną czy wdową. Bo to znaczy, że ktoś mnie jednak chciał, ale okazałam się tak fatalna we współżyciu, że nam nie wyszło. Że jestem towarem wybrakowanym...

– Bredzisz, Zuzka, naprawdę bredzisz. Zresztą jak chcesz, mogę sama przeprowadzić to śledztwo. Dowiem się, kim jest ta kobieta ze zdjęcia. Nadal uważam, że to nie tak, jak myślimy.

– Nie wiem, jak chcesz tego dokonać.

– Normalnie. Będę śledziła twojego męża. Skoro rzeczywiście ma z nią romans, to prędzej czy później sam mnie do niej doprowadzi.

– A wtedy?

– Nie wiem, co wtedy. Tego jeszcze nie wymyśliłam. To świeży plan, nie miałam zbyt wiele czasu na dopracowanie szczegółów. Przyszło mi to do głowy w samochodzie.

Mimo fatalnego nastroju głośno się roześmiałam.

- Jesteś niezastąpiona. – Otarłam płynące po policzkach łzy.
- Być może. Od dziś zwracaj się do mnie „Sherlocku”.
- Mogę, chociaż „Beata” – moim zdaniem – brzmi o wiele ładniej.
- W ogóle to nie wiem, czy wiesz, ale kiedyś marzyłam o tym, żeby pracować w policji.
- Poważnie?
- Aha. Tylko wiedziałam, że nie zdam testów sprawnościowych i z braku laku zostałam woźną. Zresztą za czasów mojej młodości przyjmowano do szkółek o wiele mniej kobiet niż teraz. Szowinizm zaczął ustępować dopiero niedawno.

Na moich ustach kolejny raz podczas tej rozmowy pojawił się uśmiech.

- To kiedy chcesz zacząć to swoje śledztwo? – zapytałam.
- Jak najszybciej. Może być jutro.
- Jutro?
- Dziś muszę posprzątać w domu. Iza wyjechała do koleżanki do Gdańska, będę miała trochę spokoju.
- Rozumiem.
- A dlaczego pytasz? – Beata zerknęła na mnie z ukosa.
- Bo chyba ci w nim pomogę.
- Naprawdę?
- Naprawdę – przytaknęłam, czując, że powoli wracają mi siły. To pewnie zasługa cukru.
- Wiedziałaś, że sama nie wierzysz w niewierność Ludwika. – Beata klasnęła w ręce. – Wiedziałaś! Od samego początku!
- Och, ale ja nie chcę robić tego, bo wierzę w jego niewinność – nieco tę jej nadzieję przystopowałam.
- Nie?
- Nie.
- W takim razie po co?
- Jak uda nam się znaleźć Blond Złotko, to osobiście je zabiję. Tymi rękami.

– Wyprostowałam plecy. – Stłumię ten bunt w moim małżeństwie jeszcze w zarodku, a potem mnie zamkną. Za zabójstwo. Może siedząc za kratkami, uda mi się uniknąć rozwodu.

- Wiesz co Zuzka? – Beata zerknęła na mnie z uznaniem.
- No co? Jak nie będziesz chciała pomagać mi zabijać tej francy, zawsze możesz poczekać w samochodzie.

Po okolicy rozszedł się jej głośny śmiech.

- Taką cię właśnie lubię. – Beata ponownie mnie przytuliła. Oczywiście uważając na moją zagipsowaną rękę.

I wiecie co? Dzięki tej naszej rozmowie naprawdę zrobiło mi się trochę

lepiej. Jednak jest ziarnko prawdy w stwierdzeniu, że na smutki najbardziej pomaga wygadanie się przyjaciółce. I bezowy tort.

Rozdział 7

Posiedziałyśmy z Beatą za stodołą jeszcze przez kilka chwil i umówiłyśmy się, że obie zaczniemy śledzić Ludwika już jutro. Żadna z nas nie wiedziała, co prawda, jak mogłoby nasze śledztwo wyglądać, ale nie było to dla nas w tym momencie istotne. Beata obiecała, że przyjedzie do mnie jutro autem swojego męża, i ustalimy, co dalej. Moje zielone cinquecento nam obu wydało się zbyt charakterystyczne. Ludwik od razu by je rozpoznał i z tego śledzenia nic by nie wyszło.

Rozpogodzona odprowadziłam Beatę do furtki. Miałyśmy odstawić wcześniej skrzynkę sąsiada Anki na miejsce, ale finalnie tego nie zrobiłyśmy.

– Ona jeszcze się przyda. – Dotknęłam dłoni Beaty, gdy chciała ją podnieść.
– Będziemy tu miały miejsce do tworzenia kolejnych etapów naszej tajnej akcji. Zostaw.

Beata w pierwszym odruchu popatrzyła na mnie jak na wariatkę, ale w końcu przyznała mi rację.

– To będzie nasze centrum dowodzenia – mruknęła, puszczając jedną z desek.

Skrzynka została więc na swoim miejscu, a my pożegnałyśmy się wylewnie. Poczekalam przy bramie, aż samochód Beaty zniknie, ale potem, zamiast wrócić do domu, postanowiłam zajrzeć do Anki. Miałam potrzebę i jej opowiedzieć o tym, co znalazłam dziś w telefonie Ludwika, i dowiedzieć się, ile dokładnie potrzeba im pieniędzy, by Jurek mógł wrócić do kraju. Weszłam więc do jej domu, zdjęłam

buty, założyłam stojące w korytarzu kapcie i zajrzałam do kuchni.

– Mogę? – zapytałam, wsuwając głowę do środka.

– Ciocia! – Pawełek ucieszył się na mój widok.

– No pewnie, chodź – rzuciła Anka. – Jemy właśnie śniadanie, siadaj – zaprosiła mnie do stołu.

– Smacznego. – Posłusznie zajęłam miejsce obok Pawełka. – A gdzie mama? – rozejrzałam się dookoła.

– Poszła na dwór wypuścić kury, ale zaraz wróci.

– Dziś ma lepszy humor?

– Można tak powiedzieć. Odzywa się, więc to jakiś progres.

– Jak będę miała luźniejszy dzień, to zabiorę ją do lekarza. – Zerknęłam na stojący przy drzwiach wózek, w którym siedziała Zosia. – Może to wina cukrzycy.

– No nie wiem. – Ania włożyła do ust ostatni kawałek kanapki. – Chcesz coś do picia?

– Może być kawa. Jeszcze dzisiaj nie piłam.

– To ja sobie też zrobię. – Podniosła się z krzesła i podeszła do zlewu, żeby nalać wody do czajnika. – Tak dla towarzystwa.

– A czy w ciąży nie powinnaś zrezygnować z kawy?

– Lekarz pozwolił mi pić filiżankę na kilka dni.

– Naprawdę?

– Powiedziałam mu, że jestem uzależniona, i poszedł na kompromis.

– Ale to niezdrowe dla dziecka.

– Może i niezdrowe, ale chyba lepiej, jak od czasu do czasu wypiję kawę, niż zabiję ze złości dajmy na to naszą mamę, prawda?

– No może i tak... A nie próbowałaś pić jakiegoś substytutu? Są przecież na rynku takie kawy bezkofeinowe.

– Próbowałam, ale to takie niedobre, że prędzej bym zwymiotowała, niż to przełknęła.

– Aha. – Pokiwałam głową, uznając temat za skończony. – Jak wam się udała wczorajsza kąpiel w basenie? – zagadnęłam kończącego jeść swoją kanapkę Pawełka, gdy Ania była zajęta.

– Było super. Nawet sobie opaliłem szyję i plecy tak, że mam teraz czerwone.

– Nie pieką cię?

– Pieką. Całą noc nie mogłem spać.

– Biedaczek.

– Jaki biedaczek, ciocia? – Paweł popatrzył na mnie z wyrzutem. – Przecież każdy przystojny mężczyzna ma w wakacje opaleniznę. Nie oglądasz telewizji i nie widzisz tych wszystkich aktorów?

– Ach, no tak.

– Chcesz być pięknym, musisz cierpieć – powiedział dumnie. – Pani nam to kiedyś powiedziała w szkole.

– Pani? Na lekcji? – zdziwiła się Ania.

– No. – Paweł pokiwał głową. – Na przyrodzie, jak mieliśmy temat o ciąży.

– A co ma ciąża do dobrego wyglądu?

– No mam! Przecież wtedy się dobrze nie wygląda. Ale jak już pocierpisz przy porodzie, to potem wszystko wraca do normy, proste. Zresztą spójrz sama na siebie... – Obrzucił ją spojrzeniem. – Ale nie martw się, po porodzie ci przejdzie. Tak nam pani mówiła.

– No dziękuję ci bardzo, synu. – Ania wydeła usta.

Zachichotałam pod nosem.

– Zjadłem już – powiedział natomiast nieświadomy niczego Pawełek.

– To daj swój talerz i idź na podwórko, żeby zawołać babcię. Nie ma jej już kilka dobrych minut, może zapomniała, że ma zjeść śniadanie. W jej wieku wszystko jest możliwe, a musi przecież wziąć tabletki.

Paweł posłusznie spełnił jej prośbę i pobiegł na dwór.

– Dzieci. – Ania wyjęła z szafki dwa kubki, po czym postawiła je na szafce i nasypała do nich kawy. – A co u ciebie? Bo jeżeli mam być szczerą, to ty też dziś za dobrze nie wyglądasz.

Westchnęłam i podparłam twarz dłonią, a potem opowiedziałam jej o odkryciu, którego dokonałam dziś rano.

– Kurczę. – Gdy skończyłam mówić, Ania postawiła na stole dwa kubki z kawą. – Wiem, że się powtórzę, ale mnie się to w głowie po prostu nie mieści! Ludwik i zdrada to słowa, które się gryzą.

– Beata też tak mówi.

– A ty co myślisz?

– Sama nie wiem. Widziałam przecież na własne oczy i to zdjęcie, i kontakt. Nie pozostaje mi zbyt wiele miejsca na domysły.

– Co chcesz z tym zrobić?

– Jak to co? Dowiedzieć się, kim jest ta kobieta.

– A później?

– Nie wiem. – Upiłam pierwszy łyk kawy. – Szczerze mówiąc, nie dociera to do mnie. Nie umiem wyobrazić sobie rozwodu z Ludwikiem – powiedziałam, a potem nagle zamilkłam. Słowo „rozwód” niemal zapiekło mnie w usta. Boże! Co za okropny rzeczownik!

Widząc moją reakcję, Ania popatrzyła mi w oczy.

– Ale wiesz, Zuzka, że gdy tylko będziesz potrzebowała pomocy, to zawsze możesz na mnie liczyć.

– Wiem, wiem. – Uśmiechnęłam się do niej. – I nawet dobrze, że to mówisz, bo będę potrzebowała jej jutro.

– Jutro?

– Tak. Chciałabym u ciebie zostawić Marcela, wolę ciągle nie wykorzystywać Teodora, by go pilnował. Mam nadzieję, że nie będziesz miała nic przeciwko.

– No pewnie, że możesz go tutaj podrzucić. Pawełek się ucieszy, w końcu będzie miał towarzystwo. Nie wiem, czy inne dzieci też tak mają, ale moje bardzo się nudzi w wakacje. Brakuje mu kolegów, nie ma w Jaszczurkach zbyt wielu kompanów do zabawy. Większość dzieciaków z jego klasy dojeżdża do szkoły z sąsiednich wiosek, a ja nie mam jak wozić go do nich, bo wsadzenie Zośki do fotelika graniczy z cudem. Ostatnio nie chcę za często zostawiać jej z matką. Z każdym kolejnym rokiem robi się coraz bardziej nieodpowiedzialna.

– Zawsze możesz mnie zawałować i ja przypilnuję.

– Ty masz wystarczająco dużo swoich problemów.

– O, à propos problemów – przypomniało mi się nagle, po co właściwie do niej przyszłam. – Powiedz mi, ile dokładnie potrzebujesz pieniędzy, to zrobię ci dziś przelew.

– Hm... – Ania zastanawiała się przez chwilę. – Dokładnie sama nie wiem. Sprawdzę dziś w internecie ceny biletów i dam ci znać. Możemy się tak umówić?

– Jasne, nie ma problemu. – Sięgnęłam po kubek z kawą.

– Powiem ci też wtedy od razu, o której przyjdzie do mnie moja koleżanka Justyna, to wpadniesz.

– A co mi do twojej koleżanki?

– To pierwsza kandydatka.

– Kandydatka? Na kogo? Chcesz kogoś zatrudnić? W twojej sytuacji finansowej? Przecież wiesz, że zawsze możesz prosić mnie o pomoc, zamiast się wykosztowywać.

– Zuzka. – Ania spojrzała na mnie z wyrzutem. – To jest pierwsza kandydatka na żonę dla Teodora.

– Aaa – mruknęłam. Przypomniałam sobie o jej zwariowanym pomysle. Nadal nie byłam do końca tym faktem zachwycona. – Tak szybko?

– Nie ma na co czekać. Mówiłaś mu już o tym, że przeprowadza się do mnie?

– Jakoś nie było okazji. – Spuściłam wzrok.

– Zuzka!

– No co? Głupio mi go wyrzucić. Przyzwyczaiałam się już do tego, że z nami mieszka. Zresztą jemu też chyba jest dobrze.

– No właśnie, Zuzka, w tym cały problem! Nie możesz mieszkać pod jednym dachem z mężem i byłym narzeczonym. To nieetyczne.

– Mimo wszystko nie mam serca go wyrzucić.

– Boże – jęknęła Ania. – W takim razie ja to zrobię.

– Ty?

– Tak. Przecież od początku miał mieszkać u mnie. To się trochę pozmieniało przez filmowców, ale teraz może spokojnie się tam wprowadzić.

– No dobrze – poddałam się, widząc jej determinację. – Tylko powiedz mi o tym jakoś tak delikatnie, bardzo cię proszę.

– Postaram się – zapewniła.

– A wracając do tematu Justyny. – Popatrzyłam na Anię z ukosa. – Znam ją?

– Nie sądzę. To siostra żony kolegi Jurka. Podobno bardzo przyzwoita dziewczyna, spodoba ci się. I tobie, i Teodorowi. Tak myślę. Pracuje w aptece.

– Chcesz mi ją dzisiaj przedstawić?

– Nie. Najpierw odbędziemy z nią rozmowę.

– My?

– Ty i ja.

– Po co?

– Żeby upewnić się, że to dobra kandydatka. Co z tobą, Zuzka? Jesteś jakaś nieobecna. – Spojrzała na mnie z wyrzutem.

Nie wiedząc, co odpowiedzieć, zbliżyłam kubek z kawą do ust. Nadal bardzo nie podobał mi się pomysł tego całego castingu. To jakieś wariactwo.

Zresztą Teodor w życiu się na coś takiego nie zgodzi. Nie jest typem faceta, który potrzebuje swatki. Mogę przysiąc, że jest sam nie dlatego, że żadna kobieta się nim nie zainteresowała (z jego urodą na pewno było wręcz przeciwnie, dam sobie głowę uciąć, że miał dziesiątki fanek), ale dlatego, że nie chce być w związku. Zresztą on sam swego czasu przecież mi to wyznał. Ech. Tylko jak powiedzieć o tym Ance?

Na szczęście chwilę później weszła do kuchni mamusia i uratowała mnie z opresji.

– O, Zuzka! – rzuciła na mój widok.

– Cześć mamu – wysiliłam się na entuzjazm. Nie chciałam, by domyśliła się, że coś mnie trapi.

– Niech mama siada do stołu – zwróciła się do niej Ania. – Herbata już pewnie ostygła. – Dotknęła stojącej obok szklanki.

– Nie szkodzi. Mnie i tak wszystko jedno. Nie musicie się, dzieci drogie, martwić o pokolenie schodzące – westchnęła cicho mamusia, po czym podeszła do lodówki.

– Wszystko ma mama na stole – powiedziała Ania.

– Widzę, ale mam ochotę na dżemik. Skoro śmierć czeka na mnie za rogiem, muszę się nacieszyć tym światem, zanim będzie za późno.

– Nie wiem, czy powinna mama rano jeść słodkie. – Ania była innego zdania. – Potem skacze mamie cukier.

– Wielkie mi halo. – Mama otworzyła lodówkę mimo komentarza córki. –

Najwyżej umrę trochę szybciej. Młodsze ode mnie umierają – powiedziała z typowym dla siebie brakiem optymizmu, a potem wydobyła z lodówki słoik z dżemem.

Ania przewróciła oczami, gdy sama stawiała go na stole, i usiadła na krześle.

– Zjesz ze mną, Zuzka? – zwróciła się do mnie mama, sięgając po kromkę chleba.

– Nie, dziękuję. – Pokręciłam głową. Już wystarczająco zasłodziłam się tortem od Beatki.

– Może jednak? Marnie wyglądasz, kochanie. Jakoś tak blade. – Zaczęła mi się przyglądać.

– Następna. – Wywróciłam oczami. – Przecież nic mi nie jest.

– Jak na moje oko, kanapeczka z dżemikiem by ci nie zaszkodziła. W przeciwieństwie do mnie, ty masz dla kogo żyć. Musisz o siebie dbać.

– Co też mama wygaduje! – Ania uniosła się.

– Mówię, jak jest, kochanie – znowu westchnęła mama. – Zuzka ma męża, dziecko, a ja co? Mnie już tylko dół na cmentarzu pozostał i...

– Dobra, zjem tę kanapkę – wpadłam jej w słowo, nie chcąc, żeby rozwijała swój ulubiony temat.

Ania zerknęła na mnie z wdzięcznością.

Mama tymczasem posmarowała dla mnie chleb masłem i odkręciła słoik z dżemikiem. Powoli nabrała go na nóż. Nim jednak nałożyła go na chleb, Ania złapała ją za rękę.

– Niech mama poczeka – powiedziała. – Ten dżem jakoś dziwnie wygląda. – Zabrała jej słoik i przysunęła go do nosa. – I pachnie też dziwnie. – Odsunęła go gwałtownie.

– Pokaż. – Wyciągnęłam do niej rękę i zrobiłam to samo. – Rzeczywiście, śmierdzi.

– Może jest sfermentowany? – Mamusia zerknęła podejrzliwie na nóż.

– Nie, to inny zapach. Ten dżem pachnie garażem.

– Garażem? No coś ty, dziecko. – Mamusia też przysunęła dżem do nosa. – No faktycznie.

– Tak, to zapach garażu – zawtórowała mi Ania.

– Tylko jak to możliwe?

– A, wiem! – Mamę nagle jakby olśniło. – To nic dziwnego, że ten dżem śmierdzi garażem, bo ja go stamtąd wczoraj przyniosłam.

– A skąd on się tam wziął? – zaniepokoiła się Anka.

– A bo ja wiem? Leżał na ziemi. – Mamusia rozsmarowała dżem na kanapce.

– Może ci wypadł z torebki, jak wykładałaś z bagażnika zakupy.

– Może... – Ania jeszcze raz uniosła słoik do nosa, po czym, nim mama zbliżyła kanapkę do ust, znowu złapała ją za rękę. – Niech mama tego nie je! –

niemal krzyknęła. – To nie jest żaden dżem, ale smar!

– O, no tak. Przecież to zapach smaru. – Puknęłam się w głowę. – Rzeczywiście. Smar tak pachnie.

– Smar? – Mamusia zrobiła zdziwioną minę. – Jaki smar? – Z niepokojem zerknęła na swoją kanapkę. – Przecież wygląda jak dżemik. Truskawkowy. Czerwony.

– Tak, czerwony, bo to jakiś specjalny smar, chociaż nie wiem do czego. – Ania na wszelki wypadek zabrała jej chleb z ręki. – Jurek przed wyjazdem majstrował coś przy samochodzie, pękł mu pojemnik, więc przełożył sobie ten smar do słoika i postawił w garażu.

– No wiesz co? – Mama popatrzyła na nią z wyrzutem. – Chciałaś mnie otruć – jęknęła bliska płaczu.

– Ja? – Ania zrobiła wielkie oczy. – Przecież to mama go przyniosła.

– Boże przenajświętszy, moja córka właśnie o mały włos nie napasła mnie smarem – rozplakała się mamusia.

Popatrzyłam na Anię z politowaniem.

– Mówiłam ci, że z nią jest coraz gorzej. – Nachyliła się do mnie, załamując rękę.

Niestety, ale musiałam przyznać jej rację.

Rozdział 8

Wracalam od Anki z myślą, że nie ma niczego lepszego od wsparcia ze strony przyjaciół i rodziny. Moja siostra już wiele razy udowodniła, że na nią zawsze mogę liczyć. Pocieszała mnie po rozstaniu z Teodorem i później, gdy zaszłam w nieplanowaną ciążę. Byłam jej za to wszystko naprawdę wdzięczna.

Jednak ta myśl nie tylko dodawała mi skrzydeł, ale też napawała niepokojem. Przez ostatnie kilka lat moją ostoją był bowiem mąż. Dzieliliśmy się ze sobą wszystkim. Każdą radością i niepowodzeniem. Każdym powodem do szczęścia, ale też niepokojem. Myśl, że za jakiś czas może tego zabraknąć, wywołała we mnie falę smutku. Do oczu zaczęły napływać mi łzy.

Na szczęście w porę zapobiegła temu moja sąsiadka w starszym wieku, pani Cela. Machała do mnie, stojąc przy siatce oddzielającej nasze podwórka. Zdążyła właśnie powiesić pranie.

– Zuzka! – Zamachała do mnie energicznie.

– Dzień dobry! – Uśmiechnęłam się na jej widok i podeszłam do siatki. – Miło panią widzieć.

– Ciebie też, kochanie, chociaż wydaje mi się, że schudłaś.

– Rzeczywiście się pani wydaje. Moja waga od dobrych kilku miesięcy stoi w miejscu.

Pani Cela przyjrzała mi się bacznie.

– Może i tak – oceniła w końcu. – W moim wieku wzrok płata już figle.

– A co u państwa?

- Byliśmy wczoraj z Kaziem w lesie na jagodach, dlatego cię zaczepiłam.
- Potrzebuje pani pomocy w robieniu przetworów?
- A gdzie tam, moja świętej pamięci mamusia nauczyła mnie robić pyszniutki dżemy. Chciałabym dać ci trochę tych jagód.
- Och...
- Poniosło nas z Kaziem i zebraliśmy za dużo. Nie mam co z nimi zrobić. Nagotowałam wczoraj i dżemy, i kompoty, ale jeszcze sporo zostało. Weźmiesz?
- To bardzo miłe z pani strony, dziękuję. Ale może ja chociaż za nie państwu zapłacę? Przecież zbieranie jagód zajmuje sporo czasu.
- Nie, nie, żadne zapłacę! Po pierwsze, to ty jesteś dla nas jak córka, a po drugie my z Kaziem lubimy las. Takie zbieranie jagód bardzo nas do siebie zbliża.
- Doprawdy?
- No oczywiście! Tam nie ma żadnego samochodu do remontu czy telewizora, przed który mógłby uciec. Musi ze mną rozmawiać, biedaczyna. A wiem, że moja gadanina niejednego mogłaby zamęczyć.
- Wcale nie – poczułam się w obowiązku zaprotestować. – Znam ludzi, którzy wyrzucają z siebie o wiele więcej słów niż pani. I nie mówią z sensem.
- Cóż... Wątpię, żeby to sprawiło, że Kaziu przestanie nazywać się męczennikiem. Za każdym razem, gdy ma ze mną jechać do lasu, to bolą go kolana i łupie w krzyżu. To dla niego największa kara. Tylko las i my dwoje. Po tylu latach małżeństwa to koszmar.
- Dlaczego?
- Bo Kazio twierdzi, że z moim zamiłowaniem do mówienia, to przez te pół wieku, gdy jesteśmy razem, dowiedział się już o mnie wszystkiego – roześmiała się pani Cela.
- Ja jestem z Ludwikiem zaledwie cztery lata, a on już ma mnie dość. Widać u nas to znudzenie sobą nastąpiło wyjątkowo szybko, pomyślałam, ale nie odważyłam się powiedzieć tego głośno.
- To co, wpadniesz do mnie po te jagódki? – powtórzyła swoją propozycję pani Cela.
- Wpadnę, wpadnę.
- Zapraszamy o każdej porze dnia i nocy! – Ze stojącego niedaleko garażu wyłonił się pan Kaziu. Miał na sobie flanelową koszulę w kratę i czarne spodnie.
- Dzień dobry. – Pozdrowiłam go machnięciem ręki.
- Miło cię widzieć, Zuzanno. O czym tu rozmawiacie? – Podszedł do nas, ocierając czoło jakąś przybrudzoną chusteczką.
- Pani Cela zaproponowała mi, żebyśmy wzięła od państwa jagody. Podobno nazbieraliście ich wczoraj za dużo.
- Zuzka do nas po nie wpadnie.
- O, to nawet dobrze się składa, bo ja się dziś, dziecko, do ciebie

wybierałem! – ucieszył się na te słowa pan Kazio.

– Po co? – zdziwiła się pani Cela.

– Sprawkę mam. Można powiedzieć: biznesik.

– Biznesik? W twoim wieku zachciewa ci się jeszcze robić interesy? Zlituj się, Kazik.

– No a jak! W końcu jestem facetem z krwi i kości. W dodatku atrakcyjnym na rynku pracy. – Pan Kazio dumnie wypiął pierś. – Znam już angielski, pracowałem w telewizji, to teraz sypię nowymi pomysłami na życie jak z rękawa. Jednak jest ziarno prawdy w tym, że im więcej się przeżyło, tym większy ma się głód nowych wrażeń.

– Jest takie powiedzenie? – Pani Cela popatrzyła na mnie badawczo.

Nie chcąc się wtrącać w ich wymianę zdań, zrobiłam tylko bezradną minę.

– Stary, a głupi – skwitowała pani Cela, widząc moją reakcję. – Co to za biznes? – zwróciła się jednak do męża.

– Muszę przyznać, że też jestem ciekawa. – Zrobiłam krok w ich stronę.

– No dobrze, dobrze, już mówię. Nie będę dłużej trzymał was w niepewności – zlitował się nad nami pan Kazio. – Pomyślałem, że skoro Zuzanna jest sławną aktorką, to mogłaby zostać reklamą naszego miodu – ogłosił zadowolony z siebie.

– Ja? – Na dźwięk jego słów omal nie odjęło mi mowy.

– Reklamą miodu? – zdziwiła się pani Cela.

– No tak! – nie dał się zbić z tropu pan Kazio. – Reklama dźwignią handlu, kochanie. A jak zarobimy więcej niż dotychczas, to sobie pojedziemy na wczasy. Na Kretę czy do innego Ciechocinka. – Dotknął ramienia żony.

– Biznesman od siedmiu boleści – jęknęła tylko i spuściła wzrok. Trochę zrobiło się jej wstyd za męża.

– Przepraszam, że się wtrącam – przerwałam im tę wymianę zdań. – Ale na czym ta reklama miałaby dokładnie polegać? – zapytałam. Miałam ogromną nadzieję, że pan Kazio nie będzie kazał mi kwitnąć przed ich domem z jakąś tabliczką, która miałaby zachęcać przejezdnych do kupowania miodu z jego pasieki. Stanie na słońcu w takim skwarze mogłoby być trudne.

– Też chciałabym wiedzieć. – Pani Cela poszła w moje ślady i popatrzyła na męża.

– Zrobimy sesję zdjęciową! – wypalił pan Kazio.

– Sesję zdjęciową? – jęknęłam. Nigdy nie przepadałam za zdjęciami, a od czasu wizyty filmowców w Jaszczurkach jeszcze bardziej stroniłam od kamery czy aparatu.

– I to taką piękną! Profesjonalną! – Mój sąsiad tryskał za to optymizmem.

– A gdzie? – Pani Cela wzięła się pod boki.

– Jak to gdzie? U nas, na podwórku. Na tle naszej pasieki, żeby było swojsko i naturalnie.

– Naturalnie – powtórzyłam za nim, nadal lekko oszołomiona.

– Dokładnie tak! Wiejska dziewczyna, która stała się gwiazdą, reklamująca nasz miodek. Przecież to genialny pomysł. Genialny! Z taką głową to ja mógłbym zostać szefem jakiejś firmy od marketingu.

– Niewątpliwie – mruknęła pani Cela.

– To co, Zuzka, zgadzasz się? – Mężczyzna popatrzył na mnie z nadzieją.

– Cóż... – Teraz to ja spuściłam wzrok.

– Nie martw się, ja całą resztę załatwię – starał się mnie przekonać. – Ty się tylko pouśmiechasz, a później nakleimy twoje zdjęcie na słoiki, Filip dorzuci do tego jakiś fikuśny napisik i będzie cacy.

– Fikuśny napisik... – wymamrotała pani Cela.

– Mam wizję, nie martwcie się! – spróbował nas przekonać pan Kaziu, gdy w końcu dostrzegł nasze nietęgę miny. – Zuzka jako pszczołka, to będzie coś! Taka gwiazda na pewno podniesie nam sprzedaż!

– A skąd ty weźmiesz na to wszystko pieniądze? – Pani Cela spojrzała na niego niepewnie. – Przecież taka sesja zdjęciowa kosztuje. Trzeba wynająć fotografa...

– I oświetleniowca, i charakteryzatora, i grafika – przysłałam jej z pomocą.

– E tam, ja się tym wszystkim zajmę sam.

– Sam? Jak ty ledwie co komputer potrafisz włączyć.

– To się nauczę. Aparat mamy, więc wielkie mi rzeczy pstryknąć kilka zdjęć ładnej dziewczynie. Poczyłem już nawet w tym celu stosowne starania.

– Co ma pan na myśli?

– Byłem w kiosku i zakupiłem gazetę. Profesjonalną! O fotografii.

– Nie no, nie wytrzymam z tym chłopem – powtórnie jęknęła pani Cela.

Ja natomiast zmusiłam się do uśmiechu, co nie było najlepszym pomysłem, bo nie umknęło uwadze pana Kazia.

– Czyli jesteś na tak? – zwrócił się do mnie.

Nerwowo przełknęłam ślinę. Pomysł z przebraniem za pszczołkę i wyginaniem się przed obiektywem aparatu pana Kazia był bardziej odpychający niż ciekawy. Niekoniecznie marzyłam o tym, by się ośmieszać. Już i tak swoje przeszłam, współpracując z filmowcami.

– Co prawda zbyt wiele ci nie zapłacę, ale coś tam z kieszeni wygrzebię, spokojna głowa – zaproponował pan Kaziu, gdy zauważył, że się waham.

– Dobra, niech będzie – mruknęłam, nie chcąc go rozczarować. W końcu to dobry człowiek, tylko nieco zwariowany.

– Naprawdę?! – rozanielił się natychmiast.

– Naprawdę.

– Od zawsze wiedziałem, że z ciebie jest dobra dziewczyna i nie zostawisz sąsiadów w potrzebie! – Pan Kazio był tak wzruszony moją odpowiedzią, że

wyrwał się ku siatce, by mnie uściskać.

– Zostaw ją, stary! – Pani Cela zdążyła jednak przystopować te jego zapędy i złapała go za koszulę. – Przecież Zuzka i tak ma połamaną rękę. Jeszcze jej oko wykłujesz, szarpiąc nią nad tymi drutami. – Popatrzyła na siatkę.

– Tak, pani Cela ma rację, dziękuję wystarczy.

– Kiedy ja ci nie tylko dziękuję, najwspanialsza, to za małe słowo, ale będę pod niebiosa sławił i w dzień, i w nocy!

Żona pana Kazia spojrzała na mnie przepraszająco, w odpowiedzi na co puściłam do niej oczko.

– Nie szkodzi. – Uśmiechnęłam się szeroko. – Chętnie pomogę – trochę nagięłam rzeczywistość.

– Bóg ci zapłać, kochanie! To ja uciekam – rzucił jeszcze pan Kazio.

– Dokąd? – Żona złapała go za rękę.

– Jak to dokąd? Wymyślić tekst i zrobić dla Zuzanny kostium! Jakies paski, czółka, skrzydełka... – ogłosił. – Ale najpierw pooglądam reklamy w telewizji. Muszę wiedzieć, jakie trendy panują u konkurencji – wyjaśnił i już go nie było.

– Stary, a głupi. – Pani Cela natomiast popatrzyła na mnie przepraszająco. – Nie martw się, ja mu to wszystko z głowy wybiję. Tylko wieczorem.

– Nie trzeba, pani Celu, naprawdę.

– Przecież on cię tą reklamą tylko ośmieszy.

– Jakoś to przełknę. Najważniejsze, żeby był zadowolony.

– Z ciebie naprawdę jest dobra dziewczyna – powiedziała pani Cela z podziwem. – Nie każdego byloby stać na takie poświęcenie.

– Drobiazg. – Uniosłam kąciki ust, po czym zerknęłam w stronę domu. – A teraz przepraszam, ale powinnam wrócić do dziecka.

– Oczywiście, nie zatrzymuję cię, kochanie. – Sąsiadka wygładziła swoją sukienkę. – Tylko pamiętaj, żeby wpaść do nas wieczorem po jagody, inaczej się zepsują! – dodała, gdy zaczęłam się oddalać.

– Wpadnę na pewno – odpowiedziałam jej, odwracając głowę. A potem w końcu wróciłam do domu, gdzie czekał na mnie pełen brudnych naczyń zlew i stół, który wyglądał tak, jakby przeszło po nim tornado.

Wzdychając głośno, włączyłam radio. Następnie wyjęłam z szafki niebieską ściereczkę, namoczyłam ją wodą i zaczęłam zgarniać ze stołu okruszki. Jednak powierzenie trzem mężczyznom tak banalnej czynności jak zjedzenie śniadania nie było dobrym pomysłem. To zadanie zdecydowanie ich przerosło.

Jednak nim zdążyłam się porządnie w tym sprzątaniu zatracić, rozdzwonił się telefon. Zostawiłam więc ściereczkę na stole, wytarłam rękę w spodnie i odebrałam.

– Halo? – rzuciłam do słuchawki.

– Cześć Zuzka – rozległ się głos Kasi. – Nie przeszkadzam ci? Jesteś zajęta?

Popatrzyłam na swoją kuchnię pełnym rozpaczy wzrokiem. To już nie był bałagan, ale istne pobożowisko. Co oni tu robili, na litość boską? Walczyli na miecze z bagietek? Przecież zostawiłam im naleśniki!

– Nie tak bardzo – mruknęłam do Kasi i usiadłam na jednym z barowych stołków.

– To dobrze, bo chciałam cię o czymś poinformować.

– Tylko mi nie mów, że jesteś w ciąży.

– Co? – roześmiała się, słysząc moje słowa. – Nie jestem. To znaczy raczej nie, uważaliśmy. Jeden dzień po to zresztą chyba za wcześnie, żeby o tym wiedzieć, co?

– Nie wdawajmy się lepiej w szczegóły – natychmiast pożałowałam poprzednich słów. – To co się stało, że dzwonisz? Bo raczej nie zabrakło wam szlaków do zwiedzania.

– Nie zabrakło, chociaż nic już z tego naszego chodzenia po górach nie będzie.

– Jak to? – Mimowolnie pomyślałam o tym, że może któreś z nich skrzyło kostkę.

– Tak to. Wracamy dziś w nocy pociągiem do miasteczka.

A więc jednak kostka!

– Ale jak to? – Wyprostowałam plecy. – Przecież mieliście zostać w Zakopanem do końca tygodnia.

– No wiem, tylko widzisz, wyniknęły takie okoliczności, że nie bardzo mamy gdzie mieszkać.

– Co?! – rzuciłam pełnym przejęcia głosem.

– Oj nie denerwuj się, Zuzka. Po prostu nie chcą nas nigdzie na Harendzie. A w każdym innym miejscu, gdzie pytaliśmy, albo nie ma wolnych pokojów, albo cena mocno przekracza nasz budżet. No i jeszcze ten mandat... – zawiesiła głos. – Postanowiliśmy wrócić. Poprosisz Ludwika, żeby wyjechał po nas rano do miasteczka?

– No pewnie, że poproszę – zapewniłam. – Powiedz mi tylko, dlaczego nigdzie was nie chcą? Trochę tego nie rozumiem.

– Prawdę mówiąc, ja też...

– Znów coś przeskrobaliście?

– Można tak powiedzieć.

Na moment przymknęłam oczy.

– Po prostu pensjonarka, u której zamieszkaliśmy, zrobiła nam złą opinię i nikt nie chce nas przez to przyjąć – zaczęła wyjaśniać Kasia.

– Tak bez powodu? – nie mieściło mi się to w głowie.

– Na moje oko tak, ale ona twierdzi inaczej.

– Więc o co wam poszło?

– Podobno goście skarżyli jej się wczoraj, że nie dawaliśmy im z Tomkiem spać, bo byliśmy za głośno.

– A byliście?

– Być może. Nie pamiętam.

– Jak to nie pamiętasz? Piliście? Zrobiliście imprezę po alkoholu? – W mojej głowie pojawiły się kolejne czarne wizje.

– Jaką imprezę, Zuzka?! – natychmiast je przystopowała. – Po prostu... Po prostu dokończyliśmy w pokoju to, co zaczęliśmy na ławce w parku, i trochę nas poniosło...

– Nic więcej nie mów – gwałtownie wpadłam jej w słowo. – Nie chcę tego słuchać.

– Ale dlaczego? – głośno się roześmiała.

– Bo mimo to, że jesteś dorosła, traktuję cię prawie jak córkę i mam do ciebie matczyne stosunek. Rewelacje związane ze swoim życiem intymnym powinnaś zachować dla siebie.

– Aaa, kumam. Trzeba było od razu powiedzieć, że jesteś zgorszona.

– Nie jestem zgorszona!

– Wiem, staruszek, wiem – znowu parsknęła śmiechem. – To co, pogadasz z Ludwikiem, żeby po nas wyjechał?

– Przecież powiedziałam, że porozmawiam.

– Jesteś kochana. Napiszę ci SMS, o której dokładnie będziemy.

– Okej. W takim razie do zobaczenia. Zostawię wam jakieś jedzenie w lodówce, pewnie będziecie głodni po podróży.

– Dziękuję – w głosie Kasi dało się słyszeć wdzięczność. – Zuzka? – zapytała jeszcze.

– Tak?

– Nie jesteś na mnie zła?

– Za co miałabym być?

– No wiesz, za to, że nas wyrzucili i znów zwałam ci się na głowę. Może próbowałaś ode mnie odpocząć albo coś. Nie chciałabym być kulą u nogi.

– Nie gadaj bzdur. – Uśmiechnęłam się sama do siebie. – Przecież wiesz, że możesz się czuć u nas jak w domu. Wszyscy tu na ciebie czekamy. A zwłaszcza Marcel – zapewniłam i nim się pożegnałyśmy, opowiedziałam Kasi, że mimowolnie została kandydatką na żonę mojego dziecka.

Ta roześmiała się głośno.

– Na szczęście kupiłam dla niego poduszkę przypominającą owieczkę i kubek. Mam nadzieję, że zrekompensuję mu tym swoją nieobecność – powiedziała wyraźnie rozbawiona, po czym w końcu się pożegnałyśmy.

Mimo że wyjazd jej się nie udał, ucieszyłam się, że do nas wraca. Odkąd tylko u nas zamieszkała, stała się częścią naszej rodziny. Bez niej w domu było

stanowczo za cicho i pusto. Choć trudno mi to przyznać, muszę stwierdzić, że brakowało mi nawet tego jej słuchania ciężkiego rocka i metalu. A moja mama bez Kasi zachowywała się dziwnie. Była jakaś taka skryta w sobie oraz nieswoja.

Odłożyłam telefon i zeskoczyłam z barowego stołka, po czym wróciłam do sprzątanania kuchni.

Zdecydowanie dobrze się stało, że Kasia z Tomkiem wracają. Szkoda tylko, że doszło do tego w takich wstydliwych okolicznościach i atmosferze skandalu. Oby tylko na Harendzie nie było w tym czasie nikogo znajomego. Miałam wystarczająco wiele swoich problemów i wołałam nie musieć znosić jeszcze plotek spragnionych pikanterii sąsiadów. Chociaż niektórzy z nich, trzeba przyznać, wyłamywali się ze stereotypów i byli nad podziw mili. Taka na przykład pani Cela. Dzięki otrzymanym od niej jagodom nasz garaż wypełniły pyszne dzemy.

Rozdział 9

Następnego ranka obudziłam się z myślą, że oto nadszedł dzień, który wywróci moje życie do góry nogami. Albo wyjdzie na jaw, że Ludwik ma romans, albo całe to zamieszanie w końcu się wyjaśni. Bo chociaż wczoraj straciłam nadzieję na wierność mojego męża, kładąc się wieczorem do łóżka, żarliwie modliłam się o to, by jednak wydarzył się jakiś cud. Marcel potrzebował ojca, a ja odwykłam od życia w samotności.

Tak, wiem. Tonący brzytwy się chwyta. Ale może jednak Bóg mnie wysłucha?

Kiedy więc rano otworzyłam oczy i zobaczyłam śpiącego obok Ludwika, dziesięć razy powtórzyłam sobie w myślach, że muszę być silna. Dla mnie, dla naszego małżeństwa i dziecka. Pełna energii wysunęłam się spod kołdry, po czym wyciągnęłam z szafy czyste ubrania i poszłam do łazienki. Uwinęłam się z poranną toaletą w dziesięć minut, a potem pierwszy raz od dawna zrobiłam makijaż. I to nie było jakie. Jeżeli mam stanąć oko w oko z Blond Złotkiem, muszę przecież jakoś wyglądać. Nie zamierzałam dać tej złodziejskiej zdzirze nawet cienia satysfakcji, że w czymkolwiek może być lepsza ode mnie. (Chociaż niestety na pamiętnym zdjęciu wyglądała jak milion dolarów, a ja nadal nie odbiegałam wizerunkiem od przeciętnej matki Polki z podkrążonymi oczami).

Gdy w końcu doprowadziłam swoją twarz i włosy do porządku, wyszłam z łazienki. Marcel i reszta domowników jeszcze spali. Ludwik przed świtem pojechał po Kasię i Tomka do miasteczka. Gdy ich przywiózł, byli tak zmęczeni po

podróży, że od razu rzucili się do łóżek. Ludwik też poszedł spać. Teraz wszyscy oni przekręcali się na drugi bok, a ja mogłam bezkarnie napawać się ciszą i spokojem. Zrobiłam sobie kawę i kanapki. Potem usiadłam na jednym z barowych stołków. Jednak nie dane mi było nawet zacząć jeść śniadania, bo gdy tylko uniosłam kanapkę do ust, zadzwoniła Beatka.

– Halo? – rozległ się w słuchawce jej ściszony głos, gdy odebrałam.

– Cześć – odpowiedziałam spokojnie.

– Gdzie jesteś? – zapytała, nim zdołałam powiedzieć coś więcej.

– W kuchni. Właśnie miałam jeść śniadanie.

– Dopiero? – pisnęła niezadowolona.

– No tak. Raptem chwilę temu wstałam.

– Zuzka, ty śpiochu! – warknęła na mnie.

– No co? W końcu są wakacje. Cieszę się tym, że nie muszę się zrywać bladym świtem.

– A ja wstałam dziś o czwartej i już od kilkadziesiąt minut czatuję pod twoim domem.

– Co? – Zrobiłam wielkie oczy, po czym zeskoczyłam ze stołka i odsłaniając wiszącą w oknie firankę, wyjrzałam na podjazd. – Ale jak to jesteś pod moim domem, skoro cię nie ma? – mruknęłam, nie widząc przed bramą żadnego samochodu.

– Bo ja nie jestem taka głupia, kochana. Zaparkowałam za zakrętem. Wiesz, przy tej drodze, która prowadzi do Sosenek.

– Ale dlaczego zaparkowałaś tak daleko? Przecież mogłaś podjechać, otworzyłabym ci bramę.

– Nie mogłam!

– Nadal nie rozumiem dlaczego.

– Dla dobra śledztwa, Zuzka, obudź się wreszcie. Dziś zaczynamy śledzić Ludwika, rozpoczynamy czas konspiracji – mruknęła, niepokieszona moją ignorancją.

– Aaa – nagle jej poprzednie słowa złożyły mi się w całość. – Wybacz, chyba ta wczesna pora nieco przyćmiła moją zdolność logicznego myślenia.

– Nie szkodzi.

– To gdzie dokładnie jesteś?

– Zaparkowałam w tych krzakach przy drodze. Ale nie martw się, wzięłam lornetkę.

– Lornetkę? – Oczyma wyobraźni ujrzałam siedzącą za kierownicą Beatę, która bacznie obserwuje nasz podjazd.

– Moja wada wzroku ostatnio się pogarsza i niedowidzę. Wołałam dmuchać na zimne.

– Rozumiem. – Pokiwałam głową. – To co, pewnie nie wpadniesz na

herbatę?

– Lepiej nie, to by było podejrzone. Nie możemy zdradzać naszych zamiarów – rzuciła pewnie, choć śmiała się z tym nie zgodzić.

Beata w naszej kuchni była widokiem raczej naturalnym. Podczas roku szkolnego wpadała do mnie dwa-trzy razy w tygodniu, a może i częściej. Nie chciałam jednak teraz z nią o tym dyskutować.

– No to co robimy? – zapytałam, wracając na poprzednie miejsce, i popatrzyłam na swoje śniadanie. Byłam coraz bardziej głodna, a przez to, że jedną rękę miałam w gipsie, nie mogłam jeść, gdy trzymałam przy uchu telefon.

– Jak to co? Bierz torebkę i przychodź. Poczekamy tu na Ludwika, a potem pojedziemy za nim.

– Ale teraz? Już? – jęknęłam, nie odrywając wzroku od swoich apetycznych kanapeczek.

– A na co ty chcesz czekać? Aż to Blond Złotko samo zapuka do twoich drzwi?

– Nie, no oczywiście, że nie.

– To zbieraj się i przychodź. A! I wiesz co? Jak możesz, to weź mi w termos trochę kawy, co? Przez ten pośpiech nie zdążyłam jej rano wypić i teraz siedzę tu z oczami na zapalki.

– Jasne, nie ma sprawy.

– I jakieś kanapki też, jeżeli to nie problem. Trochę zgłodniałam. Do zobaczenia – szepnęła wyjątkowo cicho, po czym się rozłączyła.

Ja natomiast westchnęłam z rezygnacją, patrząc na przygotowany przed chwilą talerz pyszności. No cóż, nie mam wyjścia. Zrobię drugi taki sam i zjem śniadanie w samochodzie Beaty.

Nie chcąc tracić czasu, pospiesznie przygotowałam jedzenie (na wszelki wypadek zrobiłam też kilka kanapek na obiad), po czym upchnęłam je do plastikowego pojemnika. Wsunęłam go do lnianej torby, do której dorzuciłam jeszcze butelkę wody, dwa czekoladowe batoniki i kubek termiczny z kawą, który kupiłam sobie na wycieczkę tamtej zimy. Następnie wyciągnęłam z torebki kolorową karteczkę, nabazgroliłam na niej, że wychodzę, nie wiem, kiedy wrócę, i jeżeli Ludwik chce wyjść, to ma zaprowadzić Marcela do Anki. Nakleiłam ją w widocznym miejscu na stole.

– No – mruknęłam z zadowoleniem sama do siebie. – Teraz mogę iść. – Chwyciłam leżące na blacie torby i wyszłam z domu.

Nim jednak ruszyłam w stronę Beaty, rozejrzałam się dookoła.

– Pusto – szepnęłam, nie dostrzegając w zasięgu wzroku żywego ducha, i dopiero wtedy pobiegłam w stronę furki. Sprawnie pokonałam drogę do zakrętu.

Samochód Darka, męża Beaty, stał zaparkowany w gęstych zaroślach, tak jak mówiła.

- Cześć – rzuciłam do niej, wsiadając do środka.
- W końcu jesteś. – Uśmiechnęła się na mój widok. Miała na sobie ciemnozielone krótkie spodenki, czarną bluzkę, a na nosie okulary przeciwsłoneczne.
- Naprawdę się przyłożyłaś, jeżeli chodzi o kamuflaż – pochwaliłam ją i podałam jej torbę z jedzeniem. – Proszę. Zrobiłam ci kanapki i kawę. Tak jak prosiłaś.
- Jesteś najlepsza. – Wyciągnęła pudełko, gdy ja zamykałam za sobą drzwi.
- Nie wiedziałam, że od siedzenia też można zgłodnieć. Co dobrego zrobiłaś?
- Kanapki z serem, szynką i warzywami. Nie miałam zbyt wiele czasu.
- Brzmi dobrze. – Beata otworzyła w końcu pudełko. – Sporo tego – stwierdziła na widok ilości jedzenia, jaką do niego upchnęłam.
- Pomyślałam, że za kilka godzin znów zrobimy się głodne i wolałam się przygotować.
- Doceniam. – Beata wyciągnęła z pojemnika jedną z kanapek i zaczęła jeść.
- Chcesz też? – Uniosła go do góry.
- Tak. – Wzięłam od niej pudełko i poszłam w jej ślady. – Przez ten pośpiech nie zdążyłam zjeść śniadania.
- Przez następne kilka chwil jadłyśmy, rozmawiając o tym, że powinnyśmy przejść na dietę. I unikać jedzenia masła jak ognia. Białego pieczywa zresztą też. A najlepiej to w ogóle ograniczyć posiłki do picia wody i jedzenia sałaty.
- No dobra. – Gdy w pudełku nie pozostało zbyt wiele, otarłam usta dłonią. – To co teraz? – Popatrzyłam na Beatę z nadzieją.
- Cóż. – Przełknęła ostatni kęs kanapki. – Teraz to chyba będziemy czekać.
- Czekać? Nie znoszę tego. – Z rezygnacją odchyliłam głowę do tyłu.
- Ja też. I tak sobie myślę, że źle to nasze śledztwo rozplanowałyśmy.
- Jak to źle? – Popatrzyłam na nią z niepokojem.
- No bo najpierw mogłyśmy się dowiedzieć, o której i do kogo Ludwik dziś wychodzi, i dopiero wtedy ukryć się tu, zamiast tracić od razu cały dzień.
- Co racja, to racja. – Pokiwałam głową. – Ale wydaje mi się, że za wiele byśmy się nie dowiedziały.
- Nie?
- No przecież on nie jest taki głupi, Beatka. – Wywróciłam oczami. – Myślisz, że gdybym zapytała, dokąd i o której wychodzi, to zdradziłby mi, że jedzie do kochanki? I jeszcze może podał adres oraz dokładną godzinę?
- Też prawda.
- Nie mamy wyjścia, musimy czekać. – Popatrzyłam przed siebie. Na przedniej szybie samochodu usiadły właśnie dwie wielkie muchy.
- Ciekawe tylko, ile nam to zajmie.
- A co, spieszysz się?

– Nie bardzo. Odkąd Izka wyjechała odpoczywać, snuję się po domu bez życia. Darek ciągle jest w pracy, więc w sumie to śledztwo spadło mi z nieba. Inaczej musiałabym zacząć chyba gadać sama do siebie, żeby nie popaść w depresję. Ty to masz dobrze. – Spojrzała na mnie z błyskiem zazdrości w oczach. – Zawsze u ciebie pełno ludzi w domu.

– I kiedy chcę z tobą pogadać w cztery oczy, muszę uciekać za stodołę mojej siostry – przypomniałam jej. – Każdy medal ma dwie strony.

– Może i tak – mruknęła, po czym przyłożyła lornetkę do oczu.

– Co widzisz? – Nachyliłam się do niej.

– W sumie to nic. – Wzruszyła ramionami. – To gówno chyba nie działa.

– Nie działa? Jak to możliwe?

– Nie wiem, ale sama zobacz. – Podała mi lornetkę. – Obraz się rozmazuje.

Posłusznie popatrzyłam przez powiększające szkiełka.

– Rzeczywiście jakoś słabo przez nią widać. – Odsunęłam lornetkę od oczu i popatrzyłam na szkiełka. Zamiast ostrego obrazu widać było jedynie kolorowe plamy. – Może są brudne?

– Na początku też tak myślałam, ale potem wytarłam je nawilżoną chusteczką do czyszczenia okularów i nadal nic.

– No to ja nie wiem. – Oddałam jej sprzęt do ręki. – Będziemy musiały jakoś poradzić sobie bez niej. – Wchyliłam się do przodu. – W sumie nie jest tak źle. Całkiem dobrze widać mój podjazd.

– O to, to ja się nie martwię. Bardziej niepokoi mnie fakt, że jeszcze wczoraj to ustrojstwo działało. Darek mnie zabije, jak się okaże, że mu ją zepsułam. – Beata popatrzyła na lornetkę.

– Dlaczego miałby cię za to zabijać?

– Bo to jakiś wypasiony sprzęt jego kumpla, który jest ornitologiem. Podobno niebotycznie drogi. I profesjonalny.

– Cholerka, rzeczywiście niedobrze.

– No! – Beata pokręciła głową. – Lepiej ją na razie schowajmy. Nawet nie chcę myśleć o tym, co będzie, jak wrócę do domu.

– Ale może coś się tylko rozregulowało? Co prawda nie znam się na ornitologii, ale widziałam kiedyś lunetę. Tam też są różne pokręta.

– Być może. – Beata odwróciła się do tyłu i położyła lornetkę na tylne siedzenie. – Ale wolę nie ryzykować. Niech sobie tam leży, później pomyślę, co z nią zrobić. – Wróciła do poprzedniej pozycji.

Przez kilka chwil siedziałyśmy w milczeniu, wsłuchując się jedynie w ćwierkanie urzędujących w krzaczorach ptaków.

– Może włączymy radio? – zaproponowałam w końcu, mając dość ciszy.

– Dlaczego nie. – Beata posłusznie przekręciła kluczyk w stacyjce i włączyła radio. Z głośników popłynęła energiczna piosenka jednej ze znanych piosenek.

– Może być?

– Wszystko jest lepsze od ciszy – rzuciłam, po czym znów zaczęłyśmy intensywnie wpatrywać się w majaczący za gałęziami podjazd.

Trwałyśmy tak ponad czterdzieści minut, nim zgodnie uznałyśmy, że mamy dość.

– Już koło jedenastej. – Beata popatrzyła na zegarek. – Istnieje szansa, że twój mąż chociaż wstał z łóżka?

– Mam nadzieję, że tak – mruknęłam, wierząc się na fotelu. – Następnym razem powinnyśmy zabrać jakieś książki dla zabicia czasu. Widziałam ostatnio w pokoju u Kasi dobrze zapowiadający się romans.

– Jak chcesz coś poczytać, to w schowku jest gazeta.

– O, super! – szczerze się ucieszyłam. Naprawdę miałam już dość beczynośności. – „Bądź fit” – przeczytałam tytuł pisma. – Czytasz takie gazety?

– Iza kupiła jakiś czas temu. Odkąd poszła na studia, ma bzika na punkcie zdrowego jedzenia i ćwiczeń.

– To dlaczego wozisz to w aucie? – Otworzyłam gazetę na spisie treści.

– Musiałam gdzieś schować to diabelstwo przed moim mężem.

– I upchnęłaś je do schowka w jego samochodzie?

– Najciemniej pod latarnią.

Roześmiałam się głośno. No była w tym jakaś logika, trzeba przyznać.

– Ale czekaj, dlaczego musiałaś chować tę gazetę przed Darkiem? Tylko mi nie mów, że zaczął się nagle pasjonować zdrowym jedzeniem. Myślałam, że takie pisma czytają jedynie kobiety.

– A gdzie! On i dieta? Proszę cię. Jemu bardzo się podoba dział o tym, jak powinno się ćwiczyć, żeby schudnąć. – Beata wzięła ode mnie gazetę, po czym przewróciła kilka stron dalej.

Każda z nich przedstawia półnągą blondynkę robiącą rozkroki, wyprosty i skłony.

– Aaa – wymamrotałam, patrząc na jej umięśniony brzuch, zgrabne uda i krągłe piersi.

– Czytał o tych ćwiczeniach zawzięcie po kilka razy dziennie, aż nie wytrzymałam.

– W życiu bym nie pomyślała, że Darka tak ciągnie do sportu – parsknęłam śmiechem, przechodząc na kolejną stronę. Tym razem wysportowana blondynka robiła przysiad, rozchylając przy tym swoje opalone uda.

– Dość tego. – Beata ze złością wyrwała mi pismo. – Musimy zostać przy słuchaniu radia, bo kiedy patrzę na te zdjęcia, nadal się we mnie gotuje. Już wolałam, jak ten mój stary koń namiętnie oglądał samochody. – Wepchnęła gazetę z powrotem do schowka. – Wczoraj, na wszelki wypadek, wykupiłam z kiosku wszystkie najnowsze numery magazynów o motoryzacji i porozkładałam je

w domu, bo gdy zorientował się, że „Bądź fit” zniknęła, stwierdził, że nie ma co czytać i chciał lecieć po następny szmatławiec rzekomo o zdrowym jedzeniu.

– Więc jednak mężczyźni nie dorastają, tylko się starzeją – mruknęłam, myśląc o Ludwiku. – Ale pociesz się myślą, że twój mąż tylko ogląda piękne blondynki w gazetach. Natomiast na tę chwilę wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazują, że Ludwik nie tylko na nie patrzy, ale i dotyka – do mojego głosu wdarło się rozżalenie. – Chyba muszę wyjść rozprostować nogi – rzuciłam, nie chcąc się rozkliwiać. – Zaraz szlag mnie trafi od tego siedzenia.

– Co racja, to racja. – Beata otworzyła swoje drzwi. – Ja też nie przywykłam do tak długiego siedzenia w miejscu – mruknęłam, po czym obie wyszłyśmy na świeże powietrze. – Ładnie tutaj. – Rozejrzała się dookoła. – Niby bywam w Jaszczurkach codziennie, a nigdy jeszcze nie stałam w tych krzakach.

– I bardzo dobrze. Nie chcesz wiedzieć, jakie rzeczy dzieją się tutaj wieczorami – mruknęłam, wskazując na puste opakowanie po prezerwatywach i kilka potłuczonych butelek po piwie.

– Faj. – Beata zrobiła pełną obrzydzenia minę.

– To ulubione miejsce nastolatków ze wsi.

– Niezbyt tu romantycznie – prychnęła.

– Może gdybyśmy miały kilkanaście lat mniej, wydawałoby się nam inaczej.

– Zrobiłam kilka kroków, żeby rozruszać stawy.

Beata poszła w moje ślady i następne kilkadziesiąt minut spędziłyśmy na snuciu się bez celu między drzewami. O trzynastej nastąpiło w końcu nieznaczne poruszenie na moim podwórku, które nie umknęło naszej uwadze.

– To Ludwik? – Beata nachyliła się do mnie konspiracyjnie.

Przyjrzałam się dokładniej postaci przemierzającej się po podjeździe.

– Tak, to on. – Rozpoznałam jego kraciaste gacie.

– Jedzie gdzieś?

– Chyba tak. Otwiera garaż. Tylko dlaczego nie zaprowadził Marcela do Anki, tak jak prosiłam?

– Skąd mam to wiedzieć? – Beata wyprostowała plecy i zrobiła dwa kroki w tył.

– Dokąd idziesz? – Spojrzałam na nią zaskoczona.

– No jak to dokąd? Wsiadamy do auta i za nim jedziemy. – Machnęła do mnie ręką.

Posłusznie zrobiłam to, co kazała.

– Wyjeżdżamy stąd? – Spojrzałam na nią, gdy ulokowała się za kierownicą.

– Jeszcze nie. Poczekajmy chwilę i zobaczymy, w którą stronę wycofa. Musimy być dyskretne. – Wsunęła na nos czarne okulary, przez co naprawdę wyglądała jak tajny agent.

– No tak – przyznałam jej rację i ściszyłam radio.

Po chwili Ludwik wyjechał w końcu na ulicę.

– Jedzie w stronę Sosenek. – Zapięłam pas. – Za nim!

Beata wcisnęła sprzęgło, wrzuciła wsteczny i przekręciła kluczyk. Jednak samochód zamiast ruszyć, zawarczał tylko głośno i zgasł.

– Co jest? – Beata popatrzyła na mnie zdziwiona.

– A bo ja wiem? Spróbuj jeszcze raz – poleciłam.

Beata wzięła głęboki wdech i powtórzyła wszystkie te czynności. Tym razem samochód też wydał z siebie jedynie głośne warknięcie, zamiast zapalić.

– Cholera! – Beata z wściekłością uderzyła w kierownicę.

– Co jest?

– Akumulator! – jęknęła boleśnie. – Darek mówił mi kilka dni temu, żebym nie słuchała radia, gdy nie prowadzę, bo musi go podładować. Na śmierć o tym zapomniałam.

– No to pięknie! – rzuciłam, po czym gwałtownie otworzyłam drzwi. Zrozpaczona wybiegłam na ulicę i odprowadziłam wzrokiem samochód Ludwika aż do majaczącego w oddali zakrętu.

– No i pojechał, cholera jasna! – zakląłam pod nosem niepokieszona i kopnęłam leżący na asfalcie kamień. – Cały dzień zmarnowany! – krzyknęłam ze złością.

Beata też wysiadła z samochodu.

– Dokąd idziesz? – rzuciła do mnie, gdy odwróciłam się na pięcie i skierowałam ku głównej drodze.

– Jak to dokąd? – Poślałam jej przelotne spojrzenie. – Do sąsiada. Ktoś musi przecież naładować ci akumulator, a Ludwik, jak widzisz, jest nieuchwytny – odpowiedziałam niezbyt miłym tonem.

Na szczęście pan Kazio był w domu i nie odmówił pomocy dwóm bezmyślnym ofiarom losu.

Rozdział 10

Rozstałyśmy się z Beatą dopiero około szesnastej, bo ładowanie akumulatora w samochodzie jej męża nieco potrwało. Na szczęście Kasia wróciła z gór pełna energii do zajmowania się moim dzieckiem, więc mogłam spokojnie usiąść w kuchni i poużalać się nad tym, jaka to jestem nieszczęśliwa. Bo o tym, co wyczynia w tym momencie Ludwik, wolałam nawet nie myśleć.

Siedziałam więc w kuchni, topiąc swoje smutki w filiżance herbaty i wmawiając sobie, że jutro będzie lepiej, gdy zupełnie niespodziewanie zjawiała się moja siostra.

– Dobrze, że jesteś! – rzuciła na mój widok.

– Tak się składa, że powinnam być teraz zupełnie gdzie indziej – mruknęłam rozgoryczona, nadal bolejąc nad tym, że zgubiłyśmy z Beatką Ludwika.

Ania popatrzyła na mnie ze zdziwieniem, ale szybko machnęła na mój podejrzaną nastrój ręką.

– Nie czas teraz na rozmowy o niczym – rzuciła energicznie. – Zbieraj się.

– Po pierwsze, niewierność mojego męża nie jest „niczym”, ale bardzo istotnym tematem, a po drugie, nigdzie nie idę. Dość mam rozrywek na dziś. – Nawet na nią nie popatrzyłam.

– A właśnie że idziesz. – Była nieugięta. – Musisz mi pomóc. I to natychmiast.

– W czym?

– Jak to w czym? Przecież napisałam ci rano SMS. Odczytałaś go chociaż?

– Nawet nie wiem, gdzie jest mój telefon – bąknęłam apatycznie. W tym zamieszaniu musiałam go gdzieś cisnąć.

– Zuzka, na litość boską! – Anka w końcu nie wytrzymała. – Przestań się mazać i chodź. Justyna czeka u mnie w kuchni, trzeba ją porządnie przesłuchać.

Boże, a ta znów o tym swoim poronionym pomysle szukania żony dla Teodora.

– Dasz radę zrobić to sama. Naprawdę nie jestem dziś w nastroju, mam kiepski humor – upiłam łyk gorącej herbaty i dla potwierdzenia swoich słów pociągnęłam nosem.

– Świetnie! W takim razie przyprowadzę ją do ciebie. – Ania przestała być miła. – I to w pakiecie z mamusią, bo wątpię, żeby chciała opuścić takie wydarzenie. Zwłaszcza, że gości teraz Justynę w kuchni. Ale może to i lepiej. Justyna od razu pozna Teodora, nie będzie trzeba ściągać jej tutaj drugi raz – ogłosiła energicznie, po czym ruszyła w stronę wyjściowych drzwi.

Nie wiadomo dlaczego, gdy usłyszałam jej ostatnie słowa, poczułam delikatne ukłucie zazdrości.

– Czekaj! – krzyknęłam za nią.

Zatrzymała się i odwróciła na pięcie.

– Dobrze, już dobrze, pójdę z tobą. Nie musisz od razu robić mi tutaj awantury. – Ześliznęłam się z barowego stołka, po czym podążyłam za nią aż do jej kuchni.

– To właśnie moja druga córka, Zuzanna – zaanonsowała mnie mamusia natychmiast, gdy tylko przekroczyłam próg.

– Cześć mamo – rzuciłam, nawet na nią nie patrząc. Mój wzrok przykuła bowiem od razu postać znajdującej się obok niej kobiety.

Justyna była szczupłą i wysoką blondynką. Siedziała za stołem, uśmiechając się do mojej mamusi, i co rusz podnosiła do ust kubek z kawą. Miała smukłe dłonie, długie, pomalowane na fioletowo paznokcie i pełne usta. Budziła sympatię, choć wydawała się być spięta. Już w pierwszej chwili uderzyła mnie też jej nadmierna pewność siebie. Wyprostowane plecy i idealny makijaż sprawiały, że czułam dystans do jej osoby. Teodor natomiast był człowiekiem ciepłym, zgarbionym i otwartym.

Ubrana była w czarne, obcisłe spodnie i białą marynarkę w podłużne paski. Założyła do tego cytrynowe szpilki na wysokim obcasie oraz białe, okrągłe kolczyki. Wszystko to wyglądało na obłędnie drogie, a nie kupowane na wiejskim bazarku, jak ubrania, które dziś włożyłam. Jeżeli miałabym ocenić ją po wyglądzie, to z pewnością nie wydawała się być kandydatką na żonę Teodora. Za sztywna, pomyślałam, ale uśmiechnęłam się, gdy popatrzyła w moją stronę.

– Dzień dobry – zmusiłam się do bycia miłą, choć nadal byłam w nie najlepszym humorze.

– Dzień dobry – odpowiedziała i wstała, żeby podać mi rękę. – Justyna Grabowska – przedstawiła się zwięźle.

– Zuzanna. – Uścisnęłam jej dłoń, choć zupełnie nie spodziewałam się, że to spotkanie przybierze sztywny, biznesowy charakter.

– Napijesz się czegoś Zuzka? – zapytała mnie Anka, chyba po to, by nieco rozluźnić atmosferę.

– Nie, dzięki. Dopiero co wypiałam herbatę. Przejdźmy do rzeczy. – Nie byłam w nastroju na ceregiele i usiadłam za stołem naprzeciwko Justyny.

Ania mruknęła coś pod nosem, ale poszła w moje ślady.

– No to od czego zaczniemy? – Popatrzyłam na nią, opierając zdrowy łokieć na stole.

– Chciałabym, żeby to była luźna rozmowa – odpowiedziała mi surowym spojrzeniem. – I żeby przebiegała w przyjaznej atmosferze.

– Oczywiście. – Wyszczrzyłam zęby, chociaż wcale nie zamierzałam być przyjazna. Nie, gdy mój mąż obściskował się właśnie z Blond Złotkiem, a ta tutaj zadzierała nosa, działając mi tym na nerwy.

– No dobrze, Justyno, więc może po prostu opowiedz nam coś o sobie. – Ania wyczuła chyba moją niechęć, bo odwróciła się do nieznajomej.

– Dobrze. – Justyna złożyła dłonie na stole. – Jestem farmaceutką. Pracuję w jednej z aptek w miasteczku.

Nuda, cisnęło mi się na usta, ale nie odważyłam się powiedzieć tego na głos. Teodor na pewno nie chciałby się spotykać z kobietą, która spędza większość swojego życia, robiąc coś tak monotonnego, jak wydawanie leków. Wolał kobiety z pasją, które mają w sobie nieco szaleństwa. Na przykład nauczycielkę.

– Ile ma pani lat?

– Dwadzieścia sześć.

I w dodatku za młoda. Chociaż Teodor był w moim wieku, z pewnością nie chciałby związać się z dwa lata młodszą gówniarą. Myślę, że potrzebował dojrzałej kobiety. Pomimo stereotypu, że mężczyźni wolą młodsze. On nie był tego typu facetem.

– Więc dopiero skończyła pani studia? – zapytałam, by nie siedzieć cicho.

– Rok temu.

– Jakoś późno – wyrwało mi się, nim zdołałam ugryźć się w język.

Ania obrzuciła mnie za to kolejnym surowym spojrzeniem.

– Zaczęłam studia rok po maturze – wyjaśniła Justyna.

– Dlaczego?

– Zuzka! – Po mojej prawej stronie rozległo się ciche syknięcie.

– Nie, nie szkodzi. – Justyna wygładziła swoje włosy. – Musiałam poprawiać maturę. Za pierwszym razem nie dostałam się na studia.

– Gdzie pani studiowała?

- W Bydgoszczy.
- Rozumiem. – Zastukałam paznokciem w stół. – Dlaczego wybrała pani akurat ten kierunek?
- Zawsze dobrze się czułam w przedmiotach ścisłych. Moja mama też pracuje w aptece.
- Obiło mi się o uszy, że ludzie, którzy wolą takie przedmioty, pochodzą z rodzin, w których nie było ciepła i miłości.
- Naprawdę? – wtrąciła się do rozmowy siedząca do tej pory cicho mama. Anka tymczasem kopnęła mnie pod stołem.
- Nic mi nie wiadomo o takich badaniach. – Justyna jeszcze bardziej wyprostowała plecy.
- Więc w pani domu rodzinnym wszystko było okej?
- Jak najbardziej. Mam kochających rodziców.
- Nie musisz odpowiadać na tak osobiste pytania – odezwała się Ania.
- W porządku, to nic takiego.
- Zuzka nie powinna cię pytać o prywatne sfery życia. Nie chcemy, żebyś poczuła się tu jak na przesłuchaniu albo spowiedzi. Może opowiedz nam lepiej, co lubisz robić, jakie masz hobby... Po prostu pogadajmy o czymś przyjemnym.
- W wolnym czasie gram w golfa i jeżdżę konno.
- Pokręciłam głową, jeszcze bardziej utwierdzając się w tym, że ta kobieta jest dla Teodora stanowczo za sztywna. Zdecydowanie potrzebował więcej szaleństwa, niż ta tutaj mogła mu dać. Golf? No proszę was. Ziewam.
- O, to brzmi bardzo ciekawie! – podekscytowała się Ania.
- Doprawdy? – nie mogłam darować sobie szczypty złośliwości.
- Oczywiście. Jeździectwo musi być bardzo ciekawe.
- Nie sądzę.
- A siedziałaś kiedyś w siodle? – Ania nie pozostała mi dłużna.
- Jeździłam na kucyku i to żadna frajda. A ty?
- W dzieciństwie też się tak kłóciły. – Mama nachyliła się do Justyny. – Najczęściej o zabawki.
- Dobra, nie wygłupiajmy się. – Najwidoczniej pod wpływem jej słów Ania postanowiła przerwać naszą wymianę zdań. – Umiesz gotować? – zwróciła się do Justyny.
- Jestem wielką fanką kuchni śródziemnomorskiej.
- Teodor nie przepada za owocami morza. Jest patriotą w każdym calu, lubi polskie jedzenie. Na przykład schabowe – wtrąciłam.
- Jestem gotowa iść na kompromis. Też lubię czasem zjeść zwykły, domowy obiad.
- Jak często?
- Co jak często? – Anka znów odwróciła się do mnie.

– Jak często jada domowe obiady. Teodor z pewnością nie chciałby chodzić głodny.

– Staram się jeść gorący posiłek każdego dnia – wtrąciła Justyna, nim Ania rzuciła jakiś nieprzyjemny komentarz w moim kierunku.

– Dlaczego zgodziła się pani dziś z nami porozmawiać? – zmieniłam temat.
– Nie uważa pani, że szukanie mężczyzny w sposób taki, jak ten, to akt desperacji?

– Jak każda kobieta nie przepadam za samotnością. Uważam, że każdy sposób, by kogoś poznać, jest dobry, a ostatnio, z powodu pracy, nie mam zbyt wiele czasu na życie towarzyskie. Przez ostatni miesiąc pracuję na nocne zmiany, to utrudnia poznanie kogokolwiek. Ania mówiła mi, że Teodor jest bardzo porządnym facetem.

– Jeśli nie liczyć tego, że lubuje się w uciekaniu sprzed ołtarza...

– A może opowiesz nam o tym, za co najbardziej lubisz swoją pracę? – wtrąciła się Ania.

– Poczekaj, jeszcze nie skończyłam. – Dotknęłam jej ręki, po czym ponownie zwróciłam się do Justyny: – A związki?

– Nie rozumiem.

– Czy często bywa pani w związkach damsko-męskich – wyjaśniłam.

– Do tej pory „na poważnie” spotykałam się z dwoma mężczyznami. Jeden był moją pierwszą miłością, a drugiego poznałam na studiach. Od półtora roku jestem jednak sama.

– Jak długo ze sobą byliście?

– Z pierwszym dwa lata, a z drugim trochę ponad rok.

– Dlaczego wam nie wychodziło? – Nie zamierzałam jej oszczędzać.

– Och, chyba po prostu po pewnym czasie znajomości przestawaliśmy się dogadywać.

– Więc nie rozstawaliście się z jakichś konkretnych powodów? Zdrada, kłamstwa, bezpłodność...

– Zuzka, na litość boską! – Ania nie wytrzymała i uniosła głos. – Czy te informacje naprawdę są ci do czegokolwiek potrzebne? Może od razu poprosimy o listę chorób przewlekłych, na które chorują członkowie jej rodziny, i wyliczymy prawdopodobieństwo, na co mogą cierpieć jej potencjalne dzieci?

– Pytam, bo Teodor chciałby być ojcem – rzuciłam od niechcenia. – A pani? Planuje pani zająć w ciążę?

– Chciałabym kiedyś mieć dziecko, ale nie nazwałabym tego planowaniem. To raczej ewentualność. Dopuszczam możliwość zostania matką, jednak to nie jest mój największy życiowy cel.

– Jedno dziecko? – Popatrzyłam jej w oczy.

– Tak. Nie marzę o rodzinie wielodzietnej. Cenię sobie ciszę i spokój.

– Och, to zupełnie inaczej niż Teodor. On chciałby mieć co najmniej trójkę.

Jest raczej zwolennikiem chaosu. Czy Ania mówiła pani, że służył w wojsku?

– Wspominała o tym.

Ania otworzyła usta, by ponownie przywołać nas do pionu, ale nim zdołała to zrobić, odezwała się mamusia.

– Przepraszam, że się wtrącam – powiedziała cichym głosem. – Ale zainteresował mnie temat tych chorób przewlekłych. – Pochyliła się w stronę Justyny. – Czy mogłaby powiedzieć pani o nich coś więcej?

Kobieta popatrzyła na mamę zdziwiona, po czym przeniosła wzrok na Ankę. Odniosłam wrażenie, że nie dowierza w to, co słyszy. Przypominała nieco przerażoną łanię, która boi się, że wpadnie w sidła.

– Mamusia tylko żartuje. – Ania nerwowo machnęła ręką.

– Wcale nie, obciążenia genetyczne w rodzinie to ważna rzecz. Nawet bardzo ważna. Taka na przykład cukrzyca. Wie pani, jak to choróbsko utrudnia mi życie?

– Albo Alzheimer. – Pokiwałam głową.

Ania gwałtownie zerwała się z miejsca.

– Wiesz co, Justynko? – Uśmiechnęła się, chcąc ratować sytuację. – Już chyba wystarczy. – Wyciągnęła rękę przez stół, dając tym samym Justynie znać, żeby też się podniosła. – Dużo się o tobie dowiedziałyśmy, a nie chcę zajmować ci więcej czasu. Odprowadzę cię do samochodu.

– Tak, ja też tak myślę – ta mruknęła tylko, gdy Ania poprowadziła ją w stronę drzwi. – Do widzenia. – Wysiliła się na uśmiech.

– Do widzenia.

– Do widzenia! – pożegnałyśmy ją z mamą.

– Sztywna jakaś – mruknęłam, gdy zniknęła.

– I jakaś taka niemila – przytaknęła mi mamusia. – Co jej szkodziło opowiedzieć nam o tych chorobach?

– A bo ja wiem? Może się czegoś wstydziła.

– Albo miała coś do ukrycia. Ludzie powinni otwarcie mówić o swoim zdrowiu.

– Być może.

– Ale powiem ci, Zuzka, że jak na moje oko, to nie jest odpowiednia kandydatka na żonę dla Teodora.

– Zgadzam się. On musi mieć dziewczynę, która cieszy się usunąć życiem, a nie chowa w aptece.

– Chociaż trzeba powiedzieć, że ubrana była nieźle. Podobały mi się jej buty. Gdyby nie mój wiek, sama bym takie włożyła. Bo do trumny to chyba nie wypada kolorowych, prawda?

– Prawda. Lepiej zostać przy tych czarnych, które razem kupiłyśmy.

– Masz rację, tak zrobię. W końcu na własnym pogrzebie wypada wyglądać

elegancko. – Mama pokiwała głową i zapatrzyła się na zieleń za oknem.

Po chwili do kuchni ponownie wparowała Anka.

– No to dałyście popis. Naprawdę! – już od progu nas zganiła. Była wściekła jak osa.

– Nie denerwuj się, córeczko. – Mama popatrzyła na nią z troską. – Stres może zaszkodzić dziecku.

– Trzeba było pomyśleć o tym wcześniej! Robiłyście wszystko, żeby ją do nas zniechęcić! I to w bardzo niemiły sposób.

– Wcale nie. Po prostu pytałam o konkrety.

– Akurat! – prychnęła. – Choroby dziedziczne? Bezpłodność?! Jak ci się nie spodobała, trzeba było chociaż być dla niej miłą. Wyszłaś na żołą.

– Mężczyźni kochają żoły. – Niewzruszona tym komentarzem podniosłam się z krzesła. – A teraz, skoro ta farsa już się skończyła, pozwólcie, że sobie pójdę. – Popatrzyłam w stronę drzwi. – Mam dziś fatalny dzień.

– Tak, idź sobie, oczywiście. – Anka była bliska załamania. – Ale nie myśl, że w ten sposób wymigasz się od następnych rozmów.

– Chcesz to ciągnąć dalej? – Zrobiłam wielkie oczy. – Przecież widzisz sama, że ta zabawa w swatki nie ma najmniejszego sensu. Zwłaszcza, że nie pozwalasz mi o nic pytać.

– Jest granica między ciekawością a wścibstwem. I żeby było jasne. – Wycelowała we mnie palcem. – Znajdziemy kobietę dla Teodora, chociażbyś nie wiem jak sabotowała mój pomysł.

– Czy ty nie masz co zrobić ze swoim życiem?

– Mam, ale jeżeli jest szansa, by cię uchronić przed samą sobą, to chcę ją wykorzystać. To mój siostrzany obowiązek.

– Chronić mnie? Co ty bredzisz.

– Swoim dzisiejszym chamstwem i brakiem taktu uświadomiłaś mi, że mimo wszystko nadal jesteś o niego zazdrosna. A do kumpli, jak uparcie go nazywasz, nie żywi się takich uczuć.

– Nie obraż się, ale nie mam ochoty tego słuchać. – Ruszyłam w stronę drzwi.

– Dam ci znać, kiedy umówię kolejną kandydatkę! – krzyknęła za mną, ale zignorowałam jej słowa.

Cała ta szopka sprawiła, że byłam jeszcze bardziej wściekła niż po nieudanej próbie śledzenia Ludwika. Idąc do domu, miałam ochotę jedynie na ciepłą kąpiel i wieczorne oglądanie bajek z Marcelem. Na szczęście pod tym jednym względem rzeczywistość okazała się być dziś dla mnie łaskawa, bo gdy tylko wróciłam do domu, Kasia poinformowała mnie, że spędza dzisiejszy wieczór u Tomka i zaraz wychodzi, Teodor czytał książkę w swoim pokoju, a Ludwika nadal nie było.

Rozdział 11

Ludwik znów wrócił w środku nocy, nie mówiąc mi, gdzie i u kogo był. Po prostu, jak gdyby nigdy nic, położył się do naszego łóżka, a ja obudziłam się rano, mając przed sobą jego twarz. Gdyby nie to, że nadal nie byłam w dobrym humorze z powodu wczorajszych wydarzeń, może bym go nawet przytuliła. Jednak w tej sytuacji odrzuciłam tylko kołdrę na bok i wyslizgnęłam się z łóżka. Wsunęłam stopy w stojące na podłodze kapcie i nakryłam się rzuconym wieczorem na fotel szlafroczykiem. Potem uchyliłam okno, żeby trochę wywietrzyć w sypialni. Na dworze w najlepsze świeciło słońce. Zapowiadał się upalny dzień.

Nie chcąc obudzić Ludwika, ruszyłam w stronę drzwi. Jednak nim wyszłam z sypialni, mój wzrok przykuła sterta leżących na podłodze ubrań.

– Niereformowalny – bąknęłam, pochylając się, by ją podnieść. Nic nie denerwowało mnie tak, jak ten jego głupi nawyk, którego przez wszystkie lata naszego małżeństwa nie mogłam wyplenić.

Powłócząc nogami, z ubraniami Ludwika pod pachą, przeszłam do łazienki. Nim jednak wrzuciłam je do stojącego w kącie kosza na brudną bieliznę, przyszła mi do głowy niespodziewana myśl. Na paluszkach podeszłam do drzwi i cicho je zamknęłam. Potem rozłożyłam ubrania Ludwika na szafeczce na ręczniki.

– Raz kozie śmierć. – Wzięłam głęboki wdech. – On może sobie znikać, to ja mogę przyglądać się jego ciuchom – szepnęłam sama do siebie i wzięłam do ręki znoszoną białą koszulkę, po czym zaczęłam dokładnie jej się przypatrywać.

Szukałam śladów szminki albo chociaż brązowych smug po podkładzie do

twarży, jednak nic takiego nie znalazłam. Chociaż bluzka nie grzeszyła czystością, żadnych śladów po makijażu obcej kobiety na niej nie było. Nie dając za wygraną, przysunęłam ją do nosa w nadziei, że poczuję jakieś damskie perfumy. Po kilku wdechach odłożyłam ją jednak do kosza. Poza tym, że śmierdziała potem Ludwika, niczego innego nie można było jej zarzucić. Niestety.

Gdy koszulka wylądowała w koszu, zabrałam się za spodenki. Najpierw sprawdziłam zawartość przednich kieszeni. Poza kilkoma brzęczącymi monetami nie było w nich jednak nic niezwykłego. Tak samo jak w tylnych. Zrezygnowana, je także posłałam w ką.

– Cholera – mruknęłam niepokieszona.

Chociaż może raczej powinnam się cieszyć? Może Ludwik wcale nie był wczoraj u tego swojego Blond Złotka, ale biegał po lasach z kolegami?

Nie chcąc się nad tym zbyt długo zastanawiać, zabrałam się za poranną toaletę i podobnie jak wczoraj zrobiłam delikatny makijaż. Tym razem użyłam szarego cienia, rozświetliłam wewnętrzne kąciki odrobiną brzoskwiniowego różu do policzków. Nigdy nie zainwestowałam w porządną paletkę cieni, musiałam więc sobie jakoś radzić za pomocą tego, co miałam w kosmetyczce.

Nim zesłam do kuchni, by zrobić śniadanie, ubrałamienne ciuchy i zajrzałam do Marcela, który już nie spał, ale siedział na łóżku.

– Cześć kochanie. – Uśmiechnęłam się do niego.

– Cześć mamusiu. – Popatrzył na mnie rozspanym wzrokiem.

– Dobrze spałeś?

– Miałem zły sen. – Wygiął usta w podkówkę.

– Co ci się śniło? – Podeszłam do jego łóżeczka i przysiadłam na kołdrze.

– Że tata mi kazał kierować monster truckiem, a ja nie umiałem i wjechaliśmy do rowu.

– Naprawdę? – Pogładziłam go po głowie. To czterolatki śnią o prowadzeniu samochodu?

– Na szczęście nas uratowałaś. – Przytulił się do mnie. – Bo ty zawsze nas ratujesz mamusiu. Bardzo cię kocham.

– Ja ciebie też kocham, maluchu. – Pocałowałam go w czoło. – Idziemy na dół zrobić jakieś dobre śniadanie? – zaproponowałam, gdy po kilku chwilach się odsunął.

– Możemy.

– A pomożesz mi?

– Pomogę. Zrobimy jajecznicę?

– Jeżeli chcesz.

– Chcę. – Marcel wygramolił się z łóżka i zesliśmy do kuchni.

Tak jak sobie zażyczył, wyciągnęłam z lodówki jajka i kawałek kielbasy. Pokroiłam ją w kostkę i położyłam razem z deseczką obok kuchenki. Następnie

wyjęłam z szafki patelnię, po czym zaczęłam wybijać do niej jajka.

– Podałbyś mi z szuflady pieprz? – poprosiłam Marcela. – Jest w czerwonej paczuszce.

– Dobrze. – Posłusznie pokiwał głową i zaczął przeszukiwać opakowania z przyprawami.

– Co robicie? – Kasia po chwili dołączyła do nas. Miała na sobie czarny, luźny T-shirt i dżinsowe spodenki. Włosy związała w niedbały kok na środku głowy. Nie zdążyła się jeszcze umalować. Też dopiero wstała z łóżka.

– Gotujemy z mamą jajecznicę. – Marcel roz pogodził się na jej widok.

– O, to świetnie! Na pewno będzie pyszna. Pomóc wam w czymś?

– Możesz wyjąć z szafki talerze i rozstawić je na stole – zaproponowałam.

– Chyba nie ma tego pieprzu – jęknął natomiast niepokieszony Marcel.

– Oj chyba jest, nie możesz tak łatwo się poddawać – zachęciłam go do dalszych poszukiwań. – Sprawdź jeszcze raz, może gdzieś się schował.

Drobne rączki znów zaczęły wertować kolorowe opakowania.

– Jak wam się udał wczorajszy wieczór? – zwróciłam się do Kasi.

– Dobrze. Zrobiliśmy pizzę, a potem oglądaliśmy mecz z ojcem Tomka.

Było całkiem miło.

– To fajnie. – Pokiwałam głową, nie chcąc zagłębiać się w ten temat. Odkąd sklepowa trafiła za kratki za próbę usiłowania zabójstwa, wolałam nie rozmawiać o tej rodzinie. – Wyspałaś się? Nie słyszałam, o której wróciłaś.

– Koło pierwszej. Tomek mnie odprowadził.

– I co? Widzisz pieprz? – zapytałam Marcela i zaczęłam mieszać jajka drewnianą łyżką.

– Szukam – odpowiedział.

– Może ci pomóc? – zaproponowała Kasia.

– Pozwólmy mu być samodzielnym – szepnęłam konspiracyjnie.

Roześmiała się i rozstawiła talerze na stole.

– O, jest! – Marcel tymczasem znalazł w końcu to, co trzeba, i podbiegł do mnie. – Proszę. – Wręczył mi czerwone opakowanie.

– Dzięki. – Uśmiechnęłam się i wysypałam trochę przyprawy na patelnię. – Schowaj go teraz, dobrze? – Wymieszałam dokładnie jajka.

– Dobrze, mamó. – Pokiwał głową, po czym dołączył do siedzącej za stołem Kasi.

– Co tak ładnie pachnie? – Zapach wywabił Teodora z pokoju pod schodami.

– Chodź, chodź, zrobiliśmy jajecznicę. – Wyłączyłam gaz pod patelnią. – Dla ciebie też starczy. – Wyciągnęłam z szafki przy zlewie okrągłą misę.

– Chyba jestem w niebie. – Teodor uśmiechnął się szeroko i zajął miejsce obok Kasi.

Po chwili dołączył do nas rozespany nadal Ludwik.

– Cześć. – Cmoknął mnie w czoło.
– Cześć. – Zerknęłam na niego przelotnie. – Późno wczoraj wróciłeś – zauważyłam, siadając przy stole. Nałożyłam trochę jajecznicy na talerz Marcela.
– Straciliśmy z chłopakami poczucie czasu – odpowiedział jak gdyby nigdy nic.

Akurat, pomyślałam, zapełniając także swój talerz.

– Rozumiem – mruknęłam jednak i podałam miskę z jajecznicą Kasi, a sama zabrałam się za smarowanie chleba masłem.

– Rozmawiałem też wczoraj z Albertem o rajdzie terenowym. – Ludwik popatrzył na mnie badawczo.

– Jakim znowu rajdzie?

– No wiesz, skoro mamy auto, które nie potrzebuje asfaltu, żeby nim jeździć, to moglibyśmy od czasu do czasu wziąć udział w jakichś zawodach off-road.

– My? – Przyjrzałam mu się z niedowierzaniem.

– Przecież jakiś czas temu mówiłaś, że podoba ci się jazda terenowa i chciałabyś czasem ze mną pojeździć. Już straciłaś zapał?

– Nie, oczywiście, że nie – bąknęłam, przypominając sobie, jak skończyła się nasza ostatnia przejażdżka po polach. (Pan Kazio musiał nas wyciągać z dziury w ziemi swoim ciągnikiem).

– Ale super! – pisnęła Kasia, która od niepamiętnych czasów była fanką wszelkiego rodzaju niebezpiecznych machin na kółkach. W tym, na moje nieszczęście, wielkiego ścigacza Tomka.

– No to świetnie. – Ludwik uśmiechnął się do mnie. – Rajd jest w przyszłym tygodniu. Albert też zabierze swoją żonę, więc będziecie mogły kibicować nam razem.

Zmarszczyłam brwi. Czyżby Blond Złotko nie chciało przyjść?

– W przyszłym tygodniu? – zapytałam dla pewności.

– Tak, jakoś na początku. W jednej z miejscowości pod miasteczkiem. Jest tam stary park, w którym przed laty wytoczono tory do jazdy terenowej. Takie rajdy odbywają się tam co roku.

– A mogę jechać z wami? – wtrąciła się Kasia, nim zdołałam cokolwiek odpowiedzieć.

– Jasne. – Ludwik skinął głową. – Im więcej kibiców, tym weselej. Liczę na to, że z takim autkiem jak moje, uda mi się przynajmniej zająć miejsce na podium. Chciałbym mieć świadków tego sukcesu.

– To może wezmę Tomka. – Kasia zbliżyła kanapkę do ust.

– I mnie! – pisnął zazdrosny Marcel.

– A ty, Teodor? Nie chcesz jechać?

– Obawiam się, że jest tu już tylu chętnych, że dla mnie nie starczy miejsca – roześmiał się, mieszając łyżeczką herbatę.

– Zawsze możemy zabrać przyczepkę – zaproponował Ludwik i włożył w końcu do ust widelec z jajecznicą. – A co ona taka dobra? – popatrzył na mnie ze zdziwieniem.

– No właśnie – przytaknęła Kasia. – Naprawdę niezła. Taka jakaś inna niż zwykle.

– Inna? – Obrzuciłam ich wzrokiem. – Taka sama jak zawsze. – Powąchałam talerz, po czym w końcu sama posmakowałam. – No faktycznie. Dobrze smakuje.

– Bo ja pomagałem! – z dumą ogłosił Marcel.

– Może jakoś inaczej ją przyprawiłaś? – Ludwik przełknął kolejny kęs.

– Nie. – Pokręciłam głową. – Chociaż... Marcel, podasz mi jeszcze raz ten pieprz? – Nagle mnie olśniło.

– Pieprz? Ale po co? – nie zrozumiał Ludwik.

Marcel natomiast posłusznie podszedł do szuflady i wyciągnął z niej czerwoną paczuszkę.

– Proszę, mamusiu. – Podał mi przyprawę.

Wzięłam ją i tym razem przeczytałam, co jest napisane na opakowaniu.

– Tak czułam, że coś jest nie tak z tym pieprzem. To przyprawa do bigosu.

– Przyprawa do bigosu? Poważnie? – Kasia powąchała jajecznicę.

– Marcel mi ją podał, a ja wsypałam na patelnię, nie sprawdzając nawet, co to jest.

– Ale naprawdę smakuje całkiem dobrze. – Ludwik nie mógł wyjść z podziwu nad dzisiejszym śniadaniem.

– Zgadza się w stu procentach – dołączył do niego Teodor.

– Marcel po prostu musi ci częściej pomagać. – Kasia pstryknęła Marcela w nosek.

– Najwidoczniej – zaśmiałam się i wstałam, by odłożyć przyprawę do szuflady.

I właśnie wtedy mój wzrok padł na mężczyznę kręcącego się obok naszej bramy oraz jego samochód. Z wrażenia aż zastygłam w bezruchu.

– Coś nie tak? – okazała zainteresowanie Kasia, bo trwałam w zawieszaniu przez kilka chwil.

– Nie, nie. – Nerwowo potrząsnęłam głową. – Po prostu jakiś pies kręci się pod naszą bramą, to nic takiego – rzuciłam i schowałam przyprawę do szafki, po czym wróciłam na miejsce. Nadal musiałam mieć jednak nietęgą minę, bo Kasia przyjrzała mi się bacznie.

– Ale na pewno wszystko w porządku? Zbladłaś, jakbyś ducha zobaczyła.

Ludwik z Teodorem też na mnie popatrzyli.

– Naprawdę nic mi nie jest. Po prostu za szybko wstałam i zakręciło mi się w głowie.

– Mnie też się to czasem zdarza – uratował sytuację Teodor. Uśmiechnęłam

się do niego z wdzięcznością.

– Jakie masz plany na dziś? – zwróciłam się do Ludwika.

– Muszę pojechać do miasteczka.

– Do miasteczka? Po co? – Ponownie wzięłam widelec do ręki.

– Znaleźliśmy wczoraj z chłopakami stary łańcuszek. Chcę podjechać do jubilera, żeby zapytać, ile jest warty.

– Och, czyli Złotko – wyrwało mi się, nim ugryzłam się w język.

– Co? – Ludwik zastygł w bezruchu.

– Nic, nic. – Potrząsnęłam głową. – O której chcesz jechać?

– Pewnie po obiedzie. Coś się stało, że tak mnie wypytujesz? Chcesz się ze mną zabrać? Bo jak tak, to obawiam się, że będziesz żałowała tego pomysłu. Pewnie trochę mi tam zejdzie.

– Nie... – Spuściłam wzrok, szukając w głowie wymówki. – Po prostu pomyślałam, że moglibyśmy zrobić dziś porządki w ogródku.

– Chcesz robić porządki z ręką w gipsie?

– Ostatnio radzę sobie coraz lepiej. – Zaczerwieniły mi się policzki. Rzeczywiście, mogłam wymyślić coś mądrzejszego.

– To może ja mogę jakoś pomóc? – zaproponowała Kasia. – Przecież wiecie, że kocham grzebać w ziemi. Co dokładnie chcesz robić Zuzka?

– Och. – Przygryzłam wargę. – Może wypielić skalniak i szklarnię? I doprowadzić do porządku te kwiaty, które rosną w donicach?

– Nie ma sprawy, mogę się tym zająć. A do pomocy zaangażuję też Tomka. Na pewno się zgodzi.

– Nie wątpię – wymamrotałam.

– No to świetnie! – ucieszył się Ludwik.

Darowałam sobie komentarz o tym, że znów miga się od roboty i urządza jakieś wycieczki. Do miasteczka. Do JUBILERA!

– To ja się zajmę waszym ogródkiem po południu, bo najpierw chciałabym porobić zdjęcia swoim rysunkom. Znalazłam w Internecie kolejny konkurs dla młodych twórców i pomyślałam, żeby im wysłać kilka swoich prac.

– O, to świetnie! – rozpogodziłam się po tej zmianie tematu.

– Tym bardziej, że nagrodą główną jest całkiem spore stypendium i to wypłacane w ratach przez cały rok.

– Brzmi wspaniale. – Ludwik też się uśmiechnął. – Miałybyś własne pieniądze.

– W dodatku bez proszenia matki o pomoc – przytaknęła. – Muszę tylko ogarnąć te swoje rysunki i wybrać z nich coś sensownego.

– To raczej nie będzie trudne. Jak dla mnie wszystkie są świetne – zapewniłam.

– Schlebiacie mi, ale śmiem twierdzić inaczej.

– Może wyślesz na ten konkurs obraz przedstawiający nasz pałac? Sporo się nad nim napracowałam, a on bardzo mi się podoba – zaproponowałam.

– Pomyślę o tym. Chciałabym, żeby moje prace stanowiły spójną całość, a jednak większość z nich rysowałam kiedyś ołówkiem. Pałac się wyłamuje, jest kolorowy.

– To może powinnaś uchwycić więcej wartych uwagi widoków? – dołączył do naszej rozmowy Teodor.

– Może. – Kasia pokiwała głową. – Ale konkurs trwa do końca tego tygodnia i raczej nie zdążę za wiele zrobić. Muszę namówić Tomka, żebyśmy powłóczyli się kiedyś po okolicy, to może znajdziemy coś wartego upamiętnienia.

– Jak będziesz chciała, to podsunę wam kilka miejsc, które moglibyście odwiedzić – zaoferował Ludwik. – Mogę was nawet tam podwieźć terenowym autem, żebyście nie musieli dźwigać sztalug.

– O, dzięki, będę wdzięczna. – Kasia uśmiechnęła się promiennie.

Naszą rozmowę przerwał dzwonek do drzwi, na dźwięk którego niemal podskoczyłam.

– Ja otworzę. – Momentalnie zerwałam się z miejsca i popędziłam w stronę drzwi.

– Spodziewasz się kogoś? – Ludwik zaniepokoił się moją gwałtowną reakcją.

– Nie, nie. – Zwolniłam kroku i odgarnęłam z czoła kilka niesfornych włosów. – Po prostu już zjadłam. – Wymownie zerknęłam na swój pusty talerz. – Wy tu sobie spokojnie dokończcie. – Zmusiłam się do uśmiechu i pognałam na korytarz.

Drżącą dłonią nacisnęłam kławkę, a potem wymknęłam się na ganek, nie dając gościowi nawet szansy na to, by wszedł do środka. Gdy tylko to zrobiłam, oślepiło mnie świecące prosto w oczy słońce.

– Czego chcesz? – rzuciłam bez ogródek do stojącego przede mną Marka, dziękując w duchu, że z kuchennego okna widoczny jest podjazd, ale miejsce, w którym staliśmy, już nie.

– Miło się ze mną witasz. – Popatrzył mi w oczy.

Miał zaczesane do tyłu włosy i muśnięte słońcem policzki, przez co wyglądał jeszcze lepiej niż wcześniej. Biała koszulka i czarne spodnie też podkreślały jego świeżą opaleniznę. W dodatku użył jakiejś nowej wody po goleniu, bo bardzo ładnie pachniał. Gdyby sytuacja była inna, pewnie westchnęłabym na jego widok.

– Widocznie sobie na to zasłużyłeś – wypaliłam jednak, ignorując wrażenie, jakie na mnie zrobił.

– Ciebie też miło widzieć – pozostał niewzruszony.

– Po co przyjechałeś? Zabrałeś swoje rzeczy już jakiś czas temu. Wiem, bo

osobiście sprzątałam niedawno twoją byłą sypialnię.

– A ty tylko o jednym. – Uśmiechnął się łobuzersko.

– Daruj sobie.

– Lubię, kiedy się wściekasz. – Zrobił krok w moim kierunku, najwidoczniej dobrze się bawiąc.

– Do rzeczy – fuknęłam i gwałtownie się cofnęłam.

Marek odchrząknął, pewnie bojąc się, że zaraz zacznę krzyczeć, tak jak ostatnio, gdy próbował się do mnie zbliżyć. Ludwik z panem Kaziem wyrzucili go wtedy z naszego domu i kazali nie wracać do niego więcej.

– Nie piszesz, nie dzwonisz, to pomyślałem, że zajrzę dowiedzieć się, co u was słychać. – Zrobił smutną minę.

– Akurat – prychnęłam, żałując, że nie mogę skrzyżować teraz rąk w akcie ignorancji.

– No dobra – w końcu dał za wygraną. – Tak naprawdę to podjechałem, żeby sprawdzić, czy dostałaś moją przesyłkę – ściszył głos, wypowiadając to ostatnie zdanie.

– Przesyłkę? O czym ty mówisz?

– Och, już ty dobrze wiesz o czym. – Znów obdarzył mnie tym swoim świdrującym spojrzeniem.

Moje oczy rozbłysły z wściekłości, gdy wszystko złożyło mi się w całość.

– To ty mi wysłałeś to zdjęcie – wycedziłam przez zaciśnięte zęby.

– Myślałem, że domyślisz się wcześniej. – Marek głośno się roześmiał. – Ale tak, to ja przyłapałem twojego męża na gapieniu się na cycki tej ślicznotki. I to w samiuteńkim centrum miasteczka. Nieładnie.

– Ty... Ty... – syknęłam, zaciskając dłoń w pięść.

– Oj, nie bulwersuj się tak. Zrobiłem to tylko dla twojego dobra.

– Doprawdy?

– Pomyślałem, że chciałabyś wiedzieć. A przynajmniej ja na twoim miejscu bym chciał.

– Och, więc postanowiłeś wykazać się dobrym sercem i objąć pieczę nad moim małżeństwem? – Tym razem to ja wyzywająco spojrzałam mu w oczy.

Roześmiał się, przesuwając dłonią po łokciu.

– Nie nazwałbym tego tak – powiedział po chwili.

– A jak?

W odpowiedzi zbliżył twarz do mojej twarzy.

– Chciałem ci pokazać, że zasługujesz na kogoś lepszego – wyszeptał tuż przy moim uchu.

Aż się wzdrygnęłam. Nim jednak zdążyłam go odepchnąć, sam się odsunął.

– Lecę, nie mam zbyt wiele czasu. – Wygladził zmierzwione włosy. – Ale pamiętaj, że gdybyś jednak doszła do wniosku, że Ludwik jest świnią, to zawsze

możesz pocieszyć się w moich ramionach – rzucił pewnym siebie głosem, po czym zbiegł po schodach i oddalił się w stronę bramy.

Ja natomiast jeszcze przez chwilę stałam w miejscu, nie wierząc w to, co właśnie się stało. A więc Marek wysłał mi to cholerne zdjęcie! I miał czelność zjawić się tutaj, by utwierdzić mnie w przekonaniu o swoich dobrych intencjach!

Nagle drzwi za moim plecami lekko skrzypnęły i wyłonił się Teodor.

– Co on tu robił? – zapytał, nie owijając w bawełnę.

– Nie chcesz wiedzieć – westchnęłam głośno i przymknęłam oczy.

Czując, że coś jest nie tak, Teodor podszedł bliżej i otoczył mnie ramieniem.

– Nie martw się. – Przytulił policzek do moich włosów. – Niezależnie od tego, co ten dupek chciał albo jak bardzo namieszał, wszystko się ułoży.

Zacisnęłam powieki nieco mocniej. Naprawdę chciałam w to wierzyć, chociaż wnioskując po wydarzeniach, które miały ostatnio miejsce w moim życiu, śmiało mogłam stwierdzić, że przyszłość nie malowała się przede mną w jasnych barwach. A nawet więcej. Teraz, gdy stałam tu wtulona w ramię Teodora, wydawała mi się naprawdę czarna. Ciemna jak noc albo heban. I z każdym kolejnym dniem miałam też coraz mniej nadziei na to, że uda mi się ten stan zmienić – jakoś tę moją przyszłość rozjaśnić.

Rozdział 12

Po niezapowiedzianej wizycie Marka posprzątałam po śniadaniu, a potem, by móc w spokoju zebrać myśli, zabrałam Marcela do piaskownicy w ogrodzie. Rozłożyłam się na rozstawionym w cieniu leżaku i patrząc, jak mój pierworodny buduje zamek z piasku, pogrążyłam się w myślach. A ich przewodnim hasłem było zdanie: Na co mi, na litość boską, ci wszyscy faceci, skoro mam przez nich same problemy? Może gdyby ich nie było, żyłoby mi się łatwiej.

Przez kilka chwil pomysł świata, na którym egzystują same kobiety, przestał wydawać mi się głupi. Mogłybyśmy porzucić role kur domowych, nadopiekuńczych matek i w spokoju cieszyć się szczęściem. Nasze dni przestałyby być pełne słowa „mamo” i wyspanych z palca problemów mężów, takich jak na przykład to, gdzie po praniu schowałam ulubione skarpety Ludwika, bo znów nie może ich znaleźć, a musi, po prostu MUSI założyć dziś właśnie tę parę.

A tak? Nie dość, że faceci bezkarnie wchodzą nam na głowy, to jeszcze zaprzatają je w czasie wolnym. I jedyne, do czego się nadają, to przysparzanie kolejnych zmartwień.

Taki na przykład Ludwik. Obawiam się, że niedługo zabraknie mi palców u rąk, by wyliczyć wszystkie problemy, z którymi muszę się przez niego zmagać. Najpierw mnie drań zaniedbywał (zresztą nadal to robi, choć aktualnie sprawa przestała być priorytetowa). Woli ganiać po lasach w tych swoich kraciastych gaciach, a wieczorami bardziej pociąga go łóżko niż ja. Nie jest już o mnie zazdrosny, twierdzi, że kocha, ale w żaden sposób tego nie udowadnia. Uszedł

z niego cały romantyzm. A na dodatek, jakby tego wszystkiego nie było dość, spotyka się z inną (choć naprawdę chciałabym wierzyć, że nie). Przykładowy mąż, nie ma co. A ja się jeszcze dwoję i troję, żeby go odzyskać, zamiast dać mu po twarzy i wywalić przez okno jego manatki!

Zrobiłam zamyśloną minę. A może właśnie nie powinnam o niego walczyć? Może on naprawdę jest ze mną nieszczęśliwy? Przecież jeżeli się kogoś kocha, to dla jego dobra powinno mu się pozwolić odejść, prawda?

– Tfu! – mruknęłam głośno, machając ręką. Co za bzdura. To przecież mój mąż! Nieobecny, bo nieobecny, i może chwilowo zauroczony jakimś Blond Złotkiem, ale jednak ślubny.

Z powodu wszystkich przewinień Ludwika całowałam się z Markiem. Największym podrywaczem z całej szkoły, w której pracuję. Niezwykle pociągającym, czarującym, ale zazdrosnym jak diabli, czego najlepszym przykładem była jego dzisiejsza wizyta. Cholera! Gdyby Ludwik wykazywał chociaż minimalne mną zainteresowanie, w życiu nawet nie spojrzałabym na Marka, on nie zamieniłby się w dzikie zwierzę z łowczym instynktem, nie próbowałby mnie dopaść i nie musiałabym się teraz bać, że moje małżeństwo naprawdę się rozpada. Bo może gdybym nie zobaczyła tego zdjęcia, na którym Ludwik wgapia się w dekolt swojego Blond Złotka, to dalej żyłabym sobie w błogiej nieświadomości? Przecież czego oczy nie widzą, tego sercu nie żal.

– E tam – znowu mruknęłam sama do siebie. Oczywiście, że nie chciałabym żyć w żadnej nieświadomości. Kawa na ławę i już. Jeżeli przed czymś zamierzałam w życiu uciekać, to na pewno nie przed problemami. Nie jestem typem człowieka, który, gdy coś się dzieje, chowa głowę w piasek. Wręcz przeciwnie. Kłopoty działają na mnie jak płachta na byka i pobudzają. Czasami nawet aż za bardzo.

Z tych moich pseudoromantycznych rozmyślań wyrwał mnie głos Teodora oraz głośne szczekanie naszej suczki Sary.

– Cześć. – Uśmiechnął się i popatrzył na pieniek, który stał pod drzewem. – Mogę się przysiąść?

– Tak, jasne. – Poprawiłam słoneczne okulary.

– Odpoczywasz sobie?

– Chciałabym. A co cię tutaj sprowadza?

– Sara piszczała pod drzwiami, chciała wyjść na dwór. Postanowiłam ją wypuścić, a gdy stanąłem na ganku, pomyślałem, że samemu też dobrze by było się przewietrzyć. Ładna dziś pogoda. Zresztą trochę się nudzę. Nie przywykłem do bezproduktywności.

– Potraktuj to jak przymusowy urlop.

– Te słowa nie kojarzą mi się dobrze. Przywołują na myśl obrażenia, jakich doznałem na misji.

– Och, wybacz. – Spuściłam wzrok, rozumiejąc swój nietakt.

– Muszę poszukać sobie jakiegoś zajęcia.
– Na przykład?
– Może pogadam z Anką? Przecież miałem pomagać jej w gospodarstwie, zamiast wylegiwać się u ciebie pod drzewem.
– A noga? – Zerknęłam na jego gips.
– E tam, już prawie nie boli. Czasem nie pamiętam nawet o tym, że doznałem jakiegokolwiek urazu.
– Nie musisz zgrywać twardziela. – Uśmiechnęłam się lekko.
– Ej! No przecież jestem twardy. – Zrobił urażoną minę. – Jak możesz w to wątpić? Ale tak naprawdę, gdy cię tu zobaczyłem, przypomniało mi się, że mam do ciebie sprawę – płynnie zmienił temat.
– Sprawę? Jaką? – Poruszyłam się na leżaku zainteresowana.
– To trochę głupie, pewnie będziesz się śmiać.
– Wal śmiało. Podobno co nas nie zabije, to nas wzmocni.
– No dobrze, ale pamiętaj, że ostrzegałem, okej? I nie weź mnie za wariata.
– Postaram się.
– W moim łóżku pojawił się po śniadaniu kawałek chleba z masłem – zaczął, lustrując wzrokiem moją twarz. – Trudno mi to wytłumaczyć, bo głowę sobie dam uciąć, że nie zabierałem żadnej kanapki do łóżka ani wczoraj, ani dziś. Fakt jest jednak taki, że mam tłustą pościel. Chciałem prosić cię o czystą.
– Rozumiem. – Pokiwałam głową.
– Rozumiesz? – Zerknął na mnie z ukosa. Miał przy tym tak zabawną minę, że aż się uśmiechnęłam.
– No pewnie. Ten chleb to sprawka naszego psa.
– Wasz pies przyniósł mi do łóżka chleb z masłem?
– Musiał cię polubić. Powinnam cię uprzedzić już wcześniej, żebyś przed snem sprawdzał, czy nie kładziesz się na jakieś psie chrupki. Sara uwielbia kamuflować sobie jedzenie. Zwłaszcza w czystej pościeli.
– Ja bym to raczej nazwał inaczej. – Teodor uśmiechnął się szeroko.
– Jak? – Popatrzyłam na niego ciekawa, co wymyślił.
– Sara jest pierwszą kobietą od lat, która przyniosła mi śniadanie do łóżka.
– No cóż... – Parsknęłam śmiechem.
Moja reakcja bardzo spodobała się Teodorowi.
– Lubię, jak się śmiejesz – stwierdził, gdy udało mi się uspokoić.
– Lubię, jak mnie rozśmieszasz.
– Wobec tego muszę ci się do czegoś przyznać.
– Do czego?
– Zrobiłem to specjalnie.
– Specjalnie włożyłeś sobie chleb z masłem do łóżka i zwałeś na mojego psa? – zapytałam rozbawiona.

– Nie! – jęknął, marszcząc brwi. – Specjalnie cię rozśmieszyłem. Nie lubię patrzeć, jak jesteś smutna, a od wizyty Marka nie wyglądasz na szczęśliwą. Zresztą wcześniej też nie wyglądałaś. Jest tak już od kilku dni.

Na dźwięk jego ostatnich słów wzdłuż mojego kręgosłupa rozszedł się zimny dreszcz. I to mimo upalnej pogody.

– Masz rację, przyjazd Marka trochę wytrącił mnie z równowagi – zdobywając się na szczerść, przeniosłam wzrok na Marcela. – Nie powinien był tu przychodzić.

Teodor zamilkł na chwilę. Nie patrząc na niego, wsłuchałam się w szelest liści, którymi poruszał delikatnie powiewający wietrzyk.

– Wybacz, że pytam – odezwał się dopiero po chwili. – Ale czy ty... – Nerwowo przełknął ślinę i przeniósł wzrok na moją twarz. – Czy ty czujesz coś do tego faceta?

– Co? – Zrobiłam wielkie oczy i wbiłam zdziwione spojrzenie w jego twarz.

– No nie patrz tak na mnie.

– Ja z Markiem... – ze stresu zaczęłam się jąkać.

– Spotykaliście się, a teraz on chce, żebyś do niego wróciła?

– Nie! Skąd ci to przyszło do głowy?

– Widziałem was wtedy i...

Wzięłam głęboki wdech.

– To był tylko pocałunek. Nic nieznaczący pocałunek, bo czułam się zaniedbana przez Ludwika – wydusiłam, choć przecież było ich kilka.

– Więc...

– Nie łączy nas żadna relacja, więź ani nic innego. Pracujemy razem, a to... To była tylko pomyłka.

– Rozumiem.

– Szkoda tylko, że on myśli inaczej niż ja – jęknęłam, przesuwając zdrową dłońią po rozgrzanym policzku.

– Zrobił ci jakąś krzywdę?

– Nie. Chociaż...

– Zuzka. – Teodor uspokajająco dotknął mojej dłoni. – Widziałem twoją reakcję na tego człowieka już nie pierwszy raz.

– On po prostu nie rozumie, że nie zostawię Ludwika i nie wdam się w żaden prawdziwy romans. Był błędem. Nic nieznaczącym błędem. A teraz nie chce odpuścić.

– I ci się narzuca?

Popatrzyłam na swoje stopy.

– Tak, chyba tak. Ale sama jestem sobie winna. Mogłam się od niego trzymać z daleka.

– Chyba?

Znowu głośno westchnęłam.

– Kilka dni temu wysłał mi zdjęcie – wyznałam w końcu prawdę. – A dziś przyszedł upewnić się, że je dostałam.

– To jakieś ważne zdjęcie?

Na chwilę zamilkłam.

– Martwię się o ciebie. – Teodor był naprawdę zaniepokojony. – Czuję, że coś jest nie tak. Chciałbym pomóc, bo widzę, że się męczysz.

Powoli podniosłam wzrok i popatrzyłam mu w oczy. Miał ciepłe, wspierające spojrzenie. Pełne siły, ale i zrozumienia. Było spokojne, lecz mocne. Dodające otuchy. Takie jak zawsze.

– Ludwik ma romans – wyrwało mi się pełnym rozpaczy głosem i nagle z moich oczu popłynęły strumienie łez.

Teodor otworzył usta, nie dowierzając.

– Jest na tym zdjęciu z jakąś kobietą w bardzo intymnej sytuacji – dodałam, nim szloch zacisnął mi gardło.

– Ale jak to? – Teodor był w szoku. Żeby mnie pocieszyć, delikatnie pogładził dłonią moje przedramię.

Czując ciepło jego ciała, zamknęłam oczy. Choć nie powinnam płakać przy dziecku, przy tym człowieku nie musiałam być na pokaz silna. Mogłam okazać się krucha i słaba. Brał na swoje ramiona całe zło mojego świata.

Nim jednak zdążyłam się w tym poczuciu bezpieczeństwa zatracić, dobiegł do naszych uszu głośny krzyk Kasi. Teodor natychmiast cofnął więc swoją rękę, a ja zdrową dłonią otarłam łzy. Dziewczyna natomiast biegła do nas przed podwórko, mocno przyciskając palce do oka.

– Zuzka! – krzyczała głośno. – Zuzka, pomocy!

Czując, że stało się coś poważnego, zerwałam się z leżaka.

– Tu jestem! – odkrzyknęłam, ruszając w jej stronę. – Co się dzieje?

– Zuzka! – Kasia dopadła mnie, głośno sapiąc, i mocno zacisnęła palce na mojej ręce. – Pomocy! – jęknęła, nie odrywając dłoni od lewego oka.

Dopiero z tak bliskiej odległości dostrzegłam płynące ciurkiem po jej policzku łzy. Wyglądała na przerażoną.

– Co się dzieje? – powtórzyłam, bo udzielił mi się jej niepokój.

– Musisz uratować mi oko. – Kasia zacisnęła palce na mojej dłoni jeszcze mocniej. Była naprawdę rozemocjonowana. – Jak Boga kocham, musisz mi pomóc.

– Dobrze, oczywiście, pomogę – spróbowałam się nieco uspokoić. – Powiedz mi tylko, co się stało.

– Robiłam sobie peeling twarzy przed wyjściem i jedna z kulek wpadła mi do oka – zaczęła tłumaczyć, nie przestając się denerwować. – Próbowałam ją wyplukać, ale to nic nie daje. Utknęła pod górną powieką. Nie, utknęła to za mało powiedziane. Wbiła się tam i nie mogę jej wyciągnąć. Do tego strasznie mnie kłuje,

kiedy mrugam... W ogóle okropnie mnie boli, proszę, pomóż mi.

– Pokaż mi to oko – poprosiłam.

– Nie mogę zabrać ręki, bo bardzo boli.

– Kasia. – Dotknęłam jej delikatnie. – Muszę to zobaczyć.

– Ale...

– Jeżeli mam ci pomóc, muszę to obejrzeć. W przeciwnym razie pewnie będzie trzeba jechać do okulisty.

– Boże – jęknęła zrozpaczona, ale w końcu zgodziła się, bym zobaczyła jej oko, i zabrała rękę.

Podeszłam bliżej, żeby lepiej widzieć. Niestety, nie wyglądało to dobrze. Cała górna powieka już jej napuchła, na białku oka pojawiły się czerwone żyłki, a z zewnętrznego kącika strumieniem płynęły łzy.

– I co? – zapytała, gdy nic nie mówiłam.

– No nie jest dobrze...

– Wiedziałam. – Ponownie przycisnęła drżącą rękę do oka, żeby nie mrugać.

– Chodźmy do domu, spróbuję coś z tym zrobić, a jak nie, to jedziemy do miasteczka. Zerkniesz przez chwilę na Marcela? – zwróciłam się do Teodora.

– No pewnie..

– Chodź. – Ujęłam więc Kasię pod ramię i zaciągnęłam ją do salonu. – Połóż się na kanapie, a ja poszukam kropeł do oczu. Spróbujemy tę kulkę wypłukać – zarządziłam, po czym pognałam do łazienki, gdzie ostatni raz widziałam buteleczkę z kroplami.

Kasia tymczasem położyła się na kanapie i właśnie tak zastałam ją, gdy wróciłam.

– Zabierz rękę. – Nachyliłam się nad nią z odkręconą buteleczką.

– Będzie bolało?

– Postaram się, żeby nie. Odchyl palcami powieki i staraj się nie mrugać – poleciłam, mając wolną tylko jedną rękę.

Kasia delikatnie skinęła głową i zrobiła, co trzeba. Wpuściłam więc do jej oka kilka dużych kropeł, mając nadzieję, że to pomoże.

– I jak? – zapytałam, lekko się prostując.

Kasia zamrugała dwa razy, mocno się jednak krzywiąc.

– Chyba nic z tego. – Ponownie przycisnęła dłoń do powieki, chcąc ograniczyć ból związany z zamykaniem oka. – Nadal siedzi.

– Niedobrze. – Pokręciłam głową.

– Co teraz?

– Mam jeszcze jeden pomysł – zapewniłam, po czym odwróciłam się i postawiłam krople na stole. – Zaraz wracam.

– Dokąd idziesz?

– Po patyczek kosmetyczny. Spróbuję ci to wydłubać.

- Ale...
- Spokojnie – rzuciłam, powtórnie idąc w stronę łazienki. – Nie będzie bolało. – Wysiliłam się na uśmiech i wróciłam do salonu z patyczkiem w dłoni. Polałam go kroplami, po czym powtórnie nachyliłam się na Kasią.
- Co chcesz zrobić? – zapytała, nim odsunęła dłoń.
- Przejadę ci tym pod górną powieką, może uda mi się znaleźć tę kulkę i ją wyciągnąć.
- A jak nie? Jak uszkodzisz mi oko?
- Kasia, proszę cię. – Spojrzałam na nią z wyrzutem.
- No co? Nie chcę być ślepa! Nie chcę stracić oka. I to przez co? Przez to, że zachciało mi się peelingu – powiedziała bliska płaczu.
- Postaram się nie zrobić ci krzywdy.
- Robiłaś to już kiedyś? – Zamrugła niezasłoniętą powieką.
- No nie, ale...
- No widzisz? – nie dała mi skończyć. – Może jednak okulista?
- Chcesz, żebym ci pomogła, czy nie? – Przystąpiłam z nogi na nogę.
- No chcę – przytaknęła niechętnie.
- To zabierz rękę, postaram się być delikatna – poleciłam, a ona posłusznie zrobiła, o co prosiłam. – Odchył palcami górną powiekę, a ja wsunę tam patyczek. I patrz w dół. Nie będzie bolało, zobaczysz. – Zbliżyłam patyczek do oka, a potem lekko przejechałam nim po białku oka.
- I co? – zapytałam Kasię, odsuwając go.
- Trochę bolało.
- Pytam, czy nie ma kulki.
- Aaa – zreflektowała się i zamrugła powiekami. – Nadal siedzi – powiedziała po krótkiej chwili, znów odchylając powiekę. – Wydaje mi się, że ta kulka nie wbiła się w oko, ale siedzi pod powieką. Może przesun tym patyczkiem pod nią, okej?
- Okej – zgodziłam się i przystąpiłam do działania. – Patrz w dół – przypomniałam, dla bezpieczeństwa.
- Jasne – szepnęła cicho i napięła mięśnie, jak gdyby szykowała się co najmniej do porodu.
- Ja natomiast przesunęłam patyczkiem po jej powiece dwa razy – tak na wszelki wypadek.
- I co? Nadal siedzi? – zapytałam, prostując plecy.
- Kasia zamrugła kilka razy, po czym na jej usta wdarł się delikatny uśmiech.
- Boli, ale chyba jej nie ma – ogłosiła z radością.
- No to dzięki Bogu – odetchnęłam z ulgą, patrząc na jej zaczerwieniony policzek.
- Jesteś najlepszym okulistą na świecie. – Uśmiechnęła się szeroko,

ocierając mokre ślady po łzach.

– Może zakrop sobie to oko na wszelki wypadek jeszcze raz, żeby je przemyć? Mam nadzieję, że nie podrażniłam go za bardzo.

– Myślę, że uratowałam mi dziś wzrok.

– Chyba mnie przeceniasz. Gdyby coś jeszcze było nie tak, mów. – Skierowałam się w stronę kuchni, żeby wyrzucić patyczek kosmetyczny do kosza.

– Mocno mi to oko napuchło?

– Trochę.

– Mam nadzieję, że do wieczora zejdzie.

– Boli jeszcze?

– Boli, ale nie kłuje. Jeszcze nigdy czegoś takiego nie przeżyłam. – Wzięła ze stołu buteleczkę i pochyliła ją, by wpuścić kilka kropli do oka.

– Mam nadzieję, że to pierwszy i ostatni raz.

– Tak. – Kasia zamrugła powieką, by rozprowadzić krople po oku. – Od dziś tylko peeling enzymatyczny – powiedziała, a potem nakryła czoło ręką. – Tobie też radzę wywalić to świństwo, jeżeli używasz. Nie wiedziałam, że można zrobić sobie aż taką krzywdę podczas mycia twarzy – mruknęła.

– Tak. – Pokiwałam głową, nadal się uśmiechając. – Podobno najwięcej krzywdy można zrobić sobie we własnym domu.

Rozdział 13

Po porannych, nieco szalonych wydarzeniach, w końcu nadeszło popołudnie, a wraz z nim, w tych samych krzakach, co ostatnio, pojawiła się Beata. Podobnie jak ubiegłym razem, zadzwoniła do mnie, że już czeka w samochodzie.

– Już do ciebie pędzę – rzuciłam konspiracyjnie do słuchawki, po czym schowałam komórkę do kieszeni.

– Dokąd? – niespodziewanie odezwała się stojąca za moimi plecami Kasia.

– O, jesteś – zdziwiłam się na jej widok. – A nie miałaś robić zdjęć swoim pracom?

– Już zrobiłam, chociaż poczekam z wysłaniem tego wszystkiego do jutra. Nie ufam sobie, gdy mogę patrzeć na świat tylko jednym okiem. – Uśmiechnęła się, biorąc do ręki leżące w koszyczku na blacie jabłko. Powieka nadal była opuchnięta, więc zakleiłam jej oko kawałkiem gazy i plastrem. – Poza tym Marcel stwierdził, że z tym opatrunkiem wyglądam jak pirat, więc zgodziłam się z nim pobawić w Piotrusia Pana i kapitana Haka.

– Nie będę nawet pytała, jak podzielicie się tymi rolami – zażartowałam i rozejrzałam się po kuchni w poszukiwaniu swojej torebki.

– No to dokąd wychodzisz? – Kasia przysiadła na jednym z barowych stołków, po czym wbiła zęby w soczyste jabłko.

– Umówiłam się na kawę z Beatą – skłamałam, nie do końca mijając się z prawdą. Nasze śledztwo na pewno nie obejdzie się bez kofeiny.

– Ludwik też wychodzi. – Kasia odsunęła owoc od ust. – Ale będzie tu bez

was cicho – powiedziała dość smutno.

– Co z ciebie za nastolatka? – zapytałam rozbawiona jej reakcją. – Powinnaś się cieszyć, że zostawiam ci wolną chatę, a nie kręcić nosem. – Przeniosłam wzrok na podwórko za oknem. Ludwik pakował właśnie swoje graty do bagażnika terenówki. Musiałam się spieszyć.

– Oj, bo ja po prostu was lubię.

– No właśnie, a co do wolnej chaty. – Znalazłam w końcu torebkę, którą rzuciłam wcześniej na jedną z półek w salonie, i zaczęłam sprawdzać, czy mam w niej portfel. – Jak już skończycie z Marcelem bawić się w piratów, to podrzuć go do Anki, dobrze? Zrobiłabym to sama, ale trochę się spieszę.

– A może lepiej zabiorę go później na spacer? – Kasia przeszła za mną do salonu.

– Jeżeli chcesz. – Spojrzałam na nią przelotnie.

– Tomek obiecał, że powłóczymy się po okolicy, żebyśmy mogła znaleźć kolejne ciekawe miejsca do malowania. Możemy zabrać ze sobą malucha.

– Nie będzie wam przeszkadzał?

– No coś ty, to złote dziecko – zapewniła. – Uwielbiam spędzać z nim czas.

– W takim razie zgoda. – Ruszyłam pospiesznie w stronę drzwi. Musiałam przecież wyjść przed Ludwikiem. – Dobrego dnia, postaram się wrócić na kolację – rzuciłam do Kasi i wyszłam na ganek.

– O, Zuzka! – Natychmiast dostrzegł mnie Ludwik. – Możesz mi pomóc? – Zatrzymał się przy otwartym bagażniku. – Za nic nie mogę tego wszystkiego tu upchnąć. – Bezradnie rozłożył ręce.

– Nie teraz, spieszę się. – Spróbowałam go zbyć.

– Dokąd? – Zmrużył oczy.

– Umówiłam się z Beatą – wyjaśniłam, po czym zeszłam po schodkach.

– Aaa. – Pokiwał głową, gdy energicznym krokiem ruszyłam w stronę bramy. – Zuzka! – krzyknął jeszcze za mną.

– No co? Naprawdę się spieszę! – Odwróciłam się na pięcie.

– A auto?

– Co auto? – Złapaliśmy się wzrokiem.

– Idziesz do Beaty na pieszo?

Na dźwięk jego słów jakby mnie zamurowało.

– Nie, no gdzie! – szybko odzyskałam jednak zdrowy rozsądek. – Jedziemy jej samochodem. Podjedzie po mnie.

– Coś nie tak z twoim cinquecento?

Cholera jasna, mruknęłam w duchu i przestąpiłam z nogi na nogę. Czy on musi wykazywać troskę właśnie teraz? Kiedy ważą się losy naszego małżeństwa? Nie mógłby bawić się w dobrego mężusia kiedy indziej?

– Wszystko dobrze, po prostu Beata wraca z miasteczka i zabierze mnie do

siebie po drodze – wymyśliłam kolejne kłamstwo.

– A jak potem wrócisz?

– Jej mąż mnie odwiezie – rzuciłam pewnym głosem, chcąc skończyć tę farsę, i ponownie odwróciłam się w stronę bramy. Nie zważając na dalsze komentarze Ludwika, uciekłam w końcu z podwórka. Po kilku minutach szaleńczego biegu dotarłam w końcu do czekającej w krzakach Beatki i głośno dysząc, wsiadłam do auta jej męża.

– A ty co? – zdziwiła się na mój widok. – Wyglądasz, jakbyś przebiegła co najmniej maraton.

– Musiałam uciekać przed Ludwikiem. – Z głośnym trzaskiem zamknęłam za sobą drzwi. – Masz jakąś wodę?

– Jest w schowku – mruknęła od niechcenia. – Ludwik cię gonił? – bez ceregieli przeszła do bardziej interesującego tematu.

– Powiedzmy. – Wyciągnęłam butelkę wody. – Pakował swoje rzeczy do bagażnika, gdy wychodziłam. – Zbliżyłam ją do ust, po czym upiłam trzy duże łyki. Woda była przyjemnie zimna.

– I co, pytał, dokąd idziesz?

– Właśnie tak. Nie wiem, co mu się stało.

– Ale myślisz, że coś podejrzewa? – Beata zmrużyła oczy.

– No coś ty. – Machnęłam ręką. – Niby dlaczego miałby to robić?

– A bo ja wiem. – Podrapała się palcem po policzku. – Mężczyźni są dziwni. Wiadomo, co taki sobie uroi? Lepiej dmuchać na zimne. Nie powinnaś w najbliższym czasie jakoś wyjątkowo rzucać mu się w oczy, skoro mamy zostać niezauważone.

– No to co miałam zrobić? – Spojrzałam na nią z wyrzutem. – Wyjść oknem? Ze złamaną ręką?

– Oj nie bocz się, tak tylko powiedziałam. – Beata odwróciła wzrok.

– Staram się być ostrożna, wierz mi.

– Wierzę. – Pokiwała głową. – A teraz cicho – nagle ściszyła głos i pochyliła się nieco do przodu.

– Dlaczego? – Odwróciłam głowę w jej stronę, nie wiedzieć czemu, nasłuchując jakichś dziwnych dźwięków.

– Bo twój mąż właśnie wyjeżdża z podwórka – oznajmiła, stawiając mnie do pionu, po czym odpała silnik.

– Nie jest źle, dzisiaj działa – zażartowałam.

– Bardzo śmieszne – rzuciła niezbyt przyjemnym tonem.

Potem w milczeniu odczekałyśmy, aż Ludwik wyjedzie z podwórka i zamknie za sobą bramę.

– No to za nim! – Beata ogłosiła z wyjątkową energią, po czym sprawnie wycofała autem na jezdnię i udałyśmy się w pościg za moim mężem. (Który, trzeba

przyznać, grzał przed siebie, znacznie przekraczając dozwolone prędkości).

– Wiesz co? – odezwała się do mnie Beata już po kilkunastu sekundach podróży. – O jednym nie pomyślałyśmy! – ogłosiła, wrzucając bieg na wyższy, gdy Ludwik coraz bardziej rozpędzał się na prostej. – Bo ten twój ślubny to wcale nie jest taki głupi.

– Do czego pijesz? – Obróciłam głowę w jej stronę.

– Mogłyśmy załatwić ci jakiś kamuflaż.

– Kamuflaż? – Zrobiłam wielkie oczy.

– No wiesz, jakąś chustkę na włosy albo kapelusz. Mnie raczej nie pozna, ale ciebie? To nie jest zbyt uczęszczana droga, a my jedziemy jednak w dość bliskiej odległości – wyjaśniła i nieco odsunęła się od środka jezdni, gdy mijał nas jadący z naprzeciwka samochód.

– Myślisz? – zastanowiłam się nad jej słowami.

– No pewnie. A jak Ludwik zerknie w lusterko i cię rozpozna? Nasz plan spali wtedy na panewce.

– Kurczę, masz rację, nie pomyślałam o tym. – Nerwowo przygryzłam paznokcieć.

– No właśnie. – Beata złożyła usta w dzióbek. – Gdyby to nie był pościg, mogłybyśmy zatrzymać się w jakimś kiosku i coś wymyślić, ale w tej sytuacji mamy raczej ograniczone pole manewru.

Słyszając jej słowa, rozejrzałam się po samochodzie.

– Nie masz tu jakiegoś szalika?

– W środku lata? Nie bawię się w Eskimosów. Może jeszcze kozuch albo futro? – mruknęła ironicznie.

– No tak, to głupie – przyznałam jej rację. – W takim razie co robimy?

– Muszę pomyśleć – mruknęła, nie odrywając wzroku od jezdni. Jechałyśmy teraz za Ludwikiem przez las oddzielający Jaszczurki od Sosenek. Przez pnące się ku górze korony drzew przebijały promienie wakacyjnego słońca. Trochę raziły nas w oczy.

– Wiem! – głos Beaty oderwał mnie od wpatrywania się w zielen. – No przecież! – Omal nie klasnęła w ręce.

– No co, no co? – Aż podskoczyłam w fotelu.

– Przecież Darek był ostatnio w Warszawie na meczu hokeja!

– I co w związku z tym?

– No jak to co? Tak mu się spodobało, że kupił strój do gry. Co prawda dam sobie rękę uciąć, że to i tak wywalenie pieniędzy w błoto. Zagra dwa razy i straci zapał, a do zimy, gdy zacznie się sezon, trzy razy mu się to znudzi, ale...

– Wybacz Beata, ale jaki to ma związek z moim kamuflażem? – wpadłam jej w słowo, nie dając skończyć.

– No Zuzka! – W odpowiedzi spojrzała na mnie jak na wariatkę. – Ten strój

jest w bagażniku, Darek jeszcze go nie rozpakował. Mamy za kogo cię przebrać!

– Mam się przebierać za hokeistę? I to teraz, w środku lata? W dodatku w samochodzie? Beata, czyś ty na rozum upadła? – Nie mogłam uwierzyć w to, co usłyszałam.

– A masz jakiś lepszy pomysł? – Zgromiła mnie wzrokiem.

– No nie...

– No to bez gadania. Przebierasz się i już.

– Ale jak ja to zrobię? I gdzie? – spróbowałam jeszcze zaprotestować, lecz na nic się to zdało.

– Jak to gdzie? Na tylnym siedzeniu – odpowiedziała jak gdyby nigdy nic. – Nie robiłaś tego nigdy? Przecież jesteś kobietą.

– No dobra, może i zdarzyło mi się w aucie zmieniać rajstopy, a nawet sukienkę w czasie trwania jednego z wesel, ale żeby całkowicie się rozbierać i wciskać w strój hokeisty?

– Dobra, nie gadaj – ukróciła moje jęki. – Przełóż do tyłu i ubierz się w ten kostium.

– Ze złamaną ręką?

– Przecież mówiłaś, że już się przyzwyczyłaś i gips prawie ci nie przeszkadza.

– No tak, ale...

Zamiast nadal mnie przekonywać, Beata sprawnym ruchem odpięła mój pas.

– Do tyłu – rozkazała.

W akcie desperacji spuściłam wzrok. No cóż, nie miałam wyjścia. Nie zważając więc na nikogo i na nic (ale bardzo uważając na gips), wygramoliłam się z siedzenia i przelazłam do tytułu. W dodatku udało mi się przy tym ani razu nie kopnąć Beaty.

– No widzisz? Zuch dziewczyna! – pochwaliła mnie, gdy już to zrobiłam.

– Jak mam się dostać do bagażnika? – zignorowałam jej komentarz.

– Obok zagłówków są takie przyciski. Musisz nacisnąć, a potem szarpnąć za oparcie i siedzenie się złoży.

– Dobra, kumam. W naszym aucie jest tak samo – rzuciłam, po czym zrobiłam, co trzeba. Jednak mając do dyspozycji tylko jedną rękę, było to o wiele trudniejsze niż zazwyczaj.

Potem wsadziłam głowę do ciemnego bagażnika. Dość szybko zlokalizowałam wielki, foliowy worek, w którym z pewnością znajdował się rzeczony strój hokeisty. Nie powiem, ale trochę musiałam się namęczyć z wyciągnięciem go stamtąd, bo okazało się, że Darek kupił nie tylko ubrania, ale też kask i kij, które przez kilka chwil skutecznie mi to uniemożliwiały.

– I co, udało ci się? – Beata spojrzała w środkowe lustro po chwili moich zmaganiań.

– Tak, mam. – Otarłam z czoła kilka kropelek potu, po czym wyciągnęłam z worka wielką, czarną bluzkę. – Naprawdę chcesz, żebym to na siebie włożyła? – Przyjrzałam jej się z niechęcią.

– Nie gadaj, tylko zmieniaj to swoje piękne wdzianko. – Beata kolejny raz podczas pościgu wrzuciła wyższy bieg.

– Ale ja się w tym ugotuję! Widziałaś, jakie to grube?

– Oj dasz radę, przecież nie jest aż tak znowu gorąco.

Zerknęłam przez jej ramię na termometr zamontowany w desce rozdzielczej.

– Dwadzieścia osiem stopni – odczytałam. – Jeszcze się przez ciebie odwodnię.

– Mam w bagażniku dwie litrowe butelki z wodą. Zrobiłam nam też kanapki.

– Super – mruknęłam z niezadowoleniem. Naprawdę wątpiłam w skuteczność tego kamuflażu. – Po co ja mam się w ogóle przebierać? Ta bluza nie zakryje mi twarzy i włosów.

– Ale z ciebie maruda! – Beata powoli traciła cierpliwość do mnie. – Tam jest też coś à la kominiarka.

– Kominiarka? – zaczęłam przeszukiwać wór.

– No, taka pod kask. Wełniana czapka, która ma tylko otwór na oczy, usta i nos.

– No chyba nie sądzisz, że założę na głowę coś takiego... – jęknęłam jeszcze głośniej niż dotychczas.

Beata natomiast roześmiała się głośno.

– Och, kochana – zachichotała. – Chyba nie będziesz miała wyjścia.

– Nie? – spytałam zaskoczona.

– Nie. – Na potwierdzenie swoich słów pokręciła głową. – Twój mąż właśnie skręca w jakąś leśną drogę. Obawiam się, że niedługo będziemy na miejscu – ogłosiła i włączyła kierunkowskaz.

– O cholera! – Odgarnęłam włosy do tyłu i naciągnęłam na głowę tę pseudoczapkę. – A mówił mi, że jedzie do miasteczka, kłamca jeden! – uniosłam głos. – Podobno wybierał się do jubilera.

– Może pojedzie tam później? – Beata zjechała w leśną drogę, nadal bacznie wpatrując się w auto Ludwika.

W przeciwieństwie do nas mknął przed siebie, aż się kurzyło. Ścieżka była bowiem piaskowa, a do tego nierówna i pełna dziur. Samochód co chwilę podskakiwał na kolejnych wybojach.

– Takiemu to dobrze – rzuciła, niezadowolona tym faktem. – Włączył sobie napęd na cztery koła i może jechać. Nie to co my.

– Spotyka się z tym Blond Złotkiem w lesie, drań przebrzydły. – Mnie tymczasem, poza pupą na siedzeniu, skoczyło również ciśnienie. – A mnie to nigdy nie zabrał do lasu na randkę! Ba, nawet do parku. Zero romantyzmu – jęknęłam

dokładnie w tym momencie, w którym Ludwik kolejny raz skręcił.

Beata zwolniła nieznacznie, nie chcąc budzić podejrzeń. Gałąź jakiegoś rozłożystego krzaka smagneła nasze auto.

– Mam nadzieję, że damy radę tam wjechać – mruknęła, pochylając się do przodu.

Ja tymczasem poddałam się i założyłam w końcu bluzę od stroju hokeisty. Nagle to, czy się w niej ugotuję, zupełnie przestało mnie obchodzić.

– Chyba zaparkował – obwieściła Beata, ścisząc głos. – Zatrzymujemy się tutaj, czy podjeżdżamy bliżej?

– Zatrzymujemy – zdecydowałam. – Nie powinniśmy rzucać się w oczy.

– Ja też tak myślę. – Sprawnie zjechała na prawo i zatrzymała samochód między roslymi drzewami.

– Widzisz Ludwika? – Przysunęłam się do niej, wsadzając głowę między przednie fotele.

Beata popatrzyła na lewo.

– Tak – szepnęła. – Popatrz, tam jest. – Wskazała ręką.

– Co robimy? – podobnie jak ona, konspiracyjnie ściszyłam głos.

– Czekamy na rozwój wydarzeń i staramy się nie rzucać w oczy?

– Okej, to dobry plan. – Podrapałam się po policzku. Wełna drażniła moją skórę.

Na chwilę obie zamilkłyśmy, trwając w becznym oczekiwaniu. Do naszych uszu dolatywał jedynie cichy szum drzew i niegłośne trele ptaków.

– W ogóle to muszę ci się do czegoś przyznać... – Beata przerwała jednak tę ciszę.

– O co chodzi?

– Nie przewidziałam, że Ludwik wywiezie nas w las, i założyłam buty na obcasie, a do tego spódniczkę.

– Ale lipa. – Zacisnęłam zęby.

– No. Jak mam biegać po mchu w krótkiej kiecicy i szpilkach? Od razu coś mnie pogryzie.

Zastanawiając się, co możemy w tej sytuacji zrobić, spuściłam wzrok.

– Wiem! – nagle mnie olśniło.

Beata odwróciła się do mnie. Była ciekawa, co też tym razem wymyśliłam.

– Założysz spodnie od stroju hokeisty i buty – wypaliłam. – Będą pewnie za duże, ale lepsze to niż szpilki. – Nie czekając na jej reakcję, przerzuciłam do przodu trzymany na kolanach worek.

– Ale... – jęknęła tylko.

– Nie marudź – zganiłam ją tym samym tonem, co ona wcześniej mnie. – Ta bluza jest nawet wygodna. – Na potwierdzenie tych słów poruszyłam zdrowym ramieniem.

Beata zacisnęła usta.

– No dobra – zgodziła się jednak. – To gdzie są te spodnie? – Zaczęła grzebać w worku.

Ja tymczasem ponownie wbiłam wzrok w stojący nieopodal samochód Ludwika.

– Beata? – odezwałam się jeszcze, gdy ta się przebierała.

– No co?

– A nie masz może jakiegoś sprayu na komary i kleszcze?

– A może do tego życzysz sobie jeszcze colę i frytki? – burknęła, wyginając się, by wciągnąć spodnie, co, przez wzgląd na niezbyt dużą przestrzeń dookoła, było dość trudne.

Pomimo powagi sytuacji, słysząc jej komentarz, głośno się roześmiałam.

– Cicho! – uciszyła mnie jednak.

– Bo co? – rzuciłam zadziornie. – Przecież Ludwik i tak nas nie słyszy.

– Nie dlatego, Zuzka! – fuknęła. – Patrz tam. – Wskazała ręką na majaczące w oddali światła. – Ktoś jedzie.

– O cholera. – Nagle poczułam ucisk w żołądku.

– Tylko spokojnie, to nie musi... – Beata spróbowała ratować mnie przed wybuchem furii.

– Spokojnie? – nie dałam jej skończyć. Serce waliło mi w piersi o wiele szybciej niż normalnie, a oddech stawał się coraz płytszy.

– Nie róbmy nic głupiego, bardzo cię proszę. – Beata delikatnie złapała mnie za rękę. – Niezależnie od tego, co się stanie, zachowaj klasę i zdrowy rozsądek.

– Ależ oczywiście, że zachowam – syknęłam przez zaciśnięte zęby. – W sumie to dobrze się stało, że Darek pomyślał o grze w hokeja – szepnęłam dokładnie w momencie, w którym srebrna toyota zaparkowała obok auta Ludwika.

– Dlaczego?

– Bo ten kij idealnie nadaje się do tego, żeby zabić tę wypacykowaną francję.

– Pohamuj swoją agresję, bardzo cię proszę. – Beata miała dość moich żartów. – Lepiej skupmy się na tym, co tam się dzieje. – Kiwnęła głową w kierunku zaparkowanych nieopodal aut.

Posłusznie zrobiłam to, co kazała i zaczęłam przyglądać się samochodom. Ludwik wysiadł ze swojej terenówki pierwszy. Jak zazwyczaj miał na sobie kraciaste spodnie i znoszoną koszulkę.

– Mógł się jakoś bardziej wystroić – wyrwało mi się, nim zdołałam ugryźć się w język.

Beata już miała uciszyć mnie jakąś wyszukaną ripostą, gdy naszą uwagę przykuły otwierające się od środka drzwi srebrnej toyoty.

– Jak to ona, to przysięgam, że ją zabiję – rzuciłam i jeszcze bardziej wyteżyłam wzrok.

- Może to nie ona.
- Jasne, a ze mnie jest Królewna Śnieżka.
- W tej chwili bardziej hokeista, ale jak chcesz. – Beata też była podenerwowana.
- No bo jak nie ona, to kto? – Spojrzałam na nią z nadzieją.
- A bo ja wiem...
- Cholera jasna! – syknęłam, gdy z toyoty wysiadł w końcu kierowca. – Przecież to Albert.

Rozdział 14

– Kto to jest Albert? – zapytała Beatka.

Okazało się, że do lasu wcale nie zawitało Blond Złotko, lecz jeden z kolegów Ludwika.

– Jego kumpel – wyjaśniłam. – Jeżdżą razem na poszukiwania skarbów. Czasami też z Piotrkiem i Kamilem.

Muszę powiedzieć, że gdy tylko ujrzałam tę charakterystyczną szczecinę zdobiącą twarz znajomego mężczyzny, poczułam ulgę. Naprawdę. Nagle zszedł ze mnie cały stres, który kumulował się w mojej głowie (zresztą nie tylko tam) przez ostatnie kilka dni.

– Kumpel? – Beata nie wyglądała na uszczęśliwioną. Lekko zgarbiła plecy.

– To chyba dobrze, prawda? – Spojrzałam na nią z ukosa.

Nad przednią szybą samochodu przeleciał jakiś niewielki ptaszek.

– No niby dobrze – zgodziła się ze mną niechętnie. – Ale tyle zachodu, żeby wysledzić spotkanie Ludwika z kolegą?

– Co racja, to racja. – Pokiwałam głową. – Znowu zmarnowałyśmy czas. A mogłabym robić w tym momencie pranie. Wiesz, ile mam brudnych ubrań w koszach?

– Czekaaj, czekaaj. – Beata nagle przysunęła palce do ust i popukała jednym z nich w dolną wargę. Potem odwróciła się do mnie. – Może ten Albert to tylko taka zmyłka?

– Zmyłka? O czym ty gadasz? Pewnie będą tu szukać tych swoich skarbów.

– No tak, to nie podlega niczyjej wątpliwości, ale Ludwik powiedział ci

przecież, że jedzie do jubilera w miasteczku. Po co miałby tak kłamać, skoro chciał się udać do lasu? Przecież doskonale wiesz, jak spędza wolny czas. Mógł najzwyczajniej w świecie powiedzieć ci prawdę. Nie wydaje ci się to podejrzane? Pomyśl przez chwilę.

– No, niby tak... – zasepiłam się, gdy Ludwik z Albertem wyciągali z bagażników swoich samochodów wykrywacze metalu i dresowe bluzy.

– Właśnie – kontynuowała temat Beata. – Wydaje mi się, że coś tu jest nie tak.

– Myślisz, że Blond Złotko tu do nich dojedzie? Że też jest wielką fanką poszukiwania skarbów?

– A kto ją tam wie. Nie wykluczałabym takiej opcji. Nic o niej nie wiemy.

– Cholera – zakląłam pod nosem.

Beata miała rację. Może spotkanie z Albertem to rzeczywiście tylko przykrywka? Słaba, bo słaba, ale jednak?

– No to co robimy? – Popatrzyłam na nią z nadzieją.

– Ja bym tu zaczekała. Może ona rzeczywiście do nich dołączy.

– A wtedy Albert sobie pojedzie i zostaną z Ludwikiem sami. – W mojej głowie natychmiast zrodził się czarny scenariusz.

– Zuzka. – Beata zachowała więcej zdrowego rozsądku. – Jak by nie było, musimy myśleć optymistycznie. Pamiętaj, że prowadzimy to śledztwo, żeby oczyścić Ludwika z zarzutów.

– Zabrzmiałaś teraz jak jakiś sędzia.

– Wiem – zachichotała. – Staralam się poprawić ci humor.

– Dzięki. – Oparłam zdrowy łokieć o kolano.

Ludwik z Albertem założyli tymczasem dresowe bluzy i zapięli je pod same szyje. Potem zamknęli samochody i zaczęli chodzić między drzewami, by sprawdzić, czy wykrywacze metalu działają.

– Może to po prostu zwykły męski wypad. – Beata nadal broniła mojego męża.

– Może – mruknęłam, rozciągając sylaby. – Istnieje też prawdopodobieństwo, że Ludwik pojedzie do swojego Złotka po tej wyprawie.

– Myślisz?

– W ten sposób zapewnia sobie wiarygodne alibi. A potem... – Głośno przełknęłam ślinę, nie chcąc nawet myśleć o moim mężu trzymającym w ramionach inną kobietę. – A potem hulaj dusza, piekła nie ma.

– To też miałoby jakiś sens. Głupie bo głupie, ale w sumie czego spodziewać się po mężczyznach. To co robimy, czekamy? – zapytała.

– Czekamy – zdecydowałam.

– W aucie? Może powinniśmy wysiąść i iść za nimi?

– Dlaczego? Wtedy na pewno nas zobaczą. Nie chcę cię martwić, ale nie

jesteśmy niewidzialne. To nie żaden film akcji, ale prowizoryczne śledztwo zdesperowanej mężatki i jej przyjaciółki.

– A jeżeli zaparkowali tutaj tylko dla niepoznaki? Może Blond Złotko czeka na nich w innym miejscu?

– Tylko dlaczego Ludwik miałby aż tak tę ich znajomość ukrywać? – zaczęłam główkować. – Przecież na zdjęciu, które wysłał mi Marek, siedzą jak normalni ludzie w miasteczku. Nie wyglądają, jakby chcieli zataić fakt, że się znają.

– Czekaj, czekaj... – Beata popatrzyła mi w oczy. – Czy ty właśnie powiedziałaś, że to Marek wysłał ci zdjęcie?

– Niestety.

– Ale skąd o tym wiesz? I dlaczego nie pisałaś ani słówka wcześniej?

– Prawdę powiedziawszy, to dowiedziałam się o tym dziś rano. – Przeniosłam wzrok na Ludwika i Alberta, którzy nadal znajdowali się w zasięgu mojego wzroku.

– Ale jak?

– Można powiedzieć, że od źródła.

– Mów prościej, kobieto! Dość mam zagadek. Ta związana z wiernością Ludwika całkowicie mi na razie wystarcza – warknęła na mnie Beata. Ona też była już zmęczona tym śledztwem.

Zresztą, nie było co jej się dziwić. Siedziałyśmy jak dwie wariatki ubrane w strój hokejowy w samochodzie jej męża. I to w dodatku w lipcu. Było nam duszno, gorąco, dookoła pełzało i fruwało jakieś robactwo, a mój mężulek wodził nas za nos. To zdecydowanie nie były warunki sprzyjające empatii i łagodności.

– Marek złożył mi dziś rano wizytę – zaczęłam więc opowiadać jej o porannych wydarzeniach. – A na koniec zapewnił, że nadal mogę pocieszyć się w jego ramionach i jeżeli tylko rozstaniemy się z Ludwikiem, to on bardzo chętnie zajmie jego miejsce.

– A to złośliwa gadzina. Myślałam, że już sobie ciebie odpuścił. Zresztą przecież spotykał się z jakąś nastoletnią lalą.

– Tak, ja też miałam nadzieję, że się go pozbyłam.

– Ale czego on nie rozumie w twoim „nie”? Dla mnie to jasny komunikat. Myślisz, że naprawdę aż tak bardzo mu na tobie zależy?

– Oby nie. Zresztą o czym my w ogóle mówimy. Przecież to kochliwy lowelas. Co kilka tygodni spotyka się z inną.

– Musiałaś mocno zawrócić mu w głowie.

– Nie denerwuj mnie. – Spojrzałam na nią z wyrzutem.

– Dobrze, już dobrze. – Uniosła ręce na znak, że nie ma złych zamiarów. – Z Markiem jakoś sobie będzie trzeba poradzić, chociaż muszę przyznać, że nie sądziłam, iż z niego taki pies ogrodnika. Dobra, nieważne. – Potrząsnęła głową. –

Teraz zajmijmy się tą dwójką. – Wskazała na Ludwika i Alberta, którzy oddalali się od nas coraz bardziej. Razem z trzymanymi nisko wykrywaczami metalu przesuwali się na wschód. – Idziemy za nimi?

– Chce ci się stąd wychodzić? W tych ciuchach już po kilku minutach ugotujemy się na twardo. – Z odrazą popatrzyłam na wielką bluzę, którą wcześniej udało mi się założyć.

– Ja bym za nimi jednak poszła. Może ta blondyna rzeczywiście tam na nich czeka.

– No dobra – westchnęłam. – Niech ci będzie. Możemy przejść kilka kroków. Ostatnio od dłuższego siedzenia w jednej pozycji zaczynają mnie boleć kolana.

– Tylko nie wyjeżdżaj mi tu ze starością. Nie w takim momencie – zgaśniła mnie za ostatnie słowa, po czym wyciągnęła klucz ze stacyjki i otworzyła drzwi.

Gdy tylko wyszliśmy z samochodu, uderzyło nas suche, upalne powietrze oraz zapach igliwia i mchów.

– Trochę w tym ciepło – mruknęłam, a Beata zamknęła samochód.

W stroju jej męża wyglądałyśmy o wiele ciekawiej niż stróż w Boże Ciało. Ja miałam gołe nogi, płaskie sandały, wielką, czarną bluzę oraz coś na kształt kominiarki na głowie, a ona kwiecistą bluzeczkę, ciężkie buty i o wiele za duże spodnie. Koń by się uśmieł. Miałam nadzieję, że w najbliższej okolicy nie ma żadnego człowieka, który mógłby nam zrobić zdjęcie. Z pewnością bardzo szybko stałybyśmy się hitem internetu.

– Okej, możemy iść – przerwał moje rozmyślenia głos Beaty. Włożyła kluczyki do kieszeni tych wielkich galotów.

– No to przed siebie – zadyrgowałam, po czym powoli ruszyłyśmy w ślad za oddalającymi się mężczyznami. Staraliśmy się przy tym nie robić wokół siebie zbędnego hałasu, jednak w przypadku Beaty było to naprawdę trudne. Jej wielkie buciory co i rusz, zupełnie poza kontrolą, lądowały na jakiejś wysuszonej gałązce, która pękała z głośnym trzaskiem.

– To nie moja wina. – Spojrzała na mnie przepraszająco, gdy sytuacja powtórzyła się już któryś raz.

– Wiem, wiem. W tym wdianku naprawdę nie da się nie być słoniem w składzie porcelany – udzieliłam jej rozgrzeszenia, nie spuszczać wzroku z kraciastych spodni Ludwika, które migały mi w oddali.

Ja też nie czułam się komfortowo. Pomijając denerwujące, nieustępliwe bzyczenie koło ucha, które wydawał z siebie jakiś żądny mojej krwi komar, przeszkadzał mi spływający wzdłuż kręgosłupa pot. Po piętnastu minutach snucia się po lesie miałam wrażenie, że cała się kleję. Zawzięcie szłam jednak dalej, patrząc, jak Albert z Ludwikiem schylają się raz po raz i grzebią w ziemi.

– Że też nie mogli wymyślić sobie lepszego hobby. – Beata zatrzymała się

pod jakimś drzewem po czterdziestu minutach śledzenia.

– Powtarzam to od lat.

– Musimy zrobić przerwę. – Oparła się o wysuszoną korę.

– Mogłyśmy zabrać z auta butelkę z wodą. Chce mi się pić. – Poszłam w jej ślady, upatrzawszy sobie sosnę naprzeciwko.

– A ja muszę podciągnąć te swoje galoty, bo zaraz mi spadną. – Beata rozwiązała czarny sznureczek i podciągnęła spodnie męża niemal pod same pachy. – O niebo lepiej.

– A jak twoje stopy? – Popatrzyłam na jej buciory.

– Nic nie mów. Czuję, że na piętach mam już kilka pęcherzy. Włożenie takich klumpów bez skarpet nie było najlepszym pomysłem. Zwłaszcza w taką pogodę.

Słyszając to, omal nie syknęłam z bólu.

– To co, wracamy? – zapytałam z nadzieją.

– Tak, chyba tak. Darujmy sobie na dziś całe to śledztwo.

– Też mam go dość. Na tę chwilę wierność czy niewierność Ludwika przestają mnie tak bardzo interesować. Nie wiem, czy nasze małżeństwo jest warte aż takich poświęceń. Może i tak, ale z pewnością nie dzisiaj.

– Niekorzystne warunki środowiskowe przerosły nas obie. – Beata zerknęła na moją twarz. – Weź ściągnij w końcu tę czapę. – Zmrużyła oczy. – Nie chcę, żebyś padła mi tutaj z przegrzania.

– Czuję, że mam początki udaru – jęknęłam, pozbywając się w końcu uciążliwego nakrycia głowy.

Beata przymknęła oczy i oparła głowę o konar drzewa.

– Nie mam siły nawet wracać do tego samochodu – wymamrotała.

– Zaniósłabym cię na plecach, ale ze względu na gips to raczej niewykonalne.

– Następnym razem zabieramy ze sobą osła.

– Albo jedziemy za nimi autem. Takie zwierzę może być dość hałaśliwe.

– Tak źle i tak niedobrze. – Beata uniosła powieki. Zanim zdołała jednak powiedzieć coś więcej, jej twarz wykrzywiła się w pełnym bólu grymasie.

– Co jest? – Natychmiast skoczyłam w jej stronę.

– Chyba... – jęknęła słabym głosem i popatrzyła pod stopy. Potem energicznie pochyliła się i uderzyła dłonią w prawą łydkę. – Cholera – zakląła pełnym głosem.

– No co jest?!

– Chyba wlałam w mrowisko. – Pocierając wielkie spodnie dłonią, zrobiła krok w bok.

Potem po lesie rozszedł się głośny plask – zabiła kolejną mrówkę.

– Niedobrze. – Popatrzyłam na nią, zaciskając usta.

– Zwiewamy stąd. Są wszędzie – zaczęła się drapać po brzuchu.
– Najpierw ściągnij te spodnie.
– Żartujesz? Mam latać z gołą dupą po lesie? – Zastygła w bezruchu.
– A chcesz, żeby te mrówki pożarły ci całe nogi?
– No nie... – Rozejrzała się po okolicy. Otaczała nas tylko zieleń mchów i brązowe konary drzew.

– Poza nami i tak nikogo tu nie ma, a ja wiele razy widziałam damskie majtki.

Zamiast odpowiedzieć, Beata kolejny raz uderzyła się w nogę.

– Okej, masz rację – mruknęła, drapiąc się w ugryzione miejsce. – Najwyżej wystraszę leśną zwierzynę, wielkie mi halo. – Po chwili wyprostowała się i zaczęła ściągać z siebie grube spodnie.

Gdy tylko to zrobiła, naszym oczom ukazało się co najmniej kilkanaście mrówek wędrujących po jej nogach i różowe majtki wykończone koronką. Na widok tych pierwszych Beata kolejny raz zakłęta pod nosem. Potem pochyliła się energicznie i wyzywając je od najgorszych, czym prędzej zaczęła je z siebie strzepywać.

– Cholerny las! – lamentowała, pocierając palcami kolejne ugryzienia.

Ja natomiast wzięłam od niej spodnie i wytrzepałam je przy leśnej drodze, by pozbyć się robactwa.

– Cholerne śledztwo – sparafrazowałam jej słowa, gdy jedna z mrówek spadła mi na dłoń i od razu mnie ugryzła. – A mogłyśmy zostać w samochodzie – mruknęłam, po czym udałyśmy się w najszybszym tempie, na jaki było nas stać, ku samochodowi.

Nie zwracając sobie głowy Ludwikiem, wsiadłyśmy do auta i wróciłyśmy do Jaszczurek.

– Pierwszy raz w życiu prowadziłam samochód na boso i w samych gaciach – zażartowała Beata, gdy podjechałyśmy pod mój dom. W tym pośpiechu nie zwracała sobie nawet głowy założeniem spódniczki, która razem ze strojem hokejowym leżała beładnie na tylnym siedzeniu.

– Całkiem nieźle ci to wyszło – roześmiałam się w odpowiedzi. – Wejdiesz na herbatę? – zaproponowałam.

– Chyba od razu wrócę do domu i pójdę się wykapać. Wszystko mnie swędzi. Pewnie mam w apteczce jakiś żel na ukąszenia.

– No dobrze.

– Wpadnę do ciebie jutro i ustalimy, co robimy dalej z tym naszym śledztwem. – Poprawiła przeciwsłoneczne okulary, które miała na nosie.

– Tak, to dobry plan – zgodziłam się z nią i otworzyłam drzwi. – To do jutra.
– Uśmiechnęłam się szeroko, wysiadłam z samochodu i wróciłam do domu.

Takie wycieczki to już chyba nie na moje nerwy. Nie dość, że się człowiek

zmęczy, spoci, to jeszcze wróci do domu rozdrażniony.

– Cześć mamó – przywitał mnie leżący na kanapie w salonie Marcel, który oglądał bajki.

– Cześć kochanie. – Podeszłam do niego i pogłaskałam go po głowie.

– Gdzie byłaś?

– U ciotki Beatki. – Opadłam na stojący obok kanapy fotel.

– Chyba sprzątałyście, co? – zapytał, lustrując mnie wzrokiem.

– Nie, dlaczego?

– Bo wyglądasz na bardzo zmęczoną. Podać ci picie?

Uśmiechnęłam się dumna, że mam takiego syna.

– Jeżeli byłbyś tak dobry – jęknęłam i zamknęłam oczy.

Marcel natychmiast zerwał się z kanapy i pobiegł do kuchni. Wrócił z niej już po kilku chwilach ze szklanką pełną zimnej wody.

– Dzięki. – Wzięłam ją od niego i upiłam łyk. Potem odstawiłam na stolik i znów oparłam plecy o miękki zagłówek. Byłam tak wykończona, że nie miałam siły na nic. Dosłownie na nic. Nawet na prysznic, o który aż prosiło moje ciało.

E tam, pomyślałam, zamykając oczy. Niech Ludwik robi sobie dziś, co tylko chce i z kim chce, na tę chwilę zupełnie przestało mnie to obchodzić. Co będzie, to będzie, trudno.

Nagle zrobiło mi się jakoś tak przyjemnie i błogo. Zaczęłam odpływać w zupełnie inną, o wiele lepszą rzeczywistość. Zniknęły troski, zmartwienia, a nawet moje małżeństwo. Nie zauważyłam, kiedy zasnęłam.

Rozdział 15

Obudziłam się około osiemnastej z obolałą szyją. Telewizor grał w najlepsze, chociaż w salonie nie było Marcela. Nie miałam jednak siły złościć się na to, że marnujemy w ten sposób prąd. Bo i po co? Wzięłam tylko leżący obok pilot i wyłączyłam bajki. Ciekawe, gdzie podziała się cała moja rodzina, bo w domu było nad podziw cicho i pusto.

Gdy wstałam z fotela, okazało się, że boli mnie nie tylko szyja, ale również łydki i uda. Wstyd się przyznać, ale od niepamiętnych czasów nie przebiegłam tak długiego odcinka drogi, jak dziś w lesie. Swego czasu rozważałam nawet pomysł, żeby zapisać się na siłownię. Upadł on jednak wyjątkowo szybko. Tak samo, jak moja kondycja.

Krzywiąc się z bólu, zajrzałam do kuchni. Nalałam sobie do szklanki trochę zimnej wody i wypiłam ją duszkiem. Mój wzrok padł wtedy na szafkę pod apteczką, na której, pod kilkoma innymi dokumentami, spoczywała biała koperta. Zaintrygowana odstawiłam szklankę do zlewu i sięgnęłam po przesyłkę, ciekawa, co jest w środku. Nie pamiętałam, żebym kładła w tym miejscu pocztę, ale gdy tylko wyciągnęłam z koperty złożoną na pół kartkę zapisaną odręcznym pismem, natychmiast mnie olśniło. Przypomniałam sobie, że jakiś czas temu Marek zostawił dla mnie wiadomość.

Przez chwilę przyglądałam się kartce, zastanawiając się, czy chcę wiedzieć, co jest na niej napisane, ale w końcu powiodłam wzrokiem po liście.

– Nie byłaś dla mnie kolejną przygodą – napisał Marek. – Bardzo za tobą

tęsknię. Nie kończmy tej znajomości w ten sposób – czytałam dalej, a na samym końcu widniał jego nowy adres, gdybym zechciała go odwiedzić.

Ogarnęła mnie fala emocji. Poczułam drżenie rąk, a żołądek zacisnął mi się kilkukrotnie i podszedł pod gardło. Przed moimi oczami przebiegły wspomnienia chwil, które spędziłam z Markiem, i musiałam mocno ze sobą walczyć, by pohamować łzy. Co to wszystko miało znaczyć? Po jaką cholere napisał do mnie ten list, skoro powiedziałam mu, że to już koniec? I dlaczego, zamiast po prostu wyrzucić list do kosza, płaczę teraz, ściskając go w ręku? Czyżbym tęskniła?

Ta ostatnia myśl sprawiła, że wzdłuż mojego kręgosłupa przebiegł zimny dreszcz, i aż się wzdrygnęłam.

– Idiotka – zgańłam sama siebie i ze złością przerwałam tę kartkę na pół, a potem jeszcze na mniejsze części. Wyrzuciłam ją do kosza, po czym oparłam ręce o kuchenny blat i wzięłam kilka głębokich wdechów. Nie było sensu rozckliwiać się nad tym wszystkim. Już nie. Przecież Marek nic dla mnie nie znaczył...

Tylko w takim razie skąd te moje łzy?

By się czymś zająć, postanowiłam zrobić obchód domu w poszukiwaniu kogoś z domowników, na przykład swojego dziecka. Obeszłam cały dół i całą górę. Każde z pomieszczeń, do którego zajrzałam, okazało się być jednak puste.

– Kurczę – szepnęłam do siebie, schodząc po schodach. Czyżby ktoś podmienił mi rzeczywistość, gdy spałam?

Na szczęście szybko przypomniałam sobie, że mamy jeszcze podwórko. Włożyłam na nos przeciwsłoneczne okulary, zamieniłam kaptur na sandały i wyszłam na zewnątrz. Nadal panował piekielny upał, choć na południu pojawiły się pierwsze ciemne chmury. Powietrze było ciężkie i parne. Zanosilo się na burzę.

Posłałam przelotne spojrzenie w stronę wystawionej na podwórko suszarki do prania. Na szczęście była pusta. Nie będę musiała spieszyć się ze zdejmowaniem ubrań ze sznurków w popłochu przed ewentualnym deszczem.

Zadowolona rozejrzałam się dookoła. Miałam nadzieję, że znajdę Kasię i Marcela w piaskownicy, jednak podwórko było zupełnie puste. Nigdzie nie dostrzegłam też Teodora, nie wspominając nawet o Ludwiku, który z pewnością nie wrócił jeszcze ze swoich wojaży.

Na samą myśl o naszej dzisiejszej wycieczce do lasu uda i łydki zabolowały mnie mocniej. Zacisnęłam jednak zęby i zesłam po kilku schodkach. Postanowiłam odwiedzić Ankę i mamusię. Może któraś z nich będzie coś wiedziała o miejscach pobytu poszczególnych członków mojej rodziny. I Teodora. Szybko pokonałam trasę łączącą nasze domy, po czym zajrzałam do kuchni.

Nie pomyliłam się. Za stołem siedziała moja mama, Anka z Zośką i Teodor. Gawędzili w najlepsze, popijając wodę cytrynową z kolorowych kubków. Marcel natomiast, co wywnioskowałam z docierających do kuchni odgłosów, bawił się z Pawełkiem w sąsiednim pokoju.

– Mogę do was dołączyć? – spytałam, wchodząc do pomieszczenia.

– O, Zuzka! – ucieszyła się na mój widok Anka. – No pewnie, siadaj. Jak chcesz się z nami napić, to weź sobie znad zlewu jakiś kubek. – Wymownie popatrzyła na tulącą się do niej Zośkę.

– Dzięki, dopiero co piłam u siebie. – Odsunęłam sobie jedno z wolnych krzesełek i usiadłam obok mamy.

– Wyspałaś się? – zapytał Teodor.

– Tak, dzięki.

– Specjalnie ewakuowaliśmy się z Marcelem z domu, żeby ci nie przeszkadzać. Musiałaś być padnięta, skoro zasnąłaś w fotelu.

– Ten to dopiero byłby dobrym mężem – wyrwało się Ance, nim zdołała ugryźć się w język.

– Zasnęłaś w fotelu? – zmartwiła się natomiast mamusia. – A wiesz, że od spania w niewygodnych pozycjach można dostać różnych zwyrodnień kręgosłupa?

– E tam, nic mi nie będzie. Pierwszy raz mi się coś takiego zdarzyło – spróbowałam ją uspokoić.

– To się zawsze tak zaczyna. Zасыpiasz w niewygodnej pozycji raz, drugi, trzeci i bach!

– Co bach?

– Bach operacja. Nawet się nie obejrzysz, jak trafisz do szpitala. A wiesz, ile trwa rehabilitacja po korygującym zabiegu? Miesiące, a nawet lata!

– Mamo... – Popatrzyłam na nią z wyrzutem.

– A kto się wtedy zajmie twoim dzieckiem, kochanie? Ja już nie jestem sprawna tak, jak kiedyś. Ostatnio coraz szybciej się męczę – westchnęła z typową dla siebie przesadą. – Naprawdę czuję, że już niedługo umrę.

Siedząca po prawej stronie mamy Anka wywróciła oczami. Darowała sobie jednak złośliwy komentarz. Zamiast tego pogłaskała po główce siedzącą grzecznie Zosię.

– Ależ co pani mówi? – skomentował natomiast słowa mamy Teodor. – Przecież z pani jest młoda kobieta.

– Młoda czy niemłoda... Niezbadane są wyroki boskie. Dziś jesteś, a jutro może cię nie być, taka jest smutna prawda. – Mama popatrzyła na niego z ubolewaniem.

– Jestem jednak zwolennikiem optymizmu.

– Ja też, kochany, ja też – przytaknęła mu natychmiast. – Dlatego wszystko zaplanowałam zawczasu.

– Co ma pani na myśli?

– Jak to co, kochaniutki? Pogrzeb, pieniądze, kostiumy... Napisałam sobie nawet mowę pożegnalną i zrobiłam listę gości, żeby te dwie tutaj – znacząco spojrzęła na mnie i Anię – w tych trudnych dla nich chwilach odciążyć.

– Rzeczywiście, pomyślała pani o wszystkim. – Teodor zerknął na mnie wystraszony.

– Ludzie często lekceważą kwestie związane ze swoim pochówkiem – mamusia nie zamierzała jednak skończyć. – Zostawiają to pograżonej w żałobie rodzinie i potem te uroczystości wyglądają byle jak. Ja na przykład postanowiłam zorganizować to wszystko za życia, a przy tym starałam się być praktyczna. Weźmy na przykład taką listę gości, których życzę sobie zaprosić na moją stypę: specjalnie nazwiska osób w podeszłym wieku napisałam na końcu, żeby, jeżeli umrą przede mną, można ich było łatwo wykreślić bez tworzenia chaosu.

– Tak, to bardzo pomysłowe. – Teodor przełknął ślinę.

– A urna... – mamusia podjęła kolejne funeralne zagadnienie.

– Niech mama już skończy – przerwała jej jednak Ania. – Nie mamy ochoty o tym słuchać. Zwłaszcza, że mama jest w bardzo dobrej kondycji. Przynajmniej tej fizycznej.

– Widzisz? – Mama popatrzyła znacząco na Teodora. – Mówiłam, że ludzie lekceważą tematy związane ze śmiercią.

– Ale ja niczego nie lekceważę. Po prostu uważam, że nie ma sensu, żebyś opowiadała o swojej śmierci, gdy całkiem nieźle się trzymasz.

Mama przeniosła na nią wzrok i zrobiła smutną minę.

– Gdyby mój pogrzeb zależał od ciebie, to pewnie pochowałabyś mnie na podwórku pod płotem, żeby pozbyć się zbędnego problemu.

– No co też mama mówi! – Anka wyglądała na podenerwowaną paplaniną mamusi.

– Niech mama nie będzie okrutna – dołączyłam do niej.

– Ty, chłopcze – mama zignorowała jednak nasze słowa. Znowu zwróciła się do Teodora i wskazała na niego palcem. – Ciebie o to poproszę.

– Ale o co?

– Jeżeli te dwie będą mnie chciały koniecznie pochować na niepoświęconej ziemi, żeby było taniej, dopilnuj, by choć zrobiły to pod jaśminem.

– Co też mama gada – zniesmaczyła się Anka ponownie.

– Dlaczego pod jaśminem? – wydukałam, bo na dźwięk słów mamy omal nie odjęło mi mowy.

– Jak już zacznę się rozkładać i śmierdzieć, to nie będzie wam tu chociaż brzydko pachnieć. – Mama podniosła się z krzesła. – Ja w przeciwieństwie do was zawsze myślę o bliźnich, nigdy o sobie – znowu westchnęła teatralnie, a potem wyszła z kuchni.

My natomiast siedzieliśmy przez kilka chwil w pełnej osłupienia ciszy. Ta kobieta naprawdę przeszła dziś samą siebie.

– Mówiłam, że jest z nią coraz gorzej – pierwsza odezwała się Anka. – Wcześniej, gdy mówiła o śmierci, to była chociaż miła. Teraz ma do mnie

o wszystko pretensje.

– Co zrobić, taka kolej rzeczy. Po prostu się starzeje.

– Ale tak szybko? – Ania poprawiła body Zosi, które zmarszczyło się pod szyją. – Przecież poza cukrzycą nic jej nie jest. Wątpię, żeby znalazły się racjonalne przesłanki ku temu, że niedługo będzie umierać.

– Może powinniście umówić ją na wizytę do psychiatry albo psychologa? – wtrącił się Teodor.

– To nie jest taka głupia myśl – przyznałam mu rację. – Chcesz numer do Matyldy Mak? – Zerknęłam na Ankę.

– Możesz mi dać jej wizytówkę, jeżeli masz. Jak tak dalej pójdzie, to naprawdę będzie trzeba umówić mamę na jakąś terapię. Zresztą mi też przyda się wsparcie, ta kobieta wykończy mnie nerwowo. Dobrze, że Jurek wraca, może on okaże jej większe zrozumienie i cierpliwość.

– No właśnie – podchwyciłam ten temat. – Co z Jurkiem? Dostałaś mój przelew?

– Tak, wypłacił już nawet pieniądze z konta i wymienił je w kantorze. Zabukował bilet na jutrzejszą noc.

– Chcesz, żeby Ludwik pojechał po niego na lotnisko?

– Nie trzeba. – Ania odsunęła od Zosi stojący na stole kubek. – Dogadał się z jakimś kolegą, który będzie wracał z Warszawy na weekend. Ma się z nim zabrać do Jaszczurek.

– To dobrze. – Pokiwałam głową.

– Też się cieszę. Nie chcę dłużej nadwyręzać dobrej woli Ludwika. Naprawdę nie wiem, jak wam dziękować za to, że co dzień pomagacie mi w gospodarstwie.

– Drobiazg. – Machnęłam zdrową ręką. – W końcu jesteśmy rodziną i ty też mi nieraz pomogłaś.

– Właśnie mówiłem Ance, że ja też już się mogę w tę pomoc włączyć – dodał Teodor. – Z nogą już lepiej, jestem coraz sprawniejszy, więc bardzo chętnie będę pomagał w gospodarstwie.

– Tak. – Ania też na mnie spojrzała. – Teodor zgodził się przeprowadzić do naszej służbówki.

– Naprawdę? – zdziwiły mnie jej słowa, choć wiedziałam, że Ania chce mu to zaproponować.

– I tak już długo siedzę ci na głowie. Ile można?

– Zawsze jesteś u mnie mile widziany. – Popatrzyłam na niego z sentymentem.

– Przecież wyprowadzam się raptem za płot. To nie koniec świata.

– No wiem... – Spuściłam wzrok.

– Zawsze mogę cię odwiedzać, żeby nie było ci przykro.

– Oj, dajcie już spokój – ucięła naszą rozmowę Anka. – Zachowujecie się jak para zakochanych nastolatków, których czeka długotrwała rozłąka. Bądźcie dorosłymi ludźmi.

Oboje z Teodorem, jak na komendę, wyprostowaliśmy plecy i odchrząknęliśmy.

– Tak, masz rację – pierwsza odzyskałam rezon, choć naprawdę było mi smutno, że Teodor wraca do Anki. Przyzwyczaiałam się do tego, że zawsze mogę na niego liczyć. Podczas gdy Ludwik nieustannie przebywał poza domem, on zawsze był. W dodatku Teodor to baczny obserwator i zawsze wyczuwał, gdy coś mnie trapiło. Służył dobrą radą, wspierał, pocieszał... A teraz co? Nie dość, że Anka chce go oddać innej babie, to jeszcze namówiła go do przeprowadzki. Naprawdę ogarnęła mnie z tego powodu nostalgia.

– Jakoś damy sobie radę. – Teodor w mig wyłapał moją nietęgą minę i spróbował pocieszyć.

– No pewnie – westchnęłam, choć kolejny raz tego dnia czułam się pokonana przez los. Czyżby po tylu latach postanowił nagle przestać mi sprzyjać? Najpierw nienawiść wsi, potem mściwy Marek, niewierność Ludwika, a teraz jeszcze (zresztą kolejny już raz) zabiera Teodora.

Do oczu napłynęły mi łzy. Wiem, że nie można trzymać kilku srok za ogon, ale czym sobie na to zasłużyłam? Czy nie należała mi się choć odrobina szczęścia?

Jak się wali, to wszystko naraz.

Rozdział 16

Wieczorem rozpętała się burza. Najpierw zerwał się gwałtowny wiatr, a niebo zasnuło chmurami. Siedziałam właśnie z Marcelem w salonie i graliśmy w grę planszową, gdy o szyby i parapety zaczęły bębnić duże, ciężkie krople deszczu.

Byliśmy w domu sami. Kasia z Tomkiem nadal przebywali gdzieś na wsi, a Ludwik nie wrócił jeszcze ze swojej wyprawy. Może nadal był w lesie, może leżał w łóżku kochanki, a może pojechał w końcu do jubilera – nie wiem. Jak by jednak nie było, mogłam spokojnie odhaczyć go na liście nieobecnych. Teodor natomiast nadal spędzał czas u Anki. Rozmawiali o szczegółach jego przeprowadzki i ustalali zakres obowiązków podczas pracy w gospodarstwie. Mieli też obejrzeć służbówkę, ale obawiam się, że przez przecinające niebo błyskawice i głośne grzmoty prędko tego nie zrobią. Jeżeli w ogóle im się to dziś uda. Jedno spojrzenie w niebo wystarczyło, by wyciągnąć wniosek, że ulewa szybko nie przejdzie. Zresztą zapewniali też o tym meteorolodzy, którzy przez cały dzień trąbili w radiu, by wieczorem nie wychodzić na zewnątrz, bo może być groźnie.

Nie chcąc narazić domu na straty, zostawiłam Marcela w salonie i pobiegłam na górę pozamykać okna. Rozkazałam mu też pod żadnym pozorem nie włączać telewizji. Trzeba dmuchać na zimne. Gdy miałam zaledwie kilka lat, podczas burzy spaliły się nam telewizor, lodówka i pralka. Od tamtej pory zawsze na wszelki wypadek wyciągałam wtyczki z gniazdek. Nie uśmiechało mi się wydawać potem kosmicznych sum na nowe sprzęty. Pensje nauczycielskie i tak ledwie pokrywały

nasze bieżące wydatki.

Gdy już wszystko powyłączałam i upewniłam się, że zamknęłam okna, wróciłam do Marcela. Stał na kanapie, opierając łokcie o zagłówek, i śledził wzrokiem pochylające się drzewa.

– Bardzo wieje – powiedział, gdy usiadłam obok niego. – Popatrz. – Wskazał palcem. – Wiatr zrywa nam z drzew jabłka.

Odwrociłam się w stronę okna i podążyłam wzrokiem za jego ręką. Wichura rzeczywiście szalała w najlepsze. Na dworze było niemal szaro. Zerwane przez wiatr liście wirowały między kroplami deszczu, a grzmoty stawały się coraz głośniejsze.

– Myślisz, że jakieś nam zostaną? – Marcel z niepokojem kontynuował temat jabłek.

– Myślę, że tak. – Poglądziłam go po włosach.

– A jak wyrwie całe drzewo?

– Nasza jabłonka jest twarda. Niejedną burzę przetrwała.

– To dobrze. – Pokiwał głową, po czym przysunął się do mnie tak, że stykaliśmy się ramionami. – Trochę się boję – wyszeptał. – Gdzie tatuś?

– Pewnie zaraz wróci. – Otoczyłam go ręką. – Nie musisz się bać, jesteśmy tutaj bezpieczni.

– Taka pani w telewizji mówiła, że rodzina jest silna tylko wtedy, gdy jest z nią tatuś. Może do niego zadzwonimy i poprosimy, żeby do nas wrócił?

Pocałowałam go w czoło, bo jego słowa bardzo mnie rozczuliły. Miał dużo racji. Chociaż nie bałam się burzy, też wolałabym, żeby był tutaj Ludwik. Nawet pomimo ostatnich wydarzeń.

– Podczas burzy nie powinno się wykonywać żadnych telefonów – wyjaśniłam Marcelowi.

– Dlaczego? – Popatrzył mi w oczy.

Po okolicy rozległ się kolejny głośny huk, a niebo rozświetliła błyskawica. Deszcz zaczął bębnić o szyby jeszcze mocniej niż dotychczas.

– Bo sygnał z komórki może ściągać pioruny, to niebezpieczne. – Poglądziłam Marcela po plecach.

– Szkoda. – Wygiął usta w podkówkę.

– Ale nie martw się, tatuś pewnie i tak zaraz wróci. – Uspokajająco dotknęłam jego policzka.

Nie pomyliłam się. Ulewny deszcz przygnał do domu najpierw Kasię i Tomka, a potem także Ludwika. Ci pierwsi wrócili już po kilku minutach. Wpadli na korytarz przemoczeni do suchej nitki. Posklejane włosy opadały im na czoła i twarze, a z przylegających do ciała ubrań kapą woda.

– Ale leje! – rzuciła Kasia, gdy tylko wyjrzelśmy z Marcelem na korytarz. – Czuję, że jeśli wyźmiemy moje ciuchy, to otrzymamy co najmniej wiadro wody. –

Spróbowała odkleić od skóry przemoczoną bluzkę.

– A do tego nieźle się ochłodziło. – Tomek popatrzył na swoje adidas. Z pewnością chlupała w nich woda.

– Nie ruszajcie się stąd, przyniosę wam ręczniki – zaproponowałam, przesuając wzrokiem po ich twarzach, i ruszyłam do łazienki.

– Muszę to z siebie zdjąć jak najprędzej. – Kasia nie czekała, aż wrócę, i ściągnęła bluzkę.

– Gdzie byliście? – zapytał natomiast przyglądający się im Marcel. Stał nieopodal, opierając się o ścianę.

– Tomek pokazał mi drewniany, opuszczony dom kawałek za wsią. Malowałam go.

– Malowałaś? – Marcel spojrzał jej w oczy. – Ale nie masz obrazu.

– No właśnie! – Wróciłam z łazienki. – Co ze sztalugą i płótnem? – podałam im dwa wielkie, grube ręczniki.

Kasia natychmiast przesunęła nimi po ramionach, brzuchu i włosach.

– Musieliśmy zostawić je w tym domu, bo inaczej by zmokły – wyjaśnił mi Tomek, który też ściągnął koszulkę i zaczął się wycierać. – Na szczęście jedno z okien było wybite i mogliśmy wejść do środka.

– Dobra, dobra. – Kasia zerknęła na niego z ukosa. – Wcale nie było wybite, tylko Tomek je wybił – zwróciła się do mnie. – Inaczej zalałoby mi obraz.

– Czego się nie robi dla sztuki. – Chłopak błysnął zębami i uśmiechnął się do niej z bardziej błogim wyrazem twarzy niż zakochany kundel.

– Mam nadzieję, że nikt was za to nie pociągnie do odpowiedzialności. – Pokręciłam głową z dezaprobatą dla ich kolejnego wybryku. – Ten dom na pewno jest czyjs – ośmieliłam się zauważyć.

– Ojciec mówił, że odkąd zmarła mieszkająca w nim przed laty staruszka, stoi pusty i opuszczony. Podobno rodzina tej pani mieszka za granicą i nie chcą tutaj przyjeżdżać.

– A dom niszczeje. – Kasia zaczęła wycierać nogi. Miała na sobie krótkie spodenki.

– To prawda. – Tomek pokiwał głową. – A szkoda, bo kiedyś musiał być naprawdę piękny.

– Nadal jest. Te rzeźbione okiennice i przerzedzona strzecha... – rozmarzyła się Kasia.

– Co to jest strzecha? – odezwał się Marcel.

– Taki rodzaj dachu – wyjaśnił mu Tomek.

– To wy tu się wycierajcie, a ja zrobię wam coś ciepłego do picia – zaproponowałam, zerkając na kałuże, które utworzyły się wokół ich stóp. – Macie ochotę na herbatę?

– Ja poproszę zieloną – zażyczyła sobie Kasia i utworzyła na głowie zgrabny

turban z ręcznika. – Pójdziemy się w tym czasie przebrać. – Złapała Tomka za rękę.

– Weź dla Tomka jakieś suche ubrania z szafy Ludwika – rzuciłam jeszcze, nim oddaliłam się do kuchni.

Marcel podążył za mną. Stał przy jednej z szafek i z uwagą obserwował moje ruchy, gdy wstawiałam wodę i wyjmowałam z szafki kubki.

– Tobie też zrobić herbatę? – zwróciłam się do niego.

– Poproszę – odparł grzecznie.

Potem oboje odczekaliśmy, aż woda się zagotuje. Zaniósłam wszystkie gorące kubki na stół w salonie i usiedliśmy z Marcelem na kanapie. Deszcz nieustannie bębnił w szyby za naszymi plecami, w pokoju było dość ciemno.

– Jest już noc? – Marcel odwrócił się i popatrzył w okno.

– Nie. Po prostu chmury i deszcz zasłoniły nam słońce.

– Szkoda.

– Dlaczego?

– Bo gdyby była noc, to tatuś by wrócił. Zawsze wtedy wraca, prawda? I rano z nami jest.

Upiłam łyk gorącej herbaty, nie wiedząc, co mu odpowiedzieć. Na szczęście po chwili wrócili do nas Kasia i Tomek. Kasia włożyła džinsy i szarą bluzkę, a Tomek ubrany był w kraciaste spodenki i czarną koszulkę Ludwika. Oboje mieli mokre włosy i bose stopy.

– Nawet nie wiecie, jaki to komfort mieć na sobie suche ubrania. – Kasia opadła na fotel. Podciągnęła nogi pod siebie, po czym wzięła ze stołu różowy kubek i zaczęła grzać palce, pocierając nimi o ciepłą porcelanę.

– Zgadzam się. Człowiek nie docenia takich małych rzeczy. – Tomek przysiadł na podłokietniku obok niej.

– Widzę, że nie trzeba wiele, by zmusić współczesną młodzież do refleksji. Wystarczy odrobina wody – zażartowałam.

– Śmieję się, śmieję. – Kasia posłała mi rozbawione spojrzenie. – Biegliśmy w tej ulewie ze dwa kilometry.

– Jak nie więcej.

– Trzeba było poprosić kogoś, żeby was podwiózł.

– Akurat – prychnęła. – Może ciebie mieszkańcy Jaszczurek ostatnio lubią, mnie niekoniecznie.

– Co masz na myśli? – zaniepokoiłam się, słysząc jej słowa. Nasi sąsiedzi swego czasu pokazali, do czego są zdolni, jeśli chodzi o szykanowanie. Wszyscy doświadczyliśmy nieprzyjemności płynących z ich strony, takich jak nasyłanie na nas policji czy wyrzucanie hałd śmieci prosto pod nasz wyjazd z podwórka.

– Och, właściwie to nic się nie dzieje. – Kasia uśmiechnęła się uspokajająco. – Po prostu czuję w kontakcie z tymi ludźmi, że nie są do mnie przekonani.

– Gdyby coś się działo, to mów mi o tym, dobrze? Postaram się reagować – powiedziałam, a do naszych uszu dobiegł kolejny głośny grzmot.

Zaraz po tym drzwi do domu otworzyły się gwałtownie i na korytarz wpadł przemoczony Ludwik. Może nie ociekał wodą tak bardzo, jak wcześniej Tomek i Kasia, ale widać było, że jego po drodze też dopadł deszcz.

– Co za oberwanie chmury – powiedział, gdy zajrzał do salonu.

– Tatuś! – Marcel na jego widok natychmiast zerwał się z kanapy. Sprawnie wyminął stół i podbiegł do niego się przytulić. – Jak dobrze, że jesteś. – Oplótł dłońmi jego kolana.

Muszę przyznać, że rozczulił mnie ten widok. Aż się uśmiechnęłam. Podobnie zresztą jak Ludwik.

– Tęskniłeś za mną? – Pochylił się i podniósł Marcela do góry.

– Wszyscy tęskniliśmy! – Marcel zapewnił żarliwie. – Baliśmy się z mamusią, że do nas nie wrócisz.

– Co za bzdura – zachnął się Ludwik. – Przecież kocham was tak bardzo, że za nic w świecie nie mógłbym zostawić. – Połaskotał Marcela po brzuchu, a w moim gardle zebrała się dławiąca gula emocji. Wyglądali teraz jak żywcem wycięci z jakiegoś sielskiego obrazka. Ojciec i syn. Przykładna, kochająca się rodzina.

Pod powieki napłynęły mi łzy. Tylko skoro ci dwaj tak bardzo się kochali, jak Ludwik mógłby wdać się w romans? Jak mógłby doprowadzić naszą rodzinę do rozpadu? Gdy tak na nich patrzyłam, naprawdę trudno mi było uwierzyć w jego niewierność.

Nie chcąc zanadto się rozczulać, szybko porzuciłam te myśli.

– Dla mnie też jest herbata? – Ludwik postawił w końcu Marcela na ziemię. – Trochę zmarzłem.

– Jest jeszcze gorąca woda w czajniku. – Zerknęłam na niego. – Zrób sobie.

– Zrobię. – Pokiwał głową. – O, fajne spodenki. – Jego wzrok padł nagle na Tomka.

– Też mi się podobają – ten cicho się zaśmiał.

– Chyba miałem kiedyś podobne, nie, Zuzka?

– Ludwik – zarechotała głośno Kasia. – Przecież one są twoje.

– Naprawdę? – Mój ślubny pochylił głowę, bacznie przyglądając się spodenkom.

– Złapał nas deszcz i Zuzka pożyczyła je Tomkowi.

– Nie masz nic przeciwko? – Chłopak popatrzył na niego.

– Nie, skąd. Jak chcesz, to nawet je sobie weź.

– Dzięki, ale wolę oddać. – Tomek wydał się zaskoczony. Po okolicy rozszedł się kolejny grzmot. Nieco cichszy niż poprzednie, lecz nadal głośny.

– Naprawdę, weź je sobie. Mam takich mnóstwo. – Ludwik uśmiechnął się

szeroko, po czym przeszedł do kuchni i zrobił sobie herbatę. Potem usiadł na ostatnim z wolnych foteli i pierwszy raz od dawna spędziliśmy rodzinny wieczór pełen śmiechu, przekomarzania się i rozmów. Było naprawdę miło. I pomyśleć, że wystarczyła odrobina wody za oknem i hałas, by zbliżyć nas do siebie.

– To my już chyba pójdziemy do siebie – oznajmiła około dwudziestej Kasia i zerknęła na Tomka. – Obejrzymy jakiś film albo coś takiego, nie?

– Jasne. – Tomek pokiwał głową, po czym oboje podnieśli się z fotela.

– Dobrego wieczoru – życzyliśmy im z Ludwikiem, gdy oddalali się na górę.

– To co, kawalerze? – zwrócił się do Marcela mój ślubny. – Idziemy się kąpać i spać?

– A poczytasz mi na dobranoc bajkę o Scooby-Doo? – Nasz synek potarł zmęczone oczy.

– No pewnie, że poczytam. – Ludwik rozczochrał mu włosy.

– W takim razie zgoda – odparł Marcel i pozwolił zaprowadzić się do łazienki.

Ja natomiast posprzątałam ze stołu, zamknęłam drzwi do domu na klucz i wzięłam szybki prysznic w łazience na dole. A gdy poszłam na górę i zajrzałam do sypialni, czekał na mnie jeden z najmniej spodziewanych widoków na świecie. W naszym podwójnym łóżku i białej pościeli leżał bowiem mój mąż. W dodatku miał na sobie tylko bokserki, a zasłonki, które Kasia jakiś czas temu zawiesiła w naszym oknie, były szczelnie zasłonięte. Ludwik zapalił jedynie lampkę stojącą na etażerce po jego stronie łóżka, przez co w sypialni było niemal romantycznie. Aż mnie zamurowało.

– Coś nie tak? – zapytał, lustrując wzrokiem moją zdziwioną minę. – Wyglądasz, jakbyś zobaczyła ducha.

– Cóż – mruknęłam mało elokwentnie, po czym zamknęłam za sobą drzwi. – Po prostu ostatnio rzadko kładziemy się spać w tym samym momencie. – Podeszłam do swojej strony łóżka i zdjęłam kapcie.

– Wierz mi, że też nie jestem z tego zadowolony. – Ludwik popatrzył na mnie jakoś tak dziwnie. Jakby z pożądaniem albo czymś podobnym. Już zapomniałam, że potrafi tak patrzeć.

– Może powinieneś coś z tym zrobić – bąknęłam nieco zmieszana, po czym usiadłam na materacu i wsunęłam się pod kołdrę. Mój wzrok padł na leżącą na szafce książkę, której od kilku dni nie miałam czasu skończyć.

– No chyba nie będziesz teraz czytać? – Ludwik wyłapał to spojrzenie i przekreślił się na bok.

– Nie? – Spojrzałam na niego zszokowana niemal tak samo, jak chwilę temu.

– Nie. – Patrząc mi w oczy, zniżył głos i lekko powiódł palcami po mojej dłoni.

– W takim razie co chciałbyś robić?

– No wiesz... – zamruczał, przysuwając się jeszcze.

Poczułam, że mój żołądek zaczyna się zaciskać. Czy on, do cholery, chciał właśnie uprawiać ze mną seks? Zamrugałam kilka razy powiekami, a moje serce zaczęło bić mocniej. To było naprawdę niespotykane ostatnio zjawisko. Może przez tę ulewę nie zdążył odwiedzić swojego Blond Złotka? Nie umiałam znaleźć bardziej racjonalnego wyjaśnienia dla tych jego nagłych amorów.

– Pamiętasz, jak kilka dni temu mówiłem, że moglibyśmy pomyśleć o powiększeniu rodziny? – Ludwik nie ustępował i zbliżył usta do mojej szyi. – Może moglibyśmy zająć się tym właśnie teraz? – Musnął ją kilka razy.

Mimowolnie zacisnęłam powieki. Zamiast poczuć motyle w brzuchu, zebrało mi się na łzy. Cholera jasna, jak nic ma ten romans, jak nic! We wszystkich czasopiśmie dla kobiet piszą, że mężczyźni naiwnie wierzą, iż nowe dziecko spoi ich walący się związek, co oczywiście jest bzdurą i bujną wyssaną z palca. Na myśl o tym nerwowo przełknęłam ślinę. Świetnie. No to już po mnie.

– Ładnie pachniesz – szepnął mi do ucha Ludwik. Był skupiony na całowaniu, więc nie dostrzegł mojej reakcji.

– Zostaw. – Po moim policzku pociekła pierwsza z łez i odchyliłam głowę w bok. Potem lekko odtrąciłam go ręką. W sypialni zapanowało trudne do zniesienia milczenie. Słyszeć było jedynie cichy szmer padającego deszczu.

Ludwik popatrzył na mnie zaskoczony, ale posłusznie zabrał rękę.

– Nie jestem w nastroju. – Nie mogłam się zmusić nawet do tego, by na niego popatrzeć. Zacisnęłam dłonie w pięści, starając się stłumić drżenie całego ciała.

Nagle wizja Ludwika całującego i mówiącego w ten sposób do innej kobiety wydała mi się wyjątkowo realna. Nieświadomie skontrastowałam ten obraz z widokiem Ludwika przytulającego Marcela. Zabolęło mnie serce. Po policzkach popłynęły kolejne łzy.

– Zuzka? – Ludwik wsparł się na łokciu. – Co jest? Coś nie tak? – Wyglądał na wystraszonego.

Drżącą dłonią otarłam te cholerne łzy.

– Nie, wszystko w porządku – wymamrotałam, po czym usiadłam plecami do niego.

– Ale... – zawahał się. – Myślałem, że chciałabyś mieć kolejne dziecko.

– Ja...

– Zuzka – jego ton był miękki i łagodny. Nad podziw ciepły i kojący. Dawno go takiego nie słyszałam.

– Proszę, nie mówmy teraz o tym. – Przejechałam dłonią po udzie.

– Zuzka. – Ludwik ponownie dotknął mojego ramienia. – Co jest?

– Nic. Po prostu... Pójdę na dół czegoś się napić. – W odpowiedzi podniosłam się z materaca. Zarzuciłam na siebie leżący na fotelu szlafroczek, po

czym wymknęłam się z sypialni. Kątem oka zarejestrowałam tylko, że Ludwik też się podniósł i patrzył, jak wychodziłam.

Starając się uspokoić szalejące myśli i serce, wzięłam kilka głębokich wdechów, a potem sprawnie zesłam po schodach. Nie zaprzatając sobie głowy zapaleniem światła, w ciemności dotarłam do salonu. Usiadłam na kanapie bokiem do okna i podwinęłam pod siebie stopy. Następnie przytuliłam policzek do chłodnego obicia i zapatrzyłam się na padający za oknem deszcz. Płakałam razem z niebem. A może to ono płakało nade mną?

Czułam się fatalnie i pękało mi serce. Nagle straciłam cały dystans do sytuacji, w jakiej znaleźliśmy się z moim mężem, i przestało wystarczać mi sił. Nie mogąc opanować płaczu, zacisnęłam powieki.

Tego wieczoru rzeczywistość zdawała się bardzo, ale to bardzo mnie przerastać. Spędziłam noc, śpiąc na kanapie pod kocem. Nie miałam ochoty patrzeć na Ludwika, a nawet na siebie. Pierwszy raz od dawna tak fatalnie czułam się we własnej skórze. Nie radziłam sobie. Ani z myślami, ani z emocjami. Chyba potrzebowałam pomocy.

I właśnie wtedy wyłonił się z pokoju pod schodami Teodor. Nie pytając o nic, po prostu podszedł i wziął mnie w ramiona.

– Wszystko będzie dobrze, malutka, zobaczysz – wyszeptał mi we włosy.

Wtulona w niego nawet nie zauważyłam, kiedy zasnęłam.

Rozdział 17

Podobno, gdy mamy problemy, powinniśmy dużo spać. Wielu naukowców twierdzi, że to pomaga mózgowi poukładać myśli i zaszufadkować to, co chaotyczne i rozrzucone po głowie bez większego sensu. Dzięki temu, gdy już się ze swoimi kłopotami prześpimy, jesteśmy w stanie popatrzeć na nie inaczej. Idąc tym tropem, można śmiało powiedzieć, że najlepsze pomysły rodzą się po długotrwałym odpoczynku lub w trakcie niego. Zjawisko to ma także wyjaśniać tak zwane olśnienia u twórców. A przynajmniej tak dowodzi nauka.

Cóż. Wszystko dobrze, tylko szkoda, że u mnie ten mechanizm nie działa. Po przespanej na kanapie nocy obudziłam się bowiem tak samo bezsilna i pozbawiona chęci do działania jak wtedy, gdy się kładłam. Najwidoczniej jestem przypadkiem potwierdzającym regułę. Tym trafiającym się bardzo rzadko i nieszczęsnym. Tym wyjątkowym, jednym na milion. Hura.

Kręcąc nosem, podniosłam się z kanapy i przeszłam do kuchni, by zrobić sobie kawę. Wszyscy domownicy jeszcze spali, więc w kuchni panowała idealna cisza. Wiszący na ścianie zegarek wskazywał, że jest dziesięć po piątej.

Wyjęłam z szafki kubek, nasypałam do niego zmielone ziarna i zalałam wrzątkiem. Wiem, że nie powinno się pić kawy na pusty żołądek, ale dziś zupełnie nie obchodziły mnie potencjalne wrzody. Upiłam pierwszy łyk, a potem kolejny i podeszłam do okna. Wczorajsza burza nie wyrządziła wielkich strat na naszym podwórku. Poza postrącanymi jabłkami i kilkoma przewróconymi donicami, które mozolnie poustawiała Kasia, podwórko prezentowało się dobrze. Odetchnęłam

z ulgą. Nie miałam dziś ochoty na wielkie sprzątanie. A prawdę mówiąc, to nie miałam ochoty na nic.

Upijając kolejny łyk kawy, zerknęłam na zamontowany za szybą termometr. Chociaż wczoraj wieczorem bardzo się ochłodziło, już teraz wskazywał na dwadzieścia pięć stopni, co wróżyło tylko jedno – upał.

Westchnęłam, ponownie przenosząc wzrok na podwórko. Żar lał się z nieba. To nie była wymarzona temperatura do tego, by mieć rękę w gipsie. Ciekawe, czy taki argument przekonałby lekarza, by w końcu mi go zdjąć.

Postałam przy oknie jeszcze kilka chwil, aż w końcu zdecydowałam się wyjść na dwór. Zmieniłam kapcie na czarne klapki i wymknęłam się, zamykając za sobą drzwi. Gdy znalazłam się na ganku, odetchnęłam głęboko. Powietrze było wilgotne i rześkie. W połączeniu z rosnącą temperaturą sprawiało wrażenie niemal tropikalnego.

Zeszłam z ganku i sprawnie omijając kałuże, dotarłam do stojącej pod drzewem, drewnianej ławki. Usiadłam na niej, postawiłam obok kawę i zapatrzyłam się na okno w pokoju Marcela. Pewnie jeszcze śpi w najlepsze. A gdy się obudzi, popędzi razem z ulubioną poduszką do Ludwika i wpakuje się do naszego łóżka. W wakacje był to częsty schemat naszych pobudek. Naprawdę uroczy.

Na myśl o Marcelu zapiekły mnie oczy. Czy Ludwik naprawdę był aż taką świnią, by pozbawić nas tych wspólnych poranków?

Rozgoryczona upiłam kolejny łyk kawy i przymknęłam powieki. Z każdym kolejnym dniem życia w niepewności coraz bardziej obawiałam się, że któregoś poranka Ludwik oznajmi mi w końcu, że odchodzi. A wtedy moje serce rozpadnie się na milion kawałeczków i rozsypie na ziemi niczym drobny mak. Niezależnie od tego, jak wyglądała nasza przeszłość, bardzo kochałam swojego męża. I wciąż bardzo go kocham.

Siedziałam przed domem około dwie godziny. Raz było mi smutno i czułam się zrezygnowana, innym razem pałałam nadzieją, że Ludwik jest mi wierny. Od bicia się z myślami, parę minut po siódmej, oderwał mnie głos stojącej za siatką pani Celi.

– A co ty tak siedzisz, Zuzka? – zapytała głośno i postawiła obok sznurków na bieliznę zieloną miskę z praniem.

– Dzień dobry! – Uśmiechnęłam się do niej i podeszłam do siatki. – Tak wcześnie, a pani już zdążyła zrobić pranie? – zagadnęłam, spoglądając na miskę.

– Im człowiek starszy, tym gorzej śpi. – Pani Cela wzięła koszulę męża i zaczęła wieszać ją na sznurku. – Kładę się o dwudziestej drugiej, a o piątej jestem już wypoczęta i świeża jak skowronek. Muszę coś zrobić ze swoim wolnym czasem, żeby nie zwariować. Powiem ci w sekrecie, że ręczne pranie to dobry patent na zabicie czasu.

– Będę miała to na uwadze.

– A ty dlaczego nie śpisz? – Pani Cela zapięła na rozwieszonej koszuli kolorowe klamerki.

– Sen dla mnie też dziś nie był łaskawy – odpowiedziałam wymijająco.

– Nieraz tak jest. – Sąsiadka posłała mi pełne troski spojrzenie. – Dżemiki z jagód ci się udały?

– Tak, dziękuję, chociaż wyszły trochę gęste.

– Jagody mają bardzo mało soku. Ja zawsze dodaję do nich trochę wody.

– Będę miała to na uwadze, gdy zabiorę się za przetwory kolejny raz.

– A na przykład od wiśni zawsze trochę soku odlewam. Raz zapomniałam i wyszła mi breja. Dżem spływał z chleba, musieliśmy go z Kaziem jeść łyżeczkami. Jedynie Anielce smakował.

– No właśnie, jak Anielce podobają się wakacje?

– Filip zabrał ją na jakiś czas nad jezioro. Mieszkają w namiocie na jakiś kempingu. Wczoraj dzwonili i opowiadali nam, że byli w parku linowym. Filip wysłał nam na maila nawet kilka zdjęć, ale ani ja, ani Kazio nie potrafimy ich otworzyć. Technologiczne sieroty z nas.

Uśmiechnęłam się ciepło.

– To może wpadnę później do państwa i pomogę te zdjęcia otworzyć?

– Naprawdę? – Oczywiście pani Celi rozbłyły. – Mogłabyś?

– Pewnie, to żaden kłopot – zapewniłam żarliwie, a z domu wychynął pan Kazio. Miał na sobie flanelową koszulę i długie, brązowe spodnie.

– Zobaczyłem was z okna! – krzyknął i pomachał ręką, idąc w naszą stronę.

– Dzień dobry. – Ukłonił się, stając obok żony.

– Dzień dobry. Z pana też ranny ptaszek.

– Jak Cela wstaje, to i ja się budzę przy okazji. – Uśmiechnął się do mnie. – Przyszedłem pogadać o tym, co z naszą reklamą. – Odgonił ręką natarczywą muchę.

– Ach, z reklamą...

– Ja jestem gotowy do działania. – Wyprężył pierś.

– Tak?

– Napisałem już tekst, przygotowałem kostiumy i kilka razy przeczytałem instrukcję do aparatu. Możemy działać.

– Och... – westchnęłam. Przez zamieszanie, które zapanowało ostatnio w moim życiu, nie miałam nawet czasu, by przygotować się do tego szaleństwa.

– Kiedy by ci pasowało? – Pan Kazio był jednak nieustępliwy. – Dasz radę wcisnąć starego sąsiada w grafik?

– Grafik? – Zerknęłam na niego zaskoczona.

– No ty teraz jesteś gwiazdą, więc pewnie masz sporo na głowie. Ale nie martw się, ja się dostosuję. Mogę nawet jeszcze kilka dni poczekać. Byle nie za

długo – zaznaczył, unosząc do góry palec wskazujący.

– Tak... – Przystąpiłam z nogi na nogę. – Prawdę mówiąc, w najbliższym czasie jestem raczej wolna.

– Naprawdę?! – szczerze się ucieszył. – To może dziś po południu?

– Dzisiaj? – odezwałyśmy się z panią Celą w tym samym momencie.

– No a co? Przecież tu nie ma na co czekać, kochane. Reklama dźwignią handlu, a ja zaraz będę wybierał kolejną partię miodu. I to nie byle jakiego, bo lipowego!

– Rozumiem – mruknęłam.

– To co, pasowałoby ci na przykład o piętnastej? – Pan Kazio spojrzał mi w oczy.

Kolejny raz westchnęłam. Nie pałałam entuzjazmem do jego pomysłu, ale jak się rzekło a, to b też trzeba powiedzieć.

– Tak, chyba tak. – Zmusiłam się więc do uśmiechu.

– No to wspaniale! – Entuzjastycznie zaklasnął w ręce. – To ja zaczynam budować plan zdjęciowy.

– Zaraz, zaraz. – Pani Cela popatrzyła na niego. – Jaki plan zdjęciowy? O czym ty gadasz.

– No przecież za Zuzanną musi rozciągać się jakieś ładne tło.

– Myślałam, że chce pan zrobić te zdjęcia, gdy w tle będzie widać pańską pasiekę – wtrąciłam.

– No tak, tak, jeśli chodzi o zdjęcia, to oczywiście, zrobimy je na tle uli. Tak, żeby było naturalnie.

– W takim razie co chcesz budować? – Pani Cela wzięła się pod boki. Długa spódnica, którą miała na sobie, zafalowała wokół jej kostek.

– Plan do filmu! – wypalił pan Kazio.

– Co?! – z głosów – mojego i pani Celi – znów powstał zgodny chór.

– A to nie miały być tylko zdjęcia? – wydukałam.

– Och. – Pan Kazio podrapał się po głowie. – No miały być, miały. Ale tak sobie pomyślałem, że skoro ty, Zuzka, jesteś aktorką, to moglibyśmy przy okazji nakręcić także reklamę.

– Ale po co? – Pani Cela patrzyła na męża jak na wariata. – Gdzie ty chcesz to puszczać? No bo chyba nie w telewizji! To kosztowałoby z milion złotych. A nawet i więcej!

– W żadnej telewizji, kochanie – pan Kazio spróbował ją udobruchać. – W internet ten filmik wrzucimy. Na YouTube'a.

– Na co?! – Oczy pani Celi stały się jeszcze większe.

Ja też miałam źrenice jak pięć złotych. YouTube w ustach pana Kazia brzmiał co najmniej... niewiarygodnie. Przecież ten człowiek miał problem z pobraniem zdjęć ze skrzynki mailowej.

– No nie patrz tak na mnie, kochanie. – Pan Kazio pokręcił głową, niezadowolony z reakcji żony. – Przygotowałem się do tej naszej promocji.

– Ty mi oczu nie mydl. Co to jest ten cały YouTube?

– No... – pan Kazio nerwowo przełknął ślinę. – Jak zacząłem przygotowania do tej naszej promocji miodku, to porozmawiałem z pewnymi grupami odbiorców, żebyśmy dotarli z reklamą do ludzi w różnym wieku...

– Na mózg mu się rzuciło – pani Cela nie dała mężowi skończyć i popatrzyła na mnie, składając ręce w geście politowania.

– Niech pan mówi. – Uśmiechnęłam się, nie chcąc sprawiać przykrości panu Kaziowi.

– No właśnie. – Sąsiad wydał się uradowany moim poparciem. – Więc kiedy tak chodziłem po wsi i wypytywałem, zaczęłem też dwóch chłopaków, którzy szli właśnie grać w nogę na boisku. Syna Maciejaka, co mieszka na wybudowaniu i tego Hubercika grubego, wiesz Cela. – Znacząco popatrzył na żonę. – Tego, który pracował u świętej pamięci Małgosi, zanim mąż ją zostawił.

– A, tego co mieszkają na prawo od Juleczki Lewandowskiej. Nie, czekaj! Jak ona się z męża nazywa?

– Mazurska? – Pan Kazio zrobił pełną zadumy minę.

– Nie, nie. Mazurska to jest Ulka, z domu Brdak. Córka tego wuja, co mieszka w Sosenkach. Ta Juleczka to się zupełnie inaczej nazywa. – Przyłożyła palec do skroni. – Niech no ja sobie tylko przypomnę...

– A Juleczka to nie była czasem wnuczką Serafinki? – zasępił się pan Kazio. – No wiesz, tej, co to im się stodoła spaliła w siedemdziesiątym ósmym.

– Może być. – Pani Cela przejechała dłonią po brodzie. – To było w lipcu i były straszne upały. Pamiętam dobrze, bo z Marczakową piekłyśmy właśnie ciasto, kiedy zaczęło się dymić...

– Czekaj, czekaj... A czy w siedemdziesiątym ósmym nie paliło się u Jadziuni, a u Serafinki dwa lata później, jakoś tak bliżej jesieni? I ja wtedy nie pomagałem gasić, bo mnie Fryderyk zawołał?

– A może być...

Przestąpiłam z nogi na nogę, zupełnie tracąc wątek. Zabijcie mnie, ale nie miałam pojęcia, o kim oni mówią, choć mieszkałam w Jaszczurkach od urodzenia.

– To co panu powiedzieli ci chłopcy? – odważyłam się wtrącić, gdy małżeństwo po drugiej stronie siatki rozmawiało w najlepsze o tylko sobie znanych wydarzeniach.

– A, tak! – Pan Kazio jakby się otrząsnął na dźwięk mojego głosu. – I ci chłopcy, na marginesie bardzo kulturalni młodzi ludzie, uświadomili mi, że jeśli chcemy dotrzeć ze swoją reklamą do młodych, to musimy ją wpisać w internet. Wiesz, Celu, w komputer.

– Ta dzisiejsza młodzież to tylko o tej technologii. – Małżonka pana Kazia

załamała rękę.

– I podobno te filmiki reklamujące wrzuca się na jakiegoś YouTube’a. I to całkowicie za darmo! A tam ludzie milionami je oglądają, kochanie, milionami! Tylko pomyśl: milion ludzi obejrzy naszą reklamę!

– Chyba muszę pana rozczarować, ale to nie jest takie hop-siup – mruknęłam pod nosem.

– Milion osób? – ożywiła się natomiast pani Cela. – Ale tak naprawdę?

– Naprawdę, kochanie, naprawdę! – Pan Kazio ujął w dłonie jej rękę. – Przecież jak nas milion osób zobaczy, a połowa z tego kupi nasz miód, to my będziemy mogli sobie nową chałupę wybudować. Ba! Albo i kupić nowy traktor!

– Ale ty umiesz obsługiwać ten YouTube? – Pani Cela nagle zmarszczyła brwi.

– No cóż, na razie nie umiem, ale to się wszystko da zrobić, Celu, ja się nauczę. – Pan Kazio na chwilę stracił energię, ale bardzo szybko ją odzyskał.

– A niby jak? – Małżonka popatrzyła na niego z ukosa.

– Chłopaki obiecali, że mnie nauczą. Jak już wszystko pięknie nagramy, to mogę do nich iść z aparatem. Zresztą oni ten pierwszy filmik sami do tego YouTube’a wprowadzą. Ja będę tylko patrzył.

– Pierwszy? – jęknęłam niepocieszona. – A to ma pan zamiar nakręcić następne?

– No pewnie, Zuzka, no pewnie! Jak się tylko spodoba, to zrobimy cykl takich filmików. Każdy oczywiście z tobą w roli głównej, żebyś nie była stratna! A jak naprawdę będziemy sławni, to urządzimy nawet taki wirtualny spacer po naszej pasiece. I to na żywo! Ci chłopcy mi powiedzieli, że to bardzo proste i wszystko da się załatwić. Będziemy bogaci! – ponownie zwrócił się do żony. – I to już całkiem niedługo!

– Żeby nam tylko miodu starczyło, jak ci wszyscy internauci naprawdę zaczną do nas przyjeżdżać. – Pani Cela była coraz bardziej oczarowana tą górnolotną wizją. – Będzie wtedy trzeba jakiś plakat powiesić na płocie, żeby wiedzieli, że można go kupić u nas, i nie biegali do Zuzki.

Nie chcąc studzić ich entuzjazmu, spuściłam wzrok.

– To co, Zuzka? – Pan Kazio popatrzył na mnie. – Jesteśmy umówieni na piętnastą?

– Tak, oczywiście – odpowiedziałam, siłąc się na miły ton.

– To zrób sobie wcześniej jakiś makijaż, dobrze? – odezwał się jeszcze. – Najlepiej w szarościach i żółciach. Możesz też dać jakąś szminkę. Niby pracowałem ostatnio przy ekipie filmowców, ale do kobiecych spraw to ja wolę rąk nie przykładac. Chociaż Cela! – ponownie zwrócił się do małżonki. – Jak my zostaniemy gwiazdami internetu, to ja się będę tego makijażu musiał nauczyć! – wykrzyknął, jakby go nagle olśniło. – Przecież nie będziemy byle komu płacić,

żeby nas malował, skoro można samemu, a profesjonalny makijaż to podobno podstawa. Tak mi mówiła ta prezenterka taka piękna, co to u Ani mieszkała...

– Joanna – podsunęłam mu imię. – Joanna Kaczorek.

– Ta to zawsze olśniewała urodą, nie ma co! – Zrobił rozmarzoną minę. – Oczywiście bez urazy, Zuzka, bez urazy! Z ciebie też jest wielka gwiazda, nie bierz tego mojego gadania do siebie.

– Bez obaw – aż się roześmiałam na widok jego zmieszania. – To do zobaczenia o piętnastej – postanowiłam zakończyć tę zwariowaną rozmowę i dać panu Kaziowi odsapnąć od tych wszystkich wizji, które nagle zrodziły się w jego głowie.

– Tak, tak, do zobaczenia! – sąsiedzi też pozdrowili mnie ciepło i wróciłam do domu. Wstyd przyznać, ale pan Kazio (a raczej jego szaleństwa) trochę poprawił mi humor.

Rozdział 18

O dziewiątej, jeszcze nim Kasia, Tomek i Ludwik zdążyli wstać, przyjechała Beata. Zaparkowała (tym razem swoim samochodem) w naszym wjeździe i zapukała w uchylone okno do kuchni. Zmywałam właśnie po śniadaniu, które zjadłam razem z Marcelem.

– Wyjdiesz do mnie? – zawołała, patrząc mi prosto w oczy. Dziś ubrana była w dzinsy do kolan i jasną koszulkę z koronką na ramionach. Nie miała też na stopach obcasów, ale wygodne sandały na grubej podeszwie wiązane nad kostką.

– Wyjdę, wyjdę – odpowiedziałam, zakręcając wodę. – A może ty wejdiesz? Na przykład na kawę?

– Wołałabym nie. Przecież w twojej kuchni nie możemy rozmawiać o... – w porę ugryzła się w język. – O niektórych sprawach.

– Masz rację – nie mogłam się z nią nie zgodzić i wytarłam rękę w wilgotną ściereczkę, którą rzuciłam wcześniej na zmywarkę. Byłam trochę zmęczona zmywaniem jedną dłonią. Odkąd miałam na sobie ten paskudny gips, większość czynności domowych zajmowała mi dwa razy więcej czasu niż wcześniej. Potrzebowałam odpoczynku.

– To ja tutaj poczekam – krzyknęła jeszcze Beatka.

– Chcesz coś do picia?

– Może weź jakiś sok albo wodę – odpowiedziała, wystawiając twarz ku słońcu.

– Okej – mruknęłam i wzięłam z blatu półlitrową butelkę z wodą smakową.

– To zaraz będę. – Zamknęłam okno i przeszłam do salonu, gdzie, oczywiście przed telewizorem, leżał wpatrzony w ekran Marcel. – Muszę na chwilę wyjść – powiedziałam do niego. – Możesz zostać z wujkiem Teodorem, czy mam obudzić tatę, żebyś nie czuł się samotny?

– Mogę zostać z wujkiem – odpowiedział i przekręcił głowę w moją stronę.

– Dokąd idziesz?

– Przyjechała ciocia Beatka, musimy porozmawiać.

– O czymś ważnym? Wczoraj w telewizji mówili, że kobiety najczęściej rozmawiają o chłopakach i zakupach. Wy też o nich będziecie rozmawiać?

– Można tak powiedzieć. – Na moje usta wypłynął uśmiech. – Poproszę wujka, żeby miał na ciebie oko – rzuciłam jeszcze, po czym przeszłam na korytarz i zapukałam w drzwi pokoiku pod schodami. Teodor ustalił z Anką, że pomieszka u nas jeszcze do końca tygodnia, by ta mogła uprzątnąć dla niego służbówkę.

– Proszę – zawołał, słysząc moje pukanie.

– To ja. – Stałam w drzwiach. – Jesteś zajęty? – zapytałam. Jak prawie zawsze, gdy do niego zagłądałam, siedział na łóżku z książką, a obok leżał zamknięty laptop.

– Nie jakoś wybitnie. – Odłożył na kolana książkę Jacka Londona, którą właśnie czytał. – Coś się stało?

– Można tak powiedzieć. – Przytuliłam policzek do drewnianej futryny. – Muszę na chwilę wyjść, a Ludwik z Kasią jeszcze śpią. Zerknąłbyś na Marcela?

– No pewnie – zgodził się od razu. – Mówiłem ci już kilka razy, że spędzanie czasu z tym maluchem to dla mnie przyjemność.

– Dzięki. – Uśmiechnęłam się szeroko. – Jest już po śniadaniu i ogląda bajki. Nie musisz organizować mu czasu, wystarczy, że będziesz miał na niego oko, żeby niczego nie zbroił.

– Przecież Marcel jest grzeczny jak aniołek!

– Zapewniam, że nie zawsze – roześmiałam się głośno, wspominając niektóre z wybryków swojego urwisa. – W takim razie wracam niedługo. – Oderwałam się od futryny. – A! – przypomniało mi się nagle. – W szafce, w której trzymamy chleb, zostawiłam dla ciebie kanapki na śniadanie. Nie wiedziałam, czy jadłeś – rzuciłam, a potem odwróciłam się i wyszłam do czekającej przed domem Beatki.

– Jesteś – rozpogodziła się na mój widok. – A ja właśnie patrzyłam na twoje kwiatki. Masz w tym roku piękne pelargonie. – Wskazała dłonią na stojącą pod ścianą donicę.

– To tylko i wyłącznie zasługa Kasi. Ta dziewczyna ma wyjątkowy dryg do ogrodnictwa. W każdej wolnej chwili grzebie w ziemi. Czasem aż mi z tego powodu głupio.

– Dlaczego?

- Bo to moje podwórko, a ona nie chce ode mnie żadnych pieniędzy.
- Przecież chwilowo jest domownikiem – zauważyła Beata.
- No wiem. – Odgarnęłam opadający na czoło kosmyk rudych włosów. – Ale i tak jakoś mi tak niezręcznie, że u mnie pracuje. – Założyłam go za ucho. – Idziemy do naszego tajnego miejsca spotkań?
- Z ust mi to wyjęłaś. – Beata zmrugała oczy przed górującym na niebie słońcem i ruszyliśmy powolnym krokiem w stronę furtki na podwórko Anki. – A tak swoją drogą – zagadnęła mnie jeszcze, gdy szliśmy. – Co z Kasią? Ludmiła nadal podtrzymuje, że nie będzie jej utrzymywać, jeśli ta nie wyjedzie do Berlina?
- Niestety. – Skinęłam głową, uchylając się przed jakąś gałęzią. – Ale Kasia stara się o stypendium.
- Stypendium?
- Wysłała ostatnio zdjęcia swoich rysunków na konkurs, w którym wygraną jest spora suma pieniędzy wypłacana stopniowo przez rok.
- Myślisz, że ma szansę to wygrać?
- Nie wiem, ale bardzo trzymam za nią kciuki. Mogłaby wtedy spokojnie iść na studia.
- Składała już dokumenty na jakieś uczelnie?
- Cholera, nawet nie wiem. – Spojrzałam na Beatę rozczarowana sama sobą. Przez ostatnie dni nie miałam dla Kasi zbyt wiele czasu i rzadko rozmawialiśmy. Zrobiło mi się wstyd. Co ze mnie za członek rodziny?
- To się dowiedz, bo to już pewnie czas. Pamiętam, że jak Izka szła na studia, to zawoziłyśmy dokumenty na uczelnię właśnie w lipcu.
- Muszę ją podpytać o plany na przyszłość. Aż mi głupio, że wcześniej tego nie zrobiłam.
- Masz swoje problemy na głowie, jesteś usprawiedliwiona. – Beata uśmiechnęła się do mnie pocieszająco.
- Przez kolejne kilka chwil szliśmy w ciszy. W końcu skręciliśmy za stodołę Anki. Od razu wypatrzyłyśmy naszą udającą kanapę skrzynkę i usadowiłyśmy się na niej na tyle wygodnie, na ile się dało.
- Powoli zaczynam się przyzwyczajać do tego miejsca – zaśmiała się Beata.
- No dobra, to teraz mów, co tam u ciebie. I co robimy dalej z tym naszym nieszczęsnym śledztwem. Wstyd się przyznać, ale po ostatnim bieganiu po lesie w samych gaciach mam nie tylko nogi pożarte przez mrówki, ale i zakwasy.
- Nic nie mów, mnie też bolą nogi. Jestem pełna politowania dla mojej mizernej kondycji.
- Ja tak samo. Chyba powinnam zacząć ćwiczyć jak ta piękna dziunia w gazecie, którą upodobał sobie mój mąż. Czuję się trochę jak próchno.
- Beata, no nie przesadzaj! Do próchna jeszcze ci jednak daleko.
- Mów tak, mów. Zegara biologicznego nie oszukasz. – Wygięła usta

w podkówkę. – No dobra, ale przecież nie będziemy rozmawiać o tym. Jak się mają sprawy z Ludwikiem? – ponowiła swoje pytanie.

Na dźwięk jej słów głośno westchnęłam.

– Cóż... – Położyłam zdrową dłoń na kolanie. – Prawdę mówiąc, nie najlepiej. – Zapatrzyłam się na błyszczące w słońcu, dojrzewające kłosa zboża.

– Wnioskuje, że wydarzyło się coś nowego. – Beata przyjrzała się mojej twarzy. – Nietęgą masz minę.

– To przez wczorajszy wieczór – wyznałam.

– Co masz na myśli?

– Ludwikowi zebrało się na amory.

– To znaczy?

– Oj. – Spojrzałam na nią, marszcząc brwi. – Chodzi o seks.

– Odmówiłaś mu pójścia do łóżka? – ściszyła głos. – Żartujesz? Przecież sama mówiłaś jakiś czas temu, że namiętność w waszej sypialni to rzadkość.

– No bo tak jest. – Spuściłam wzrok. – Ale naprawdę nie byłam w nastroju. Nie mogłam.

– Przez tę ździrę?

– Gdy tylko się do mnie zbliżył, miałam przed oczami, jak całuje w ten sposób inną. Zamiast pożądania poczułam mdłości.

– Biedactwo. – Beata popatrzyła na mnie z politowaniem.

– Pieprzona blond małpa. – Kopnęłam leżący przed moją stopą kamyczek. – Spałam przez nią na kanapie.

– A co na to Ludwik?

– Oj co – prychnęłam, przymykając powieki. – Był w szoku, próbował dowiedzieć się, o co mi chodzi, ale nie mogłam z nim nawet rozmawiać. Po prostu zaczęłam płakać i wygnałam się na dół.

– Nie powiedziałaś mu?

– To nie był dobry moment. Zresztą... – Przejechałam dłonią po włosach. – Jak miałabym to zrobić? – Przekręciłam głowę w jej stronę. – Po prostu odsunąć się, gdy zaczął mnie całować, i zapytać: „Kochanie, czy to prawda, że masz romans?”. Proszę cię, to żalosne.

– Dlaczego? Ja od początku jestem zwolenniczką szczerzej rozmowy z Ludwikiem. Nie rozumiem, z jakiego powodu tak się przed nią wzbraniasz.

– A jak się przyzna?

– Zuzka, na litość boską! Zachowujesz się jak dziecko. Do lekarza też byś nie poszła, gdyby coś cię bolało, żeby nie usłyszeć diagnozy? Wolisz żyć w niepewności?

– Nie wiem, co wolę – westchnęłam. – Ale wiem, że z każdym kolejnym dniem dostaję coraz większej paranoi na punkcie tej baby.

– Właśnie widzę.

– Co mi radzisz?

– Jak nie szczerą rozmowę z Ludwikiem, to może chociaż wizytę u psychologa. Myślę, że powinnaś zadzwonić do tej swojej Matyldy Mak. Może ona poradzi ci, co możesz zrobić? Coraz bardziej się o ciebie martwię. Fatalnie wyglądasz.

– Dzięki. – Wysiliłam się na uśmiech. – Ale masz rację. – Znowu przesunęłam stopą do przodu, by dotknąć kamyka. – Rozmowa z Matyldą nie jest takim głupim pomysłem. Zadzwonię do niej i umówię się na wizytę. Może razem coś wymyślimy.

– Jestem za. A do tej pory spróbuj się tym nie zadręczać.

– Łatwo ci mówić. Gdy jestem w domu, to prawie wariuję.

– No właśnie, bo zgubiłyśmy wątek. Co było dalej po wczorajszych wydarzeniach? Spałaś na kanapie w salonie, rozumiem. Ale jak wasz poranek? Rozmawiałaś z Ludwikiem? – Beata wróciła do poprzedniego tematu.

– Jeszcze nie było okazji. Gdy wychodziłam, nadal spał.

– Wiesz, że musisz to zrobić?

– Tak – niechętnie przyznałam jej rację. – Nie wiem tylko, co mam mu powiedzieć. Może po prostu, że nie miałam ochoty? Byłam zmęczona i to nie był dobry moment? Myślisz, że to przełknie?

– To twój mąż. Myślę, że cokolwiek mu nie powiesz, zrozumie i nie będzie się wściekał. Tym bardziej, że Ludwik to uosobienie łagodności.

– To jest w nim właśnie najgorsze.

– Co?

– No to, że jest dobrym i poukładanym facetem. Gdyby był dupkiem, nie robiłabym problemu z tego, że chce mnie zostawić. Pewnie nawet ja odeszłabym od niego. A tak? Gdzie ja znajdę takiego drugiego poczciwego Ludwika?

– To akurat prawda. Ze świecą takiego szukać.

– No właśnie. Naprawdę nie umiem sobie wyobrazić, co będzie, jeśli ta franca zechce mi go odebrać. Jeżeli już tego nie zrobiła.

– Dość – ucięła te moje żalosne pojękiwania Beata. – Przypominam, że nadal nie wiemy, czy Ludwik jest ci niewierny – sprowadziła mnie na ziemię.

– Dlatego trzeba kontynuować nasze śledztwo.

– Zaraz, zaraz. – Uniosła palec wskazujący na wysokość ramienia. – Przecież przed chwilą mówiłaś, że nie chcesz znać prawdy.

– Bo nie chcę!

– A śledztwo?

– Jeny... – jęknęłam i zasłoniłam oczy dłonią. Potem potarłam nią lekko zamknięte powieki. – Bo ja sama nie wiem, czego chcę. Raz chciałabym wiedzieć, raz nie – powiedziałam, ze świadomością, że zachowuję się właśnie jak typowa, rozchwiana emocjonalnie kobieta. – Tylko jedno jest pewne: nie chcę słyszeć

o romansie z ust samego Ludwika. Jeszcze nie teraz.

– Dlaczego?

– To by mnie chyba zabiło.

– Wolisz przekonać się na własne oczy?

– Tak. Jeżeli naprawdę mnie zdradza, miałabym chociaż czas, żeby przygotować się do tej gorzkiej rozmowy. Albo chociaż spakować mu walizki i wyrzucić je przez okno.

– Ale wiesz, że nie unikniesz tej konfrontacji? – Beata zignorowała złośliwą część mojej wypowiedzi.

– Wiem. – Pokiwałam głową.

– I zamiast tego wolisz się bawić w podchody, kontynuując to nasze pożal się Boże śledztwo?

– Może rzeczywiście to nie jest zbyt racjonalne, ale na tę chwilę nie mam lepszego pomysłu. Zresztą ostatnio sama mnie na nie namawiałaś.

– To było zanim biegałam po lesie w różowych majtkach i pożarły mnie mrówki. Wtedy nie miałam też zakwasów, a co za tym idzie problemów z poruszaniem nogami. Ty wiesz, jak mnie boli, kiedy muszę podnosić się albo siadać? Czuję ból w takich miejscach, że nigdy nie przypuszczałam nawet, że mam tam mięśnie!

– Człowiek uczy się całe życie – mruknęłam. – Sprawdziłaś chociaż, czy nie masz po tej naszej wyprawie żadnych kleszczy?

– Chyba na tyłku – prychnęła Beata. – Oczywiście, że dokładnie sprawdzałam, czy nie przypałało się do mnie żadne paskudztwo. Na szczęście moje nogi są pogryzione jedynie przez mrówki.

– I Bogu dzięki. Od tego nie wda ci się żadna borelioza. Chyba.

– Weź mnie nie strasz!

– Oj żartuję, żartuję. – Uśmiechnęłam się, żeby ją udobruchać. – Ale ja też mam dość leśnych atrakcji. Możemy więc zrobić tak, że jak Ludwik jeszcze raz wywiezie nas w przysłowiowe pole, to po prostu nie wysiadziemy z auta.

– To jest jakiś kompromis, przyznaję. To kiedy ruszamy do boju? Wybacz, ale dziś po południu nie mogę, mamy z Darkiem gości.

– Nie szkodzi, ja też jestem wolna dopiero jutro. Dziś kręcimy z sąsiadem tę przeklętą reklamę.

– Jaką reklamę?

– Nie chcesz wiedzieć. – Machnęłam ręką.

– Znów przyjeżdżają do ciebie jacyś ludzie z telewizji? Dlaczego nic nie mówiłaś?

– Bo nikt nie przyjeżdża. Pan Kazio wymyślił sobie, że będę świetną reklamą jego pasieki. Chce, żebym powiedziała kilka słów przed aparatem. To nic wielkiego.

– A już myślałam, że poznam tych twoich filmowców – mruknęła niepocieszona.

– Żadna strata, naprawdę. Ja osobiście wolałabym nie mieć z nimi już nic wspólnego. Przenigdy!

Beata pokręciła głową z dezaprobatą.

– Wiesz co? – Popatrzyła na mnie. – Ty naprawdę jesteś dziwna. Nie dość, że nie chcesz być gwiazdą, za co większość ludzi dałoby się pokroić, to jeszcze uciekasz przed prawdą, a jednocześnie chcesz do niej dojść naokoło. Zamiast po prostu pogadać z Ludwikiem, prowadzisz jakieś szalone śledztwo.

– Jesteś dziś moim głosem rozsądku, wiesz? – Mimo dosadności tych słów, ponownie uśmiechnęłam się do niej. – Dziękuję.

– Nie ma za co. Czasem mam przebłyski racjonalności. Zresztą ktoś musi trzymać cię w ryzach, prawda? A od czego ma się przyjaciółki? – Odpowiedziała na mój uśmiech, po czym otoczyła mnie ramieniem.

Potem spędziłyśmy za stodołą Anki jeszcze kilka chwil, rozmawiając na mniej ważne tematy. Na przykład o tym, że dyrektorka naszej szkoły wdała się w romans ze starostą z miasteczka albo o weselu syna sąsiadki Beaty. Czasem wskazane jest oderwanie się od własnych problemów chociaż na kilka chwil. Świadomość, że inni ludzie też nie mają w życiu tylko różowo, działa nieraz na człowieka lepiej niż antydepresanty.

Rozdział 19

Za pięć trzecia zjawiłam się na podwórku pana Kazia, który wcześniej poczynił już przygotowania do naszej sesji zdjęciowej i nagrywania filmu. Mniej więcej na środku podwórka ustawił niewysoką, drewnianą scenę. Tworzył ją zbudowany z desek podest oraz obwieszony zielonym tiulem dwa słupki. Obstawił ją nawet sztucznymi choinkami upstrzonymi kwiatkami z bibuły. Owe drzewka, jak zakładam, miały imitować las. Stały między nimi oczywiście kolorowe ule, do których pan Kazio poprzyczepiał wycięte z papieru pszczoły. Cały ten bajkowy plener przypominał mi nieco dekoracje, które robiłyśmy z Beatką na szkolne akademie. Z tym, że nasze były jakies takie bardziej dopracowane.

– Dzień dobry – pozdrowiłam pana Kazia, który stał naprzeciwko swojej sceny przy statywie od aparatu.

– O, Zuzka. – Odwrócił się na dźwięk mojego głosu. – Jesteś.

– Widzę, że praca wre. – Wskazałam na dekoracje.

– A jakże! – Dumnie wypiął pierś. – Jak widzisz, zadbałem o to, by wszystko było jak najbardziej profesjonalne.

– Nie da się ukryć – stłumiłam chichot.

– Sam to wszystko przygotowałem! A choinki to tymi rękami znosiłem tu od połowy wsi. Jednak ludzie, którzy decydują się na te świństwa zamiast żywych świerków, czasem się na coś przydają.

– Rozumiem.

– Cela z Anielką pomogły mi tylko robić te kwiatki i pszczołki. W szkole

nigdy nie byłem za dobry z plastyki. Ale chyba ładnie wyszły, nie?

– Są bardzo... kolorowe.

– No właśnie, dobrze, że o tym mówisz! Bo ja bym chciał, żeby ta reklama była taka barwna, wakacyjna i świeża!

– Ach tak...

– Dlatego chciałbym, żebyś się ładnie uśmiechała. Zależy mi na radości.

– Oczywiście. Postaram się być bardzo radosna.

– Ja wiem, że dasz radę. Przecież jesteś gwiazdą!

– No tak...

– To ja ci może nakreślę moją wizję, zanim się przebierzesz w kostium pszczołki, co? – Pan Kazio popatrzył na moją twarz, która znacznie pobladła na dźwięk słowa „kostium”. – Wiesz, żebyś się nie zapociła.

W odpowiedzi jęknęłam załamana. Liczyłam, że pan Kazio jednak porzuci pomysł związany z przebraniem, jednak widocznie byłam w błędzie.

– Jasne – wysiliłam się na minimum entuzjazmu. Nie chciałam sprawiać sąsiadowi przykrości.

– No to słuchaj. – Pan Kazio wyciągnął przed siebie rękę i zaczął machać nią w stronę sceny. – Najpierw opowiem ci o filmie, chociaż zaczniemy od zdjęć. Staniesz sobie tutaj na tej scenie dokładnie na środku i kiedy dam ci znać, wygłosisz swoją rolę.

– Jaką rolę?

– O kurczaki! – Pan Kazio nagle się zmartwił. – Powinienem być ci wcześniej dać tekst! Co za gafa! Ale taka gwiazda jak ty da radę się go szybko nauczyć, nie? Nie jest długi. – Popatrzył na mnie z nadzieją.

– Postaram się – mruknęłam i głośno przełknęłam ślinę.

– To świetnie, zaraz ci przyniosę tę kartkę. Staralem się pisać drukowanymi literami, żebyś nie miała problemu z rozczytaniem mojego pisma.

– Wspaniale, że pan o tym pomyślał.

– A jak! Mówiłem ci, że chcę, by wszystko było jak najbardziej profesjonalne. Przecież uczyłem się od najprawdziwszych filmowców.

– No tak, jakże bym śmiała zapomnieć.

– Ale wróćmy do filmiku. Więc stajesz na środku, na mój znak recytujesz tekst, a potem, gdy już skończysz, Cela zasłoni kamerę kartką z naszym promocyjnym hasłem i rysunkiem jednego ze słoików miodu.

– Co robi?

– No wsadzi mi kartkę tutaj. – Pan Kazio wskazał na aparat. – Przed obiektyw. Wiesz, żeby było...

– Tak, tak. Profesjonalnie – dokończyłam za niego, oczyma wyobraźni widząc już tę swoją kompromitację, w którą wpakowałam się nie inaczej, jak DOBROWOLNIE.

– Aha! – Pan Kazio jeszcze sobie coś przypomniał i przysunął palec wskazujący do ust. – W tle twojej wypowiedzi będzie leciała muzyka.

– Muzyka?

– No. Obserwacja, którą poczyniłem, wskazuje, że w każdej reklamie leci muzyczny podkład. Nie możemy być gorsi.

– Oczywiście.

– To chyba by było na tyle. – Pan Kazio zamyślił się i znowu popatrzył na scenę. – Musisz się dużo uśmiechać i mówić wyraźnie oraz przekonująco. O wszystko inne już zadbałem.

– Dobrze. – Znow wysiliłam się na uśmiech. – A co ze zdjęciami?

– Będziesz pozować do nich w tym samym kostiumie, żebyś nie musiała się przebierać.

– Jasne.

– I staniesz na tle moich uli, a ja uchwycę jakiś przekonujący kadr.

– Przekonujący kadr?

– Och, to znaczy zrobię jakieś dobre ujęcie. Wybacz, my, fotografowie, mamy taki swój język. Czasem mi się coś wymyśli.

– Rozumiem – ponownie stłumiłam chichot.

– To co? – Pan Kazio nie wyczuł mojej ironii. – Jesteś gotowa, żeby nauczyć się tekstu?

– Pewnie, nie ma na co czekać.

– W takim razie przysiądź tu sobie na tym krzeselczku. – Pan Kazio wskazał dłonią czarne krzesło z wielkim napisem „GWIAZDA” wykonanym na oparciu białym korektorem. – A ja skoczę do domu po kartkę z twoją kwestią i zaraz wrócę – rzucił radosnym głosem, po czym się oddalił.

Posłusznie usiadłam na ogrodowym krześle i wsłuchując się w śpiew latających nad moją głową ptaków, czekałam, aż wróci.

– Jestem! – Pojawił się po kilku minutach i wręczył mi zapisaną przez siebie kartkę. – Proszę.

– Dziękuję. – Wzięłam ją od niego i zaczęłam czytać poemat pana Kazia.

*W małej wioseczce, zwanej Jaszczurki,
Mieszkają sobie wesołe pszczołki.
Ochoczo pracują, miodek nam dają,
A znane gwiazdy go polecają.
Jeden miód z lipy, inny z rzepaku,
Każdy jest jednak cudowny w smaku.
Więc jeśli marzy się wam osłoda,
Rzucajcie wszystko i chodźcie na mioda.
Daję wam słowo, nie pożałujecie.*

Ba! Gwarantuję, że więcej zechcecie.

– I co myślisz? – zapytał pan Kazio, gdy skończyłam czytać. Z niecierpliwością czekał na mój werdykt.

– Cóż... – Położyłam kartkę na kolanach. – Rymowany wierszyk – stwierdziłam mało odkrywczo, nie wiedząc, co innego mogłabym powiedzieć.

– Chciałem, żeby było wesoło, a podobno rymy są wesołe.

– Niewątpliwie.

– Wiesz, praca z filmowcami nauczyła mnie, że wizja artystyczna musi być spójna.

– Ta pana na pewno jest – zapewniłam, żarliwie kiwając głową. Przypomniał mi się ekscentryczny reżyser i w duchu podziękowałam za to, że tym razem nie muszę słuchać jego wywodów, lecz poczciwego pana Kazia.

– Naprawdę?

– Pana pomysł jest w stu procentach radosny i wakacyjny.

– To super! – Uśmiechnął się od ucha do ucha. – To teraz posłuchaj hasła, które będzie na etykietach. – Wyciągnął z kieszeni wymiętą kartkę i zaczął ją rozkładać. – „Jakie pszczoły, taki miód. Tylko u nas każda pszczoła jest gwiazdą” – przeczytał, akcentując nie te sylaby, co trzeba.

– Ciekawe – tym razem nie powstrzymałam się i głośno parsknęłam śmiechem.

– Podoba ci się? – zdziwiony moją reakcją zmarszczył brwi.

– Bardzo – spróbowałam się opanować. – Sam pan je wymyślił?

– A jak! Polonistka w szkole średniej zawsze mi mówiła, że mam dryg do pisania tekstów reklamowych. Tylko z ortografią gorzej. Za dużo robiłem błędów.

– Rozumiem.

– To ile potrzebujesz czasu, żeby nauczyć się tego tekstu? – Pan Kazio popatrzył na kawałek papieru, który położyłam sobie na kolanach.

– Piętnaście minut?

– Tak mało? Zuzka! Z ciebie to jest naprawdę wielka gwiazda! Ja myślałem, że będziesz chciała godzinę albo i więcej.

– Bez przesady, przecież to tylko kilka linijek.

– Innym to by pewnie z pół dnia było trzeba! No ale dobrze. – Pan Kazio spróbował opanować swój przesadny entuzjazm. – To ty się tutaj ucz, a ja idę po Celę. Poproszę ją, żeby pomogła ci założyć kostium.

– Nie trzeba, przecież sama mogę to zrobić.

– Ale to się nie godzi, żeby taka wielka gwiazda sama się ubierała!

– Panie Kaziu, no jaka ze mnie gwiazda – odważyłam się w końcu zaprotestować.

– Dla mnie największa! Zresztą dla całych Jaszczurek też – puścił moje

słowa mimo uszu. – No to idę po Celę. Przyjdziemy za piętnaście minut – ogłosił, a potem zniknął.

Ja tymczasem uniosłam kartkę ze swoją rolą na wysokość oczu i zaczęłam ją czytać. Najpierw w myślach, a potem na głos. Wesoło i wyraźnie – tak, jak życzył sobie tego sąsiad. Po około dziesięciu minutach takiego treningu znałam cały wierszyk i potrafiłam wyrecytować go bez zbędnych pauz na zastanowienie.

– I jak? – pan Kazio z małżonką wrócili do mnie po piętnastu minutach. Z zegarkiem w ręku.

– Już chyba umiem.

– No i pięknie! – Klasnął w ręce. – To teraz Cela pomoże ci się ubrać i możemy zaczynać. – Spojrzał na małżonkę trzymającą kostium pszczoły. Składał się z żółtej, męskiej koszulki, na którą pani Cela ponaklejała podłużne paski czarnej taśmy izolacyjnej oraz opaski w tym samym kolorze, z której wystawały drucziane czółka. Patrząc na to szykowne wdzianko, nie miałam nawet cienia wątpliwości, że wkładając je na siebie, jedynie się zblażnię.

Jednak, jak sami wiecie, nie miałam wyjścia.

– Wybacz, Zuzka – szepnęła mi na ucho pani Cela, gdy pan Kazio zaczął majstrować coś przy aparacie kilka kroków dalej. – Pół nocy starałam się go przekonać, że będziesz w tym wyglądała jak dziecko z podstawówki, ale za nic nie mogłam go przegadać. Mówił mi tylko, że nie rozumiem jego wizji i mam siedzieć cicho, bo daleko mi do artystki. Skaranie boskie z tym moim mężem. Przepraszam, że musisz płacić za te jego wariactwa.

– Oj, da pani spokój, pani Celu. – Uśmiechnęłam się do niej, wygładzając stanowczo za dużą bluzkę, którą właśnie wciągnęłam przez głowę. – Pani mężowi bardzo na tym zależy, a ja jakoś ten występ przecierpię.

– Naprawdę? Nie masz mi tego za złe?

– No pewnie, że nie. – Uścisnęłam jej rękę.

– To kamień z serca, bo ja pół nocy nie spałam i myślałam, jak go odwieść od tego pomysłu.

– Jesteście gotowe? – przerwał naszą rozmowę pan Kazio.

– Tak, tak! – odkrzyknęłam mu i włożyłam na głowę opaskę z czółkami. – Może być? – Popatrzyłam na panią Celę.

– Jest cudnie!

Z dumą wparadowałam więc na scenę pana Kazia i ustawiłam się między sztucznymi choinkami.

– Tak dobrze? – zapytałam, omal nie kichając od nadmiaru kurzu, który kłębił się na sztucznych gałęziach.

– Może zrób mały kroczek w prawo – polecił pan Kazio.

Posłusznie zrobiłam, co kazał.

– O! Teraz jest idealnie – krzyknął i wcisnął jakiś guzik w aparacie. – Jesteś

gotowa?

– Tak. – Puściłam oczko do pani Celi.

– No to zaczynamy! Ujęcie pierwsze, start! – obwieścił pan Kazio i zaczął nagrywać.

Nabrałam więc w płuca powietrza i zaczęłam recytować napisany przez niego wierszyk. Dotarłam do końca bez żadnego zająknięcia. Przez cały czas starałam się też uśmiechać i patrzeć w obiektyw.

– Idziesz – szepnął do swojej żony pan Kazio, gdy skończyłam recytować.

Pani Cela złapała leżącą u jej stóp kartkę, a potem zasłoniła nią obiektyw aparatu.

– Cięcie! – wykrzyknął wtedy pan Kazio i zatrzymał aparat.

– Jak było? – Podeszłam do brzegu sceny.

– Jak dla mnie świetnie! – obwieścił z zadowoleniem. – Mam tylko jedno ale.

– Jakie?

– Nie włączyłem muzyki! – Uderzył dłonią w udo.

– No masz! – westchnęła pani Cela. – A tak nam dobrze poszło!

– Musimy zrobić powtórkę. Poczekajcie tutaj, skoczę po magnetofon.

– Cały Kazio. – Pani Cela pokręciła głową, gdy zniknął, i przysiadła na krześle z napisem „Asystent”.

– Niech się pani nie smuci. Skoro teraz tak dobrze nam poszło, to zaraz z tym skończymy.

– Obyś miała rację, bo w moim wieku nie powinno się przebywać zbyt długo na tym upale – mruknęła, choć już za kilka minut okazało się, że wcale racji nie miałam.

Gdy bowiem pan Kazio wrócił z magnetofonem, wyszło na jaw, że przedłużacz, który też ze sobą przyniósł, jest za krótki. Przez to, gdy powiedziałam swoją kwestię kolejny raz, zupełnie nie było słychać muzyki na nagraniu.

– Trzeba przesunąć scenę – zarządził po kilku minutach zadumy.

– No zlituj się, Kazik! – zaoponowała pani Cela. – Przecież to jest ciężkie jak diabli. Rozwalimy całą dekorację i trzeba będzie wszystko robić od nowa. Noc nas prędej zastanie, nim nakręcimy ten filmik.

– Pani Cela ma rację – nie mogłam się z nią nie zgodzić. – Może po prostu przyniesie pan jeszcze jeden przedłużacz i podłączy go do tamtego?

– O! I to jest myśl! – Pan Kazio uśmiechnął się od ucha do ucha i pognął do garażu, skąd wrócił z kolejnym przedłużaczem. Dzięki temu mogliśmy postawić magnetofon tuż przy aparacie i muzyka grała w tle odpowiednio głośno.

– No to zaczynamy! – rozkazał pan Kazio, gdy wszystko było gotowe.

– W małej wioseczce, zwanej Jaszczurki – zaczęłam mówić, jednak nie dane mi było skończyć, bo już podczas recytowania drugiej linijki zagłuszył mnie

przejeżdżający drogą, terkoczący traktor.

– Stop! – Pan Kazio zatrzymał nagrywanie i popatrzył w kierunku bramy. – Musimy poczekać, aż przejedzie.

– Jasne. – Poprawiłam znajdujące się na mojej głowie czółki. Od stania na pełnym słońcu powoli robiło mi się coraz bardziej gorąco.

Gdy traktor przejechał, zaczęliśmy wszystko jeszcze raz, jednak tym razem przeszkodził nam zacinający się magnetofon. Potem pracę utrudnił szczekający pies. Następnie pani Cela, gdy szła z kartką, potknęła się o kabel przedłużacza, wpadła na aparat i omal się nie przewróciła. Za szóstym razem wyszło nam dobrze, jednak pan Kazio zapomniał włączyć aparat. Podczas siódmej próby w pewnym momencie zabrakło pamięci na karcie i musiałam wykasować wcześniejsze filmy, by sąsiad mógł dalej nagrywać.

– Co za złośliwość rzeczy martwych! – zdenerwowała się pani Cela.

– Uczciwemu to zawsze piach w oczy – zawtórował jej mąż.

– Tym razem się uda – rzuciłam, ponownie wchodząc na scenę, i ustawiłam się przed aparatem.

Ale nie miałam racji. Udało nam się dopiero za jedenastym.

– Cholera – zaklął pod nosem pan Kaziu, gdy w końcu wszystko było jak trzeba. – Tyle zachodu z jednym krótkim filmem!

– Całe popołudnie zmarnowane. – Pani Cela pokręciła głową. – A miałam dziś zacząć myć okna w kuchni. – Opadła na czarne krzesło. Wyglądała na bardzo zmęczoną.

– Podobno każde wielkie dzieło rodziło się w bólach. – Zeskoczyłam ze sceny i dołączyłam do nich. – Mam nadzieję, że jakoś tego filmu będzie satysfakcjonująca.

– Niech ona już sobie będzie, jaka chce. – Pan Kazio, nie mniej zmęczony od pani Celi, machnął ręką. – Mi to wsio ryba.

– Czyżby? – Jego małżonka uniosła brew. – A czy to twoje dzieło nie miało być perfekcyjne? To nie ty klekotałeś o tym cały wczorajszy dzień i pół nocy głośniejsz niż bocian, co tu nam czasem przylatuje zbierać patyki?

– Oj, daj już spokój. Myślałem, że to wszystko będzie inaczej wyglądać.

– To nie pana wina. Po prostu następnym razem trzeba by nagrywać chyba w jakimś wygłuszonym pomieszczeniu.

– Święte słowa, Zuzka, święte – jęknęła pani Cela. – To co, idziemy na jakąś herbatkę?

– Ja dziękuję, powinnam wrócić do dziecka.

– A zdjęcia? – Pan Kazio przygwoździł mnie spojrzeniem.

– Ach, zdjęcia... – mruknęłam niepokieszona. Mnie też zmęczenie dawało się we znaki.

– A nie mógłbyś ich Kaziu zrobić tutaj na scenie? – odezwała się pani Cela.

Nie miała już siły na płasy po łąkach.

– Tutaj?

– No a co? Też są drzewka, pszczołki i ule.

– Ale sztuczne.

– A myślisz, że tacy miastowi, co zobaczą te zdjęcia, to odróżnią je od prawdziwych? Oni pszczoły na oczy nie widzieli! Okaż serce i nie ciągnij Zuzki po polach. I tak już dla nas dziewczyna dużo zrobiła.

– No niby tak...

– Świetnie – odezwałam się pełna wdzięczności dla pani Celi. Chciałam ubiec moment, w którym jej mąż wymyśli sensowny argument, by zbojkotować ten pomysł. – To ja sobie usiądę przy jednym z uli, a pan pstryknie kilka zdjęć. – Ponownie wskoczyłam na scenę.

– Niech wam będzie. – Pan Kazio pokręcił tylko nosem. – Ja też najchętniej rzuciłbym się przed telewizor z piwką w rękę. Jednak takie filmowanie bywa naprawdę męczące – burknął, po czym wykonał kilka zdjęć.

Gdy było po wszystkim, zdjęłam z siebie w końcu obklejoną taśmą izolacyjną bluzkę oraz fikuśną opaskę, po czym oddałam je pani Celi.

– Dziękuję. – Gdy brała je ode mnie, zerknęła mi w oczy.

– Nie ma sprawy. To do jutra – pożegnałam się i ruszyłam w stronę bramy.

Nim jednak do niej dotarłam, dogonił mnie jeszcze pan Kazio, który wepchnął mi do ręki białą kopertę.

– A to co? – zapytałam zaskoczona.

– Jak to co? Twoja dniówka.

– Dniówka?

– No a jakże tak pracować bez wypłaty?

– Ale panie Kaziu, przecież ja mówiłam, że nie chcę żadnych pieniędzy. Nie trzeba... – Spróbowałam mu ją oddać.

– Trzeba, trzeba. – Był jednak nieugięty. – Weź te pieniądze i kup sobie coś ładnego. Jakąs bluzeczkę albo coś...

– No dobrze, ale...

– Żadnego ale! – uciął moje protesty. – To i tak nie jest dużo. Raptem pięć pięćdziesiąt za godzinę. To do widzenia. – Odwrócił się na pięcie i już go nie było.

Idąc do domu, wykalkulowałam sobie w głowie, że za cztery godziny pracy zarobiłam dwadzieścia dwa złote. Nie no, nie jest źle, chociaż na żadną bluzeczkę, niestety, raczej mi nie starczy. Taki oto marny los gwiazdy telewizji. I tak dobrze, że pracowałam dziś na czarno. Gdybym podpisała umowę, to przecież odliczono by mi jeszcze podatek!

Rozdział 20

Po południu spędzonym z sąsiadami nie miałam siły zupełnie na nic. Nawet na sprzątanie bałaganu w kuchni, który, jak co dzień, stworzyli moi domownicy. Zdolna byłam jedynie do kąpieli. Długa, odprężająca i za zamkniętymi drzwiami, w które, co niespotykane, nie pukał dziś chcący wdrzeć się do środka Marcel. Kasia zabrała go bowiem na długi spacer przed snem (choć tak naprawdę nie było to aktem dobrej woli, lecz wyrazem litości nade mną i moją umordowaną twarzą). Dzięki temu mogłam bezkarnie poleżeć dwadzieścia (TAK, DWADZIEŚCIA!) minut w gorącej wodzie i o nic się nie martwić. A już zwłaszcza nie przejmować się faktem, że niemal dwadzieścia cztery godziny nie widziałam mojego męża. Ludwik napisał mi bowiem tylko SMS, że ogląda dziś mecz u Kamila i wróci późno. Albo w ogóle nie wróci, bo być może da się namówić na kilka piw i żeby nie jeździć po pijaku, przenocuje u niego.

Prawdę powiedziawszy, gdy tak leżałam przykryta aromatyczną pianą, było mi bez różnicy, co on ze sobą robi. Potrzebowałam spokoju. Domagało się go zarówno moje ciało, jak i głowa. Zamierzałam więc należycie wykorzystać tę szansę od losu i porządnie się dziś zrelaksować.

Po wyjściu z wanny owinęłam się więc najbardziej puszystym ręcznikiem, jaki miałam, i siedząc na brzegu wanny, natarłam pachnącym balsamem. Zrobiłam też maseczkę nawilżającą i wysuszyłam włosy. Potem wyrzuciłam na dwór psa, który ostatnio stanowczo zbyt często czekał, gdy przebywał w domu, i zrobiłam sobie koktajl bananowo-jabłkowy. Jako że miał służyć mi za kolację, dosypałam do

niego czubatą łyżkę płatków owsianych i, po skosztowaniu, zabrałam ze sobą do łóżka. Ułożyłam się na białej, pachnącej pościeli i wyciągnęłam gładkie nogi na szeleszczącej kołdrze. Zupełnie jak w czasach młodości, gdy byłam szczęśliwą i wolną panną do wzięcia, której największym problemem było to, w co się ubrać.

Przez pół godziny leżałam, jedynie wsłuchując się w ciszę. Udało mi się odgonić ze świadomości wszystkie myśli dotyczące Ludwika i po prostu się relaksowałam. Po upływie tego czasu stwierdziłam, że dość mam już bezproduktywności. Wzięłam leżący na szafce przy łóżku tablet i weszłam w katalog e-booków, jaki niedawno utworzyłam. Znajdowało się w nim wiele książek, które kiedyś kupiłam, a nigdy nie zdążyłam przeczytać. Teraz nadszedł ich czas.

Zdecydowałam się na pierwszą z brzegu komedię romantyczną. Miała różową okładkę i zabawny tytuł. Otworzyłam więc plik i zaczęłam czytać. Była to komedia o dwóch kobietach, z którymi spotykał się jeden facet. (Oczywiście mówiąc każdej z nich, że jest tą jedyną). Owe nieszczęsnice w przedziwnych okolicznościach poznały się i zawarły pakt, że razem się go pozbędą. Wymyśliły kreatywny plan morderstwa idealnego, a potem zaczęły się na lowelasa w domu.

Nim go jednak zabiły, przestałam czytać. Trochę przypominało mi to własną codzienność, a nie chciałam podsycać tłących się z tyłu mojej głowy morderczych myśli. Wiecie, tak, żeby dmuchać na zimne i przypadkiem za bardzo nie zainspirować się książką. Nigdy nie wiadomo, do czego człowiek jest zdolny pod wpływem emocji. Wolałam nie ryzykować.

Wieczorem wykąpałam jeszcze tylko Marcela i utuliłam go do snu. Wrócili z Kasią, nim zaczęło się ściemniać. Mój synek, podobnie jak ja, był bardzo zmęczony. Do tego stopnia, że zasnął od razu po przyłożeniu głowy do poduszki.

– Spi? – zagadnęła mnie Kasia, gdy zamykałam drzwi do jego pokoju. Stała na korytarzu ubrana w piżamę i opierała się o jedną ze ścian.

– Tak. Musiałaś nieźle go wymęczyć.

– Byliśmy nad rzeką.

– Dla takich małych nóg to kawał drogi.

– Odpoczęłaś, kiedy nas nie było? – Popatrzyła na mnie z troską.

– Tak, dziękuję. Już dawno nie miałam tak przyjemnego i relaksującego wieczoru. Siedziałam w wannie dwadzieścia minut.

– Tylko? – Kasia roześmiała się cicho.

– Jestem matką Polką, to i tak aż nadto.

– No nie wiem. Jeżeli ja mówię, że chcę posiedzieć w wannie, to zwykle trwa to około godziny.

– Jak zostaniesz matką, to tobie też się skończą luksusy.

– Zobaczymy. Masz ochotę na herbatę? Wstawiłam wodę.

– Jasne, czemu nie. I tak miałam z tobą pogadać.

– Zabrzmiało groźnie. Chcesz mi złoić tyłek?

– Kasia! – Teraz to ja parsknęłam śmiechem. – Tak po prostu chciałam pogadać.

– O czym?

– O życiu.

– Nie chcę cię martwić, ale zachowujesz się dziwnie. Coś się stało? Masz jakieś problemy?

– Oj, Kasia. – Ujęłam ją pod ramię. – Chodź na dół, to pogadamy – mruknęłam, po czym zeszyliśmy po schodach i ulokowałyśmy się na kanapie w salonie razem z gorącą, zieloną herbatką w białych filiżankach.

– No to o czym chciałaś rozmawiać? – Kasia była nieustępliwa.

– No dobrze, już dobrze. – Uniosłam filiżankę do ust. – Po prostu chciałam cię zapytać o plany na przyszłość.

– Plany na przyszłość? Co masz na myśli?

– To, co chcesz robić po wakacjach. Czy planujesz iść na studia, gdzie chciałabyś mieszkać.

– A, o to ci chodzi. – Pokiwała głową. – To niezbyt przyjemny temat.

– Dlaczego?

– Bo matka napisała mi wczoraj wieczorem maila, że jeżeli nie zamierzam przeprowadzić się do Berlina, to ostatecznie sprzedaje nasze mieszkanie w Warszawie lokatorom, którzy je teraz wynajmują. Wpłacili już nawet zaliczkę.

– Co?

– No to, co słyszysz.

– Dlaczego wcześniej o tym nie mówiłaś?

– Bo to moja sprawa, nie chcę dodatkowo was martwić. Mało to mieliście z Ludwikiem przeze mnie problemów?

– Nie mów tak, jesteśmy rodziną.

– No wiem, wiem. – Kasia smutno pokręciła głową. – Tak czy siak, podjęłam decyzję o tym, że nie idę na studia.

– Ale jak to? – Aż mnie замуrowało. – Przecież jesteś mądra, masz bardzo dobre wyniki z matury i bardzo chciałaś studiować.

– Tak, tylko to było, zanim moja matka zostawiła mnie samą sobie. Najzwyczajniej w świecie nie stać mnie na to, by wynająć mieszkanie w Warszawie i jeszcze się utrzymać.

– A to stypendium?

– Zrobiłam wstępne kalkulacje. Starczyłoby mi na utrzymanie, ale nadal nie miałabym gdzie mieszkać.

Nie wiedziałam, co odpowiedzieć.

– Po cichu liczyłam na to, że matka zostawi mi mieszkanie. Wiesz, że tylko tak mnie straszy, ale jak widać, mówiła serio.

– No ale przecież my ci z Ludwikiem pomożemy, jeżeli tylko jest taka potrzeba! – Wstąpiła we mnie nowa energia.

– Zuzka, proszę cię. – Kasia wywróciła oczami. – Ty nawet nie wiesz, jakie to koszty. Z tysiąc złotych miesięcznie, a wy z Ludwikiem, nie, żebym chciała was obrażać, macie zaledwie nauczycielskie pensje.

Spuściłam wzrok. Co racja, to racja. Tego nie wzięłam pod uwagę, wrywając się z tą swoją propozycją.

– Więc co planujesz? – zapytałam.

– Jeżeli nie mielibyście nic przeciwko, chciałabym zostać u was przez ten rok, iść do pracy i odłożyć sobie pieniądze na studia. Złożę na Akademię Sztuk Pięknych w przyszłym roku, a w tym czasie poćwiczę rękę.

– Ale to rok w plecy!

– Staram się myśleć pozytywnie. Pomaluję sobie w tym czasie, stworzę teczkę...

– No to jest jakiś plan.

– Zresztą, przyda mi się rok przerwy. Po tych wszystkich wariactwach, jakie odstawiła ostatnio matka, potrzebuję tej głuszy jak nigdy wcześniej. Niekiedy oderwanie się od rzeczywistości i rzucenie wszystkiego jest dobre.

– Nawet nie wiesz, jak bardzo ci tego zazdroszczę – westchnęłam, nim zdołałam ugryźć się w język.

– Co? – Kasia natychmiast przyjrzała się mojej twarzy.

– Po prostu szkoda, że gdy jest się żoną i matką, nie można sobie na coś takiego pozwolić – spróbowałam obrócić całą tę sytuację w żart.

– A, o to ci chodzi. – Kasia dała się zwieść. – No ale przecież gdybyś chciała gdzieś wyjechać, to śmiało, jedź, ja tu chłopaków przypilnuję, bez obaw.

– Jesteś kochana. – Posłałam jej uśmiech, wiedząc, że i tak z tej propozycji nie skorzystam.

Od dorosłości nie można wziąć urlopu. Nawet, gdy wyjeżdża się do SPA albo w góry ze złudną nadzieją, że świat zatrzyma się w miejscu, byśmy mogli odpocząć i popatrzeć na niego inaczej.

– Mówiłaś o swoich planach Tomkowi?

– Tak. On bardzo mnie wspiera. Zresztą on też zostaje w tym roku w Jaszczurkach.

– Jak to? A jego studia?

– Odkąd jego matka trafiła do więzienia, ojciec nie ma co zrobić ze sklepem. Teraz zatrudnił jakąś ekspedientkę, ale na dłuższą metę to nierentowne. Tomek będzie stał za ladą, dopóki jego ojciec czegoś nie wymyśli. Weźmie dziekanę.

– To straszne.

– Trochę tak, ale nie ma wyjścia.

– Jak on to znosi?

– Wbrew pozorom dobrze. Z jednej strony szkoda mu tego roku, ale z drugiej cieszy się, że będziemy razem. Poznamy się lepiej i w ogóle.

– Już ja nie chcę wiedzieć, co to twoje w ogóle znaczy – nie dałam jej rozwinąć tej wypowiedzi, mając w głowie wydarzenia z Zakopanego.

– Bardzo śmieszne – zachichotała. – Swoją drogą, jak już tak sobie rozmawiamy, to muszę ci powiedzieć, że rozmawiałam dziś o tobie z Ludwikiem.

– Naprawdę? – Serce zabiło mi mocniej na samą myśl o tym, co on mógł jej naopowiadać. Chyba nie zwierzał się nastolatce z naszych małżeńskich problemów?

– Tak. Powiedział mi, że się o ciebie martwi.

– Martwi się o mnie?

– No. Skarżył się, że ostatnio ciągle gdzieś znikasz i jesteś nieobecna. Naprawdę wyglądał na zaniepokojonego.

– Przecież to jego ciągle nie ma – spróbowałam się bronić.

– Oj nie mów, Zuzka, ciebie też. Coraz częściej wychodzisz z Beatą.

– Widziałyśmy się zaledwie kilka razy. To tak bardzo martwi Ludwika? Nie zaniedbuję domu ani Marcela, po prostu spotykam się z przyjaciółką.

– On to chyba widzi inaczej.

– Inaczej?

– Nie powiedział tego wprost, ale wywnioskowałam, że boi się, iż się od niego odsuwasz. Może nawet podejrzewa, że kogoś masz.

– Co za bzdura! Ja? To jakiś absurd.

– Ja ci wierzę, spokojnie. Mówię ci tylko, co mi powiedział.

– A to świnia. Oskarżać mnie o romans?

– Myślę, że powinnaś z nim o tym pogadać. – Kasia zignorowała moje wzburzenie. – Był naprawdę przybity podczas tej naszej rozmowy.

– Dzięki, że mi o tym mówisz, tak zrobię.

– Ale jakby coś, to wiesz – ściszyła głos. – Ja ci nic nie mówiłam, okej?

– Jasne. – Pokiwałam głową. – Nie wydam cię, możesz być spokojna.

– Uff – odetchnęła z ulgą.

– A teraz wybacz, ale chyba powinnam się już położyć. Oczy same mi się zamykają – skłamałam i wstałam z kanapy.

– Pozmywam. – Zabrała mi z ręki kubek.

– Dzięki, to dobrej nocy.

– Dobrej nocy, Zuzka – rzuciła, a ja skierowałam się na górę. Weszłam po schodach i znów rzuciłam na łóżko w sypialni. Potem chwyciłam leżący na szafce nocnej telefon i napisałam SMS do Beaty.

– Musimy przełożyć nasze śledztwo – wystukałam na klawiaturze. – Jutro nie dam rady.

– Dlaczego? – odpisała natychmiast.

– Muszę zostać w domu.
– Coś się stało?
– Ludwik podejrzewa, że mam romans. Za często ostatnio znikam.
– CO?!?!?
– TO. Muszę jutro zostać w domu, żeby nie wzbudzać podejrzeń.
– OK. To przekładamy naszą akcję na pojutrze.
– Spiszemy się jeszcze. Dobrej nocy.
– Śpij dobrze – odpisała, a ja na wszelki wypadek wykasowałam całą naszą konwersację. Przy okazji wszystkie inne też. Jeżeli Ludwik podejrzewał, że mogę mieć romans, to mógł przecież przejrzeć mi telefon w poszukiwaniu jakichś dowodów.

A przynajmniej ja bym tak zrobiła.

(Kurczę, dlaczego pomyślałam o tym w trybie przypuszczającym?)

Rozdział 21

Ludwik wybył z domu przed śniadaniem. Prawdę mówiąc, w nocy nawet nie zarejestrowałam, kiedy do niego wrócił. Dopiero, gdy rano poszłam na dół, by zrobić śniadanie, dostrzegłam żółtą samoprzylepną karteczkę, którą zostawił przyklejoną do lodówki.

– Wrócę wieczorem, nie czekaj z obiadem – nagryzmolił pospiesznie, w dodatku krzywo.

– Oczywiście, że nie będę – prychnęłam oburzona. Bo ja to muszę siedzieć w domu, żeby szanowny małżonek nie podejrzewał, że mam romans, a jemu wszystko wolno! (Na przykład prowadzić drugie życie gdzieś na boku!) Wiecznie nieobecny. A do tego chowa się drań przed konfrontacją nie mniej niż ja!

Nim jednak zdążyłam się tym porządnie zdenerwować, usłyszałam dzwonek do drzwi, a zaraz potem głośne szczekanie psa. Pospiesznie podążyłam w ich stronę i otworzyłam niecierpliwemu gościowi, którym okazał się być ksiądz proboszcz.

– No pięknie, jeszcze księdza na mnie nasyła – mruknęłam zamiast „Szczęść Boże”.

– Ciebie też dobrze widzieć, Zuzanno. – Ksiądz uśmiechnął się dobrodusznie.

– Och – zreflektowałam, że wypowiedziałam to poprzednie zdanie na głos. – Szczęść Boże, niech ksiądz wejdzie, proszę. – Otworzyłam szerzej drzwi.

– To kto ma mnie na ciebie nasyłać? – Kapłan wszedł do środka.

– Tak mi się tylko powiedziało, to nieistotne. Zapraszam do salonu na kawę albo herbatę.

– Może herbatkę. I to zieloną, jeśli masz. Kawa źle wpływa na moje szalejące ciśnienie.

– Coś się znajdzie. – Poprowadziłam go do salonu. – Proszę, niech ksiądz siada. – Wskazałam na fotel. – Wstawię wodę. – Przeszłam do kuchni, a zaraz potem dołączyła do mnie Kasia.

– Szczęść Boże – przywitała się z naszym gościem.

– Witaj, drogie dziecko. Widzę, że nieco rozjaśniłaś swój mroczny wizerunek. – Zlustrował wzrokiem jej strój. Miała na sobie białą bluzkę i beżowe szorty.

– Zrobiłam to tylko dla dobra Zuzki – odpowiedziała mu Kasia. – I tak sporo się przeze mnie wycierpiała.

– Pan nasz docenia miłosierdzie.

– Jak zwał, tak zwał. – Wzięła z koszyka stojącego na blacie soczyste jabłko.

– To wy tu sobie rozmawiajcie, a ja lecę do Tomka. Jedziemy na rowerach do tej naszej drewnianej chałupy. Pogoda się poprawiła, to dokończę malowanie.

– Tak bez śniadania? – Zmarszczyłam brwi.

– Zjem coś u niego. – Niewzruszona cmoknęła mnie w policzek. – Ubrałam Marcela, bawi się u siebie samochodzikami – poinformowała jeszcze i już jej nie było.

– Ach ta młodzież. – Ksiądz natomiast pokręcił głową. – Swoją drogą, mogłabyś powiedzieć mi, jak nastroje w Jaszczurkach. Ludzie trochę ci odpuścili, odkąd zostałaś gwiazdą?

– Jaką gwiazdą, co też ksiądz gada. – Postawiłam przed nimi filiżankę z zieloną herbatą. Po chwili drugą przyniosłam dla siebie i usiadłam naprzeciwko niego. – Ale tak, sąsiedzi rzeczywiście patrzą na nas ostatnio życzliwiej.

– To całe szczęście.

– Ksiądz w tej sprawie, czy do Ludwika, żeby porozmawiać o wędkowaniu? Bo jeżeli do niego, to przykro mi, ale go nie ma. Pojechał dziś gdzieś z samego rana.

– Nie, nie, ja do ciebie. – Ksiądz upił łyk gorącej herbaty.

– Do mnie? Coś się stało?

– I tak, i nie. – Odstawił filiżankę na spodek. – Chciałem porozmawiać o twojej mamie.

– Matko kochana, co z nią?

– Och, nic poważnego. Chyba... – zawahał się. – Właściwie sam nie wiem, dlatego przyszedłem. Czy ona podupadła ostatnio na zdrowiu?

– Nie, skąd. Ma swoje lata, walczy z cukrzycą, ale poza tym ma się dobrze. Przynajmniej na moje oko, bo Ania twierdzi inaczej.

- Tak?
- Mówi, że mama ma coraz więcej dziwactw. Oskarża ją o Bóg wie co, ciągle mówi tylko o śmierci... Ale to chyba normalne, prawda? Biorąc pod uwagę jej wiek.
- Na starość się dziecinnieje, to prawda.
- No to wydaje mi się, że nie ma się czym martwić.
- A widzisz, mi się jednak wydaje, że Ania ma rację i wasza mama może potrzebować więcej uwagi i wsparcia.
- Co ksiądz ma na myśli? – Przechyliłam głowę w bok.
- Widzisz, Zuzka... Ona przysłała do mnie wczoraj prosić o ostatnie namaszczenie.
- Mama?! – Prawie zerwałam się z krzesła.
- Tak, ja też byłem zdziwiony. I to nie dlatego, że zwykle prosi o to rodzina, a nie sam chory, lecz ze względu na to, że sądziłem, iż ona bardzo dobrze się trzyma.
- Co też jej do głowy strzeliło...
- Przez ponad czterdzieści minut płakała mi w kancelarii, przekonując, że niedługo umiera i jej koniec jest blisko.
- Bzdura.
- W dodatku podobno chcecie z Anią pochować ją na podwórku, pod jaśminem, żeby nie łożyć pieniędzy na pogrzeb. Była bardzo rozżalona i przejęta tym faktem.
- No ale chyba ksiądz nie myśli, że my... – Zrobiło mi się wstyd, mimo że mama przecież zmyśliła te brednie. – Przecież ja z Anką nie...
- Ja wiem, spokojnie, ja wiem – przerwał mi ksiądz. Musiał dostrzec moje zmieszanie. – Nie przychodzę dlatego, by cię o cokolwiek oskarżyć. Po prostu zmartwiłem się po rozmowie z panią Grażyną i pomyślałem, że powinnaś o tym wiedzieć. Starzy ludzie często czują, że są ciężarem dla swoich dzieci i bardzo tego nie chcą. Czekają na śmierć, by ukrócić bliskim obowiązek opieki nad sobą.
- Ale przecież mama ma u Ani bardzo dobrze. Zna nas ksiądz przecież.
- Oczywiście, i doskonale wiem, że bardzo mamę kochacie. Po prostu pomyślałem, że powinniście okazywać jej więcej zrozumienia i wsparcia. Z naszej rozmowy wywnioskowałem, że pani Grażyna czuje się samotna i niepotrzebna.
- No dobrze, skoro ksiądz tak mówi, to chyba będziemy musiały jakoś bardziej ją... wesprzeć.
- Wiedziałem, że mądra z ciebie dziewczyna, i zrozumiesz, co mam na myśli. – Uśmiechnął się ciepło.
- Dziękuję, że mi ksiądz o tym powiedział. Przekażę Ani, że mama potrzebuje więcej uwagi – zapewniłam.

Wtedy do salonu wpadł nikt inny, jak właśnie Ania we własnej osobie. Miała

czerwone policzki i szybko oddychała. Wyglądała na zdenerwowaną, co z pewnością nie powinno mieć miejsca, biorąc pod uwagę fakt, że jest w ciąży.

– Jak dobrze, że jesteś! – rzuciła na mój widok. – Szczęść Boże – zwróciła się do księdza.

– Co się stało? Usiądź. – Uniosłam się z fotela, by ustąpić jej miejsca.

– Nie będę siadać! Nie w takim momencie! – wydusiła, nerwowo łapiąc powietrze. – Mama zniknęła.

– Co?! – Zrobiłam wielkie oczy i nogi się pode mną ugięły.

– No zniknęła, jak nic! Nigdzie jej nie ma! Obszukaliśmy z Jurkiem cały dom, podwórko i Jaszczurki. Przepadła jak kamień w wodę! – Z jej oczu trysnęły łzy.

– Usiądź. – Wzięłam ją pod ramię i mimo wcześniejszego protestu usadziłam na fotelu. – Przyniosę ci wodę i zaraz mi to wszystko opowiesz. – Zrobiłam krok w stronę kuchni.

– Ale tu nie ma co opowiadać! Trzeba pędzić jej szukać, zamiast siedzieć i o tym rozmawiać.

– Spokojnie. – Wróciłam i podałam jej butelkę wody mineralnej.

Mimo zdenerwowania odkręciła ją i upiła kilka łyków.

– No to teraz opowiadaj. – Usiadłam na kanapie. – Jak to mama zniknęła?

– Obudziłam się około siódmej i jej już nie było. Gdzieś w okolicach czwartej nad ranem wrócił Jurek, więc wymknęłam się z sypialni, nie chcąc go budzić, i poszłam do kuchni. Mama zwykle siedziała już o tej porze przy stole i czytała gazetę albo ewentualnie chodziła po podwórku. W pierwszej chwili nie przejęłam się więc tym, że jej nie ma i zrobiłam sobie herbatę. Za pół godziny obudziła się Zosia, a mamy nadal nie było. Tak samo jak o ósmej, gdy wstał Pawełek. Wtedy zaczęłam się martwić. Zostawiłam małą pod opieką Pawła i wybiegłam na podwórko, żeby jej poszukać. Pomyślałam, że może snuje się między drzewami w sadzie, szukając sobie kolejnego miejsca do pochówku. – Ania zerknęła na księdza. – Zresztą nieważne. – Machnęła ręką. – Potem obleciałam garaż, stodołę, szopę, szklarnię, a nawet twoje podwórko, ale nic, jak kamień w wodę! Wystraszona pobiegłam do domu i obudziłam Jurka. Zerwał się z łóżka pomimo niewyspania i poleciał na wieś. Zajrzał chyba do wszystkich sąsiadów, ale nigdzie jej nie ma. – Po policzkach Anki zaczęły płynąć kolejne łzy.

– Spokojnie. – Pogłaskałam ją po ręce, chcąc pocieszyć. – Na pewno zaraz znajdziemy mamę.

– Już nie wiem, co ja mam robić – łkała dalej Ania. – Przecież tyle się teraz mówi o zaginięciach starszych ludzi, którzy wychodzą z domu, a później topią się w jakiejś rzece lub stawie.

– Nie możesz od razu zakładać najgorszej opcji. – Wstałam z kanapy i otoczyłam ją ramieniem.

– Zuzka ma rację – zgodził się ze mną ksiądz proboszcz. – Ja też myślę, że pani Grażyna się znajdzie.

– A jak nie?! Albo jak znajdzie się martwa?!

– Ania, na litość boską! Pohamuj te swoje czarne wizje.

– Tak bardzo się o nią martwię – zaszlochała głośno w odpowiedzi.

Ja natomiast ruszyłam w stronę kuchni.

– Dokąd idziesz? – zawołała za mną.

– Po telefon. Myślę, że trzeba zadzwonić na policję.

– Na policję?

– No tak, żeby zgłosić zaginięcie. Pomogą nam szukać.

– Zaginięcie! – zawyła Ania i pociągnęła nosem.

– Nie płacz – zganiłam ją, starając się zachować spokój. Potem wzięłam do ręki leżącą w kuchni komórkę. Wstrzymałam się jednak z wybiciem na klawiaturze numeru alarmowego.

– Dlaczego nie dzwonicz?

– Może powinniśmy najpierw obdzwonić rodzinę i jej znajomych? Może wybrała się do kogoś z wizytą? – przyszło mi nagle do głowy.

– No ale wtedy pewnie poprosiłaby mnie albo ciebie, żebyśmy ją tam zawiozły. Nigdy nie wychodziła na dłużej bez powiedzenia mi o tym.

– Sama mówiłaś, że miała ostatnio coraz więcej dziwactw.

– Boże – zapłakała Ania. – Ty już nawet mówisz o niej w czasie przeszłym!

– Przestań! – zganiłam ją uniesionym głosem mimo obecności księdza. – Zadzwonię do Sosenek, do ciotki Haliny. Może pojechała do nich – powiedziałam, po czym wybrałam numer ciotki.

Ta jednak nic nie wiedziała o zaginięciu naszej mamusi.

– Ktoś jeszcze przychodzi ci do głowy? – zwróciłam się do Anki, gdy się rozłączyłam.

– Nie. Wszystkie jej najbliższe koleżanki mieszkają w Jaszczurkach i Jurek już sprawdził, czy jej u nich nie ma.

– Kurczę... – Popukałam się telefonem w skroń. – No dobra, to trzeba dzwonić na tę policję.

– Może lepiej najpierw do Jarka Iwonki? Może on nam doradzi, co powinniśmy zrobić?

– To dobry pomysł – zgodziłam się z Anką i wybrałam numer Jarusia, który poinformował mnie, że policja nie może przyjąć zaginięcia, jeżeli od ostatniego razu, gdy zaginiony był widziany, nie upłynęły dwadzieścia cztery godziny.

– No to co mamy robić? – jęknęłam do słuchawki niepokieszona.

– Szukajcie jej na własną rękę. O czternastej kończę służbę, więc mogę wtedy przyjechać i wam pomóc. A teraz ewentualnie wyślę ci do pomocy Iwonkę i dzieciaki. Zawsze to dodatkowe pary nóg i oczu.

– Dziękuję, jesteście kochani.

– To rozłączmy się i do niej zadzwonię. Nie martwcie się, ciocia na pewno się znajdzie – zapewnił i zakończył połączenie.

– Jarek mówi, że musimy na razie szukać jej na własną rękę – zwróciłam się do Ani i księdza. – Przyśle do nas Iwonkę i dzieciaki, to nam pomogą. Ja też zaraz zadzwonię po Kasię, Tomka i Ludwika. Razem przeczeszymy okolicę i mama prędzej czy później się znajdzie, zobaczysz – pocieszyłam płaczącą zawzięcie Anię.

– To ja zadzwonię do wikarego, niech też nam pomoże – zaproponował proboszcz i już sięgnął do kieszeni po telefon, gdy po pokoju rozległa się głośna melodyjka. – Och, o wilku mowa. – Wydobył w końcu dzwoniącą komórkę i odebrał. – Halo? – zwrócił się do wikarego. – Dobrze, że dzwonicz. – Chwila przerwy. – Ale jak to jest poruszenie na cmentarzu? – Nagle jego twarz pobladła. – Kto? – Ponownie milczenie. – Tak, tak, oczywiście, że zaraz będę. – Popatrzył na mnie powiększonymi źrenicami i się rozłączył.

– Nie pomoże nam ksiądz szukać? – Uśmiechnęłam się gorzko, gdy opuścił dłoń z telefonem.

– Wręcz przeciwnie.

– Co to znaczy?

– Że nie musicie organizować żadnych poszukiwań.

– Mama nie żyje?! – załkała przerażona Anka.

– Więcej wiary. – Proboszcz uśmiechnął się. – Wasza mama się znalazła.

– Naprawdę?! – wyrwało mi się entuzjastycznie.

– Tak. Któraś z was powinna ze mną po nią pojechać.

– Dokąd?

– Na cmentarz. Wikary mówi, że nie ma już argumentów, by ją stamtąd wyprosić.

– Co mama robi na cmentarzu? – odezwała się Anka.

– Dlaczego wikary chce ją stamtąd wyrzucić?

– Podobno przyjechała na cmentarz razem z firmą pogrzebową i robią przymiarki.

– Co robią?! – omal się nie oplułam.

– Przymiarki, a przynajmniej tak powiedział mi wikary. Podobno wasza mama wybiera sobie co dogodniejsze miejsca, w których chciałyby być pochowane. Kładzie się tam, i wpatruje w niebo, dywagując, czy będzie miała ładny widok, a firma robi przymiarki, czy nagrobek się zmieści. A może chodziło o trumnę... – podrapał się po głowie.

– Nie, o trumnę nie. – Machnęłam w jego stronę ręką. – Mama chce być skremowana, kupiła już sobie nawet ekologiczną urnę.

– Aha. No więc mierzą, czy wejdzie tam nagrobek. Tak czy siak, wikary

mówi, że inni odwiedzający cmentarz są jej zachowaniem zgorszeni i już dwie panie przyszły do niego na skargę. Problem jest jednak taki, że wasza mamusia nie chce dać się stamtąd wyprosić.

– To rzeczywiście może być trudne. Mama naprawdę poważnie traktuje sprawę swojego pochówku. Można powiedzieć, że jest w nią bardzo zaangażowana.

Ksiądz proboszcz westchnął. On też znał upór pani Grażyny.

– To co, pojedzie któraś po nią ze mną? – zaproponował, podnosząc się z fotela.

– To może ja pojedę. – Zerknęłam na zapłakaną Ankę. – Ania jest zbyt roztrzęsiona, żeby prowadzić.

– Tak, zgadzam się. – Nasza płaczka też się podniosła. – Bardzo się tą sprawą przejęłam.

– No to postanowione.

– Niech ksiądz poczeka, wezmę tylko kluczyki od samochodu i możemy jechać. Zerkniesz w tym czasie na Marcela? – zwróciłam się do niej jeszcze.

– Wezmę go do siebie.

– Świetnie. – Uśmiechnęłam się pod nosem. – Jest na górze – wytłumaczyłam pobieżnie, po czym chwyciłam z szafki w korytarzu kluczyki. – No, możemy jechać. – Zerknęłam na proboszcza i oboje ruszyliśmy na cmentarz w obronie spokoju ewidentnie należącego się zmarłym, który mamusia, gdy już ją dopadłam, zakłóciła nie tylko swoimi wygibasami na trawie, ale i głośnym płaczem.

– I widzi ksiądz? – lamentowała, gdy razem z proboszczem prowadziliśmy ją do mojego cinquecento. – Mówiłam, że one nie rozumieją wagi problemu pochówku – płakała. – A ja żartowałam z tym leżeniem pod jaśminem, naprawdę. Wolałabym spocząć sobie tutaj w ciszy, jak inni, a nie pod płotem sąsiadów. I mieć nad sobą grafitowy nagrobek, zamiast zgniłych liści. Czy to tak wiele?

– Niech się pani nie martwi, pani Grażynko. Ja rozmawiałem z Zuzanną i ona nie ma względem pani żadnych złych zamiarów. Podobnie jak pani rozumie, że tematy funeralne są ważne.

– Akurat, one tak z Anią tylko gadają. Do czego to doszło, żeby człowiek nie mógł spokojnie nawet umrzeć! Wszędzie tylko problemy i problemy.

– Zapewniam panią, że w pani ostatniej godzinie pani córki będą przy pani. – Ksiądz proboszcz popatrzył na mnie, szukając ratunku. – To dobre dziewczyny.

– Księdza też omamiły! – zapłakała jeszcze głośniej mama.

– Niech ksiądz da spokój – szepnęłam nad jej głową. – Do jutra jej przejdzie – zapewniłam i pomogłam mamie wsiąść do samochodu.

– Będę się za was modlił. – Proboszcz uścisnął moją rękę, gdy zamknęłam za mamusią drzwi.

– Dziękuję. – Uśmiechnęłam się do niego na odchodnym.

Wróciłyśmy z mamą do Jaszczurek. Bezpiecznie doprowadziłam ją do domu i przekazałam w ręce Jurka.

– Nie było łatwo, co? – zaczęła mnie Anka, gdy ten zaprowadził mamę do kuchni.

– Nic nie mów. Tak mi było wstyd przed proboszczem, że głowa mała.

– Musimy lepiej jej pilnować.

– To prawda.

– Ale sama widzisz, że coś się ostatnio z nią dzieje. Wcześniej też mówiła nam o tym umieraniu, ale w jakiś taki mniej agresywny sposób. Ostatnio ciągle nas o coś oskarża.

– Może ma jakiś gorszy czas – mruknęłam.

– Być może.

– Wpadniecie do nas z Jurkiem wieczorem na grilla? – zaproponowałam. – Zrobiłabym jakąś dobrą sałatkę i przyrządziła kaszankę. Moglibyśmy pogadać. O mamie, o pracy Jurka i w ogóle o wszystkim.

– Czemu nie. – Ania poprawiła kosmyk włosów, który wymknął się z kitki. – Jak dzieci pójdą spać? Dajmy na to wpół do dziesiątej?

– Jak dla mnie bomba. To wołam Marcela i do zobaczenia.

– Nie, zostaw. – Nim to zrobiłam, złapała mnie za rękę. – Daj mu się pobawić z Pawełkiem. Mój syn i tak nie ma w okolicy zbyt wielu kolegów, cieszy się, że ma towarzystwo.

– To tak samo jak Marcel, no dobrze. Ale na pewno nie będzie ci przeszkadzał?

– No coś ty! Ja się bardzo cieszę, że jest. Pawełek nie będzie marudził, Zosia śpi, więc będę miała dzięki temu chwilę ciszy.

– Tylko się nie przyzwyczaj – zażartowałam.

– Ani mi to w głowie.

– To wpadnę po niego za dwie godzinki – pożegnałam się z Anią i wróciłam do siebie.

A w domu czekała na mnie zbawienna cisza i Teodor, z którym zrobiliśmy sobie kawę i zabraliśmy się za przygotowanie obiadu. Wyciągnęłam z zamrażarki filety z kurczaka na kotlety, a on zaproponował nawet (z własnej woli!), że oskrobie ziemniaki.

– No co tak na mnie patrzysz? – zapytał, gdy zaskoczona zastygłam w bezruchu i kilka razy zamrugałam rzęsami. – Chcesz sama obrać?

– Nie, nie. – Potrząsnęłam głową. – Po prostu nikt tego za mnie nie robił przez ostatnie kilka lat.

– Mama wpoila mi, że to rola, która niezmiennie należy do faceta. Jak chcesz mieć udany związek, to skrob swojej kobiecie ziemniaki.

- Piękne powiedzonko – zachichotałam.
- Ludwik ci nie pomaga?
- No jakoś tak wyszło. – Spuściłam wzrok. – Pewnie jego mama miała inne zasady – mruknęłam i zaczęłam kroić mięso.

Na przykład takie, dopowiedziałam sobie w myślach: znikaj z domu, ile się da, i o nic się nie martw. Bardzo adaptacyjne.

Rozdział 22

Ludwik wrócił do domu około dwudziestej trzydzieści. Miał ubłocone buty i koszulkę. W pośpiechu wstawił auto do garażu, a potem bez słowa wbiegł po schodach na górę i skierował się do łazienki.

– A ten co, ani me, ani be, ani kukuryku? – zapytała mnie Kasia.

Stałyśmy przy blacie w kuchni, przygotowując karkówkę na grilla, i zawijałyśmy w folię aluminiową przyprawione ziemniaki z masłem, by potem je zapiec. Razem z Anką po prostu je uwielbiałyśmy. Nie mogło więc zabraknąć ich na stole podczas dzisiejszej kolacji.

Marcel natomiast już spał. Kasia przeczytała mu na dobranoc bajkę o Scooby-Doo i pochrapywał teraz w najlepsze.

– Nie wiem, może coś go ugryzło. – Wzruszyłam zdrowym ramieniem, odpowiadając na wcześniejsze pytanie, i popieprzyłam kolejny kawałek mięsa.

– Może. W tym lesie pełno robactwa. – Kasia zaśmiała się głośno i wzięła kolejny kawałek folii. – Swoją drogą często go ostatnio nie ma.

– Tak, coraz częściej.

– To trochę przykre. Macie wakacje, moglibyście w końcu pospędzać czas razem, a prawie się nie widujecie.

– Kiedyś tak nie było – wyznałam smutno.

– Naprawdę?

– Tak. Ludwik był prawie tak romantyczny jak ten twój Tomek. Zabierał mnie na wycieczki, zabiegał o mnie... – Moje spojrzenie stało się rozmarzone. –

No ale to było dawno – zreflektowałam się i wróciłam na ziemię. – Przed małżeństwem.

– A po ślubie zero romantyzmu?

– Tak to chyba działa. Ślub wiele zmienia, ale na pewno na niekorzyść zaangażowania w związek. Nagle nie trzeba już o siebie tak bardzo zabiegać, bo przecież wyznało się przed księdzem to magiczne „na zawsze”.

– Beznadzieja.

– Raczej rzeczywistość. – Zaczęłam przyprawiać kolejny kawałek mięsa.

– Zatem nie zamierzam wychodzić za mąż. – Kasia też ułożyła na folii następnego ziemniaka. – Małżeństwo to w takim razie jakiś debilizm.

– Nie jest tak źle.

– Jasne. Nie dość, że moja matka rzuca wszystkich zakochanych w niej facetów zaraz po ślubie, to ty i Ludwik też mnie nie przekonujecie.

– Zawsze mogłam trafić gorzej – zaśmiałam się.

– No to nie jest zbyt pocieszające – odpowiedziała, a po chwili rozległ się tupot stóp na schodach.

– Cześć – rzucił Ludwik, wchodząc do kuchni. – Jest jakiś obiad?

– Zaprosiłam Ankę i Jurka na grilla, nie opłaca ci się nic jeść, będą za godzinę.

– Nie jadłem od śniadania nic poza jedną bułką. – Spojrzał na mnie z wyrzutem.

– To nie moja wina, trzeba było wrócić do domu na obiad.

– Były schabowe – wtrąciła Kasia.

– Są jeszcze?

– W lodówce – zlitowałam się nad nim.

– A ziemniaki?

– Nie ma. Zjedz z chlebem.

– Zjem. – Ludwik podszedł do lodówki i wyjął z niej talerz z kotletami, który chwilę później wstawił do mikrofalówki. – To Jurek już wrócił? – zapytał, opierając się o blat.

– Gdybyś żył życiem rodzinnym, to byś wiedział.

– Albert ma urlop i chcemy maksymalnie wykorzystać go na poszukiwania.

– A potem ktoś inny będzie go miał, a twoje dziecko zupełnie zapomni, jak wygląda jego ojciec – wyrwało mi się, nim ugryzłam się w język.

– Przecież i tak nie mam w domu nic lepszego do roboty.

– Nic? – Jego słowa podniosły mi ciśnienie. – A spłuczka na górze w łazience, która przecieka już od kilku tygodni? A światło przed domem, które wiosną obiecałeś zamontować? Przydałoby się też odmalować tu ściany. – Rozejrzałam się po kuchni. – Są tak tłuste, że ledwo dają się domyć. Jest milion rzeczy do zrobienia, ale ty oczywiście jesteś ślepy. Lepiej wyjść z kumplami albo

obejrzeć mecz – wygarnęłam mu mimo obecności Kasi.

– Przecież kiedyś się tym wszystkim zajmę. – Ludwik spróbował załagodzić sytuację. Zachował stoicki spokój.

– Kiedy? – Odwróciłam się do niego. – Zdążysz przed emeryturą?

– Zamiast się złościć, powiedziałaś mi rano, że trzeba zrobić to i to, i bym się tym zajął.

– A nie możesz się domyślić? Mieszkasz w tym domu tak samo jak ja. Nie widzisz tej lejącej się na górze wody? Albo tego tłuszczu na ścianach?

– Zuzka. – Kasia uspokajająco dotknęła mojej dłoni. – On jest tylko facetem.

– I co z tego, że jest facetem? To go zwalnia od tego, żeby myśleć?

– No nie, ale wiesz, że takiemu to trzeba wszystko dokładnie wyłożyć, kawa na ławę, zamiast kazać się domyślać.

– Po prostu szlag mnie trafia, że ja siedzę w domu i tyram jak wół, robiąc obiadki, sprzątając i wypruwając sobie żyły, a ten wraca na gotowe i jeszcze twierdzi, że w domu nic nie ma do roboty! – krzyknęłam i rzuciłam trzymaną w rękę pieprzniczkę na blat. – Sam sobie rób tego grilla – rzuciłam do oszołomionego moim wybuchem złości Ludwika. – Przyjdę do was wpół do dziesiątej – wyparadowałam z kuchni.

– Co jej się stało? – usłyszałam jeszcze, nim zamknęłam za sobą drzwi do łazienki.

– A bo ja wiem? – Kasia wzruszyła ramionami.

Reszty ich rozmowy nie słyszałam, bo zaczęłam płakać. Głośno i rozpaczliwie, dając upust wszystkim kumulującym się we mnie ostatnio emocjom. Łzy płynęły po moich policzkach jak z kranu, a wzdłuż kręgosłupa co i rusz przebiegał kolejny zimny dreszcz. Byłam wściekła i zrozpaczona. Przez wszystko i na wszystko. A zwłaszcza na tego mojego, pożałuj Boże, męża, który nadal nie rozumiał tego wybuchu i zaczął dobijać się do łazienki.

– Zuzka – powiedział łagodnie, stając przy drzwiach. – No daj spokój.

– Idź sobie. – Pociągnęłam nosem.

– Ale o co ci chodzi? Coś zrobiłem nie tak?

– Oczywiście, że nie. Wszystko jest w najlepszym porządku – rzuciłam ironicznie.

– Zuzka... – Popukał palcami w futrynę.

– Powiedziałam, żebyś sobie poszedł.

Za drzwiami rozległo się głośne westchnięcie.

– Przepraszam, jeżeli zrobiłem coś nie tak. Martwię się o ciebie, dziwnie się ostatnio zachowujesz.

– Ty też się ostatnio dziwnie zachowujesz! – Moim ciałem znów wstrząsnął szloch.

– Może rzeczywiście nie powinienem tak ciągle znikać.

– Już się przyzwyczaiłam, że nigdy cię nie ma.
– No to o co chodzi? – Nadal zachowywał spokój. I wkurzał mnie tym jeszcze bardziej!

– Powiedziałam, że o nic! Idź sobie! Zajmij się mięsem – burknęłam.
– Zuzka... – jęknął kolejny raz, nie dając za wygraną. – Wpuść mnie, nie chcę, żebyś płakała z mojego powodu.

– Trzeba było pomyśleć o tym wcześniej!

Na chwilę zapanowała między nami cisza.

– Przeprosiłem cię, chociaż nie mam pojęcia za co. Co jeszcze mam zrobić? Stanąć na rżęsach, pomyślałam złośliwie, ale nie powiedziałam tego na głos.

– Nic – szepnęłam zamiast tego, nieco się uspokajając.

Znowu nastało milczenie. Tym razem jednak za drzwiami pojawiła się Kasia. Szeptem poprosiła Ludwika, żeby na chwilę odszedł, i sama przywarła do drzwi.

– Wszystko w porządku? – zapytała.

– Jak najlepszym – zaszlochałam.

– Świetnie. A tak serio?

– Zaraz mi przejdzie.

– W takim razie ocieraj łzy, wychodź stamtąd, zanim Ludwik zupełnie straci do ciebie cierpliwość. Zachowujesz się jak typowa kobieta. Zamiast powiedzieć mu, o co ci chodzi, to urządzasz awanturę na tysiąc fajerek – powiedziała, choć nie wiem, czy jest takie powiedzenie.

– Stajesz po jego stronie. – Otarłam nos wierzchem dłoni.

– Wcale nie. Po prostu jestem obiektywna. Wydarłaś się na Ludwika, zamiast w jasny sposób zakomunikować mu, w czym jest problem.

– Co? – Nastawiłam uszu.

– Pstro. Rozmowy wychodzą ludziom lepiej, gdy nie drą się na siebie w emocjach.

– Brzmisz teraz jak jakiś psycholog – mruknęłam, uświadamiając sobie, że może i ma rację. Wydarłam się na Ludwika, dając upust wszystkim swoim ostatnim stresom. Jak by się tak nad tym zastanowić, nie miałam z czego być dumna.

– Albo przemawia przez nią życiowa mądrość – włączył się w naszą rozmowę mój mąż.

– To wy tu sobie jeszcze pogadajcie, a ja usunę się w cień. – Kasia widać zdała sobie sprawę z tego, że nie jest już potrzebna. – Będę w kuchni – powiedziała, po czym odeszła.

– To wpuścisz mnie? – Ludwik tymczasem poprosił ponownie.

Wzięłam głęboki wdech, ale podniosłam się i otworzyłam mu drzwi. Znajdowaliśmy się teraz naprzeciwko siebie. Widziałam dokładnie jego niebieskie

tęczówki. Były pełne ciepła.

– Z takimi zapłakanymi oczami wyglądasz jak bóbr – powiedział, a potem wyciągnął ręce. – Chodź tutaj. – Objął mnie ostrożnie, uważając na gips.

Mimo resztek złości wtuliłam się w jego ramię. Pachniał perfumami, które kupiłam mu jakiś czas temu, i mydłem. Musiał na górze wziąć prysznic.

– Przepraszam – wyszeptał z ustami nad moją głową. – Nie chcę, żebyś się przeze mnie złościła.

– Ja też nie chcę.

– A tę spłuczkę... – Pocałował mnie w czoło. – Ja ją naprawię, naprawdę – dodał, a potem staliśmy przytuleni do siebie przez kilka chwil.

Zamknęłam oczy, napawając się jego bliskością. Takie momenty nie zdarzały nam się zbyt często i przez ułamek sekundy poczułam się jak dawniej, gdy nie mogliśmy oderwać od siebie ani oczu, ani spojrzeń. Brakowało mi takiego Ludwika, podobnie jak brakowało mi naszego gorącego niegdyś uczucia.

Ludwik przytulił mnie mocniej, a w mojej głowie pojawiła się nowa refleksja. Może nasza miłość wcale aż tak bardzo się nie zmieniła? Wyblakła, owszem, i straciła trochę kolorów, ale to nie znaczy, że stała się gorsza? Może to po prostu ja szukałam dziury w całym, wmawiałam sobie jego romans, sama omal w takowy się nie wplątałam, bo znudziła mnie rzeczywistość?

Na myśl o tym jeszcze bardziej wtuliłam się w jego ramię.

– Kocham cię, złościco – wyszeptał w odpowiedzi.

Nabrałam w płuca powietrza. Kobiety naprawdę są głupie. Pragną fajerwerków, uniesień i Bóg wie czego, podczas gdy do szczęścia naprawdę wystarcza może nudny, ale wierny mąż i ciepłe, znoszone kapcie.

– Ja też cię kocham – odpowiedziałam kierowana przepływem czułości, po czym odsunęłam się od niego i otarłam łzy. – A teraz chodźmy już i dokończmy przyprawiać karkówkę. Ania i Jurek za chwilę będą – oznajmiłam i oboje przeszliśmy do kuchni.

Konflikt został załagodzony. Przynajmniej na chwilę. Nakleiliśmy na sączącą się ranę plaster, ale jeszcze sporo będzie musiało się zdarzyć, nim całkowicie się ona zablizni. Musiałam jeszcze tylko dopaść to Blond Złotko i natrzaskać jej po twarzy tak, by Ludwik nie miał ochoty już nigdy więcej na nią patrzeć.

(No dobra, wiem, że to ostatnie zdanie jest zbędne, ale nadal stłukłabym francę na kwaśne jabłko! Co to za czasy, że kobieta kobiecie żmija!)

Rozdział 23

Ania z Jurkiem zjawili się na naszym podwórku punkt dwudziesta pierwsza trzydzieści. Ona miała na sobie džinsy i wielką, zieloną bluzę, a on brązowe spodnie i sweter w serek. Rozsiedliśmy się razem z nimi przy drewnianym stoliku pod naszym rozłożystym drzewem. Udekorowałam jego gałęzie zwisającymi słoikami przewiazanymi sznurkiem, w które włożyłam podgrzewacze. W połączeniu z otaczającą nas ciemnością oraz świeczkami odstraszającymi komary tworzyły miły nastrój.

– Wieczór bez dzieci to coś niesamowitego. – Ania podeszła do mnie z uśmiechem. – Jest tu tak cicho i spokojnie. – Rozejrzała się po skrzącej się w poświacie księżyca okolicy.

– Cześć stary, kupę lat, co? – Jurek natomiast przywitał się z grillującym Ludwikiem.

– Tak. – Ten podał mu rękę. – Ale długo w tej Szwecji nie zabawieś.

– A daj spokój. Ten mój wyjazd to jakaś katastrofa. W dodatku kosztowała niemało pieniędzy i jeszcze więcej nerwów.

– Może zanim nam wszystko opowiesz, najpierw zjemy karkówkę? – Wskazałam na piekące się mięso. – Powinna już być dobra, prawda?

– Tak, myślę, że już możemy ją jeść. – Ludwik zaczął przekładać karkówkę na talerz.

– O, widzę, że są też ziemniaczki – ucieszyła się Ania.

– Jak mogłoby ich zabraknąć! W końcu przypominają nam czasy młodości.

– À propos młodości, gdzie Kasia z Tomkiem? Myślałam, że tu z nami posiedzą.

– Oglądają film. – Zerknęłam w stronę domu.

– Jasne, film – wtrącił się Ludwik. – Po prostu wykorzystują naszą nieobecność.

– Oj, daj spokój! – zwróciłam się do niego. – Kasia z Tomkiem pilnują nam Marcela – wyjaśniłam gościom.

– A Teodor? – zapytał Jurek. – Słyszałem, że odwaliliście z nim kupę dobrej roboty w naszym gospodarstwie. – Popatrzył na Ludwika. – Ania pewnie by sobie bez was nie poradziła.

– W końcu jesteście rodziną – odpowiedział tamten.

– Teodor czyta – wyjaśniłam. – Zapraszałam go do nas, ale skutecznie mi się oparł.

– Widać nie każdy facet jest łasy na twoje wdzięki, kochanie – zażartował Ludwik, stawiając talerz na stole.

Ania posłała mi pytające spojrzenie, ale potrząsnęłam głową na znak, że nadal nie powiedziałam Ludwikowi o tym, co łączyło mnie z Teodorem.

– Nasze kobiety to i tak wyjątkowe okazy urody – odezwał się Jurek. – Te Szwedki... Cóż, to zdecydowanie nie mój typ. Blade takie i wysokie. Zero krągłości, nie było na czym oka zawiesić.

– Może dzięki temu wyjazdowi będziesz mnie bardziej doceniał. – Ania trąciła go łokciem.

– Przecież ja cię zawsze doceniam! Zawsze, ale to zawsze.

– Częstujcie się – ukróciłam to ich przekomarzenie i podsunęłam Ani talerz z karkówką.

– Nie, nie, ja dziękuję. – Ta jednak potrząsnęła głową. – Za tłuste, poczekam na ziemniaczki.

– Jest jeszcze kiełbasa, ale ona też jeszcze się piecze, bo Ludwik położył ją na ruszt trochę później.

– No to poczekam. Włożę sobie na razie warzywka. – Sięgnęła po sałatkę. – Jaka to?

– Pomidor, ogórek, sałata i rzodkiewka.

– Brzmi dobrze. – Zaczęła nakładać ją sobie na talerz, podczas gdy Jurek wziął ode mnie półmisek z karkówką.

– A ja się skuszę. Nie ma to jak mięso.

– Święte słowa, święte. – Ludwik pokiwał głową i znów odszedł w stronę grilla. Tym razem, żeby pozdejmować z niego upieczone ziemniaczki.

– Nasze grillowanie to kolejna rzecz, za którą tęskniłem.

– Szwedzi nie grillują? – Wzięłam do ręki miskę z sałatką.

– Grillują, ale to nie to samo. U nas jest jakoś tak rodzinnie i... polsko.

- Następnym razem nie wyjeżdżaj sam.
- Po tym, co tam przeszedłem, odechciewa mi się jakichkolwiek wyjazdów.
- Anka mówiła, że facet nie wypłacił ci pieniędzy. – Ludwik wrócił do stołu i postawił na nim naczynie z ziemniaczkami, które od razu przywłaszczyła sobie Ania.
- Tak. W dodatku to był naprawdę zaufany gość, przecież w ciemno bym nie jechał. Ludzie dobrze się o nim wypowiadali, a tu proszę.
- No ale może jakoś jeszcze te pieniądze odzyskasz? Może gość po prostu trochę spóźni się z wypłatą?
- Zuzka. – Jurek pokręcił głową. – Ze zbyt wielu pieców chleb jadłem, żeby nie rozgryźć takich jak on. Ściąga sobie do zakładu siłę roboczą zza granicy, pracują u niego kilka tygodni, potem on im nie płaci i przyjeżdżają następni. Dla niego to czysty biznes, ludzie odwalają mu robotę za darmo.
- Przecież to nielegalne.
- I kogo to obchodzi? Dwóch czy trzech zatrudnia legalnie, a reszta niech się martwi.
- Ale przecież podpisywałaś przed wyjazdem różne dokumenty, to miała być dobra, sprawdzona robota.
- Na miejscu okazało się, że gość tak zachachmęcił, żebyśmy nawet nie byli ubezpieczeni. Na początku wszystko wydawało się w porządku, dopiero z czasem zaczęły wychodzić na wierzch jego kolejne przekręty.
- Utłukłabym takiego krętacza – uniosłam głos. – Czy on nie wie, że niektórzy z tych ludzi mają na utrzymaniu rodziny? Nie pomyśli, że odbiera chleb dzieciom, bo taki mężczyzna, co u niego robi, często jest jedynym zarabiającym w rodzinie?
- A kogo to obchodzi? Biznes to biznes.
- Nóż się w kieszeni po prostu otwiera. A nie możesz iść z tym do sądu? Przecież na pewno byś wygrał.
- Po pierwsze, to założenie sprawy dużo kosztuje, a po drugie, jeszcze więcej kosztuje wynajęcie dobrego prawnika.
- Co za chora sytuacja!
- Tacy ludzie są ponad prawem.
- No utłukłabym dziada jak nic! Sam pewnie zarabia tyle, że w głowie się nie mieści! To się nazywa sprawiedliwość!
- Najważniejsze, że Jurek już jest w domu – odezwała się Ania. – Jakoś sobie poradzimy.
- Popytam znajomych, czy nie potrzebują kogoś do pracy – zapewnił Ludwik. – Może coś się dla ciebie znajdzie.
- Dzięki.
- Zwrócimy wam pożyczone pieniądze najszybciej, jak tylko będziemy

mogli – powiedziała Ania.

– Nie spiesz się – odpowiedział jej Ludwik. – Nie planujemy w najbliższym czasie żadnych większych wydatków.

– Gdybyście jeszcze potrzebowali pożyczki... – dołączyłam do niego, jednak Jurek nie dał mi skończyć.

– Trochę udało mi się w tej Szwecji w ostatnie dni zarobić. Na jakiś czas nam starczy, mam nadzieję, że zanim wszystko wydamy, znajdę jakąś robotę.

– Jurek pracował przez cztery dni u prywatnych osób.

– Chciałem jakoś wypełnić czas przed powrotem, żeby nie siedzieć beczynnienie.

– Podaj Ani kielbasę. – Stuknęłam Ludwika w ramię. – To czym się zajmowałaś?

– Znam się trochę na stolarce, a oni mają drewniane domy, więc jeździłem od jednego do drugiego i pytałem, czy nie potrzebują małego remontu albo czegoś takiego. Wprawdzie mój angielski kuleje, ale dawałem radę się dogadać.

– I co, Szwedzi korzystali z twojej pomocy?

– W większości – odpowiedział, lekko się uśmiechając, a Ania parsknęła śmiechem.

– No co? – Popatrzyłam na nią, pochylając głowę.

– Nic, nic. Po prostu Jurek przeżył w Szwecji bardzo zabawną sytuację – nie mogła przestać chichotać. – Ale niech lepiej sam wam opowie. – Popatrzyła na męża, starając się uspokoić.

– Można tak powiedzieć, chociaż wtedy wcale nie było mi do śmiechu. W pewnym momencie to wręcz umierałem ze strachu.

– Opowiadaj. – Oparłam zdrowy łokieć o blat stołu.

Ludwik natomiast przegonił fruującego między nami komara i przełożył sobie na talerz kolejny kawałek mięsa.

– Więc, jak już mówiłem, moja znajomość angielskiego jest raczej nie najlepsza. Któregoś ranka, gdy poszedłem do sklepu, zapytałem sprzedawczynię o to, czy nie zna może kogoś, kto potrzebowałby pomocy przy remoncie. Ta powiedziała mi, że ma brata, który właśnie odnawia swój dom i przyda mu się do pracy każda para rąk, bo bardzo mu się spieszy. Jeszcze przy mnie zadzwoniła do niego, ten zgodził się od razu i kazał mi przyjeżdżać. Ale, że ja nie znałem okolicy, postanowił podesłać po mnie swoją żonę. Pożyczyłem auto od jednego z chłopaków, który miał w Szwecji samochód, i czekałem na nią pod tym sklepem. Przyjechała po około czterdziestu minutach i kazała mi za sobą jechać. Droga była kręta i wiodła przez lasy, więc już po jakichś piętnastu minutach straciłem orientację i nie wiedziałem, gdzie jestem.

– Miałaś chociaż mapę?

– Tak mi się zdawało. Pojechałem za tą kobietą do jej domu, gdzie

pracowała już ekipa robotników. Przedstawiłem im się pospiesznie, po czym sam zabrałem do pracy. Po około trzech godzinach roboty w pocie czoła gospodyni zaprosiła nas na obiad. Usiedliśmy przy drewnianym stole na zewnątrz i zaczęliśmy jeść. Pan domu, z wykształcenia weterynarz, zainicjował rozmowę. Pytał się każdego z robotników, czym się zajmuje i kim jest. Kiedy doszło do mnie, z uśmiechem odpowiedziałem mu, że jestem stolarzem. I wtedy przy stole zapadła cisza. Bardzo niezręczna. Wszyscy robotnicy patrzyli na mnie, jakbym co najmniej zabił im matki, a gospodyni miała w oczach czyste przerażenie. Nie wiedząc, o co chodzi, dodałem, że na co dzień prowadzę gospodarstwo rolne, ale przez resztę obiadu i pracy wszyscy patrzyli na mnie jakoś tak spode łba i wcale się nie odzywali. A na koniec roboty, gdy właściciel domu wypłacał nam pieniądze, zaprosił na drugi dzień do pracy wszystkich poza mną.

– No pięknie – wyrwało mi się półszeptem.

– Byłem zszokowany tą sytuacją i zacząłem się zastanawiać, co też palnąłem w tej rozmowie przy obiedzie, że wszyscy zaczęli mnie nagle traktować jak wyrzutka. W dodatku kiedy wracałem do siebie samochodem kumpla, odkryłem, że prawie nie ma w nim benzyny. Jadąc nim wcześniej, musiałem nie zwrócić uwagi, że świeci się kontrolka. Chciałem gdzieś zatankować, ale droga wiodła jedynie przez lasy, a w Szwecji miejscowości oddalone są od siebie o kilkadziesiąt kilometrów. Jechałem więc na rezerwie, klnąc w duchu, że kompletny kretyń ze mnie, bo mogłem przecież pomyśleć o tym wcześniej. W dodatku zaczęło się ściemniać, a ja zupełnie straciłem orientację w terenie. Na domiar złego w samochodzie nie było żadnej mapy, bo razem z moim telefonem została w mieszkaniu.

– O nie...

– Wyobraźcie sobie, że jechałem ciemnym lasem, w obcym państwie, na rezerwie paliwa, z ograniczoną znajomością języka, bez telefonu i mapy.

– Nie żartuj...

– Nie żartuję! Jak Boga kocham, to szczerą prawdą. Jechałem tym samochodem z duszą na ramieniu, modląc się tylko o to, żeby samochód nie zgasł mi w tych chaszcach, bo nie będę miał nawet jak zadzwonić po pomoc. Najpierw zwolniłem do siedemdziesięciu, potem sześćdziesięciu, a na końcu drogi to jechałem trzydzieści, żeby samochód spalał jak najmniej.

– Ale w końcu dotarłeś na miejsce?

– Dotarłem, ale tylko dlatego, że mniej więcej w połowie drogi zobaczyłem drogowskaz wskazujący na miasteczko, w którym robiliśmy nieraz z chłopakami zakupy. Inaczej pewnie jechałbym przed siebie i jechał, coraz bardziej nie wiedząc, gdzie jestem. W tej cholerniej Szwecji wszystkie nazwy miejscowości, jak na złość, brzmią zupełnie tak samo!

– Nie zazdroścę. Ja chyba umarłabym ze strachu – jęknęłam, nie myśląc

nawet o tym, jak to byłoby znaleźć się na jego miejscu.

– Dotarłem do naszej kwatery ciemną nocą. W dodatku kumple urządzili sobie pod moją nieobecność imprezę zakrapianą alkoholem i przywitały mnie ich pijackie piosenki.

– No ale co takiego powiedziałaś podczas obiadu u tamtych ludzi, że nagle przestali się do ciebie odzywać?

– No właśnie – jęknął i oparł łokieć o stół. – Zrozumiałem swój błąd dopiero na miejscu, gdy sprawdziłem w rozmówkach, jak jest stolarz po angielsku. Stolarz to joiner, a mi się coś pomieszało i powiedziałem, że jestem stranger[1] i danger[2]. Pewnie wzięli mnie za jakiegoś niebezpiecznego łotra. Biedna gospodyni omijała mnie szerokim łukiem, pewnie plując sobie w twarz, że przywiozła mnie pod swój dach. Zresztą wcale jej się nie dziwię.

W odpowiedzi wszyscy wybuchnęliśmy śmiechem.

– Ale numer – zarechotałam.

– Mnie tam nie było do śmiechu. – Jurek uniósł do ust szklankę z napojem. – Ale powiedzcie mi tak szczerze, czy ja wyglądam na niebezpiecznego? Może jeszcze kryminalistę!

– No jakby się tak lepiej przyjrzeć. – Przechyliłam głowę.

– Także tak właśnie wyglądały moje zagraniczne wojaże – westchnął Jurek.

– Na szczęście już jestem w domu i w najbliższym czasie takie wpadki mi nie grożą. Tu czeka na mnie tylko szara i pozbawiona emocji codzienność. – Otoczył Anię ramieniem.

– Ej! – Ta zrobiła oburzoną minę. – Jaka pozbawiona emocji?

– Dobrze, już dobrze – roześmiał się i cmoknął ją w czoło. – Przecież nie miałem na myśli ciebie, kochanie. Ty dostarczasz mi ich nieustannie.

– No ja myślę – szybko dała się udobruchać.

– Jednak nie ma to jak własny kawałek podwórka i rodzina za płotem. – Jurek znów upił łyk napoju. – Może i z zarobkami u nas nędznie, ale dom to dom.

– Ja też tak myślę, dlatego rzadko gdziekolwiek wyjeżdżamy – przytaknęłam jego słowom.

– Czyżby? – Ludwik popatrzył na mnie badawczo. – A myślałem, że to z powodu choroby lokomocyjnej, która dopada cię po kilku godzinach jazdy samochodem.

– Och, czy ty musisz wszystko psuć? – udałam urażoną, licząc na to, że przytuli mnie jak Jurek Anię, ale widocznie się przeliczyłam. Mój mąż wzruszył bowiem tylko ramionami i zaczął rozmawiać z Jurkiem o nowym ciągniku, który kupił sobie jego kolega.

Wymieniłyśmy z Anią pełne dezaprobaty spojrzenia i pokręciłyśmy głowami.

– Faceci – niemal bezgłośnie poruszyłam ustami.

– Ach, byłabym zapomniała! – Ta nachyliła się do mnie przez stół. – Umówiłam na pojutrze kolejną dziewczynę dla Teodora. Mam nadzieję, że znajdziesz czas, żeby wpaść do mnie i z nią porozmawiać?

Westchnęłam niezadowolona. Nie miałam ochoty przechodzić przez to przykre doświadczenie jeszcze raz.

– A nie możesz porozmawiać z nią sama?

– Nie – odpowiedziała stanowczo. – Ty znasz Teodora lepiej niż ja.

– Ale sama mówiłaś, że ostatnim razem zachowywałam się karygodnie – z nadzieją sięgnęłam po ten argument.

– Owszem, ale liczę na to, że przemyślałaś sobie to wszystko i tym razem zachowasz się jak należy.

– Naprawdę muszę?

– Oj Zuzka, nie bądź dzieckiem. To tylko rozmowa, nie rób z tego wielkiej sprawy. Chcesz, żeby Teodor przez ciebie do końca życia był sam? – Popatrzyła mi w oczy.

– No nie chcę...

– W takim razie postanowione. Umówiłam ją na popołudnie.

– Jeszcze trochę i naprawdę założysz u siebie w domu agencję towarzyską. Umówiłam ją na popołudnie – powtórzyłam jej słowa. – Umawiać to się można do fryzjera albo kosmetyczki.

– Jak zwał, tak zwał. Nie dorabiaj do tego żadnej ideologii, po prostu przyjdź i zachowuj się na poziomie. A! – Nagle jakby coś jej się przypomniało. – I tym razem to ja będę prowadziła rozmowę. Przygotowałam sobie nawet listę pytań.

– Co? – parsknęłam, omal się przy tym nie opluwając.

– Nie co, tylko listę pytań.

– Co to za lista?

– Wydrukowałam ją z internetu. Taka zatytułowana „30 pytań do twojego przyszłego partnera, na które powinnaś znać odpowiedzi”. Zmieniłam tylko formę pytań, żeby można je było zadać kobiecie.

– I znalazłaś to pewnie na jakiejś stronie w stylu nastolatki.pl – prychnęłam z ironią.

– Nieważne, gdzie to znalazłam, ważne, że nam się przyda. A te pytania naprawdę są fajne – zapewniła, ucinając temat, po czym wtrąciła się do pogawędki naszych mężów i reszta wieczoru upłynęła nam na rozmawianiu o samochodach, wykrywaczach metalu i inseminacji krów.

Nic nie mówcie. Sama wiem, że to fascynujące tematy. Zwłaszcza dla kobiet.

[1] nieznamy
[2] niebezpieczeństwo

Rozdział 24

Podczas śniadania Kasia oznajmiła, że jadą dziś z Tomkiem do jednego z okolicznych sadowników zbierać wiśnie, by dorobić sobie trochę grosza. Natomiast Ludwik obwieścił, że wybywa z domu i pewnie wróci dopiero wieczorem. I o ile tę pierwszą wiadomość przyjąłem dość dobrze, a nawet z entuzjazmem, o tyle ta druga wywołała we mnie wzburzenie.

– Dokąd znowu wychodzisz? – Spojrzałem na Ludwika, zdrową ręką biorąc się pod bok. Staliśmy na środku kuchni, a w salonie siedział oglądający bajki Marcel.

– Umówiłem się z Albertem.

– Tak jak ostatnio pojechałeś do jubilera? – zapytałem, nie bawiąc się w uprzejmości.

– O co ci chodzi, Zuzka? – Ludwik popatrzył mi w oczy. – Znowu robisz mi awanturę bez powodu? Jedną zniosę, ale nie przesadzaj.

– Nie robię ci awantury, po prostu nie podoba mi się, że tak ciągle wychodzisz, nie mówiąc mi nawet z kim i gdzie.

– A od kiedy musimy się sobie spowiadać? Przecież wiesz, że zwykle wychodzę z kumplami.

– A niezwykle dokąd?

– Nie wiem, co się ostatnio z tobą dzieje. Jesteś przed okresem?

– Nie jestem! – warknęłam stanowczo zbyt głośno, ale szybko się opamiętałam. – W takim razie ja też dzisiaj wychodzę – oznajmiłam, zmieniając

ton. – A z racji tego, że robię to o wiele rzadziej niż ty, a Kasi nie ma, ty zajmujesz się dzieckiem.

– Wielkie mi halo, podrzucimy Marcela Ani i tyle.

– Żadne halo, bo Ani dziś nie ma. Jurka i dzieci zresztą też.

– No to mamie. Chyba może na niego popatrzeć?

– Ona ma problem z tym, żeby nad sobą panować, chcesz ją jeszcze obarczać dzieckiem? To stara i schorowana kobieta!

– Jakoś nigdy dotąd nam to nie przeszkadzało.

– Nam? Może tobie.

– A Teodor?

– Teodor ma nogę w gipsie. Myślisz, że poradzi sobie w całodziennej opiece nad czterolatkiem?

– Całodziennej? – Ludwik popatrzył na mnie zdziwiony. – A to wychodzisz na cały dzień?

– Ty przecież też.

– No tak, ale ty jesteś kobietą – powiedział pewnym siebie głosem, czym rozwścieczył mnie jeszcze bardziej.

– I co z tego?

– Miejsce kobiety jest w domu – oznajmił, jakby to było coś najbardziej oczywistego na świecie.

– Może w epoce kamienia łupanego owszem – odcięłam mu się. – Czy ty żyjesz w średniowieczu? Wróć do rzeczywistości Ludwiku! Mamy XXI wiek i równouprawnienie. To, że piorę, sprzątam i gotuję, nie znaczy, że jestem twoją niewolnicą i nie mogę wyjść z domu, jeżeli akurat mam taką ochotę.

– Może i jest XXI wiek, ale znikasz ostatnio tak często, że Marcel niedługo zapomni, jak wygląda jego matka.

– Doprawdy? Ja sędzę, że prędzej zapomni, że w ogóle ma ojca. To ciebie wiecznie nie ma. Ja wychodzę tylko okazjnie.

– Jakoś ostatnio często są te twoje okazje – mruknął pod nosem.

– I bardzo dobrze – nie zamierzałam mu odpuścić. Złapałam leżącą na blacie komórkę i skierowałam się w stronę korytarza. – Zajmij się dzieckiem – rzuciłam, wychodząc z kuchni.

– A ty?

– A ja idę się przebrać. Przecież wychodzę! – oświadczyłam, po czym weszłam po schodach na górę do sypialni, zamknęłam za sobą drzwi i wybrałam w telefonie numer Beaty. Ta odebrała już po pierwszym sygnale.

– No co tam? – usłyszałam jej głos.

– Co dziś robisz?

– Chciałam zabrać się za mycie okien.

– E tam, okna nie zając. Przyjeżdżaj do mnie natychmiast, śledztwa ciąg

dalszy.

– Ludwik jedzie do swojego Blond Złotka?

– A cholera wie dokąd. Ważne, że wyjeżdża, a my za nim.

– Dobra siostró, to jestem u ciebie za piętnaście minut. – Beata musiała spojrzeć na zegarek.

– Świetnie.

– Czekaj na mnie tam gdzie zawsze – rzuciła jeszcze, a potem się rozłączyła.

Rzuciłam telefon na niepościelone łóżko (Ludwik wstał drugi i oczywiście nie pomyślał o tym, żeby to zrobić) i wyjęłam z szafy džinsy oraz białą, bawełnianą bluzkę. Szybko się w nie przebrałam, a potem zbiegłam na dół.

– To cześć synku, dobrego dnia. – Przed wyjściem ucałowałam jeszcze Marcela, spotykając się przy okazji z bezradnym spojrzeniem Ludwika, i pobiegłam w krzaki przy wyjeździe z Jaszczurek, żeby poczekać tam na Beatkę.

Ta zjawiała się już po kilku minutach, więc wgramoliłam się do jej samochodu.

– Cześć – rzuciłam na powitanie. – Co za poranek! – Odgarnęłam z czoła włosy, które rozwiały mi wiatr.

– Problemy z ułożeniem fryzury? – zaśmiała się Beata.

– Raczej z mężem.

– To akurat żadna nowość. – Beata wyciągnęła ze schowka puder z lusterkiem, po czym otworzyła pudełeczko i zaczęła pudrować sobie nos. – O co poszło wam tym razem?

– Nie uwierzysz: o moją wieczną nieobecność w domu.

– Co? – Beata zastygła w bezruchu. – To jakiś żart?

– Żaden żart. Wyobraź sobie, że mój mąż uskarża się na fakt, że często nie ma mnie w domu. I że Marcel niedługo zapomni, jak wygląda jego matka.

– To chyba jakaś kpina. A kto, przepraszam bardzo, siedzi w tym waszym domu jak za karę, pierze, gotuje i sprząta, podczas gdy on się włóczy z kolegami?

– Mnie nie musisz tego mówić, ja to wiem.

– Wybacz dosadne słowo Zuzka, bo to jednak twój mąż, ale kretyn z tego Ludwika. Kretyn nad kretynami!

– Mnie się cisną na usta bardziej dosadne słowa, nie żałuj sobie.

– Mężczyźni to jednak naprawdę są dziwni.

– Już nawet nie wypada porównywać ich z Marsjanami, bo myślę, że prędzej dogadałabym się z kosmitą niż z nimi.

Beata zachichotała, słysząc moje słowa, ale szybko zamilkła i sięgnęła dłonią do znajdującego się w stacyjce kluczyka. Na podjeździe przed moim domem zapanowało bowiem poruszenie. Ludwik wyszedł na podwórko razem z Marcelem, wyjechał autem z garażu i wsadził dziecko do środka.

– A co on? – Na ten widok niemal mnie nie zamurowało.

- Widać rusza w drogę. – Beata zapaliła samochód.
- Ja nie o tym! Zabiera Marcela do tej dziury? – wykrzyknęłam, momentalnie zapominając o tym, że nie dalej niż wczoraj byłam gotowa porzucić wizję domniemanego romansu Ludwika. – Czy on na głowę upadł?!
- Kretyn po prostu – mruknęła Beata pod nosem. Szybko wyjechała na drogę zaraz za pędzącym w stronę miasteczka Ludwikiem.
- I jeszcze jedzie sto na godzinę, cholera jasna! Z dzieckiem na tylnym siedzeniu!
- Spokojnie, zaraz go dogonimy. – Beata wrzuciła wyższy bieg i jeszcze mocniej wcisnęła pedał gazu.
- Zwolnij! Od szybkiej jazdy robi mi się niedobrze!
- Niedobrze to ci się robi, jak twoje dziecko zacznie mówić mamusiu do innej. Zamknij oczy i siedź cicho.
- Kiedy nie mogę. – Złapałam się wajchy nad głową. – Naprawdę jedziesz za szybko.
- Zuzka, na litość boską! Jak będę jechała siedemdziesiąt, to zgubimy go jeszcze przed Sosenkami. Jak chcesz, to włącz sobie muzykę relaksacyjną. Darek ma w schowku płytę.
- Nie protestując, posłusznie wyciągnęłam tę płytę ze schowka i wsunęłam ją w odpowiednie miejsce.
- Nie gra – stwierdziłam, gdy z głośników nie popłynęła muzyka.
- Bo nie włączyłaś. – Beata nacisnęła jakiś czerwony guziczek, nie odrywając wzroku od jezdni.
- Samochód natomiast wypełniły pseudorelaksacyjne dźwięki piosenki jakby żywcem skopiowanej z zakładu pogrzebowego. Próbowałam wczuć się w nią przez dobre trzy minuty, ale w końcu nie wytrzymałam.
- Nie relaksuje mnie to – zwróciłam się do Beaty.
- Faktycznie, dziwne jakieś. – Pobieżnie spojrzała na radio. – Trąca trochę stęchlizną.
- Jakimś marszem pogrzebowym albo czymś takim.
- Może to zła płyta?
- A to jest ich w schowku więcej?
- A bo ja wiem. – Wzruszyła ramionami, omijając jadącego drogą rowerzystę. – Musisz sprawdzić.
- Pochyliłam się i wydobyłam ze schowka opakowanie, z którego wcześniej wyjęłam płytę.
- Ostatnie pożegnanie – przeczytałam widniejący na nim napis, pod którym znajdowało się zdjęcie udekorowanej kwiatami trumny.
- To wiele wyjaśnia.
- Na co Darkowi taka płyta?

– A mi skąd to wiedzieć? Mówiłam ci, że faceci są dziwni.

– Może chciał sprawić komuś miły prezent – mruknęłam, dokładnie oglądając pudełko.

Z głośników samochodu huknął natomiast kolejny nostalgiczny utwór wykonywany przez żałobny chór.

– O, to spodobałoby się mojej mamie. Ma w sobie jakiś taki przesadny patetyzm.

– Weź to wyłącz – poleciła Beata. – Nie mogę się przez to wycie skupić na jeździe.

– Dobrze, już dobrze. – Posłusznie zrobiłam, co kazała, i ponownie schowałam płytę do schowka. – Włączę tę relaksacyjną. – Wydobyłam z niego kolejne opakowanie.

Tym razem muzyka rzeczywiście była wyciszająca i przyjemna. W przeciwieństwie do Beatki, która nadal grzała sto na godzinę, z przesadną prędkością wchodząc w zakręty. Poczulałam się dzięki niej jakaś taka ospała i przytłumiona. Rozbudziłam się dopiero, gdy dotarliśmy do miasteczka, minęliśmy znak informujący, że wjechaliśmy na teren zabudowany, a Beata nadal, przynajmniej na moje oko, jechała stanowczo za szybko.

– Zwolnij! – Złapałam rączkę nad głową, gdy weszła w zakręt, niemal kładąc się na kierownicy. – Zaraz kogoś przejedziemy!

– Nie mogę, bo inaczej go zgubimy!

– Albo się zabijemy! Z dwojga złego wolę to pierwsze.

– Nie moja wina, że twój mąż jest piratem drogowym! Grzeje osiemdziesiąt przez miasto! I to z dzieckiem!

– Musisz mi przypominać, że wiezie ze sobą Marcela? – pisałam, gdy Beata wykonała kolejny gwałtowny skręt, a moim oczom ukazała się sygnalizacja świetlna. – Hamuj! Czerwone! – Wbiłam nogę w podłogę, szukając pedału hamulca.

– Nie mogę! – Zamiast zwolnić, Beata jeszcze przyspieszyła. – Jak się zatrzymam, to go zgubimy.

– Beata! – wrzasnęłam, zaciskając powieki, gdy rozpędzony samochód przeleciał przez skrzyżowanie, spotykając się z głośnym trąbieniem ze strony innych.

– Ty weź tak nie krzycz, tylko zacznij się rozglądać, czy nie ma gdzieś straży miejskiej albo policji. – Znowu wrzuciła piątkę.

– Po moim trupie! Może mandat zmusiłby cię do ostrożności. Podobno nic tak dobrze nie wpływa na koncentrację za kierownicą, jak świadomość, że ma się na koncie kilka punktów karnych – wymamrotałam, a Beata głośno nacisnęła klakson.

– Jak leziesz, baranie! – Chwilę później zahamowała gwałtownie przed

pasami.

– To pieszy! W dodatku na pasach! – wrzasnęłam, znów mocniej zaciskając palce.

– I co mnie to obchodzi? Niech czeka! – Teatralnie popukała się w głowę, dając tym samym biednemu przechodniowi znak, co o nim myśli.

– Beata! – zganiłam ją za to.

– No co? – Znów zaczęła się rozpędzać, nie zważając na moje protesty.

– Masz obowiązek zatrzymywać się przed pasami. W dodatku nie można trąbić w terenie zabudowanym!

– Dobra, już dobra – mruknęła, zbliżając się do ronda, po czym wjechała na nie, wymuszając pierwszeństwo.

– Dlaczego jeździmy w kółko? – zapytałam po kilku sekundach.

– Bo nie wiem, gdzie jest twój mąż.

– Cholera jasna, zgubiłaś Ludwika?

– To przez tego pieprzonego pieszego! Nie zauważyłam, gdzie Ludwik zjechał.

– Możemy już też gdzieś zjechać? – Przyłożyłam rękę do skroni, gdy wykonałyśmy kolejne kółko. – Robi mi się niedobrze.

– Mnie też, ale gdzie mam skręcić, skoro go zgubiłyśmy?

– Nie wiem, gdziekolwiek!

– Gdzie to jest gdziekolwiek!

– Na prawo! – Wskazałam ręką, czując, że żołądek podchodzi mi do gardła.

Beata wrzuciła kierunkowskaz, zjeżdżając w końcu z ronda. – To jakieś osiedle – oznajmiła mało odkrywczco, gdy sunęłyśmy przed siebie pomiędzy wybudowanymi niedawno blokami. – Dlaczego kazałaś mi skręcić akurat tu?

– Nie wiem, kobieca intuicja. – Przyłgnęłam nosem do szyby, wypatrując samochodu Ludwika.

– Myślisz, że gdzieś tu jest? – Beata też pochyliła się do przodu, wysilając wzrok.

– Równie dobrze może być gdziekolwiek. Nie gadaj, tylko szukaj – poleciłam, a samochód podskoczył na progu zwalniającym.

– Cholera! – Po piętnastu minutach jeżdżenia po osiedlowych uliczkach zakłęła Beata. – Wygląda na to, że go tu nie ma. – Zdjęła nogę z gazu. – W dodatku mam wrażenie, że to auto jeździ za nami już od kilku minut, pomimo że kręcimy się w kółko. – Niedyskretnie spojrzała w lusterko, a ją zaraz za nią.

– Może szuka miejsca parkingowego.

– Może, ale podejrzenie mi to wygląda.

– Co robimy?

– Zatrzymujemy się i czekamy, aż nas zostawi?

– A jak to nieoznakowany samochód policji? – ściszyłam głos. – Jak chcą

nam wlepić mandat za piracką jazdę przez miasto?

– Myślisz?

– Kto ich tam wie.

– W takim razie tym bardziej powinniśmy się zatrzymać. – Beata zahamowała gwałtownie, po czym bez uprzedzenia zgasiła silnik, w odpowiedzi na co samochód podskoczył i zacharczał.

– Co robisz?! – Znowu złapałam rączkę nad głową.

– Parkuję.

– Na środku drogi?!

– A, fakt! – Popukała się w głowę. – Wybacz, to z nerwów. – Ponownie odpaliła silnik. – Poszukam jakiegoś miejsca. – Ruszyła przed siebie, rozglądając się po parkingu.

Ja tymczasem odwróciłam się przez ramię do mężczyzny za kierownicą czarnego forda, który nadal za nami jechał.

– On jest jakiś dziwny – mruknęłam, gdy w końcu się zatrzymałyśmy.

– Stoi za nami? – Beata popatrzyła na mnie z przejęciem.

– Nie, pojechał sobie. – Pokręciłam głową. – Ale mam wrażenie, że bacznie się nam przyglądał. Myślisz, że mogliśmy kogoś potrącić, nawet tego nie zauważając? Oglądałam ostatnio program, że u kierowców ciężarówek...

– Zuzka! – zaraz ucięła to moje głupie gadanie Beata. – Pojechał sobie, to pojechał, nie ma się co nim przejmować. Widocznie nie był nami zainteresowany. Pytanie, co my robimy dalej.

– Kurczę. – Niespokojnie poruszyłam się w fotelu i rozejrzałam po osiedlu. – Myślę, że szanse na znalezienie Ludwika są raczej marne.

– Cholera! – Beata uderzyła dłonią w kierownicę. – To wszystko przez tego pieszego. Jakby nie mógł iść inną drogą, złośliwiec. Musiał wpakować się nam prosto pod koła.

– Spokojnie. – Dotknęłam jej ręki.

– Jak ja mam być spokojna, skoro znowu nici z naszego śledztwa?

– Widać nie jesteśmy do tego stworzone.

– Albo mamy pieprzonego pecha.

– Jak zwał, tak zwał. – Nagle uświadomiłam sobie absurd tej sytuacji i zaczęłam chichotać pod nosem.

– Ty się tak nie śmiej – po kilku sekundach ukróciła jednak mój dobry humor Beata. – Lepiej patrz tam – ściszyła głos i wskazała ręką na lewo, gdzie obok kosza na śmieci stał popalający papierosa mężczyzna. – To ten z forda?

Przyjrzałam się jego twarzy.

– A niech mnie, to on – wyrwało mi się szeptem.

– Więc to nie przypadek, że za nami jechał. – Beata zgarbiła plecy, chowając się za kierownicę. – Patrzy w naszą stronę?

Ponownie zerknęłam na ubranego na czarno faceta. Akurat kolejny raz zaciągał się papierosem.

– Nie patrzy. – Powoli odwróciłam od niego wzrok.

– Znasz go?

– Nie, a ty?

– Też nie.

– Cholera. Czyli to może być policjant.

– Jaki policjant? Gdyby był z drogówki, to już dawno sam by nas zatrzymał.

Albo chociaż podszedł, a nie stał tam jak posąg.

– Też racja.

– Chyba, że czeka na posiłki.

– Jakie posiłki?

– No wiesz, kumpli w pancernych kominiarkach. I z bronią!

– Beata, proszę cię. – Wywróciłam oczami. – Gdzie brygada antyterrorystów do dwóch niewinnych kobiet przekraczających prędkość?

– No to ja nie wiem, kim on może być.

– Trzeba by iść i zapytać.

– Czeka! – Nim zdołałam się ruszyć, złapała mnie za rękę. – A jak on jest niebezpieczny? Nigdzie nie idziesz.

– A może on po prostu się zgubił?

– To niech kogoś innego zapyta o drogę. – Beata znów położyła rękę na tkwiącym w stacyjce kluczyku. – Jedziemy stąd. – Zapaliła silnik.

– Dokąd?

– Do domu. Skoro Ludwik nam zwiął, nie ma co marnować tutaj czasu. Dopadniemy tę Blond zdirę innym razem – zdecydowała, po czym sprawnie wyjechała z parkingu.

Podobnie jak właściciel czarnego forda, który uczeplił się nas jak rzep psiego ogona.

– No i jedzie za nami, dziad jeden! – wkurzyła się na dobre Beata kilka kilometrów przed Sosenkami. – Normalnie zadzwonię na policję i oskarżę gościa o nękanie! Zaczyna mi już działać na nerwy.

– Mnie też się to nie podoba – musiałam przyznać jej rację. – Naprawdę zaczynam się bać, że to jakiś przestępca. Podobno oni upatrują sobie ofiary wcześniej, łążą za nimi, a potem porywają i obcinają im głowy.

– W innej sytuacji powiedziałabym, że oglądasz za dużo telewizji, ale tym razem możesz mieć rację. – Beata popatrzyła na mnie z niepokojem.

– Co robimy?

– Zwolnię.

– Żartujesz? A jak on czeka na to, żeby nas dopaść, kiedy się zatrzymamy? I wtedy wybiegnie z samochodu z siekierą albo rzuci nam się do gardeł? To jest

droga, po której prawie nic nie jeździ, a nie pełne ludzi osiedle. Tu nikt nam nie pomoże.

– Ale ja się nie chcę zatrzymywać, tylko zwolnić. – Beata odpuściła pedał gazu.

– Słyszałam, tylko nie rozumiem po co.

– Żeby musiał nas wyprzedzić. Przecież nie będzie się włókł za nami dwadzieścia na godzinę. To niemęskie – powiedziała, po czym tak właśnie zrobiła.

Samochód Darka toczył się coraz wolniej, aż w końcu obie z Beatą miałyśmy wrażenie, że wyprzedziły nas nawet idąca o lasce staruszka.

– Teraz to już musi nas wyprzedzić. – Popatrzyłam w lusterko, ale kierowca forda ani o tym myślał. Ze skupionym wzrokiem wpatrywał się w nasz samochód i jechał w tak samo zawrotnym tempie jak my.

– Jak zwolnię jeszcze, to w końcu zgaśnie mi silnik – mruknęła zniecierpliwiona Beata. – Toczymy się już tylko piętnaście na godzinę.

– Muszę cię zmartwić, ale on chyba nigdzie się nie wybiera.

– A niech to szlag! – Znowu uderzyła dłonią w kierownicę. – Uwziął się, czy co?

– Na to wygląda.

– Więc to jak nic psychopata.

– Dobra, to bez sensu. Dawaj gazu i jedziemy do mnie. – Odwróciłam się do przodu.

– Czemu akurat do ciebie? – Beata przejęła się kierowcą czarnego forda nie na żarty. – Może lepiej do mnie? Zadzwoiłabym do Darka, żeby po nas wyszedł, może jakoś by nas obronił.

– Nie zapominaj, że to pod moim dachem mieszka były żołnierz. Co prawda tylko do wieczora, bo po południu mam pomóc mu w przeprowadzce, ale jeszcze jest. Ten gość na podwórko się za nami przecież nie wpakuje, nie? A Teodor na pewno udzieli nam szybkiej lekcji samoobrony. Albo chociaż kilku rad, jak sobie radzić z takimi – znowu zerknęłam w lusterko – zdesperowanymi.

– No dobra, to jest jakiś plan. – Beata pokiwała głową, słysząc moje słowa, i z całej siły nacisnęła pedał gazu, po czym wrzuciła wyższy bieg.

Kierowca czarnego forda włókł się natomiast ślimaczym tempem jeszcze przez chwilę, ale w końcu też się zreflektował i dojechał za nami do samych Jaszczurek. Z tych nerwów nie miałam nawet czasu przejść się wielkim billboardem z moją twarzą i sterczącymi nad głową czółkami, który zawisł na płocie przed domem sąsiadów.

– Niech się dzieje wola nieba. – Beata uczyniła na piersi znak krzyża, gdy przyszła pora skręcenia na podjazd przed moim domem.

– Przestań! – zganiłam ją za sianie paniki, ale sama miałam serce w gardle. Odważnie wysiadłam jednak z samochodu, gdy zatrzymała się przed moją bramą,

i popędziłam ją otworzyć. Beata wjechała na podwórko w tempie błyskawicy i zgasła silnik.

Tymczasem kierowca forda pojechał dalej. Mijając bramę, popatrzył na nas, omal nie wykręcając sobie przy tym głowy, ale udał się dalej.

– Pojechał? – Zdezorientowana Beata wysiadła z samochodu, gdy zamykałam bramę.

– Na to wygląda.

Na chwilę obie zamilkłyśmy i zaczęłyśmy tępo wpatrywać się w majaczący w oddali zakręt, za którym zniknął przed chwilą podejrzany kierowca.

– Ale nie wymyśliłyśmy sobie tego, że nas śledził, nie? – słabym głosem odezwała się w końcu Beata.

– No coś ty!

– Ty też go widziałaś?

Popatrzyłam na nią jak na wariatkę.

– Dostałaś z tego stresu wylewu, czy co?

– Nie. – Pokręciła głową. – Po prostu wystraszyłam się, że mam omamy albo jakieś inne urojenia. Niby człowiek wie, że jest normalny, ale w takich chwilach jak ta, różne myśli przychodzą do głowy.

– Wiesz co? – Objęłam ją zdrowym ramieniem. – Po prostu chodźmy do domu. Zrobimy sobie herbatki i pogadamy z Teodorem. Należy nam się chwila odpoczynku po stresującym dniu – powiedziałam i tak właśnie zrobiłyśmy.

Rozdział 25

– Tak jak mówiłem, myślę, że nie macie czym się martwić – po raz setny zapewnił Teodor.

Stałam z nim i Beatą na podjeździe przed naszym domem. Wypiliśmy właśnie herbatę. Beata zaczęła zbierać się do domu.

– A jeżeli jeszcze kiedyś tego gościa zobaczycie, w co wątpię, od razu dzwońcie na policję. Myślę, że jest nieszkodliwy, ale po świcie kręci się teraz coraz więcej świrów, więc lepiej zachować ostrożność.

– A to nas pocieszyłeś – jęknęła opierająca się o drzwi samochodu Beata.

– Wystraszyłem? Przecież mówię po raz setny, że raczej nie macie się czego bać.

– Właśnie, raczej! – Pomimo upływu czasu nadal była przejęta tym wydarzeniem. – No ale dobrze, przyjmijmy, że na tę chwilę ci wierzę. Gość sobie pojechał i bardzo dobrze. Mam nadzieję, że już nigdy nie wróci.

– Tak właśnie powinniście myśleć. A w razie czego służę pomocą, gdybyście zapragnęły liznąć trochę technik samoobrony.

– Czyżby? – Uniosłam brwi i spojrzałam na niego rozbawiona. – Chcesz się z nami bić ze złamaną nogą?

– Po pierwsze, wcale nie bić, a po drugie, za kogo mnie masz? Przecież wiesz, że w życiu nie skrzywdziłbym żadnej kobiety! – udał oburzonego.

– Dobra, dobra – ucięła nasze przekomarzania Beata, zanim zdążyliśmy się rozkręcić. – To wy tu sobie gawędźcie, a ja jadę. Muszę zrobić Darkowi obiad, zanim wróci z pracy. Jesteśmy w kontakcie, do zobaczenia. – Pomachała nam ręką

i wsiadła do samochodu.

– Otworzę ci bramę – zaproponowałam usłużnie i ruszyłam w stronę ulicy.

– Pójdę z tobą. – Teodor dotrzymał mi kroku mimo gipsu.

– No dobrze, jeżeli chcesz. – Uśmiechnęłam się, a potem otworzyłam bramę i ponownie zamknęłam ją za samochodem Beaty. – A jak twój dzień? – zagadnęłam go, gdy wracaliśmy do domu.

– Bez takich rewelacji.

– To mnie akurat nie dziwi. Spakowałeś się już?

– Nie mam zbyt wielu rzeczy. To raptem jedna torba.

– Trochę mi smutno, że nas opuszczasz. – Spojrzałam na niego.

– Rozmawialiśmy już o tym. Wyprowadzam się tylko za płot.

– Wiem, ale to nie to samo.

Teodor zatrzymał się i delikatnie dotknął mojej dłoni.

– Przecież wiesz, że zawsze przy tobie będę. Niezależnie od tego, jak i gdzie toczy się moje życie.

Przełknęłam ślinę i odwróciłam wzrok.

– Wiem i to właśnie mnie martwi.

– Dlaczego? – Nie spuszczał ze mnie oczu.

– Bo marnujesz je sobie przeze mnie. Nie chcę, żebyś już zawsze był sam i tracił czas na tęsknienie za mną – powiedziałam, choć te słowa przyszły mi z trudem i wcale nie zabrzmiały tak szczerze, jak bym pragnęła.

– Zuzka. – Teodor uniósł rękę i odgarnął pasmo moich rudych włosów za ucho. – Rozmawialiśmy już o tym.

– Wiem, ale po prostu nie chcę, żebyś...

– Ja też nie chcę – wyszeptał.

Zmusiłam się do tego, by ponownie spojrzeć mu w oczy.

– Mówiłeś wcześniej, że nie spotykasz się z nikim, bo nie poznałeś jeszcze nikogo wartego zainteresowania. A co, gdybyś poznał?

– Musimy o tym rozmawiać?

– Musimy – uparłam się. – Więc co, gdybyś poznał?

– Wtedy musiałbym się zastanowić.

– A po zastanowieniu?

– Jesteś męczydusza, wiesz?

– Wiem. – Uśmiechnęłam się szeroko. – Więc co po zastanowieniu? Umówiłbyś się z odpowiednią kobietą, czy nie?

– Pewnie umówił, ale to nie takie proste...

– Dlaczego?

– Bo nie wiem, co rozumieć pod hasłem „odpowiednia”. Zresztą mówiłem ci już, że nikogo nie szukam. Już jeden raz się zakochałem, a to podobno więcej razy się nie zdarza. A i nie wszystkim, przynajmniej tak czytałem kiedyś w jakimś

psychologicznym piśmie. Już wykorzystałem swoją pulę. A poza tym... Poza tym miłość nie spada na ludzi jak grom z jasnego nieba.

– Nie? – Uniosłam brew.

– No dobra, może czasem można zakochać się od pierwszego wejrzenia, ale chyba nie w moim wieku, prawda? Gdy jest się koło trzydziestki, stawia się na rozsądek.

– Więc mówisz, że jesteś stary, tak? Dzięki. Mamy tyle samo lat, więc właśnie wypomniałeś mi wiek – udałam urażoną.

– Oj, nie łap mnie za słówka – roześmiał się głośno. – Idziemy usiąść na ławce w słońcu? Chętnie bym się powygrzewał.

– Przepraszam, ale obiecałam Ani, że wpadnę do niej po południu.

– Rozumiem i nie szkodzi. Siostra jest ważniejsza ode mnie.

– Kretyn. – Szturchnęłam go w ramię. – Po prostu bardzo chce... – wyrwało mi się, nim ugryzłam się w język. – Żeby poznać jej koleżankę – dokończyłam.

– No dobrze, jeżeli musisz, to idź. Poczytam książkę. Świat fikcji nie jest co prawda tak interesujący jak ty, ale...

– Teo! – zaśmiałam się zupełnie jak za dawnych lat. – Do zobaczenia później – pozdrowiłam go, po czym każde z nas ruszyło w innym kierunku. On ku drzwiom do domu, a ja ku furtce prowadzącej na podwórko Anki. Nim jednak zdążyłam ją znaleźć, zaczęła mnie siedząca na ławce mama.

– Cześć córciu – odezwała się słabiutkim głosem.

– Cześć mamó. – Podeszłam bliżej. – Czemu siedzisz sama?

– Och, każdy czasem potrzebuje побыć sam, żeby móc spokojnie pomyśleć.

– Mam ci nie przeszkadzać?

– Przeszkadzaj do woli, i tak wiele czasu nam nie pozostało. Muszę się tobą nacieszyć, póki mogę.

– Mamó... – jęknęłam, widząc, że znów jest w iście funeralnym nastroju.

– Oj, nie patrz na mnie w ten sposób. Taka prawda – westchnęła, spoglądając w dal jakimś takim nieobecny wzrokiem.

– Źle się czujesz? – zmartwiłam się

– Nie. – Delikatnie pokręciła głową. – Po prostu czuję, że mój koniec jest bliski.

Teraz to ja głośno westchnęłam.

– To o czym tak rozmyślasz? – przysiadłam się do niej na chwilę, by choć trochę ją rozweselić.

– O nagrobkach.

– O nagrobkach? – natychmiast pożałowałam, że odważyłam się spytać.

– Rozważam, czy wcześniej podjęłam dobrą decyzję. Nie zostało mi zbyt wiele czasu, żeby ją zmienić.

– O czym ty mówisz? Nie rozumiem.

– Chciałabym po prostu ułatwić wam życie.
– Naprawdę nie musisz się martwić takimi rzeczami jak nagrobek. Mamo!
– A właśnie, że muszę. – Zgarbiła plecy. – Bo gdybym jednak zmieniła marmur na pstrokaty granit, to łatwiej byłoby go tobie i Ance czyścić. Mniej widać na nim brud, a nie chcę wam dokładać po śmierci problemów. I tak macie ich dość.
– Ze smutkiem pokręciła głową.

Muszę powiedzieć, że omal mnie przez te jej słowa nie замуrowało.

– Jeżeli o mnie chodzi, to nie ma problemu – odezwałam się jednak, nie chcąc, żeby się martwiła. – Mogę czyścić nagrobek nawet i co tydzień.

– Tak tylko mówisz...

– Wcale nie, to dla mnie żaden problem, mamo – zapewniłam.

– Naprawdę? – Popatrzyła na mnie z nadzieją.

– Oczywiście.

– Chciałoby ci się tak często odwiedzać cmentarz?

– Czemu nie. – Wzruszyłam zdrowym ramieniem. – Spokojnie tam. I cicho. Można pobyć ze sobą sam na sam, pomyśleć, wyciszyć rozszalałe emocje i myśli...

– Ale wiesz, że z czyszczeniem takiego nagrobka to jest dużo roboty? Trzeba mieć specjalne płyny, które sporo kosztują, a zwykłą wodą i mydłem nie można, bo zostają zacieki.

– Nie szkodzi, naprawdę. Jak będzie trzeba, to kupię i te płyny.

– Naprawdę?

– Jasne, co to za problem.

– Boże, Zuzka. – Mama wzruszyła się i objęła mnie ramieniem. – Z ciebie to jednak jest dobra córka.

– Oj niech mama da spokój...

– Bo ja tak bardzo nie chciałabym rezygnować z marmuru! Te granity są o wiele brzydsze.

– Skoro mama tak mówi...

– Ale wiesz co? – nie dała mi skończyć i ścisnęła za rękę. – Ja ci te płyny sama zamówię, żebyś miała chociaż na początek.

– Nie trzeba, mamo – spróbowałam zaprotestować.

– Trzeba, trzeba. Nie będziesz na matkę wydawać pieniędzy, dużo masz swoich wydatków. A ja widziałam w ostatniej pogrzebowej gazecie reklamę firmy, co sprzedaje takie różne środki do czyszczenia. Zadzwoń do nich i kupię. Tak. Z dziesięć litrów starczy? – Popatrzyła na mnie. – Tak na początek.

– Ale mamo...

– No dobrze, masz rację, to lepiej zamówię dwadzieścia. Schowasz sobie do garażu i będą na później.

– Ale...

– Nie wiadomo, jak twoje życie potoczy się po mojej śmierci. Tyle się mówi

o zamykaniu wiejskich szkół, że wolę nie ryzykować. Zabezpieczę cię w razie, gdyby zabrakło ci pieniędzy. – Znowu uściśnęła moją rękę, po czym bez słowa podniosła się z ławki i poszła do domu, zostawiając mnie samą, w dodatku w osłupieniu.

Wyrwała mnie z niego dopiero pojawiająca się na podwórku Ania, która szła w moim kierunku z jakąś obcą kobietą. Miała na sobie luźną sukienkę w kwiaty, a kobieta białą bluzkę, zielone spodenki oraz długie włosy związane w koński ogon. (Chociaż może „kobieta” to za dużo powiedziane, bo na moje oko nie wyglądała na więcej niż 20 lat).

– O, Zuzka! – Ania dostrzegła mnie po kilku chwilach i uśmiechnęła się szeroko. – A my właśnie do ciebie szliśmy.

– No to spotkałyśmy się w pół drogi. – Odwzajemniłam jej uśmiech.

– Poznajcie się. – Ania podeszła bliżej i przeszła do prezentacji nowej kandydatki na żonę dla Teodora. – To jest Klaudia.

– Cześć. – Dziewczyna podała mi rękę.

– Cześć, miło cię poznać. – Przyjrzałam się jej twarzy. Miała doklejone sztuczne rzęsy, ale poza tym prezentowała się dość dobrze. Jak na jej młody wiek, oczywiście. To od razu wzbudziło we mnie wątpliwości, czy jest właściwą kandydatką.

– To co, usiądziemy w altance? – zaproponowała Ania.

– Jasne, czemu nie. – Podniosłam się z ławki i przeszliśmy pod drewniany daszek.

– Napijcie się czegoś?

– Ja dziękuję. – Uniosłam rękę w geście protestu. – Dopiero co piłam kawę z Beatą.

– Ja też dziękuję – odezwała się Klaudia. – Jestem na diecie.

– Doprawdy? – Przyjrzałam się jej idealnej, zgrabnej sylwetce.

– Tak, od dwóch tygodni. Zaczęła robić mi się na brzuchu oponka. – Spojrzałam na idealnie zarysowane mięśnie, które widać było nawet mimo bluzki. – Rozumiecie, nie było na co czekać.

– Jasne. – Ania wysiliła się na uśmiech i posłała mi spojrzenie mówiące, że mam powstrzymać się z nieprzyjemnym komentarzem, co posłusznie zrobiłam.

– Na jakiej jesteś diecie? – wysiliłam się więc i zmusiłam do bycia miłą.

– Dieta tysiąc sześćset kalorii. Znaie? – Klaudia powiodła wzrokiem po naszych twarzach.

– Nie. – Pokręciłam głową. – Ale coś o niej słyszałam.

– Stosowałaś jakąś inną?

– Cóż – odchrząknęłam. – Prawdę mówiąc nie.

– Wolisz odsysanie? Mnie niestety nie stać było na zabieg, więc muszę cierpieć. Ale nie jest tak źle. Co prawda porcje żywieniowe malutkie i musiałam

zrezygnować ze słodczy, ale daję radę.

– Super. – Znów wymownie popatrzyłam na Ankę. Ta jednak w odpowiedzi spuściła wzrok na kartkę, którą wcześniej rozłożyła na stole. Z pewnością zawierała te jej cudowne pytania, o których mówiła zeszłego wieczoru.

– Może przejdźmy do właściwej części naszej rozmowy – odezwała się, ucinając temat diety. – Mamy do ciebie, Klaudio, kilka pytań. Możemy ci je zadać?

– Tak, jasne.

– Świetnie. – Anka wygładziła kartkę dłońmi. – Więc pytanie pierwsze: gdybyś mogła zaprosić na obiad kogokolwiek na świecie, to kogo byś wybrała?

– Co? – Zmarszczyłam brwi, patrząc na Anię z ukosa.

Co to w ogóle za pytanie? I co ono ma do rzeczy?

– Hm... – zastanowiła się natomiast Klaudia. – To proste! – ożywiła się już po chwili. – Ewę Chodakowską.

– Dlaczego? – Ania przechyliła głowę.

– Bo jest super! Ma świetną figurę, zdrowo się odżywia i w ogóle to po prostu szaleję na jej punkcie! Ona ma takie cudowne życie! Boże, no to po prostu najcudowniejsza osoba na świecie. Śledzę jej profil na Facebooku, oglądam wszystkie wywiady, kupuję książki, podglądam na Instagramie...

– Tak – przerwała jej Ania. – Dziękuję. – Zerknęła na mnie przelotnie. – To może następne pytanie – mruknęła. – Czy chciałabyś być sławna? A jeżeli tak, to z czego?

– Oczywiście, że bym chciała – odpowiedziała niemal natychmiast. – Marzę o byciu modelką, ale z moim wzrostem to raczej trudne. Na wybiegi się nie dostanę, ale mam szansę, jeżeli chodzi o sesje zdjęciowe. Tam wzrost nie jest najistotniejszy, liczy się figura. A przynajmniej tak mówią. Fotografowie, oczywiście. – Ponownie powiodła wzrokiem po naszych twarzach, jakby szukając potwierdzenia. – Rozumiecie.

– Oczywiście. – Ania pokiwała głową.

– A skąd to wiesz? – odważyłam się odezwać.

– Jak to skąd? Z sesji.

– Bierzesz udział w sesjach zdjęciowych?

– Do tej pory w kilku i raczej tylko dla siebie, ale działałam w tym kierunku.

– W jaki sposób?

– No wiecie, chodzę na castingi, odchudzam się i takie tam...

– Rozumiem – skwitowała jej wypowiedź Ania. – To czytam kolejne pytanie. – Popatrzyła na kartkę. – Gdybyś mogła obudzić się rano z jakąś nową cechą lub umiejętnością, to co by to było?

Omiał nie jęknęłam, słysząc jej słowa.

– Oczywiście chciałabym być szczupła – rzuciła Klaudia. Ja natomiast zacisnęłam usta, by nie wygłosić żadnej nieprzyjemnej riposty. Naprawdę

wyjątkowo łatwo było przewidzieć jej odpowiedź.

– Za co czujesz się najbardziej wdzięczna w swoim życiu? – Ania też darowała sobie jakikolwiek komentarz i przeczytała kolejne pytanie.

– Za swoją urodę i rodzinę – odpowiedziała Klaudia.

– Masz rodzeństwo? – wykorzystałam ten moment, by choć na chwilę odwieść ją od tematu swojego ciała.

– Trójkę. Wszyscy są młodszy.

– Macie dobre relacje?

– Bardzo. – Na jej usta wypłynął uśmiech. – Nie możemy bez siebie żyć. Bardzo za nimi tęsknię, kiedy jestem na studiach. Za rodzicami zresztą też. Zwłaszcza za mamą.

– Co studiujesz? – Przyjrzałam się jej rozpromienionej twarzy.

– Kosmetologię.

– Ach tak...

– Chciałabym mieć w przyszłości własny gabinet. Najbardziej lubię robić paznokcie. – Wyciągnęła przed siebie ręce. – Sama robiłam – oświadczyła z dumą, prezentując nam różowo-biały manicure hybrydowy, który zdobiły też akrylowe kwiatki i cyrkonie. – Siedziałam nad nimi ze cztery godziny! Już mnie normalnie wszystko bolało. Kręgosłup, oczy, nawet miałam skurcz kciuka, uwierzycie?!

– Rzeczywiście, trudno w to uwierzyć – mruknęłam pod nosem.

– Ale spoko, jak robię komuś, to idzie szybciej. Jak klientka trzyma jedną rękę pod lampą, to wtedy robię jej drugą. Sobie tak nie zrobię, trzeba każdą osobno, dlatego tak długo schodzi.

– Rozumiem...

– To może przejdźmy do kolejnego pytania – pospieszyła z pomocą Ania.

– Nie ma problemu. – Klaudia posłała jej uśmiech.

– O czym marzysz?

– Naprawdę? – nie wytrzymałam i odezwałam się, nim zdążyła zrobić to Klaudia. Jej odpowiedź znów wydała mi się być oczywista, bo o czym może marzyć omamiona przez kult ciała nastolatka? – Nie masz tam lepszych pytań?

Ania drgnęła nerwowo, w mig łapiąc, co mam na myśli.

– Mam, mam... – bąknęła i przerzuciła kartkę.

– Ale ja przecież mogę odpowiedzieć – zdziwiła się moją reakcją Klaudia. – Marzę o tym, żeby być modelką.

– Wymień trzy cechy, które najbardziej cenisz u partnera – odczytała Anka.

– Trzy cechy? – Klaudia zabębniła diabelsko długimi paznokciami w stół. – No to żeby był przystojny, najlepiej blondyn, wysportowany... I jakiś taki... – zasępiła się, patrząc w dal. – I jakiś taki nietępy.

– Jakiś taki nietępy – powtórzyłam za nią, z niedowierzaniem kręcąc głową.

– No wiecie. – Zabrała ręce ze stołu i zaczęła nerwowo ścisnąć spód swojej

koszulki. – Żeby chociaż skończył zawodówkę. Z takim po gimnazjum to raczej o niczym nie porozmawiasz.

– Taaak – mruknęłam, dając Ani czytelny znak, co myślę o całej tej Klaudii.

– A co, ten wasz Teodor nie ma wykształcenia?

– Ma – zapewniłam.

– Czym się zajmuje?

– Był żołnierzem.

– Wow! – Klaudia omal nie podskoczyła. – Ale takim prawdziwym?

W mundurze?! – podekscytowała się jak to nastolatka, a przez moją głowę przemknęła myśl, że już nawet Kasia (z tymi wszystkimi jej szaleństwami), pomimo że młodsza, była od niej o wiele dojrzałsza.

– Nie, bez – wymsknęło mi się przez zaciśnięte zęby.

– Służył na misji – wytłumaczyła jej Ania. – Ale musiał wrócić do kraju, bo został ranny.

– Ale czad! – Klaudia omal nie pisnęła z radości. – To on musi być naprawdę ekstra! I niesamowicie wysportowany!

– Niesamowicie... – powtórzyłam, coraz bardziej mając dość tej dziewczuchy. Zaczynała działać mi na nerwy, a Teodor był stanowczo za dojrzały, by spotykać się z tak infantylną małolată. Przecież gdyby była młodsza o 5-6 lat, mogłaby być jego córką! Czy Ania naprawdę tego nie widziała? Chyba zacznę wątpić w inteligencję emocjonalną mojej siostry. Zresztą z przygotowaniem pytań do rozmowy też się nie popisała!

– To kiedy go poznam? – Klaudia natomiast nie przestawała ekscytować się profesją Teodora.

– Och, to zależy od tego, jak wypadną inne kandydatki – kolejny raz uprzedziłam Anię.

– Tak? – Na dźwięk tych słów Klaudia jakby straciła entuzjazm.

– Musimy przesłuchać wszystkie, by wybrać najlepszą. – Popatrzyłam jej w oczy.

– Dużo ich jeszcze jest?

– Och, całe mnóstwo!

– Niestety – dodała Ania.

– Kurczę, słabo. – Klaudia pokręciła nosem. – Liczyłam na to, że poznam go jeszcze dzisiaj.

– Co nagle, to po diable – zapewniłam.

– No tak się mówi, ale trochę mi się spieszy.

– A dokąd, jeżeli mogę zapytać? – Pochyliłam się w jej stronę.

– Jestem umówiona na wieczór.

– Rozumiem, że z koleżanką? – powoli coraz trudniej było mi silić się na sympatyczny ton.

Klaudia zatrzepotała rzęsami i już miała coś odpowiedzieć, gdy na podwórku pojawił się Teodor. Szedł w naszą stronę, podpierając się na kuli, a na jednym z ramion dźwigał torbę podróżną. Włosy rozwiewał mu wiatr i miał delikatnie zarumienione policzki. Na ten widok natychmiast zerwałam się z miejsca i pobiegłam w jego stronę.

– Co robisz?! – Złapałam za pasek od torby. – Przecież nie możesz tak obciążać nóg. Daj to, poniosę. – Spróbowałam mu ją zabrać.

– A ty możesz obciążać ręce? – Popatrzył na mnie rozbawiony i też złapał za pasek. – Poradzę sobie.

– Jasne. – Wywróciłam oczami. – I tak mam z twojego powodu wyrzuty sumienia, wolę dmuchać na zimne. Daj mi to...

– Zuzka, zostaw tę torbę – nie zamierzał ustąpić. – Co by był ze mnie za facet, gdyby kobieta dźwigała moje rzeczy.

– Nie unos się dumą, to wyjątkowa sytuacja. Jesteś połamany!

– Ustaliliśmy już, że ty też.

– To może ja to wezmę, skoro nie możecie się dogadać. – Anka wkroczyła do akcji. – Ja jestem zdrowa i nic mi nie dolega.

– Ale ty jesteś w ciąży – zauważyłam.

– To nie choroba – rzuciła, po czym wyrwała nam w końcu tę torbę i ruszyła w stronę obserwującej nas Klaudii.

– No i masz – mruknął Teodor.

– Kto to? – zapytała Anię Klaudia.

– Ach, to jest mój mąż! – Niewiele myśląc, złapałam Teodora pod ramię i posłałam mu czuły uśmiech.

Oboje z Anką popatrzyli na mnie jak na kosmitkę.

– Mąż? – prychnęła moja siostra.

– Ludwik to Klaudia. Klaudia to Ludwik. – Nie dając jej czasu na odkręcenie tej sytuacji, pociągnęłam Teodora w stronę stołu, w wyniku czego o mało się nie przewrócił.

– Tak... – bąknął zaskoczony całym tym zajściem, ale wyciągnął rękę w stronę dziewczyny. – Miło cię poznać.

– Ciebie też. – Klaudia uniosła się z miejsca.

– To co Ludwik, może usiądziesz razem z nami? – zaproponowała Ania, patrząc na mnie spod byka.

– Nie, to chyba nie jest dobry pomysł. – Mocniej zacisnęłam rękę na przedramieniu Teodora, nie pozwalając mu usiąść. – My już chyba pójdziemy.

– Pójdziemy? – Spojrzał na mnie zaskoczony.

– Tak, tak. – Energicznie pokiwałam głową. – Dziewczyny tu sobie dokończą rozmowę, a my... A my przejdziemy się po ogródku.

– Chcesz go ciągnąć po ogródku ze złamaną nogą? – Ania była tą sytuacją co

najmniej rozbawiona.

– Trochę ruchu mu nie zaszkodzi – nie zamierzałam wchodzić z nią w dyskusję. – To co, idziemy? – Słodko uśmiechnęłam się do Teodora.

– Jasne, jeżeli chcesz...

– Świetnie. – Uniosłam kąciki ust jeszcze wyżej i pociągnęłam go lekko w prawo. – To cześć, Klaudio, miło było cię poznać.

– A torba? – odezwał się Teodor.

– Torba, tak, torba! – puknęłam się w głowę i puściłam go, żeby chwycić leżący obok Anki bagaż.

– Na co wam to podczas łożenia po ogródku? – zapytała Klaudia.

– Och. – Popatrzyłam na nią, szamocąc się z długim paskiem. – Przyda się, jak zgłodniejemy albo coś... – wypaliłam, po czym zarzuciłam sobie w końcu to ustrojstwo na ramię i ponownie złapałam Teodora.

– Albo coś – zachichotała Anka, ale nic już nie powiedziała. Patrzyły tylko razem z Klaudią, jak ciągnę oszołomionego Teodora w stronę jednej ze stodół, walcząc przy tym z uparcię zsuwającą się z mojego ramienia torbą.

– Może lepiej ja to poniosę? – zaproponował, gdy odeszliśmy kilka metrów od altanki. – Mam wrażenie, że zaraz się przewrócisz.

– Nie, wcale nie... – zgrywałam twardą, ale chyba marnie mi to wyszło, bo podczas kolejnego kroku bagaż Teodora upadł mi na ziemię.

Ten w odpowiedzi roześmiał się głośno i schylił się, by go podnieść.

– To dokąd właściwie mnie ciagniesz, żonko? – Uśmiechnął się, wracając do pionu.

– Przed siebie – rzuciłam, nie chcąc kontynuować tego tematu. – A ty co tutaj robisz?

– Jak to co? – Wzruszył ramionami. – Przeprowadzam się.

– Miałeś poczekać z tym na mnie. – Popatrzyłam mu w oczy.

– Wiem, ale siedziałem sam i pomyślałem, że spakuję się szybciej. Miałem tak mało rzeczy, że zajęło mi to raptem kilka chwil.

– Dlaczego z ciebie taki uparciuch? Przecież mówiłam, że pomogę ci z tym po powrocie od Anki.

– Nie chciałem nadużywać twojej pomocy.

– Ale to nie byłoby nadużycie! – zaprotestowałam.

– Tylko co?

– Drobną, koleżeńską przysługą.

– Jesteś trudna, wiesz? – Znowu roześmiał się głośno. – Ale jeżeli już tak bardzo chcesz mi się do czegoś przydać, to możesz pomóc rozpakować tę torbę, zgoda? – spróbował mnie udobruchać.

Przez chwilę mierzyliśmy się wzrokiem.

– Zgoda – mruknęłam w końcu niechętnie. – Możemy zrobić to nawet teraz.

– Nie sędzę.
– Dlaczego?
– Nie mamy kluczy do mieszkania. Chciałem poprosić o nie Anię, ale nie dałaś mi dojść do słowa.
– Tak, wiem... Przepraszam... – Popatrzyłam na swoje buty.
– Oj nie smuć się. – Dotknął mojej ręki, w odpowiedzi na co uniosłam wzrok. – Całkiem podoba mi się możliwość bycia twoim mężem chociaż przez chwilę.
– Za to też cię przepraszam. Nie mogę powiedzieć ci, o co chodzi, ale nie powinnam była stawiać cię w takiej sytuacji. To musiało być niezręczne.
– Wręcz przeciwnie. – Uśmiechnął się. – Możesz mówić tak o mnie częściej, nie mam nic przeciwko. – Popatrzył mi w oczy, w wyniku czego zrobiło mi się jakoś tak ciepło na sercu.
Trwaliśmy w tym intymnym zawieszeniu przez kilka chwil, dopóki nie przeszkodziła nam pędząca przez podwórko Anka.
– Znowu dałaś popis, Zuzka. – Roześmiała się, gdy już do nas dotarła. Widocznie odprawiła już całą tę Klaudię do domu.
– Ja? – Popatrzyłam na nią agresywnie.
– No a kto? Przecież nie święty Mikołaj.
– To ty sprowadzasz tutaj jakieś wariatki. Jak nie zadufana w sobie karierowiczka, to jakaś pusta dziunia.
– Kto? – Teodor popatrzył na mnie z ukosa.
– Oj, nieważne. – Machnęłam na niego ręką. – I tak nie zrozumiesz.
– Może chociaż mógłbym spróbować?
– Wszystko w swoim czasie – zbyła go Anka. – Ale przyznaj, że pytania, które znalazłam, były całkiem fajne – ponownie zwróciła się do mnie.
– Całkiem fajne?! – prychnęłam. – Nic się o niej nie dowiedziałyśmy!
– Następnym razem...
– Boże, naprawdę chcesz zapraszać tu jakąś jeszcze? Przecież widzisz, że to nie ma najmniejszego sensu!
– Jak to nie? Podświadomie czuję, że jesteśmy coraz bliżej celu.
– Serio? To dziwne, bo ja czuję, że jest wręcz przeciwnie – byłam coraz bliższa wybuchu złości. Co ta moja siostra sobie wyobraża?! Może jeszcze ta cała Klaudia przypadła jej do gustu?
– Może ja mógłbym wam jakoś pomóc? – znowu odezwał się Teodor.
– Nie – odpowiedziałyśmy mu z Anką w tym samym czasie.
– Dobra, dobra, tylko nie bijcie. – Uniósł ręce niczym w obronnym geście. – Ale to może chociaż porozmawiacie o tych swoich tajnych sprawach później, co? – zaproponował. – Chciałbym dokonać w końcu tej przeprowadzki, jeżeli nie macie nic przeciwko.

– Ach, przeprowadzka, racja. – Anka puknęła się w czoło. – To ja przyniosę klucz. – Popędziła w stronę domu, zostawiając nas samych.

Usiedliśmy więc na ławce pod drzewem, a potem obie z Anką pomogłyśmy Teodorowi urządzić się w jego nowym mieszkaniu, nie wspominając już o Klaudii ani słowem. Lepiej omijać drażliwe tematy, niż psuć sobie nimi przyjemną atmosferę i nerwy.

Rozdział 26

Po rozpakowaniu rzeczy Teodora Ania zaprosiła nas na kolację i nie mogliśmy odmówić. Teodor jednak już po chwili zniknął gdzieś razem z Pawełkiem, a my zostałyśmy same z mamusią.

– Cieszę się, że jesteście szczęśliwe – stwierdziła w pewnej chwili, patrząc to na mnie, to na Anię. – Naprawdę.

– Źle się mama czuje?

– Nie, wręcz przeciwnie. Czuję dziś wyjątkowy spokój.

Spojrzałam na Anię zaniepokojona. A jeżeli mama ma jakiś spadek cukru?

– A można wiedzieć, dlaczego? – spytałam.

W odpowiedzi mama westchnęła głośno i zapatrzyła się na stojący przed nią wazonik.

– Ostatnio coraz bardziej tęsknię za waszym ojcem – wyznała smutno. – Patrzę na poukładane życia moich córeczek, wspaniałych mężczyzn, których macie u boku i szczęśliwe dzieci. Nie mogę pozbyć się wrażenia, że pora ustąpić miejsca na ziemi młodszemu pokoleniu. Ja już zrobiłam, co miałam zrobić. Wszystkie najpiękniejsze chwile są za mną. Wychowałam was na zaradne życiowo kobiety, doczekałam się wnuków i jedyne, co mi pozostało, to patrzeć na was i wspominać swoją młodość.

– Mamo... – jej słowa bardzo mnie rozczuliły.

– Wasz tata ostatnio coraz częściej mi się śni – kontynuowała. – Często siada w tych snach na moim łóżku i mówi, że na mnie czeka.

Kątem oka zerknęłam na Ankę. W jej oczach zebrały się łzy.

– To dlatego ostatnio coraz częściej mówisz o swoim pogrzebie? – odważyłam się zapytać, sama również czując szczypanie pod powiekami.

– Naprawdę bardzo za nim tęsknię – odpowiedziała tak smutno, że wszystkim nam pociekły po policzkach łzy.

– Mamusiu... – Ania podniosła się z krzesła i przytuliła się do niej.

– Nie płacz kochanie, nie płacz. – Mama pogładziła ją ręką po twarzy i w kuchni zapadła cisza. Każda z nas potrzebowała chwili, by to wszystko przemyśleć.

Wróciłam do domu dopiero w okolicach dwudziestej i powitała mnie pustka. Poza leżącym przed telewizorem Ludwikiem nie było nikogo.

– Cześć – odezwałam się więc, z odrazą patrząc na dwie stojące na stole puszki po coli i pustą paczkę po chipsach.

– Cześć. – Mój ślubny nie raczył na mnie nawet spojrzeć.

– Mógłbyś to wyrzucić.

– Później. – Usiadł na kanapie i, w co trudno było mi uwierzyć, odwrócił się od telewizora. – Gdzie byłaś?

– U Anki – rzuciłam jak gdyby nigdy nic.

– Jak długo?

– Trzy, może cztery godziny – mruknęłam, nie chcąc się kłócić, i podeszłam do blatu oddzielającego salon od kuchni. Chciało mi się pić, więc wzięłam do ręki półlitrową butelkę wody mineralnej.

– Byłem u mamy półtorej godziny temu i cię tam nie zastałem. – Ludwik nie spuszczał ze mnie wzroku.

– Bo wtedy jeszcze pewnie pomagałam Teodorowi.

– W czym?

– W rozpakowywaniu jego rzeczy.

– Jakich rzeczy?

– Ciuchów i innych takich.

– I zeszły ci na tym aż cztery godziny?

– Co to ma być? – Odwróciłam się do niego. – Przesłuchanie?

– Po prostu chciałem się dowiedzieć, gdzie znika moja żona. Rano mówiłaś, że wychodzisz do Beaty.

– Bo do południa byłam z Beatą.

– Akurat.

– Jak chcesz mnie sprawdzić, to zadzwoń do niej, zamiast bawić się w podchody.

– Co robiłyście?

– Byłyśmy w miasteczku.

– Na zakupach?

- Tak, na zakupach. – Powoli zaczynałam tracić cierpliwość.
- I co kupiłyście? – Ludwik przechylił głowę w bok, nie spuszczać ze mnie wzroku.
- Nic.
- Byłyście na zakupach, żeby nic nie kupić?
- Tak. Wyobraź sobie, że kobiety czasem czerpią przyjemność z samego chodzenia po sklepach.
- Na chwilę zapanowało między nami milczenie.
- Nie podoba mi się to – pierwszy odezwał się Ludwik.
- Co ci się nie podoba? – Odstawiłam butelkę z wodą na miejsce.
- Że znikasz na całe dni z domu, a potem jeszcze wciskasz mi jakieś wysrane z palca kity.
- Że co proszę? – omal nie zakrztusiłam się własną śliną. – Nie wierzysz mi? Ludwik podniósł się z kanapy i stanął naprzeciwko mnie.
- A mam ku temu powody? – Wyzywająco popatrzył mi w oczy.
- Mimo że nie czułam się winna, nerwowo przełknęłam ślinę.
- To chyba ja powinnam przepytywać teraz ciebie – postanowiłam się bronić.
- Ty mnie? – Ludwik wydał się zaskoczony tymi słowami.
- Tak, bo to ty byłeś przez cały dzień poza domem, a ja na podwórku u Anki! – puściły mi nerwy.
- Ludwik zrobił kilka kroków w tył.
- No to proszę bardzo, pytaj – rzucił, patrząc mi prosto w oczy.
- Gdzie byłeś przez cały dzień?
- Z chłopakami w lesie.
- Tak?
- Przecież mówię.
- A mi się wydaje, że byłeś w miasteczku.
- To źle ci się wydaje. Cały dzień spędziłem z Albertem i Piotrkim.
- W takim razie to dziwne, bo jestem pewna, że widziałam twój samochód w miasteczku! – nie wytrzymałam. – Chyba nie wmówisz mi, że to była fatamorgana! – krzyknęłam. Postanowiłam tylko przemilczeć fakt, że odkryłyśmy to z Beatą podczas naszego, pożałuj Boże, śledztwa.
- Pojechałem tam, bo musiałem coś zrobić z Marcelem! – Ludwik też uniósł głos, chcąc się bronić. – Gdybyś siedziała w domu, nie miałbym tego problemu!
- Aha, więc to ja jestem ta zła, tak?
- Miejsce matki jest przy dziecku.
- A szanownemu tatusiowi wszystko wolno, tak?! Może mieć nas gdzieś i spędzać całe dni z kumplami?
- Tego nie powiedziałem.

– Nie musiałeś. Wystarczy, że tak myślisz.
– Ciebie też ciągle nie ma.
– A zastanowiłeś się chociaż raz, z kogo biorę przykład? – nieco spuściłam z tonu.
– Mam siedzieć całe dni w domu, bo ty tak chcesz? Tkwić przed telewizorem jak pies na łańcuchu?
– Nie! – znowu krzyknęłam.
– No to czego ode mnie oczekujesz?
– Chcę po prostu odzyskać faceta, za którego wychodziłam za męża. Który nie traktuje domu jak hotelu, żony jak kucharki i sprzątaczkę, i nie rozgląda się za innymi!
– Coś ty powiedziała? – Ludwik zastygł w bezruchu.
– To, co słyszałeś.
– Ja?! – Z niedowierzaniem przyłożył palec do piersi. – Ja się rozglądam za innymi?!
– Jak ci się znudziłam, to zmień mnie na inną. – Pod moimi powiekami zaczęły zbierać się łzy.
– Ty mi się znudziłaś?! To ja znosiłem przez kilka tygodni pod jednym dachem twojego byłego narzeczonego i Marka, więc chyba nie ty powinnaś oskarżać mnie o niewierność.
Teraz to mnie zamurowało.
– Skąd... – wydukałam. – Skąd wiesz?
– Cała wieś huczała od plotek. Myślisz, że przyjemnie było mi słuchać, jaka to moja żona jest rozwiązła?
– Ale... – zabrakło mi słów. – Ale przecież nic nie mówiłeś...
– Ufałem ci! Po co miałem cokolwiek mówić?!
– A teraz nie ufasz? – Po policzku pociekła mi gorąca łza.
– A teraz już sam nie wiem, co o tym wszystkim myśleć.
– Ludwik!
– W dodatku teraz znikasz Bóg wie gdzie i, do cholery, Zuzka, odmawiasz mi seksu!
– Przecież to ty się mną wcześniej nie interesowałaś...
– Byłem zmęczony i miałem zszargane nerwy. Nigdy nie pracowałaś z gimnazjalistami i nie musiałaś użerać się z trudną młodzieżą... Zresztą nie odwracaj kota ogonem, dobrze? To ja powinienem pytać, co dzieje się z moją żoną, a nie ty oskarżać mnie! – krzyknął, a potem zacisnął dłonie w pięści i ruszył do drzwi.
– Ludwik! – krzyknęłam, biegnąc za nim. – Ludwik, dokąd idziesz?!
– Jadę po Marcela. – Szarpnął wiszącą na wieszaku w przedpokoju bluzę. – Z tego wszystkiego zapomniałem o dziecku – rzucił, po czym wyszedł na zewnątrz,

głośno trzaskając drzwiami.

Wzdrygnęłam się na ten dźwięk i przyłgnęłam plecami do ściany. Przez moment stałam w bezruchu, myśląc o tym, co przed chwilą się stało. W końcu zaczęłam płakać. Głośno i żałośnie. Nad swoim małżeństwem i własną głupotą.

A w dodatku w pokoju pod schodami nie było już Teodora, do którego mogłabym uciec. Zostałam ze swoimi problemami zupełnie sama.

Płacząc jeszcze głośniejsze, powlokłam się na górę i rzuciłam na łóżko. W kółko i w kółko odtwarzałam naszą rozmowę, zastanawiając się, kiedy to ja stałam się w naszym małżeństwie tą złą, bo ewidentnie do tego doszło.

Czując, że nie jestem w stanie zrobić dziś już nic konstruktywnego, poszłam pod prysznic. A po kilkunastu minutach, gdy wróciłam do łóżka, miałam już zapuchnięte powieki, zatkane zatoki i bolącą głowę, więc zmorzył mnie sen. Przyszedł w najbardziej odpowiednim momencie, bo po rozmowie z Ludwikiem, strach przyznać przed samą sobą, ale odechciało mi się żyć. Pomimo wcześniejszego powątpiewania w jego wierność, dopiero teraz tak naprawdę realnie poczułam, że mogę go stracić. A co to by było za życie bez mojego męża?

Rozdział 27

Obudziłam się o szóstej i od razu odkryłam, że mój mąż nie spał dziś w naszym łóżku. Podczas gdy po mojej stronie kołdra była wymięta, po jego panował idealny, nieskazitelny wręcz ład. W innych okolicznościach może by mnie to nawet ucieszyło, ale w tej sytuacji niemal znów zalałam się łzami. Postanowiłam jednak być twarda.

Wygrzebując się spod kołdry, chwyciłam leżący w nogach szlafrok i szczelnie się nim okryłam. Wsunęłam nogi w stojące przy łóżku kapcie i poczłapałam na dół. Miałam nadzieję, że zastanę Ludwika śpiącego na kanapie, ale się myliłam. Nie było go tam, podobnie jak wczorajszych puszek po coli i paczki po chipsach, co sprawiło, że ogarnął mnie jeszcze większy smutek.

Pociągając nosem, postanowiłam zrobić sobie kawę. Nalałam wodę do czajnika i wstawiłam go na gaz. Potem oparłam zdrową rękę o kuchenny blat i zapatrzyłam się przez okno. Odkąd Kasia zaczęła zajmować się naszym ogródkiem, podwórko mieniło się w słońcu feerią barw. W przeciwieństwie do mojego życia, które z dnia na dzień coraz bardziej traciło swój blask.

Wzdychając ciężko, zaparzyłam sobie kawę i usiadłam w salonie. Popijałam ją, wsłuchując się w ciszę, gdy nagle przerwało ją otwarcie przez kogoś wejściowych drzwi. Zerwałam się z kanapy z nadzieją, że to Ludwik, lecz w korytarzu stała ubłocona po kolana Kasia.

– Cześć – rzuciła na mój widok. – Nie śpisz?

– Już wstałam. Nie wiedziałam, że ty też.

- Ja to dzisiaj w ogóle nie zmrużyłam oka – oznajmiła.
- Nie?
- Malowałam ten drewniany dom. Tak bardzo mi się spodobał, że chciałam uchwycić go też w świetle księżyca, a dziś była pełnia.
- Malowałaś go całą noc? – spytałam z przejęciem.
- Oj, nie martw się, byłam z Tomkiem. Przynajmniej fizycznie, bo odleciał już przed pierwszą. Na szczęście pomyślałam o tym i wcześniej zabrałam z jego domu koc. Okryłam biedaka, żeby nie zmarzł.
- Więc spędziłaś noc gdzieś w polach? Sama? Ze śpiącym Tomkiem?
- Faktycznie, to było dość trudne, ale finalnie udało mi się przyczepić latarkę nad sztalugami i jakoś sobie radziłam...
- Nie o to pytam!
- Nie? – Kasia popatrzyła na mnie zdziwiona.
- Przecież to mogło być niebezpieczne!
- Niebezpieczne? – Omal się nie roześmiała. – Zuzka, a co mogłoby mi się stać na wsi?
- Wiele rzeczy.
- Na przykład? Nie zapominaj, że dorastałam w Warszawie. A swego czasu prowadziłam się po niej z dość... niewybrednym towarzystwem – dokończyła rozbawiona moją reakcją.
- A gdyby cię ktoś napadł?!
- Oj, daj spokój, kto by mnie miał napaść w tej głuszy? I dlaczego miałby to robić? – Zaczęła ściągać z ramion przybrudzony sweterek. – Zresztą ty mnie nie zarzucaj gradem pytań, tylko lepiej powiedz, co się dzieje z Ludwikiem – zmieniła ton. – Dlaczego spał w samochodzie?
- Cóż... – nagle przestałam być taka rozmowna.
- Znowu się pokłóciliście? – Kasia w mig zrozumiała, o co chodzi, i popatrzyła na mnie spode łba.
- Można tak powiedzieć – mruknęłam.
- Jak dzieci. – Z dezaprobatą pokręciła głową. – Mam nadzieję, że chociaż szybko wam przejdzie. Spałam kiedyś w aucie. To nie jest zbyt wygodne. Strasznie cię potem bolą kark i krzyż. – Pochyliła się, by zacząć zdejmować buty.
- Nie wiedząc, co odpowiedzieć, stałam przez chwilę w milczeniu, a potem wycofałam się do kuchni, do której już po chwili zawitał rozespany Marcel.
- Cześć mamusiu – rzucił sennym głosem, po czym podszedł i przytulił się do mojej nogi.
- Cześć maluchu. – Pogłaskałam go po głowie. – Masz ochotę na śniadanie?
- Mam.
- Może być parówka na ciepło i do tego bułeczka?
- Może, może – zgodził się, po czym wdrapał się na stołek przy barku. –

Gdzie tatuś? – zapytał, biorąc do ręki leżący przed nim ołówek.

– W samochodzie – wyjaśniłam, zgodnie z prawdą.

– A co on tam robi?

– A bo ja wiem, może coś naprawia. – Otworzyłam lodówkę.

– Może trzeba mu pomóc? – Marcel popatrzył na mnie zaniepokojony.

– Może. Ale najpierw śniadanie, dobrze? – Posłałam mu przelotny uśmiech i zaczęłam obierać parówkę, kątem oka obserwując, że zaczął wodzić ołówkiem po blacie.

– Znajdzie się dla mnie jakaś kawa? – Po chwili wpadła do kuchni także Kasia przebrana w czyste ubrania. Miała na sobie czarne szorty i luźną koszulkę, a włosy zebrała w niedbały kok na środku głowy. Patrząc, jak świeżo wygląda w tym wydaniu, natychmiast pozazdrościłam jej, że w co by się nie ubrała, zawsze wyglądała jak modelka, która właśnie zeszła z wybiegu. Nawet pomimo braku snu.

– W czajniku jest ciepła woda – rzuciłam do niej, wracając do parówki. – Jeżeli chcesz rozpuszczalną, to możesz zalać od razu, ale jeżeli sypaną, to musisz podgrzać.

– Może być rozpuszczalna, trucie się to trucie, co za różnica. – Wzruszyła ramionami i otworzyła szafkę, w której stały kubki. – Chcesz też?

– Nie, dzięki, dopiero co wypiałam.

– A mnie czemu nie zapytasz, czy chcę? – zagadnął Marcel, gdy otworzyła puszkę z kawą.

– Bo ty jesteś mały i nie możesz pić kawy.

– Nieprawda. Mama mówi, że jestem duży.

– Tak? – Kasia uniosła brew.

– No! – Marcel dumnie uniół głowę.

– A kiedy tak mówi?

– Jak mam się sam ubrać albo posprzątać zabawki... Różnie, ale zazwyczaj, jak coś chce.

– No proszę, to taka z ciebie przykładna przedszkolanka, że stosujesz w domu perfidne metody wychowawcze? – Kasia zerknęła na mnie, nie kryjąc rozbawienia.

– Dobra, dobra. – Pomieszałam wodę w garnku. – Z Marcela jest papla.

– Ale duża! – zauważył, unosząc w górę dwa palce.

– No niech ci będzie – przyznała mu w końcu rację Kasia.

– A ty nie powinnaś trochę się przespać, zamiast pić kawę? – Popatrzyłam na jej kubek.

– No niby tak, ale bardzo bym chciała jechać z wami na ten rajd.

– Rajd? Jaki rajd?

– Oj, tylko nie mów, że zapomniałaś! Dziś jest rajd terenowy Ludwika. Mówi o nim na okrągło od jakiegoś tygodnia.

– O cholera! – wymsknęło mi się przy dziecku.
– Czyli zapomniałaś. – Kasia zacisnęła usta w wymownym geście.
– Gdzie tam zapomniałam, po prostu wypadło mi z głowy. Tyle ostatnio się dzieje... A powiedz mi... – nachyliłam się do niej. – Wiesz, o której to?

– Z tego, co pamiętam, to chyba o ósmej. Ale głowy sobie uciąć nie dam.

Zerknęłam na wiszący na ścianie zegarek. Była siódma piętnaście. Nie tak źle. Marcel nie śpi, śniadanie możemy ewentualnie zjeść już podczas jazdy, trzeba się tylko ubrać, z makijażu zrezygnowałam już kilka lat temu...

– Zuzka? – Z zamyślenia wyrwał mnie głos Kasi.

– Tak? – Obrzuciłam ją nieprzytomnym spojrzeniem.

– Parówka. – Wskazała na garnek. – Prawie się rozgotowała.

– Ach, tak! – Natychmiast zdjęłam garnek z ognia i podałam śniadanie Marcelowi, nie zapominając o wrzuceniu na talerz kilku warzyw. – Przypilnujesz go? – rzuciłam do Kasi. – Skoro mamy jechać na ten rajd, muszę się przebrać.

Ta zlustrowała mnie wzrokiem.

– Po co? Do twarzy ci w tej piżamce – rzuciła wyraźnie rozbawiona.

– Nie bądź taka dowcipna. – Uśmiechnęłam się do niej i ruszyłam przed siebie.

– Niedobre to. – Wychodząc, zarejestrowałam jeszcze, że Marcel wypłuł jedzenie na talerz. – Możesz tu dodać jakieś przyprawy albo konserwaty, żeby mi smakowało? – zwrócił się do Kasi.

Złapałam się za głowę i przyspieszyłam kroku. Ludwikowi bardzo zależało na tym rajdzie. Jeżeli przegapię jego przejazd, to nawet mnie nie zabije, to by było za piękne, ale po prostu spakuje swoje manatki i zostawi. Samą, starzejącą się, w tym wielkim domu i wybrzydającym przy śniadaniu dzieckiem, które z wiekiem będzie stawało się coraz bardziej pyskate.

Ratunku!

Rozdział 28

– Ruchy, ruchy. – Poganiałam wychodzącą z domu Kasię, która ciągnęła za sobą zaspanego Marcela. – Nie możemy się spóźnić! – wołałam rozemocjonowana, stojąc przy otwartych drzwiach samochodu.

Jeżeli do tej pory jakimś cudem myślałam, że uda nam się wyjechać z domu bez większego opóźnienia, to byłam w błędzie. Zaskoczył mnie jedynie fakt, że sprawcą tego stanu nie był Marcel. Na moje podwórko wpadła bowiem obładowana torbami z zakupami grupa sąsiadek. Kobiety dopadły mnie jeszcze, nim Kasia zdążyła usadzić Marcela w foteliku na tylnym siedzeniu.

– Pani Zuziu! – wołała jedna z grubaśnych pań, pędząc w moją stronę przez podjazd. – Pani Zuziu!

– Zuzanko! – Machała inna, szamocząc się ze swoją długą spódnicą.

– Tak? – Ruszyłam w ich stronę z nadzieją, że uda mi się szybko je zbyć. – W czym mogę paniom pomóc? – zapytałam, siłąc się na uśmiech, choć zegar w mojej głowie tykał niczym bomba.

– Myśmy po autografy! – wyjaśniła mi jedna z ciężko dyszących pań.

– Po co?! – Zrobiłam zdziwioną minę.

– Po autografy! – powtórzyła głośniejszą kobiecina, myśląc chyba, że niedosłyszę.

– Wracamy od Kazia i pomyślałyśmy, że wpadniemy do pani załatwić wszystko za jednym zamachem – druga z kobiet pospieszyła z pomocą koleżance.

– Przepraszam, ale nadal nie bardzo rozumiem...

– Och, bo one to źle tłumaczą – prychnęła trzecia, pani Szcześniakowa,

i zrobiła dwa kroki wprzód. – Byłyśmy u Kazika zaopatrzyć się w miodek na zimę, a tam ty, pani Zuziu, na opakowaniu.

– To będzie dla nas zaszczyt trzymać w kuchni słoiki z miodem, na których jesteś – wpadła jej w słowo rozemocjonowana pani Majchrzak.

– Ja to sobie chyba na widoku ustawię i będę wszystkim koleżankom opowiadać, że znam gwiazdę! – pisnęła pani Helena. – I to osobiście!

– Tak... – mruknęłam pod nosem i nerwowo przestąpiłam z nogi na nogę.

– Tak nam się te etykiety spodobały, że pomyślałyśmy, że od razu przyjdziemy do ciebie po autografy, żeby potem nie czekać w kolejkach – wyjaśniła spokojnie pani Szcześniakowa.

– Kolejkach? – Zmarszczyłam brwi.

– No tak! – Pani Majchrzak klasnęła w dłonie. – Bo prawie wszyscy ludzie ze wsi kupują miód od Kazika.

– A wiadomo, że każdy chciałby mieć autograf od takiej gwiazdy!

– No. – Pani Helena energicznie pokiwała głową. – Zlecą się do ciebie jak nic!

– I trawnik podepczą, łajdaki!

– A my chcemy być pierwsze, bo wiadomo jak to jest, gdy ma się na głowie cały dom. Ciężko z czasem.

– Dlatego tak wcześnie przychodzimy. I grzecznie.

– Rozumiem – mruknęłam, nerwowo zerkając do tyłu. – Ale przyznam, że trochę mi się spieszy...

– Ale kochanie, spokojnie, spokojnie. – Pani Szcześniakowa złapała mnie za rękę. – To nam zajmie tylko chwilkę!

– A czy ja nie mogłabym podpisać się paniom na tych etykietach trochę później? – jęknęłam z rozpaczą.

– No właśnie ci tłumaczymy, że nie. – Pani Helena popatrzyła mi w oczy.

– Tak... – mruknęłam, czując, że nie ustąpią.

– To podpiszesz nam te słoiki, kochaniutka?

– Ja zabrałam nawet długopis! Specjalny kupiłam! – Pani Majchrzak sięgnęła do torebki. – Za trzy pięćdziesiąt. Do autografów.

– Jasne. – Zmusiłam się do uśmiechu, przeklinając w myślach i sąsiadki, i pana Kazia. – To ile mają panie tych słoików?

– Ja mam cztery.

– Ja sześć.

– Ja pięć i dwa dla córki.

– Czyli razem siedemnaście? – podliczyłam, omal nie łapiąc się przy tym za głowę.

– Ja bym jeszcze chciała dokupić, ale to w przyszłym miesiącu. W tym ciężko z finansami – zaczęła rozwodzić się pani Szcześniakowa.

– Rozumiem – nie dałam jej się rozwinąć i wyrwałam pani Majchrzak z dłoni długopis. – To dają panie te słoiki – rzuciłam zniecierpliwionym głosem.

– Długo jeszcze, Zuzka?! – Zza moich pleców dobiegł głos Kasi. – Spóźnimy się!

– Widzą panie? – Popatrzyłam na sąsiadki z nadzieją, ale te były nieugięte.

– No to podpisuj, kochana, podpisuj. – Zaczęły wyciągać ze swoich torebek słoiki. – Nie ma na co czekać, skoro tak ci się spieszy.

– Jasne. – Popatrzyłam na nie z wściekłością, po czym uklęknęłam na ziemi i wzięłam do ręki jeden z nich. – To napiszę: Dla Pani Majchrzak – Zuzanna. Może być?

– Nie! No coś ty, dziecko?! – Kobieta popatrzyła na mnie, jakbym zaczęła opowiadać brednie. – Musisz napisać ładniej!

– Ładniej?

– Oczywiście! Ja nie jestem jakimś przypadkowym przechodniem, ale znamą!

– Tak, tak – przytaknęła jej pani Helena. – Musisz podkreślić łączącą nas więź!

– Więź? – Zmrużyłam oczy, omal nie czerwieniejąc ze złości. Jaką do cholery więź?! Co ja mam im tu pisać, poematy?! Może jeszcze trzynastozgłoskowcem?!

– Napisz tak. – Pani Majchrzak przyłożyła palec do ust i zrobiła zamyśloną minę. – Dla kochanej sąsiadki pani Majchrzak oraz jej rodziny w dowód sympatii – gwiazda filmu i reklamy, Zuzanna.

– Gwiazda filmu i reklamy? – Na sam dźwięk tych słów zrobiło mi się gorąco.

– Zuzka! – znowu krzyknęła z samochodu Kasia.

– Już, już. – Odwróciłam się do niej, uważając, by nie upuścić słoika.

– Spóźnimy się! Co ty tam robisz?!

– Podpisuję etykiety na słoikach – bąknęłam pod nosem, wstydząc się powiedzieć to głośno.

– Co!?! – Kasia wygramoliła się z auta i ze złością ruszyła w moją stronę.

– Pani Zuzanna rozdaje nam autografy – z dumą wyjaśniła jej pani Majchrzak.

– Taka kochana, chociaż gwiazda.

– Co robisz, do cholery?! – Kasia nie zamierzała być miłą.

– No podpisuję paniom etykiety, bo nie chcą mnie puścić...

– Boże! – jęknęła głośno Kasia i teatralnie przyłożyła dłoń do czoła. – I będziesz się podpisywać na tym wszystkim? – Wskazała na stojące przede mną słoiki.

– Cóż... – Głupio mi było na nią nawet spojrzeć.

– Ale ty jesteś uległa! – zganiała mnie w odpowiedzi.
– Albo miła – ośmieliła się zauważyć pani Helena.
– Jak zwał, tak zwał. – Kasia groźnie machnęła w jej stronę ręką. – W takim razie ja się z paniami rozliczę. – Założyła rękę na rękę.
– Słucham?! – rozległo się chóralnie na moim podwórku.
– Żadne słucham, drogie panie. Zuzanna jest gwiazdą, a biznes to biznes. Poproszę po pięć złotych za słoik. – Kasia wyciągnęła w ich stronę rękę.
– Ale... – bąknęła pani Majchrzak.
– Żadne ale, drogie panie. Czy panie by chciały pracować charytatywnie? Przecież Zuzanna ma na utrzymaniu dom oraz dziecko!
– No tak, my wiemy...
– To, że Zuzanna jest sławna, nie znaczy, że ma się godzić na wolontariat. – Kasia popatrzyła na mnie z dezaprobatą. – Jak się jest gwiazdą, to trzeba się cenić.
– Ale myśmy tak chciały...
– Co panie chciały!? – Kasia kipiała ze złości o wiele bardziej niż przed chwilą ja. – Wykorzystać ją po znajomości?
– Po sąsiedzku – wyrwało się pani Szcześniakowej.
– Dobra, bez jaj. – Kasia postanowiła być nieugięta. – Poproszę po pięć złotych za słoik. Ile panie ich mają? – Pochyliła się, by policzyć te nieszczęsne etykiety.
– Razem siedemnaście – odważyłam się w końcu odezwać.
– No. Siedemnaście razy pięć to osiemdziesiąt pięć złotych.
– Ale... – Myny sąsiadek zrzędy.
– No ruchy, ruchy. – Kasia była dla nich bezlitosna. – Mówiliśmy już, że nam się spieszy.
– W tej sytuacji... – Pani Szcześniakowa spuściła wzrok.
– No w tej sytuacji to my chyba przyjdziemy później. – Pani Helena poszła w jej ślady.
– Tak, tak właśnie zrobimy. – Pani Majchrzak pochyliła się ku leżącej pod jej nogami reklamówki i zaczęła z powrotem pakować do niej słoiki.
– I bardzo proszę wcześniej odliczyć pieniądze – rzuciła jeszcze Kasia, po czym odwróciła się na pięcie i ruszyła w stronę auta. – Idziesz?! – zwróciła się jeszcze do mnie.
– Ach, tak, jasne. – Podniosłam się z kolan. – Długopis. – Oddałam jednej z kobiet należący do niej przedmiot i nie zwracając uwagi na ich komentarze, popędziłam za Kasią.
– Nic nie mów! – ta warknęła na mnie, usadawiając się na fotelu pasażera. – Po prostu jedźmy już.
Posłusznie włożyłam kluczyk do stacyjki i odpaliłam silnik.
– Ty jesteś dla tych wszystkich ludzi za miękka! – odezwała się jeszcze, gdy

wyjeżdżałyśmy z podwórka. – Dajesz im sobie włożyć na głowę.

– Po prostu mam dobre serce... – spróbowałam się bronić i włączyłam kierunkowskaz.

– Jest różnica między dobrym sercem a naiwnością!

– No wiem...

– Dobra, koniec tematu. – Kasia oparła głowę o zagłówek i popatrzyła przez okno. – Po prostu jedźmy – rzuciła, a ja zerknęłam na nią z podziwem. Powtórzę się, ale naprawdę chciałabym mieć taką córkę.

Albo chociaż tak niewyparzoną buzię jak ona.

Rozdział 29

Po około godzinie jazdy samochodem, gdy przed oczami zamajaczył nam znak informujący, że właśnie dotarliśmy do miasteczka, stwierdziłyśmy z Kasią, że coś jest nie tak. Marcel siedział grzecznie w foteliku na tylnym siedzeniu, ściskając w dłoni tablet, a my zaczęłyśmy rozglądać się dookoła i zastanawiać się, gdzie też powinnyśmy skręcić, choć nie skręciłyśmy.

– Tobie też się wydaje, że Ludwik mówił, że ten jego rajd jest pod miasteczkiem? – Popatrzyłam na nią, jadąc trzydzieści na godzinę, żeby móc zebrać myśli.

– Tak. Wspominał coś o starym parku i niewielkiej wsi.

– I nie chodziło mu o miasteczko na sto procent, prawda? – musiałam jeszcze się upewnić.

– No tak mi się wydaje. – Kasia wychyliła się, by popatrzeć na mijany właśnie znak wskazujący drogę do Leszczynek. – Może to tam?

– Nie sądzę. Mam stamtąd znajomą i nic mi nie wiadomo, żeby rozgrywały się tam jakieś rajdy terenowe.

– Kurczę... – Kasia podrapała się po głowie. – To co robimy?

– Zawracamy – zdecydowałam. – Pewnie nie zauważyłyśmy po drodze jakiegoś zjazdu. Może gdy pojedziemy z miasteczka, będzie lepiej oznakowany – rzuciłam, po czym zaczęłam wypatrywać miejsca parkingowego.

– No to jest jakaś myśl. – Kasia oparła głowę o zagłówek. – A jak nie, to zawsze możemy się zatrzymać i kogoś zapytać.

– Dokładnie – przyznałam jej rację i wykonałam skręt kierownicą, znajdując w końcu wolne miejsce. Potem natychmiast popatrzyłam przez ramię i, ku mojemu wielkiemu zaskoczeniu, mignął mi przed oczyma czarny ford. A przynajmniej tak mi się zdawało.

– Co jest? – zapytała Kasia, gdy dostrzegła moją nietęgą minę.

– Nic, nic. – Pokręciłam głową, starając się nie popaść w paranoję. – Chyba coś mi się przywidziało, już jedziemy. – Zebrałam się w sobie, i po kontrolnym zerknięciu na wpatrującego się w tablet Marcela, ponownie włączyłam się do ruchu. – No to wracamy – wysiliłam się na lekki ton i nawet włączyłam radio.

– Będę wypatrywać jakiegoś znaku. Może organizatorzy rajdu nakleili na jakimś drzewie kartkę albo coś – mruknęła, ściągając z nosa wielkie, przeciwsłoneczne okulary.

Ona też zdążyła się przebrać przed wyjściem. W długiej, czarnej sukience i z delikatnie zaróżowionymi policzkami wyglądała jak gwiazda filmowa. Nie to, co ja, matka Polka w przydużych szortach kupionych zaraz po ciąży (czyli około cztery lata temu) i bluzce, z której sprawy się już wszystkie pozłacane napisy.

– I co, widzisz coś? – zagadnęłam, gdy przejechaliśmy dwa, może trzy kilometry.

– Na razie nic. Może faktycznie powinniśmy się zatrzymać i zapytać kogoś o drogę?

– Albo zadzwonić do Ludwika... – bąknęłam, zastanawiając się, czy po wczorajszej kłótni raczyłby w ogóle ode mnie odebrać. Ludwik był oazą spokoju i takie scysje, jak wczorajsza, nie zdarzały nam się dość często. Prawdę mówiąc, to chyba nigdy. Nie chciałam go dodatkowo rozdrażniać.

– O, to jest myśl! – Kasia jednak zachwyciła się moim pomysłem. – To zadzwonisz do niego?

– A może ty? – Spojrzałam na nią z nadzieją. – Nie mam zestawu głośnomówiącego – rzuciłam na swoje usprawiedliwienie, rozglądając się po aucie.

– Okej. – Nieświadoma prawdziwych przyczyn mojej odmowy Kasia wyciągnęła z torebki telefon, po czym wybrała numer Ludwika.

Ja tymczasem spojrzałam w lusterko i już za chwilę pożałowałam, że odważyłam się to zrobić. Za moim samochodem, dokładnie w tak samo bliskiej odległości, jak jakiś czas temu, jechał czarny ford z ubranym na czarno kierowcą. I tym razem byłam pewna, że nie mam przywidzeń. Był prawdziwy dokładnie tak samo, jak siedząca obok Kasia albo moje problemy małżeńskie.

– Cholera! – wyrwało mi się półgłosem, gdy wzdłuż mojego kręgosłupa rozszedł się zimny dreszcz. Wygląda na to, że ten gość rzeczywiście mnie śledzi. I to już nie wtedy, kiedy jadę z przyjaciółką, ale siostrzenicą Ludwika i małym dzieckiem!

Na samą myśl o Marcelu z mojej twarzy odpłynęła krew. A jeżeli ten gość

będzie chciał zrobić nam krzywdę? Jeśli to jakiś płatny zabójca albo inny szpieg? Może tym razem nie będzie się ze mną cackał, ale w końcu dopadnie na jakimś parkingu i...

Zacisnęłam dłonie mocniej na kierownicy, nie chcąc o tym nawet myśleć. Zamiast tego zaczęłam zastanawiać się, co mam zrobić. Żadne zatrzymanie się ani zwolnienie nie wchodziło w grę. Jeżeli gość otworzy ogień albo rzuci się na mnie z pięściami, nie będę miała z nim żadnych szans. Pozostało mi więc tylko jechać przed siebie i modlić się, by nie zechciał w nas uderzyć, jak to działo się zwykle w filmach akcji, które wieczorami oglądał czasem Ludwik.

– Zuzka? – zniecierpliwiony głos Kasi wyrwał mnie z zamyślenia i upartego wpatrywania się w lusterko.

– Tak? – Potrząsnęłam głową, przenosząc wzrok na jezdnię.

– Co z tobą? – Ta popatrzyła na mnie z wyrzutem. – Mówię i mówię, a ty nic. W dodatku wyglądasz, jakbyś zobaczyła ducha.

– Przepraszam.

– Coś jest nie tak?

– Wszystko w porządku... – Nerwowo przełknęłam ślinę. – Po prostu... Po prostu zobaczyłam na drodze kogoś znajomego.

– Chyba musiał być bardzo znajomy, bo jesteś jakaś dziwna.

– Och...

– No dobra, ale nie o tym. Wiem już, gdzie jest ten rajd.

– Tak?

– Tak. – Pokiwała głową. – Musimy jechać przed siebie jeszcze pięć, może sześć kilometrów, a potem skręcić w prawo i znów w prawo przy jakimś drewnianym kościele. Wioska nazywa się Marmurki.

– Marmurki – powtórzyłam, nie chcąc kolejny raz wyjść na ignorantkę.

– Wiesz, gdzie to jest?

– Nie, nigdy tam nie byłam, ale spokojnie, postaram się trafić.

– Ludwik powiedział, że dojazd jest dość prosty. Swoją drogą, to chyba nieźle musieliście się wczoraj poprztykać. Wyglądał na zaskoczonego faktem, że do niego jedziemy.

– Dlaczego? Przecież mu to obiecaliśmy.

– No wiem, ale myślę, że się tego nie spodziewał. O co wam wczoraj poszło?

– Szkoda gadać, naprawdę – mruknęłam, nie chcąc wciągać jej w nasze konflikty. W każdym piśmie dla kobiet można przeczytać, że angażowanie dzieci w kłótnie między opiekunami to najgorsze, co można zrobić. Chciałam tego uniknąć. Poza tym na tylnym siedzeniu jechał z nami Marcel, który miał niewyparzoną buzię i to, co bym teraz powiedziała, mogłoby mu się wymsknąć w jakimś najmniej pożądanym przeze mnie momencie.

– No nic. – Kasia postanowiła nie drażnić. – Ale trzymam kciuki, żebyście się

pogodzili, naprawdę – zapewniła, po czym spojrzała w boczne lusterko, żeby poprawić fryzurę.

– Dzięki. – Posłałam jej uśmiech i zaczęłam wymijać jadącego przed nami rowerzystę.

– Wiesz co? – znowu odezwała się Kasia, gdy skończyłam manewr. – Nie chcę cię martwić, ale chyba widziałam już gdzieś tego gościa, który za nami jedzie. A uczeplił się nas już za Jaszczurkami, przynajmniej tak mi się wydaje.

– Tak? – Popatrzyłam na nią, starając się zachować spokój.

– No – potaknęła. – Jakiś czas temu stał pod waszą bramą chyba ze czterdzieści minut i w bezruchu wpatrywał się w wasz dom.

– Jesteś pewna, że to on?

– No głowy nie dam sobie uciąć, ale raczej nie mam wątpliwości. Rozmawiałam z nim wtedy.

– Rozmawiałaś z nim?!

– No tak, chociaż to może za dużo powiedziane. Stał przed waszą bramą i stał, więc w końcu nie wytrzymałam i do niego wyszłam. Byłam wtedy sama, bo was jak zawsze gdzieś wywiało. W pierwszym odruchu myślałam, że to Marek przyjechał, bo może czegoś zapomniał albo coś w tym stylu, ale to nie on.

– Czego chciał?

– No właśnie problem w tym, że niczego. – Kasia niespokojnie zerknęła przez ramię. – Kiedy do niego wtedy podeszłam, popatrzył na mnie jakimś takim wystraszonego wzrokiem, a potem bez słowa się zmył.

– Czemu mi o tym nie powiedziałaś?

– A bo ja wiem? Wtedy wydało mi się to po prostu dziwne, ale teraz trochę się martwię. A jak on jest jakiś chory psychicznie? Śledzenie kogoś to nie jest raczej normalne zachowanie.

– Nawet tak nie mów! – Zgromiłam ją wzrokiem.

– Więc ty też go nie znasz?

– Nie, chociaż go kojarzę.

– Skąd?

– Jechał za mną już kiedyś. Przeczepił się wtedy jak rzep psiego ogona i włókł za mną od miasteczka do Jaszczurek, zupełnie tak samo, jak teraz.

– Cholera – tym razem wyrwało się Kasi. – A jak to jakiś twój fanatyczny fan? Wiesz, nie chcę cię martwić, ale tacy ludzie mogą być naprawdę niebezpieczni. Czytałam w jakiejś psychologicznej książce, że najpierw upatrują sobie ofiarę, dajmy na to w internecie, potem...

– Kasia! – krzyknęłam na nią. – Przecież jedzie z nami dziecko! Mogłabyś zachować takie rewelacje dla siebie.

– Oj, przepraszam, po prostu...

– Tak, wiem, po prostu chciałaś mnie ostrzec – wróciłam do spokojnego

tonu. – Nie martw się, coś wymyślimy.

– Może powinnaś powiedzieć o tym Ludwikowi, co?

A w czym on mi pomoże, skoro jest wiecznie nieobecny? – pomyślałam, ale nie powiedziałam tego na głos.

– Zastanowię się nad tym – mruknęłam zamiast tego, widząc już drogę, w którą powinniśmy zjechać. – To chyba tutaj. – Włączyłam kierunkowskaz i skręciłam, a kierowca czarnego forda zaraz za mną.

– No i dalej za nami jedzie! – Kasia plasnęła dłońmi w kolana.

– Spokojnie, tam na miejscu będzie pewnie dużo ludzi.

– Nie wiem, czy to powstrzyma psychopatów przed tym, żeby krzywdzić swoje ofiary...

– Kasia! – znowu podniosłam na nią głos.

– O matko, przepraszam! – Przycisnęła dłonie do ust. – Już się nie odzywam, naprawdę!

– Po prostu mnie nie strasz. I tak jestem w stresie, nie musisz mi dokładać.

– No wiem, no wiem... Wybacz – spróbowała mnie udobruchać.

– Mamo? – wtrącił się do naszej rozmowy Marcel.

– Tak synku?

– A jaka ryba jest najkrótsza? – Wbił we mnie wyczekujące spojrzenie.

– Jaka ryba jest najkrótsza? – powtórzyłam jego pytanie, chcąc zyskać na czasie, i zerknęłam na Kasię. – A bo ja wiem... Może jakaś akwariowa? Gupik na przykład.

– E tam, głupoty gadasz, Zuzka. – Kasia odwróciła się do Marcela. – Najkrótsza jest ta ryba, która ma głowę najbliżej ogona – zachichotała, w odpowiedzi na co mój synek też głośno się roześmiał i wrócił do wpatrywania się w tablet.

– No wiesz co? – rzuciłam, gdy wróciła do poprzedniej pozycji.

– No co? W dzisiejszych czasach nie liczy się wiedza, ale inteligencja. – Wzruszyła ramionami. – O, popatrz! – Nagle wskazała ręką na wznoszący się przed nami budynek. – To chyba ten kościół, o którym mówił Ludwik.

– Rzeczywiście. – Też zerknęłam za ceglasty parkan, po czym skręciłam drugi raz w prawo, tak jak mówił Ludwik. – Teraz już tylko prosto?

– Chyba tak. – Kasia ponownie włożyła na nos okulary. – Ładnie tu. – Zaczęła rozglądać się dookoła. – Byłoby co malować.

– A jak ci idzie malowanie starego domu?

– Niedługo kończę. Mam już główny zarys, teraz szczegóły.

– To fajnie.

– Całkiem. – Kasia skinęła głową. – Która godzina?

– Jeżeli pytasz o to, czy jesteśmy spóźnione, to niestety nie rozwieję twoich wątpliwości. – Zerknęłam na zegarek zamontowany w desce rozdzielczej.

– Mam tylko nadzieję, że nie spóźnimy się na przejazd Ludwika.

– Tak, ja też. Nie chciałam tego przegapić – zdążyłam powiedzieć i nagle zamilkłam, bo nagle naszym oczom ukazał się prawdziwy (jak na wiejskie realia, oczywiście) tłum ludzi. Większość z nich stała za czerwonymi barierkami, wpatrując się w stary park, z którego dochodził wyjątkowo głośny warkot, inni gawędzili beztrąsko, ściskając w dłoniach plastikowe kubki z piwem. Niedaleko poustawiane były wielkie, czerwone parasole chroniące przed słońcem drewniane stoliki i ławki oraz znajdował się parking, nad którym górowała wielka, dmuchana zjeżdżalnia dla dzieci.

– Prawdziwa wiejska impreza – roześmiała się Kasia, gdy skręciłam, szukając wolnego miejsca parkingowego. – Wiesz, że nigdy na takiej nie byłam?

– Nic straconego, naprawdę – zapewniłam, wypatrując kawałek zieleni między dwoma czerwonymi autami. Potem zgasiłam silnik, odpięłam pas i otworzyłam drzwi, w wyniku czego uderzyła mnie głośno grająca muzyka disco-polo.

Kasia zaczęła się śmiać. Była podekscytowana, że oto doświadczy czegoś nowego, ale ja spuściłam nos na kwintę. O czym, jak o czym, ale o takich wiejskich piknikach na pewno nie mogłam powiedzieć, że je lubię. Wręcz przeciwnie – na samą myśl o proponowanych przez ich organizatorów atrakcjach zaczynałam odczuwać mdłości i ból głowy. Ale czego się nie robi dla męża, prawda? Nawet, jeżeli poprzednią noc spędził w samochodzie...

Niezadowolona wysiadłam na zewnątrz i wyjęłam z samochodu siedzącego z tyłu Marcela. Jedynym plusem całego tego diabelskiego zamieszania było to, że choć na chwilę zapomniałam o śledzącym mnie aucie. Ale gdy zaczęłam przechadzać się między podchmielonymi już ludźmi w poszukiwaniu Ludwika, moja frustracja znowu zaczynała sięgać zenitu. Muzyka disco-polo oraz wszechobecny zapach piwka i smażonej kiełbasy przyprawiły mnie o ból głowy.

Przynajmniej do czasu, aż nie nadepnęłam komuś na but.

Rozdział 30

– O, Zuzanna! – wykrzyknęła wyperfumowana Matylda Mak i razem z oparami swoich perfum rzuciła mi się na szyję. – Jak dobrze cię widzieć, kochana. – Zaczęła głośno cmokać obok moich policzków. – Zupełnie się tutaj ciebie nie spodziewałam!

– Tak, ja ciebie też. – Wysiliłam się na uśmiech, walcząc o każdy haust świeżego powietrza, i spróbowałam się od niej odsunąć.

– A to kto? – Matylda popatrzyła na stojącą obok mnie Kasię, która nadal ścisnęła rękę Marcela.

– To siostrzenica mojego męża i mój synek, Marcel.

– Miło was poznać. – Matylda posłała im przesadnie słodki uśmiech.

– Tak, panią też. – Kasia popatrzyła na mnie, robiąc wielkie oczy. – To ja może zabiorę Marcela i pójdziemy odszukać Ludwika – zaproponowała, po czym oddaliła się razem z moim dzieckiem jak najdalej od Matyldy.

– Co ty tu robisz, kochanie? – Psycholożka tymczasem wygładziła swoje idealnie ułożone włosy. Dam głowę, że przed dzisiejszym wyjściem była u fryzjera i kosmetyczki. Jej makijaż też nie pozostawiał bowiem wiele do życzenia. Prawdę mówiąc, był tak piękny, że natychmiast pożałowałam, iż nie poświęciłam choćby pięciu minut, by zrobić coś ze swoją twarzą. Spóźniłabym się zaledwie o kilka minut więcej, ale czuła o wiele lepiej.

Czasy mojej świetności jednak dawno minęły, pomyślałam, kolejny raz starając się uśmiechnąć.

– Och, przyjechałam za mężem. A ty? – Popatrzyłam na wielkie okulary przeciwsłoneczne Matyldy.

– Też tu jestem z facetem – odpowiedziała rozpromieniona.

– Jakiś nowy?

– Och, kochana! – Ujęła mnie pod rękę. – Można powiedzieć nówka sztuka.

I to mało używany!

Darowałam sobie komentarz, że mówi o nim jak o rowerze albo butach.

– No to gratuluje – starałam się być miła.

– Jest czego, słonko, oj jest! – Matylda znacząco uniosła brwi. – Powiem ci, że mój Maciuś ma tyle energii, co młody ogier.

– Chyba ci to służy, bo promieniejesz.

– Nie chcę, żeby wymienił mnie na młodszą. Zresztą. – Machnęła ręką. – Nic tak nie służy kobietom jak romans. Nowy facet daje więcej szczęścia nawet niż buty. I to czerwone lakierki na dwunastocentymetrowym obcasie! Ale chyba już ci kiedyś o tym mówiłam.

– Tak, może tak... – bąknęłam, bo wolałam nie ciągnąć tego tematu. Rozejrzałam się dookoła. Nie chciałam, by ktokolwiek słyszał te brednie. Zwłaszcza podejrzewający mnie ostatnio o zdradę Ludwik.

– No ale powiedz mi lepiej, jak się mają sprawy z tym twoim mężulkiem, co? – Matylda przyjrzała się mojej twarzy. – Lepiej się dogadujecie, odkąd zaangażowałaś się w jego pasję? Bo rozumiem, że twoja obecność tutaj świadczy o tym, że to zrobiłaś.

– Można tak powiedzieć. – Spojrzałam na swoje buty.

– Więc nadal jest źle? – Jak na dobrą obserwatorkę przystało, Matylda w mig zrozumiała ten gest.

– Czy ja wiem...

– Chcesz o tym porozmawiać?

– Może i chcę, ale wolałabym nie tutaj. – Popatrzyłam jej w oczy.

Czyżby Bóg wysłuchał moich żarliwych modłów i sam zesłał mi psychologa, skoro ja wybierałam się do niego jak czapla za morze? (A może to była sójka?)

– W takim razie przejdźmy się na spacer. – Matylda nie dała mi czasu na zastanowienie i pociągnęła mnie za rękę. – Ten park jest naprawdę piękny, a rajdowcy jeżdżą tylko po części.

– Ale Ludwik...

– Oj, Ludwik nie zajac, nie ucieknie. A w tych warunkach, jeżeli już, to najwyżej odjedzie.

– Nie, nie rozumiesz... Ja muszę koniecznie zobaczyć jego przejazd!

– Zuzka! – fuknęła na mnie. – Dobra żona daje czasem facetowi wolną rękę. Choćby dlatego, żeby poczuł się mężczyzną. Oni potrzebują czasem złudzenia, że

mają nad swoim życiem kontrolę. Nie możesz mu wiecznie matkować.

– Co?

– Poza tym teraz i tak nic nie zobaczysz. Jakiś idiota bez przygotowania do terenowej jazdy wpakował się autem na tor i utknął już na pierwszym zakręcie. Stoi w błocie po pachy, a strażacy wyciągają jego samochód. Myślę, że trochę to potrwa.

– No tak, ale Marcel i...

– Żadnego ale – ucięła moje protesty. – Idziemy i już. – Zaciśnęła rękę na moim przedramieniu jeszcze mocniej i już za chwilę spacerowałyśmy po wąskiej alejce wijącej się wśród świerków i brzoź. Matylda miała rację, mówiąc, że w tej części parku będzie znacznie ciszej. Choć z oddali nadal dolatywał do nas warkot i dudniąca muzyka, to dźwięki te były o wiele cichsze niż wcześniej.

– Więc mówisz, że twój mąż nadal cię zaniedbuje? – Matylda powróciła do wcześniejszego tematu, gdy już przeszliśmy kilkanaście metrów.

– Nie, wcale nie. – Natychmiast potrząsnęłam głową. – On raczej... – zawiesiłam głos.

Matylda popatrzyła na mnie wyczekująco.

– Och, po prostu... Po prostu podejrzewam, że Ludwik ma romans.

– Co?! – Matylda omal nie zakryła ust dłońmi.

Jej reakcja nieco mnie ośmieliła, choć wątpię, by tak właśnie powinien zachowywać się psycholog.

– W dodatku twierdzi, że to ja go mam – wyznałam.

– Nie może być! – Matylda nie kryła zdziwienia.

– A jednak.

– Cholera! A mogłam to przewidzieć, gdy mówiłaś, że twoje małżeństwo się sypie...

– Ja tak mówiłam?

– A nie? Zaniedbywanie żony przez męża to pierwszy krok do skoku w bok, kochanie! Jak nie jego efekt. Tak mi cię szkoda, koteńku. – Ze współczuciem pokręciła głową. – Ale powiedz, ta jego kochanka... Ładna jest? Nakryłaś ich?

– Nie, no coś ty! – fuknęłam niczym kotka. – Ja nawet nie wiem, czy to prawda z tym romanssem.

– Niestety, jeśli o to chodzi, raczej nie powinnaś sobie robić nadziei. Z badań CBOS wynika, że swoich partnerów zdradza około czterdzieści procent Polaków. W przypadku mężczyzn ten odsetek jest większy.

– Więc myślisz, że Ludwik naprawdę ma romans? I to dlatego wcześniej mnie zaniedbywał? – zapytałam, wiedząc, że ze statystyką nie ma żartów.

– To dość prawdopodobne. Znikał na całe dni i noce, przestał być dla ciebie miły i prawie cię nie dostrzegał, nie wykazywał zainteresowania waszym życiem erotycznym... – zaczęła wyliczać Matylda.

– A do tego jeszcze to zdjęcie. – Nagle wszystko zaczęło mi się składać w całość o wiele bardziej niż dotychczas.

– Jakie zdjęcie? – chciała wiedzieć Matylda.

– Och, Marek przysłał mi jakiś czas temu zdjęcie, na którym Ludwik bezpruderyjnie wpatruje się w dekolt jakiejś blondynki.

– Czekał, czekał, ten Marek... Ten od pocałunków?

– Tak, ten – przytaknęłam, choć zaraz potem zapiekły mnie policzki.

– A to ci pies ogrodnika! Nadal cię męczy?

– Na szczęście po naszej ostatniej rozmowie odpuścił. Odkąd przyjechał powiedzieć mi, że to on przysłał to zdjęcie, przestał mnie nachodzić.

– A szkoda, bo widać chłopak naprawdę się na ciebie nakręcił!

– Matylda! – zgaśniłam ją za te słowa.

– No co? – Zamrugnęła rzęsami, zgrywając niewiniątko. – Jeżeli twój mąż kogoś ma, to powinnaś teraz przede wszystkim pomyśleć o sobie.

– Co masz na myśli?

– Klin klinem, kochana – roześmiała się w głos.

– Wolalabym nie. Kocham swojego męża – zignorowałam jej przesadny entuzjazm.

– Pytanie tylko, czy on nadal kocha ciebie.

– Cóż... – Znowu popatrzyłam na swoje buty. – Podczas jednej z naszych ostatnich kłótni powiedział, że tak, chociaż jeżeli mam być szczerą, to odkąd zobaczyłam to zdjęcie, nie mogę pozbyć się wątpliwości. Trudno mi wierzyć w jego uczciwość, gdy ciągle mam przed oczyma obrazek, jak siedzi w kawiarni z piękną blondynką.

– Oj, Zuzka, Zuzka. – Matylda pokręciła głową ze smutkiem. – Powiem ci tak: widziałam w życiu wiele kobiet i wiele z nich przychodziło do mojego gabinetu, mówiąc dokładnie to samo, co ty. Mężowie przestawali wykazywać zainteresowanie ich życiem rodzinnym, ale te nadal żywiły nadzieję, że to tylko etap przejściowy. Po kilku miesiącach, tygodniach, a w drastycznych przypadkach nawet dniach zdecydowana większość z tych małżeństw kończyła się rozwodem. Z powodów dość oczywistych.

– Więc...

– Więc zamiast się teraz zamartwiać, to zostaw tego swojego Ludwika w cholerę i zajmij się Markiem. Nacierpisz się przy rozwodzie, więc teraz korzystaj z życia, póki możesz, wiem, co mówię. A z tego, co opowiadasz, naprawdę mu na tobie zależy.

– Ale przecież jemu nie chodzi o nic więcej poza seksem! – odważyłam się w końcu zaprotestować. Naprawdę miałam już dość tych jej kretyńskich mądrości. Nie ma się co dziwić, że ludzie nie wierzą w psychologię, skoro psychologowie tłuką klientom do głów takie głupstwa!

– A czy to źle? – Matylda popatrzyła na mnie jak na wariatkę.
– Oczywiście, że źle! – Energicznie machnąłem zdrową ręką. – Mi nie chodzi tylko o seks, nie rozumiesz?
– Więc o co?
– O miłość i wierność! Pal licha puste łóżko, jakoś to przełknę.
– No to chyba nie powinno ci przeszkadzać, że twój mąż sypia z inną, prawda? Przecież nadal wraca do ciebie na obiady.
– Jezu! – syknęłam, powoli tracąc do tej kobiety cierpliwość.
– Oj spokojnie, kochanie, spokojnie. – Matylda pogładziła mnie po ręce. – W końcu przejrysz na oczy, będzie dobrze.
– Nie chcę być spokojna! – Wyrwałam jej się, nie mogąc już tego słuchać. – Poza tym to wszystko przez ciebie!
– Przeze mnie? – zdziwiła się moim wybuchem.
– Tak! Gdybyś na tym przekłętym spotkaniu autorskim nie wmówiła mi, że coś jest z moim małżeństwem nie tak, nie miałabym teraz połowy problemów, z którymi muszę się zmagać!
– Ale przecież to ty sama zaczęłaś opowiadać, że brakuje ci w twojej codzienności wsparcia ze strony Ludwika.
– Nie uświadomiłabym sobie tego, gdyby nie twoja dociekliwość i pytania!
– Więc wolałabyś pozostać ślepa na problemy w swoim związku i dalej żyć, łudząc się, że wszystko jest dobrze?
– Może i bym wolała!
– Nie chcę cię martwić, ale powiedzenie „czego oczy nie widzą, tego sercu nie żal” nie ma żadnego odzwierciedlenia w rzeczywistości.
– I co z tego?! – nie wytrzymałam i nie zważając na mijających nas ludzi, zaczęłam krzyczeć na nią jeszcze głośniejsze. – Może gdybym wtedy nie wymyśliła sobie, że coś jest z Ludwikiem nie tak, żylibyśmy dalej szczęśliwie i spokojnie.
– Bredzisz, Zuzka, naprawdę bredzisz. – Matylda pokręciła głową. – I proszę cię, przestań krzyczeć. Szanuję prawo każdego człowieka do wyrażania jego indywidualnych reakcji emocjonalnych w wybrany przez niego sposób, ale naprawdę mogłabyś być ciszej, skoro rozmawiamy w miejscu publicznym.
Na dźwięk jej słów aż się wzdrygnęłam. Rzeczywiście, mogłabym się trochę opanować, a nie robić z siebie pośmiewisko, pomyślałam, rozglądając się dookoła. I właśnie wtedy mój wzrok padł na stojącego niedaleko kierowcę z czarnego forda.
– Cholera jasna, jeszcze ten! – Bezradnie zacisnęłam dłonie w pięści, hamując nieco swoją furię.
– Co ten? – Matylda nie wiedziała, o co mi chodzi.
– Nieważne. – Nie zamierzałam niczego jej tłumaczyć. Powiedziała dzisiaj już dość, nie miałam ochoty dłużej słuchać jej wywodów. – Muszę już iść, wybacz – rzuciłam więc tylko, starając się nie nawiązywać z ubranym na czarno gościem

żadnego kontaktu.

Potem zostawiłam w tyle oszołomioną Matyldę i pognałam przed siebie ile sił, by odnaleźć Kasię, Marcela i Ludwika. Przecież nie wiadomo, komu z nas ten gość chce zrobić krzywdę. Musiałam ich ostrzec.

Pędziłam więc przed siebie, nie zwracając uwagi na nikogo i na nic. Osłaniając swój przybrudzony już gips, parlałam przez ożywiony tłum, starając się nie potknąć o nic i nie przewrócić, a kierowca forda podążał za mną. Serce biło mi jak szalone, mój oddech z chwili na chwilę stawał się coraz płytszy, a nogi miałam jak z waty.

– Przepraszam, przepraszam – krzyczałam do torujących mi drogę ludzi, którzy, nieświadomi mojego nieszczęścia, stali jak kołki, popijając piwo.

– Wariatka! – rzucił do mnie jeden z mężczyzn, którego odepchnęłam łokciem, ale nie zwróciłam na jego słowa najmniejszej uwagi i jeszcze bardziej przyspieszyłam kroku. Liczyła się teraz dla mnie tylko moja rodzina i jej bezpieczeństwo.

– Marcel! – Przy jednej z barierek wypatrzyłam w końcu znajomą koszulkę i pognałam w jej kierunku.

– Mama! – ucieszył się na mój widok.

– Zuzka? – zdziwiła się natomiast Kasia. – Co ci jest? – Zlustrowała moje rozgrzane policzki.

– Nic, nic. – Złapałam dłonią barierkę i wysiliłam się na uśmiech, nie chcąc niepokoić Marcela. Kątem oka zarejestrowałam jednak, że kierowca forda również się zatrzymał, choć we względnie bezpiecznej odległości.

– Chodzi o tego gościa? – wystraszyła się Kasia.

W odpowiedzi tylko skinęłam głową.

– Jest tu? – zapytała z przejęciem.

– Tak, ale wygląda na to, że chodzi jedynie za mną.

– Cholera... Co robimy? Mam wezwać policję? A może ochronę, co? Na takiej imprezie na pewno jest jakaś ochrona. Może oni by nam pomogli?

– Wątpię. – Znow niedyskretnie obejrzałam się za siebie. – To nie jest Warszawa.

– Wobec tego dzwonię na 997.

– Nie. – Złapałam ją za rękę, nim zdążyła wyciągnąć z torebki telefon. – Zanim dojedzie tutaj policja, upłynie milion lat świetlnych. A drugi zanim nas w tym tłumie znajdzie.

– No to chcesz tak po prostu stać tutaj i czekać? – Kasia nachyliła się do mnie, niedowierzając. – A jak ten gość naprawdę jest niebezpieczny? Wiem, że to wieś i w ogóle, nie chcę cię też straszyć, ale makabry dzieją się wszędzie!

– Kasia!

– A ten gość naprawdę nie wygląda na miłego.

– Wiem. I nie zamierzam stać bezczynnie.
– Szukamy Ludwika?
– Ty i Marcel owszem.
– A ty? – Kasia spojrzała mi w oczy z niepokojem.
– A ja odciągnę tego gościa jak najdalej od was.
– Ale Zuzka! Jeżeli on zrobi ci krzywdę?
– To trudno, najwyżej robi. Teraz najważniejsze, żeby nic nie stało się dziecku. – Zerknęłam na wpatrującego się w park Marcela, który zaciskał rączki na barierce i wyteżał wzrok. Widać w obliczu niebezpieczeństwa jeszcze bardziej załączył mi się instynkt matki.
– To szlachetne, i owszem, ale nie wiem, czy bezpieczne i racjonalne. Może lepiej powinnaś poczekać tu na Ludwika? Może on coś wymyśli? – upierała się Kasia.
– Nie chcę psuć mu dnia. Długo czekał na ten rajd i sama wiesz, że bardzo mu na nim zależało.
– Ale, do cholery, jest twoim mężem! Myślisz, że jakieś auto jest dla niego ważniejsze niż życie i zdrowie żony? Pokłóciliście się, okej, ale to przecież Ludwik!
– Wiem – weszłam jej w słowo. – I dlatego najlepiej będzie, jeżeli teraz odejdę.
– Ty chyba nie mówisz poważnie. – Kasia znów spojrzała na mnie jak na wariatkę.
– Jak najbardziej poważnie – rozwiąłam jej wątpliwości, po czym zrobiłam krok w przód.
– Ale Zuzka! – Złapała mnie za rękę.
– Zajmij się Marcelem i znajdźcie Ludwika. Nie martw się o mnie – rzuciłam rycersko.
– Jak mam się o ciebie nie martwić! – Na jej twarzy malowało się prawdziwe przerażenie. – To, co chcesz zrobić, jest głupie!
– Albo rozsądne, jak zwał, tak zwał.
– Nie baw się w męczennicę. Nie musisz!
– Czasami trzeba. – Wyrwałam jej rękę.
– Zuzka, proszę cię! – znowu pisnęła. – A jak naprawdę stanie ci się krzywda? To nie jest śmieszne!
– Znajdźcie Ludwika – poleciłam jeszcze i ignorując jej dalsze protesty, ruszyłam do przodu, przeciskając się między kolejnymi ludźmi.
Raz kozie śmierć, najwyżej coś mi się stanie. Najważniejsze, że Ludwik, Marcel i Kasia będą bezpieczni, pomyślałam, kątem oka rejestrując, jak mężczyzna w czerni zaczyna kroczyć za mną...

Rozdział 31

– Beata?! – rzuciłam drżącym głosem w stronę leżącej na desce rozdzielczej komórki, w której kilka chwil temu włączyłam tryb głośnomówiący. Właśnie zdążyłam wyjechać z parkingu i kierowałam się ku kościołowi, jadąc polną drogą około czterdzieści na godzinę. Kierowca czarnego forda oczywiście za mną.

– To ty Zuzka? – usłyszałam głos przyjaciółki. – Jakoś słabo cię słyszę.

– Bo jadę samochodem i mam włączony tryb głośnomówiący – wyjaśniłam.

– Wobec tego rozumiem, że to pilne, skoro nie możesz poczekać z rozmową, dopóki się nie zatrzymasz?

– Można tak powiedzieć. – Zerknęłam w lusterko na faceta w czerni. – Znowu mam ogon.

– Co masz? – Beata chyba nie dosłyszała.

– OGON! – powtórzyłam głośniejszym głosem.

– Boże, Zuzka, jaki ogon? Czy ty jesteś pijana? I w dodatku prowadzisz auto?!

Wywróciłam oczami, nie chcąc wdawać się z nią w głupie dyskusje.

– Znowu mnie śledzi ten czarny – wytłumaczyłam jej jak krowie na rowie.

– O cholera – zakląła pod nosem.

– No właśnie. – Skreśliłam, wyjeżdżając na asfalt.

– Jedziesz sama?

– Tak.

– No masz! W takim razie pod żadnym pozorem się nie zatrzymuj! Jak

chcesz, to zadzwonię na policję.

– Czy wyście wszyscy powariowali z tą policją?! – uniosłam głos, starając się skupić na drodze.

– Jacy wszyscy?

– Kasia też przed chwilą chciała ją wzywać.

– A ona z jakiej okazji?

– Z tej samej, co ty – wyjaśniłam zwięźle. – Na szczęście zostawiłam ją z Marcelem na tym rajdzie i kazałam odnaleźć Ludwika – mruknęłam, po czym opowiedziałam Beacie krótko, w jakiej dokładnie znajduję się sytuacji.

– Ale dokąd ty właściwie teraz jedziesz? – zapytała, gdy skończyłam mówić.

– Na razie przed siebie.

– A docelowo?

– Chyba wrócę do domu.

– A może lepiej przyjedź do mnie? Co będzie, jak ten gość zechce cię dopaść na własnym podwórku?

– A co będzie, jeżeli zechce mnie dopaść u ciebie? – odpowiedziałam, parodiując jej pytanie. – Nie panikuj, mam plan.

– Bogu dzięki – odetchnęła z ulgą. – Co wymyśliłaś?

– Zaraz zadzwonię do Teodora i Jurka. Poproszę ich, żeby po mnie wyszli.

W ostateczności mogę też zwrócić się o to do sąsiada.

– Myślisz, że ten gość z forda wystraszy się takiego komitetu powitalnego?

– Tak właśnie myślę.

– A jeżeli ma broń?

– Beata, nie wymyślaj. Gdyby miał broń, to pewnie już by jej użył.

– A jak nie?

– A jak nie, to nie wiem, ale proszę cię, nie panikuj – zgańłam ją za to czarnowidztwo. – Wystarczy, że ja dygocę ze strachu – wyznałam, bo fakt był taki, że choć zgrywałam twardzielkę, to cała niemal się trzęsłam. W głowie miałam natomiast prawdziwy natłok myśli, z których prym wiodły te związane z żegnaniem się ze światem.

– Dobrze, już nie będę – zgodziła się pokornie Beata. – To co, rozłączasz się i dzwonisz do Anki?

– Najpierw zadzwonię do Teodora – odpowiedziałam. Prawdę mówiąc, pomimo chwilowego ograniczenia w postaci gipsu, był pierwszą osobą, która przyszła mi do głowy, gdy zaczęłam myśleć o ludziach mogących przyjść mi z pomocą.

– Jak chcesz. Wobec tego ja do twojej siostry, żeby było szybciej.

– Dzięki.

– Chcesz, żebym też się tam zjawiła? Wiesz, jak potrzebujesz większej liczby osób, to zaraz zmobilizuję Darka i ruszamy.

– Nie trzeba. Mam nadzieję, że dwoje rosyłch facetów wystarczy. Chyba, że ten koleś to samobójca, w co wątpię.

– Okej. Wobec tego za parę minut zadzwonię jeszcze raz i dam ci znać, co działałam – oznajmiła Beata, po czym się rozłączyła.

Ja pochylałam się więc do przodu, żeby sięgnąć po telefon i uważając, by nie stracić panowania nad kierownicą, wybrałam numer Teodora, a potem ponownie włączyłam tryb głośnomówiący.

– Tak? – Teodor odebrał już po pierwszym sygnale.

– Cześć – rzuciłam.

– Cześć – po tonie jego głosu wyczułam, że się uśmiechnął. – Dobrze cię słyszeć.

– Ciebie również. Co robisz?

– Siedzę i myślę o tobie.

– A tak serio? – Na moje usta też wypłynął uśmiech.

– Czytam.

– Od razu czułam, że ściemniasz. A mógłbyś na chwilę oderwać się od książki? Potrzebuję twojej pomocy.

– Znowu masz problem z natrętnym wielbicielem?

– Trafiłeś w sedno, chociaż nie sądzę, żeby to był mój wielbiciel.

– O kurczę, a więc to rzeczywiście grubsza sprawa. – Teodor natychmiast stał się poważny.

– Być może. Prawdę mówiąc, trochę się boję.

– Gdzie jesteś i jak mogę ci pomóc?

Pospiesznie powiedziałam mu to, co przed chwilą Beacie, a on, jak na dzentelmena przystało, zgodził się pomóc.

– Nie bój się, mała – powiedział na do widzenia. – Będę tam na ciebie czekał i nie dam cię skrzywdzić – zapewnił, a mi momentalnie zrobiło się cieplej na sercu. Komu jak komu, ale jemu nie mogłam nie wierzyć. Mimo zdenerwowania wcisnęłam pedał gazu mocniej, a potem kolejny już raz spojrzałam przez ramię. Kierowca czarnego forda nadal uparcie za mną jechał, ale patrząc na niego, bałam się trochę mniej.

Teodor zawsze gotów był mnie chronić – kilka razy powtórzyłam w myślach.

A ja zawsze gotowa będę chronić swoje dziecko i męża. Mimo wszystko.

Rozdział 32

Jechałam do Jaszczurek z duszą na ramieniu, ale gdy tylko zobaczyłam na chodniku przed swoją otwartą bramą Teodora i Jurka, odetchnęłam z ulgą. Co prawda kierowca czarnego forda nadal za mną jechał, ale w tym momencie przestało to mieć większe znaczenie. Jednak w rodzinie jest siła, pomyślałam, włączając kierunkowskaz, po czym wykonałam zdecydowany skręt i znalazłam się na swoim podwórku. W przeciwieństwie do kierowcy forda, który zwolnił, przekręcając głowę, omal nie skręcając sobie karku. Jednak pojechał dalej.

– Zuza! – Teodor szybko podszedł do mnie, gdy tylko wyłączyłam silnik. – Wszystko w porządku?! – Energicznie otworzył drzwi.

– Tak. Chyba tak. – Popatrzyłam na niego nieco oszołomiona, po czym wygramoliłam się z auta, rzucając prosto w jego ramiona.

– A to dziad, cholera jasna! – krzyknął natomiast Jurek. – Pojechał! A już byłem gotowy mu natłuc!

Pomimo miękkich ze zdenerwowania nóg uśmiechnęłam się do niego z czułością.

– Najważniejsze, że nic ci nie jest. – Teodor pogłaskał mnie po głowie. – A tym gościem zajmiemy się później.

– Oczywiście, że się zajmiemy! – nie przestawał emocjonować się Jurek. – Co to w ogóle ma być, żeby straszyć Bogu ducha winną kobietę!

– Jesteście najlepsi, naprawdę. – Czując bijącą od nich siłę, aż się wzruszyłam. – Nie wiem, co bym bez was zrobiła.

– Zapraszam teraz do nas na herbatkę. – Jurek podszedł bliżej. – Ania z mamą wychodziły z siebie po telefonie Beaty. Musisz im wszystko wyjaśnić, bo o ile ta pierwsza zachowała zdrowy rozsądek, ta druga zanosi się łzami, lamentując, że nie przeżyje śmierci własnej córki, tym bardziej że niedługo sama ma umierać.

– Cała mamusia! – Mimo powoli schodzącego ze mnie stresu parsknęłam śmiechem.

– Także zapraszam, zapraszam. – Jurek wykonał znaczący gest ręką w stronę swojego domu.

– To może za chwilę. Powinam chyba najpierw zadzwonić do Beaty i powiedzieć jej, że wszystko jest w porządku. – Sięgnęłam do samochodu po telefon. – Pewnie miała pietra tak samo, jak ja.

– Rzeczywiście, gdy do mnie dzwoniła, nie brzmiała na spokojną.

– W takim razie idźcie, a ja zaraz was dogonię.

– Na pewno? – zapytał Jurek.

– Na pewno, na pewno. – Machnęłam na niego ręką. – Przecież na własnym podwórku nic mi się nie stanie, prawda?

– Okej, w takim razie pójdę wstawić wodę – zaproponował usłużnie.

– A ja mimo wszystko tu z tobą zostanę – zdecydował Teodor. – Nie wiadomo, co temu szaleńcowi może strzelić do głowy. Nie ufam takim ludziom jak on.

– Teo... – Popatrzyłam na niego wymownie.

– Zostanę. – Był jednak nieugięty. – Stanę sobie o tam. – Wskazał ręką na jedno z drzewek przy siatce. – A ty tu sobie spokojnie rozmawiaj – dokończył wspaniałomyślnie, po czym odsunął się w wybrane miejsce.

Nie chcąc z nim dyskutować, tylko pokręciłam głową.

– No nic – mruknęłam sama do siebie i w końcu wybrałam numer Beaty. Nim jednak usłyszałam jej głos, mój wzrok padł na drobną postać kręcącą się przy ławce w głębi mojego podwórka. Widocznie przez to całe zamieszanie wcześniej jej nie dostrzegłam.

– Halo?! – Gdy mrużyłam oczy, wyęzając wzrok, by rozpoznać tę tajemniczą kobietę, odezwała się w końcu Beata. – Boże, Zuzka, nic ci nie jest? Jesteś cała? Wszystko w porządku?! – zarzuciła mnie gradem pytań.

– Tak, jest dobrze. – Pokiwałam głową, robiąc dwa kroki w stronę tajemniczej kobiety. Stała tyłem, przez co nie mogłam jej rozpoznać.

– Teodor z Jurkiem obili mu ten przebrzydły pysk?

– Nie zdążyli. Gość na ich widok tylko zwolnił i pojechał.

– A taki niby odważny! Niech ja go tylko dorwę!

– Beata – zganiłam ją, nie spuszczać wzroku z kontemplującej mój ogród kobiety.

– No co? – zdziwiła się moją reakcją. – Należy mu się! Nie będzie cię żaden

palant bezkarnie śledził i straszył!

– Tak, pewnie masz rację – mruknęłam nieco nieobecny tonem, co natychmiast wyczuła.

– Jesteś jakaś dziwna – stwierdziła, przestając być agresywna.

– To pewnie przez stres.

– Może. Ale na pewno wszystko w porządku? – nie dała się zbyć.

– Tak, sto razy tak – zapewniłam, nadal przesuając się w stronę tajemniczej kobiety.

Może to Ludmiła? Zdenerwowała się, że nie chcemy oddać jej córki, i przyjechała tu, żeby ją zabrać? – pomyślałam, robiąc kolejny krok.

– No nie wiem – trajkotała natomiast przez telefon Beata. – Jak dla mnie jesteś jakaś przymglona i osłupiała. Brałaś w tych nerwach coś na uspokojenie? Gadasz jakoś dziwnie.

– Nic nie brałam, bo i skąd. – Zachybotalam się na jakimś większym kamyczku dokładnie w momencie, w którym kobieta odwróciła się do mnie, i ujrzałam jej skąpaną w słońcu twarz. – O cholera! – zakląłam do telefonu.

– Co znowu?! Dopadł cię?! Jest tam, tak?!

– Kto? – zapytałam, nie mogąc oderwać wzroku od lśniących w słońcu blond włosów.

– No ten z forda!

– Nie, no coś ty...

– Boże, Zuzka, wal go czym popadnie! Po prostu go wal! Jak to w samoobronie, to możesz go nawet zatłuc! – wrzeszczała Beata.

– Wiesz co, muszę kończyć. – Im dłużej wpatrywałam się w stojącą przede mną blondynkę, tym bardziej brakowało mi sił. Mój żołądek zaciskał się i kurczył, a serce biło jak oszalałe, w wyniku czego aż zapierało mi dech.

– Ale Zuzka! – przejęła się Beata.

– Zdzwonimy się później – rzuciłam do niej mało przytomnie, po czym opuściłam rękę z telefonem i podeszłam do wpatrującego się we mnie gościa.

Kobieta miała na sobie zwiewną, szarą sukienkę i szpilki w tym samym kolorze. Na jej ramieniu wisiała torebka, a w jej uszach tkwiły drobne, złote kulki. Teraz nie miałam nawet najmniejszych wątpliwości, że ona to ona. W dodatku, gdy tylko to do mnie dotarło, natychmiast upadła teza, że Ludwik jest mi wierny, i zaczął rozpadać się mój świat.

– Co pani tu robi? – rzuciłam, nie siląc się na uprzejmość.

– Och, dzień dobry. – Wyciągnęła do mnie rękę. – Czekam tutaj. I z tego co mi się wydaje, to chyba na panią – odpowiedziała przesadnie miłym tonem. Była naprawdę piękna, co jeszcze bardziej wpędzało mnie w furję. – Zuzanna, tak? – zapytała, gdy podałam jej rękę.

Zdziwiona jej reakcją jedynie pokiwałam głową. Co ona tu, do cholery,

robi?! I dlaczego chce się ze mną zaprzyjaźniać po tym wszystkim, co przez nią przeszłam?! Jeżeli przyszła, żeby oznajmić mi, że zabiera mojego męża, żeby wieść z nim nowe, szczęśliwe życie, to głowę daję, że zaraz rzucę się na nią i zabiję!

– Renata Kosińska – przedstawiła się grzecznie, widać nie dostrzegając gotującej się we mnie złości. – Miło panią poznać.

– Miło?! – Zrobiłam wielkie oczy. No tego to już chyba za wiele!

– Tak, ostatnimi czasy dużo o pani słyszałam.

– Doprawdy?! – Omal nie zakręciło mi się w głowie. Więc ten prostak, mój mąż, jeszcze jej o mnie opowiadał, tak?! O swojej grubej, zapuszczonej żonie, która pokornie czeka na niego z obiadkiem, podczas gdy on uprawia z nią dzikie harce i...

– Może usiądziemy, żeby móc spokojnie porozmawiać? – zaproponowała blondynka, jak gdyby była u siebie.

– Wybacz pani, ale nie wiem, czy mamy o czym.

– To również obilo mi się o uszy.

– Słucham?! – No wybaczcie, ale niedowierzałam.

– Podobno niechętnie podchodzi pani do takich związków.

– Niechętnie? To chyba za mało powiedziane. – Uszami niemal nie zaczęła buchać mi para.

– Ale dlaczego? Przecież to nic złego.

– Nie wiem, jakie ma pani wpojone wartości, ale dla mnie małżeństwo to świętość!

– Oczywiście, dla mnie też, jak najbardziej – zapewniła gorliwie. – Bardzo chciałabym wziąć ślub. I to najlepiej w niedalekiej przyszłości.

– Czyżby? – Z chwili na chwilę coraz dalej było mi do uprzejmości. Miałam ochotę dać tej babie po twarzy i wyrzucić ją stąd jak najszybciej. Jak ona śmiała, franca perfidna, przychodzić tutaj i jeszcze opowiadać mi o małżeństwie?! Cholera wie, co Ludwik jej naobiecował, ale czy ja wyglądam na kogoś, kto ma ochotę wysłuchiwać tych bredni?! Przecież jestem jego żoną! Zdradzaną i poniewieraną, to prawda, ale na tę chwilę jeszcze nie byłam, lecz ślubną!

– Wie pani, no zegar biologiczny tyka, niestety.

– Więc chce pani mieć dziecko? – Omal nie zemdlałam po usłyszeniu tej informacji. Przecież to MNIE, MNIE to obiecywał! I to jeszcze niedawno!

– Dobrze by było. – Blondynka pokiwała głową. Najwidoczniej była nieświadoma tego, co się właśnie ze mną dzieje.

Zakręciło mi się w głowie i musiałam przytrzymać się drzewa, żeby nie upaść.

– Wszystko dobrze? – doskoczyła do mnie, wystraszona.

– Proszę mnie nie dotykać! – wrzasnęłam jak poparzona, ściągając tym

samym na siebie uwagę Teodora.

– Zuzka?! – zapytał zaniepokojony. – Coś nie tak?

– Wszystko jest nie tak! – wrzasnęłam, wybuchając płaczem. – Całe moje pieprzone życie jest nie tak! – Zaczęłam drżeć z emocji niczym epilepticzka.

Zaskoczony moją reakcją Teodor podbiegł do mnie natychmiast.

– Zuzka. – Ujął moją ociekającą łzami twarz w swoje dłonie. – Co się dzieje? Chcesz usiąść? A może potrzebujesz wody?

– Niczego nie chcę! – załkałam rozpaczliwie. – Niczego! Po prostu nie chcę już żyć. – Rzuciłam mu się w ramiona i właśnie w takiej pozycji zastała nas pojawiająca się nagle Ania.

– O, widzę, że już się poznałyście – rzuciła lekkim tonem jak gdyby nigdy nic, nim dostrzegła, że jestem w totalnej rozsypce. – O matko kochana! – Na mój widok przyłożyła dłonie do ust. – Zuzka. – Odgarnęła mokre pasmo włosów z mojego policzka. – Dlaczego płaczesz?

– Dlaczego? – załkałam, prawie nie mogąc złapać tchu. – Przez tą tutaj.

– Przez Renatę?

– I jeszcze w dodatku ją znasz! – zaszlochałam jeszcze głośniej.

– Cichutko. – Teodor pogładził mnie po plecach.

– No pewnie, że ją znam. – Anka była moją reakcją jakoś dziwnie niewzruszona. – I z tego, co mi wiadomo, Teodor też.

– Tak? – Teodor odwrócił głowę.

– No tak, to Renata Kosińska – wyjaśniła mu Anka.

– Naprawdę?! Renia, to ty?! – ucieszył się, nie wypuszczając mnie z objęć, i zaczął bacznie przyglądać się zdezorientowanej kobiecie.

– Więc oboje ją znacie?! – Na dźwięk radości w jego głosie oderwałam się od jego piersi i stanęłam bezradnie niczym największa sierota.

– Ale co ty tu robisz?! – Teodor natomiast nie mógł oderwać wzroku od Renaty.

– Przyszłam...

– Przyszła mi powiedzieć, że ma romans z moim mężem! – Zawylałam niczym wilk do księżycy, czując, że znowu jestem bliska omdlenia. – Toż to honoru trzeba nie mieć! I serca!

– Co?! – Cała trójka zastygła w bezruchu zdziwiona tym moim wybuchem.

– No właśnie to, to! – Bezradnie popatrzyłam na Ankę. – To ta ze zdjęcia. Bezwstydna! – Nie mogłam przestać płakać.

– Ale co ty mówisz, Zuzka?! – Anka nie mogła w to uwierzyć. – Renata?! – Odwróciła się do blondynki.

– Nie bardzo rozumiem, o co chodzi. – Ta wzruszyła ramionami.

– Spotykasz się z mężem Zuzanny? – zapytał ją Teodor.

– A skąd! Ja nawet nie wiem, jak on wygląda! – zaprotestowała. Widać

naprawdę nie miała za grosz honoru.

– Nie kłam! – Machnęłam palcem w jej stronę. – Widziałam was! Widziałam na zdjęciu.

– Zuzka... – Anka z zakłopotaniem pokręciła głową. – Ale jesteś pewna?!

– Może i jestem głupia i można mi mydlić oczy, ale przecież nie ślepa!

– Kurczę...

– Nie chciałabym być nieuprzejma, ale naprawdę nie wiem, o co tu chodzi. – Renata miała powoli dość tego całego zamieszania i z niecierpliwością przestąpiła z nogi na nogę.

– Musimy to wszystko wyjaśnić – zdecydowała Anka, i ignorując moje żarliwe protesty, usadziła nas przy stole. – Więc twierdzisz – najpierw zwróciła się do mnie – że Renata ma romans z twoim mężem, tak?

– No tak. – Pociągnęłam nosem, tuląc się do ramienia Teodora, który po męsku mnie do siebie przygarnął. – Mówiłam ci przecież o zdjęciu.

– A ty, Renato, twierdzisz, że nie znasz męża Zuzanny?

– No skąd! Nie wiem, o kogo chodzi.

– Jeszcze się tego perfidnie wypiera! – zapłakałam.

– Spokojnie. – Teodor pogłodził mnie uspokajająco po ręce.

– Jak ja mam być spokojna, skoro ta tutaj właśnie rozbija mi rodzinę? – zaszlochałam głośno.

– Nie płacz, Zuzka. – Teodor znowu mnie pogłaskał. – Mnie się wydaje, że to jakieś wielkie nieporozumienie. Znam Renatę i to bardzo porządna kobieta. Jedna z porządniejszych, jaką kiedykolwiek spotkałem.

– No właśnie – przytaknęła mu Anka.

– Wszyscy przeciwko mnie! – zawylałam.

– Jeżeli mogłabym dodać coś od siebie, to chciałabym zapewnić, że nie wdaję się w romanse – cichym głosem odezwała się Renata. – Zwłaszcza z żonatymi mężczyznami.

– Nie? – zapłakałam, nie chcąc wyjść na jędzę. Nie uszło mojej uwadze, że Teodor posłał jej uśmiech. – To co pani tu robi? – zmusiłam się do tego, by się od niego oderwać, i wyprostowałam plecy.

– Przyjechałam, bo zaprosiła mnie Anka.

– Ty? – Zerknęłam na moją siostrę. – Skąd ją znasz?

– Och, to koleżanka znajomej. Ale Lidka zapewniła mnie, że bardzo porządna.

– Po coś ją tu zaprosiła?

– Jakby ci to powiedzieć, Zuzka... – zaczęła się plątać Anka.

– To może ja powiem. – Renata zaproponowała rycersko. – Zjawiłam się, bo Lidka powiedziała mi, że mieszka u was Teodor.

– Ja? – Teodor skrzyżował ręce na piersi.

– Więc to kolejna kandydatka? – Popatrzyłam na Anię.
– Coś w tym stylu – mruknęła. – Oni się znają.
– No właśnie! – teraz zwróciłam się do Teodora. – Skąd?
– Służyliśmy z Renatą na jednej misji.
– Co?! – Obie z Anką zrobiłyśmy wielkie oczy.
– To prawda – przytaknęła blondynka. – Teo był żołnierzem, a ja psychologiem. Udzielałam na misji wsparcia psychologicznego. Poznaliśmy się na wyjeździe, z tym, że on wrócił wcześniej.
– Kontuzja. – Pokiwałam głową.
– Tak. – Teodor zerknął na mnie, ale potem natychmiast odwrócił się do Renaty. – Nie miałem pojęcia, że jesteś w Polsce. Na długo wróciłaś?
– Chyba na stałe.
– Jak to?
– Dość już się nasłużyłam dla kraju. Pora się ustatkować. Każdy prędzej czy później zaczyna marzyć o stabilizacji.
– Ale dlaczego po powrocie się nie odezwałaś?
– Nie wiedziałam, że chcesz, żebym to zrobiła. Niektórzy po powrocie odcinają się od... Od tego wszystkiego.
– No tak, masz rację. – Teodor wydawał się być w kontakcie z nią wyjątkowo łagodny. – Ale teraz jesteś.
– Teraz jestem. – Renata spojrzała mu w oczy, a mój wzrok spotkał się z wymownym spojrzeniem Anki.
– Cóż... – mruknęłam, doskonale rozumiejąc, że chce mi tym samym przekazać, iż powinnyśmy zostawić ich samych. – No to bardzo się cieszę, że Ludwik nie ma żadnego romansu – bąknęłam, przesuwając zdrową dłoń po udzie.
– Ale czy mogłaby mi pani wobec tego powiedzieć – zwróciłam się do Renaty – co robiła w kawiarni w miasteczku z moim mężem? – zdążyłam tylko zapytać, bo na podwórko wpadł nie kto inny, jak właśnie Ludwik.

Rozdział 33

– Zuzka! – krzyczał mój ślubny, lecąc przez podwórko w swoich kraciastych gaciach, a za nim pędziła pobladła Kasia i zziajany Marcel. – Zuzka, nic ci nie jest?! – darł się na całe gardło, jakby go co najmniej obdzierali ze skóry.

– Tu jestem, nie krzycz! – wrzasnęłam do niego, wychodząc z altanki.

– Zuzka! – wydyszał, podbiegając do mnie. – Nic ci nie jest! – ogłosił z niedowierzaniem i ulgą jednocześnie.

– Nic mi nie jest – na wszelki wypadek postanowiłam go w tym upewnić, bo wyglądał na bardzo wystraszonego. – A co miałyby mi być?

– Kasia mi mówiła o jakimś czarnym gościu, który chce ci zrobić krzywdę i...

– No wiesz ty co?! – zwróciłam się do Kasi. – Miałaś mu nic nie mówić. – Popatrzyłam na nią z pretensją.

– No wiem, ale tak się o ciebie bałam...

– Zuzka, ale czy na pewno wszystko dobrze? – Ludwik lustrował mnie wzrokiem.

– No przecież mówię, że tak.

– Tak się o ciebie martwiłem!

– Niepotrzebnie.

– No! – zawtórował mu Marcel. – Tata jechał prawie sto sześćdziesiąt! – oświadczył z dumą.

– Ile?!

– Głupoty gada, nie słuchaj. – Ludwik machnął na małego ręką. – Najważniejsze, że nic ci nie jest. – Zrobił wypad w przód, jakby chciał wziąć mnie w ramiona, ale w porę się cofnęłam.

– Swoją drogą, to co ty tu robisz? – Zamrugałam rzęsami. – A rajd?

– Daj spokój z tym rajdem, Zuzka.

– No ale przecież bardzo ci zależało na tym przejeździe!

– Nie ma o czym mówić.

– Ależ jest! – upierałam się. – Chciałam, żebyś był szczęśliwy. Żebyś miał frajdę!

– I to było dla ciebie ważniejsze od twojego bezpieczeństwa? Dlatego nie zwróciłaś się do mnie o pomoc?

– Ty paplo! – Na dźwięk jego słów złowieszczo zerknęłam na Kasię.

– Nie krzycz na nią, chciała dobrze – stanął w jej obronie Ludwik.

– Przecież poradziłabym sobie bez ciebie. Nie musiałeś tu wracać. Teraz będę się czuła winna.

– Zuzka, na litość boską! – Ludwik rozłożył ręce. – Co ty bredzisz? Przecież jesteśmy małżeństwem. Myślisz, że jakiś tam rajd jest dla mnie ważniejszy od żony? Naprawdę?!

– Ja... – bąknęłam, spuszczać wzrok na swoje nogi.

– Przecież od razu rzuciłbym wszystko, żeby ci pomóc!

– Wiem i dlatego nie chciałam cię niepokoić. Tylko dzięki tej tutaj – znowu wskazałam na Kasię – i tak mi to nie wyszło.

– Przecież już powiedziałem, że szkoda o tym gadać.

– Ale przeze mnie straciłeś swój przejazd.

– No nie wytrzymam. – Ludwik wywrócił oczami. – I tak nie było żadnego przejazdu – wypalił w końcu.

– Nie? – Zrobiłam zdziwioną minę.

– No nie, bo jako jedyny utknąłem autem w błocie i strażacy musieli mnie wyciągać.

– Ale jak to?

– Po prostu miałem gówniane opony i... Zresztą nieważne. Jak widzisz, pomoc mojej małżonce i tak finalnie uratowała mnie przed dalszym robieniem z siebie pośmiewiska. Szkoda tylko, że dowiaduję się o twoich problemach od Kasi, a nie od ciebie.

– Nie chciałam...

– Tak, wiem, nie chciałaś mnie niepokoić. Ostatnio w ogóle odnoszę wrażenie, że prawie nie rozmawiamy. A jeżeli już, to jest to kłótnia – zamilkł na chwilę. – Co się z nami stało, Zuzka? – zapytał, patrząc mi w oczy, ale nim zdołałam choćby otworzyć usta, by mu odpowiedzieć, mój wzrok padł na kręcącego się przy naszej furtce faceta w czerni. – Cholera! – zakląłam, czując, że

z twarzy odpływa mi krew.

– Co jest?! – Ludwik powiódł wzrokiem za moim spojrzeniem, podobnie jak Kasia, która gdy tylko zrozumiała, co się świeci, wzięła Marcela za rękę i pognęła z nim do domu.

– To on – wyszeptalam, przysuwając się do ślubnego, by poczuć się bezpieczniej. – To ten facet chciał mi zrobić krzywdę.

– On? – Ludwik wyteżył wzrok. – Jesteś pewna?

– Tak, na sto procent – zapewniłam, czując, że moje kolana znów robią się miękkie.

– Ale przecież to niemożliwe! – ku mojemu zdziwieniu wypalił nagle Ludwik.

– Nie? – Popatrzyłam na niego przestraszonym wzrokiem.

– No nie, przecież to Grzesiek! – obwieścił wspaniałomyślnie niczym Archanioł Gabriel w czasie zwiastowania.

– Znasz go?! – Nie mogłam oderwać oczu od faceta w czerni.

– No tak, przecież to Grzesiek!

– To już wiem! – fuknęłam. – Pytam, kto to jest.

– Taki mój kumpel. – Ludwik machnął ręką. – Jeżeli o niego chodzi, naprawdę nie masz się czego bać. Grzesiek muchy by nie skrzywdził.

– To dlaczego za mną łązi? – Czując, że wstępują we mnie nowe siły, wyłoniłam się zza pleców Ludwika.

– Och... – Ten na dźwięk mojego pytania spuścił wzrok. – Można powiedzieć, że to z mojej winy.

– Z twojej winy? – Wbiłam spojrzenie w jego zakłopotaną twarz. – Nie rozumiem. Dlaczego łązi za mną twój kumpel?

– To faktycznie może wydawać się dziwne. – Ludwik podrapał się po głowie. – Ale nie denerwuj się, bardzo cię proszę. Ja ci to zaraz wszystko wyjaśnię.

– No ja myślę, bo tyle stresu, ile się przez niego najadłam, to chyba jeszcze nigdy nie doświadczyłam.

Słyszając mój oskarżycielski ton, Ludwik nabrał nagle wody w usta.

– No słucham! – postanowiłam go zmusić do wyjaśnień.

– Bo widzisz, Zuzka. – W odpowiedzi przestąpił z nogi na nogę. – To ja mu kazałem cię śledzić.

– Co?! – Omal się nie oplułam. – Co mu kazałeś?

– No nie patrz tak na mnie... Kazałem cię śledzić, tak, dobrze słyszałaś.

– Śledzić?! – Nie mieściło mi się to w głowie. – Ale po co?!

– Bo ty się ostatnio stałaś jakaś taka...

– No jaka?! – nie dałam mu skończyć.

– No zimna i nieobecna!

– Co?! – Wybaczcie, ale trudno mi było zachować opanowanie.

- Ciągłe cię ostatnio nie ma i zacząłem się obawiać, że...
- Że? – Popatrzyłam na niego z wyczekiwaniem.
- Oj, że masz romans, Zuzka! – wypalił w końcu prosto z mostu. – Dlatego kazałem cię śledzić.
- Jaki romans, do cholery?!
- No właśnie, jaki romans?! – Wyłoniła się zza moich pleców Anka. – Ty też?! – Wskazała na mnie ręką.
- Jak to też? – zdziwił się Ludwik, a ja pomyślałam, że zaraz zamorduję tę moją siostrę. I to gołymi rękami!
- No bo Zuzka... – zaczęła tłumaczyć Anka, ale zamilkła, czując na sobie moje mordercze spojrzenie, i profilaktycznie schowała się do altanki.
- Lepiej sama ci wyjaśnię – postanowiłam zdobyć się na odwagę.
- No ja myślę.
- Tym razem to ja spuściłam wzrok.
- Bo ja też prowadziłam śledztwo. – Wzięłam w końcu głęboki wdech. – Z tym, że ja nikogo nie wynajmowałam. A przynajmniej nie w taki sposób jak ty.
- Śledztwo? O czym ty mówisz? – Ludwik nadal nic z tego nie rozumiał.
- Bo ja też podejrzewałam cię o niewierność – wyjaśniłam w końcu, nie chcąc już dłużej się patyczkować.
- Co?! – Ludwik zastygł w bezruchu.
- No właśnie to. Znikałam z domu, żeby cię obserwować, bo myślałam, że masz romans.
- Ale... Ale jak... – z tego wrażenia najwidoczniej zabrakło mu słów.
- Jakiś czas temu dostałam od tajemniczego adresata zdjęcie – postanowiłam grać w otwarte karty. No, przynajmniej w połowie, bo nie było sensu wspominać o Marku. – A potem jeszcze znalazłam w twoim telefonie kontakt o nazwie „Złotko”.
- Co za zdjęcie?
- Pokazujące, jak siedzisz w kawiarni z bardzo ładną kobietą.
- Co robisz?!
- Bezwstydy gapisz się w jej biust! – nie wytrzymałam.
- Ludwik natomiast przez chwilę patrzył na mnie jak na wariatkę, a potem wybuchnął gromkim śmiechem i złapał się za brzuch.
- I z czego się śmiesz?! – warknęłam na niego niepokieszona.
- Bo... Bo... – brakowało mu tchu. – Zuzka, czy ty... Ty naprawdę sądzisz, że ja... Ty naprawdę sądzisz, że ja mógłbym mieć romans? – Popatrzył na mnie z niedowierzaniem.
- Nie wiem – przyznałam zgodnie z prawdą. – Naprawdę sama już nie wiem!
- Ale...

– Bo ciebie też ciągle nie ma! – nie dałam mu dojść do słowa. – I to nie tylko ostatnio, bo już od dobrych paru lat!

– Ale to nie znaczy, że jestem ci niewierny! Jak w ogóle mogłaś pomyśleć, że wdałbym się w romans?!

– Normalnie! – krzyknęłam tak głośno, że pewnie słyhać mnie było i u sąsiadów. – Normalnie mogłam tak pomyśleć! Bo nie dość, że ciągle cię nie ma, to jeszcze patrzysz na mnie jak na szafę! I to trzydrzwiową!

– Co?!

– Więszym uczuciem darzysz nawet swój samochód niż mnie! – wypaliłam, bliska rozpacz.

– Boże... – Ludwik przyłożył dłoń do skroni. – Co ty w ogóle gadasz?!

– A nie jest tak, Ludwik? – powoli zaczęłam przechodzić od złości do smutku. – Jestem stara, gruba, nieatrakcyjna a w dodatku zaniedbana i niekochana przez własnego męża.

– Ja... – nie wiedział, co odpowiedzieć.

– No widzisz?! – Spojrzałam na niego oskarżycielsko. – Nawet nie jesteś w stanie zaprzeczyć.

– Nie jestem w stanie zaprzeczyć, bo nie mogę uwierzyć w te brednie. Jak ty możesz myśleć, że już cię nie Kocham?!

– A Kochasz?

– Oczywiście, że Kocham! Bardziej niż cały ten świat!

– To dlaczego nigdy cię nie ma i zupełnie przestałaś mnie zauważać?

– Bo nie myślałem, że tyle lat po ślubie nadal potrzebujesz być przeze mnie adorowana. Wydawało mi się, że skoro jesteśmy razem tak długi czas, mieszkamy wspólnie, mamy dziecko, to wszystko jest jasne.

– Jestem kobietą! Potrzebuję zawsze!

– To nie mogłaś po prostu powiedzieć, zamiast od razu podejrzewać mnie o najgorsze?

– Próbowałam!

– Jak to?!

– Wiele razy próbowałam! – Po moich policzkach pociekły pierwsze łzy. – Wysyłałam sobie sama kwiaty, kupiłam drogą bieliznę, a nawet pojechałam na ten cholerny rajd, chociaż doskonale wiesz, jak źle znoszę jazdę samochodem, żeby zrobić ci przyjemność.

– Boże, Zuzka...

– Naprawdę wiele razy próbowałam ci powiedzieć, jak bardzo mi ciebie brak – rozszlochałam się na dobre, czując się bezradna jak dziecko. – Ale ty nigdy tego nie widziałaś.

– Zuzka – westchnął Ludwik, po czym wyciągnął do mnie ręce i uważając na mój gips, wziął mnie w ramiona. – Przecież ja tak bardzo cię Kocham. – Przytulił

policzek do mojej głowy. – W życiu bym cię nie zdradził.

– Wiem, ale to zdjęcie. – Pociągnęłam nosem.

– No właśnie – zamyślił się Ludwik. – Nadal nie wiem, o jaką kobietę może chodzić.

– Och, to już akurat ustaliliśmy. – Z altanki wyłoniła się słyszająca całą naszą awanturę Renata. – Podobno chodzi o mnie.

– O panią?! – Na jej widok zdziwił się Ludwik.

– Tak. – Pokiwała głową, podczas gdy ja nadal zalewałam się łzami. – Podobno pana żona dostała zdjęcie, na którym siedzimy razem w kawiarni.

– Ach! – Dla Ludwika wszystko nagle stało się jasne.

– Więc spotykacie się? – Odkleiłam się od jego bluzki.

– Tak bym tego nie nazwała – odpowiedziała Renata. – Widzieliśmy się raptem dwa razy.

– Po co? – Otarłam wierzchem dłoni płynące z oczu łzy.

– Pani Renata jest zaciętą fanką poszukiwania skarbów. – Ludwik otoczył mnie ramieniem, chroniąc przed kolejną falą smutku. – Można powiedzieć, że kiedy ktoś zrobił nam to nieszczęsne zdjęcie, właśnie dobijaliśmy targu.

– Nie rozumiem. – Powiodłam wzrokiem do skupionej twarzy kobiety.

– Gdy byłam z Teodorem na misji, miałam możliwość korzystania z poszukiwacza skarbów. To nie było legalne i nie robiłam tego zbyt często, ale czasami chodziłam po bazie i znajdowałam w piasku różne drogocenne złotka pochodzące z innej kultury.

– Kiedy pani Renata przyjechała do Polski, zaczęła niektóre z cenniejszych okazów wystawiać na licytację. Natrafiłem na jedno z jej ogłoszeń w internecie.

– I tak właśnie się poznaliśmy. Nie wiedziałam, że pan Ludwik jest pani mężem.

– Zresztą nie robiliśmy nic złego – wtrącił Ludwik.

– Pan Ludwik kupował ode mnie złoty łańcuszek i bransoletkę. Podejrzewam, że wpatrywał się w mój dekolt, ponieważ miałam je wtedy na sobie.

– Łańcuszek i bransoletkę? Ale po co?

– Jak to po co? – Ludwik wzruszył ramionami. – Dla ciebie.

– Dla mnie?! – Przyłożyłam zdrową rękę do piersi.

– No tak, a dla kogo innego?

– To dlaczego nigdy ich nie dostałam?

– Bo były zniszczone przez długotrwałe leżenie w piasku. Pomyślałem, że zanim ci je wręcę, to pojedę do miasteczka do jubilera i poproszę, żeby trochę je odrestaurował. Wiesz, wyczyścił i w ogóle...

– A przede wszystkim naprawił zapięcie, bo bransoletka rzeczywiście nie była w najlepszym stanie.

– To dlatego... – Nagle wszystkie elementy tej układanki zaczęły mi się

składać w spójną całość. – Ach, to dlatego pojechałeś ostatnio do jubilera do miasteczka.

– A ty myślałaś, że na randkę, głuptasie? – Ludwik uśmiechnął się pod nosem i przytulił mnie mocniej.

– Nie śmieję się ze mnie. – Wtuliłam nos w jego bluzkę. – Ty też podejrzywałeś mnie o romans.

– Bo jesteś najlepszym, co mnie w życiu spotkało, i za nic nie chciałbym cię stracić. Jesteś jedyną osobą, dla której mogę się zmienić.

– Dobrze, już dobrze – przerwała te nasze czułości Anka. – To wy się tutaj przytulajcie, skoro wszystko jest jasne, a ja pójdę do domu.

– Tak, my chyba też pójdziemy do mnie, prawda, Renato? – Z altanki wyszedł także Teodor. – Myślę, że mamy trochę do nadrobienia.

– Tak. – Renata popatrzyła na niego z czułością, a na jej usta wypłynął szeroki uśmiech. – Myślę, że tak.

– W takim razie chodźmy. – Teodor też uniósł kąski ust. – Zaproponowałbym ci spacer pod rękę, ale ze względu na kule nie będzie to łatwe.

– Nie zapominaj, że służyłam w wojsku – zaśmiała się Renata. – Twarda ze mnie babka.

– Wiem. – Teodor wyszczerzył zęby. – I muszę powiedzieć, że lubię takie kobiety – zażartował, po czym odeszli.

Ja natomiast jeszcze bardziej przytuliłam się do Ludwika i zamknęłam oczy szczęśliwa, że całe to związane z jego niewiernością zamieszanie w końcu się wyjaśniło. I prawdę mówiąc, to chciało mi się teraz z tego powodu nawet śmiać, bo uzmysłowiłam sobie, że wyszłam na skończoną idiotkę. Przecież Ludwik kochał mnie nad życie tak samo, jak ja kochałam jego. Jak mogłam w to zwątpić choćby na chwilę?

Takie rzeczy to naprawdę można przeżyć tylko z mężem! Wierność jest trudna, przez co kobiety czasem wzdychają o wiele częściej, niż powinny, ale najważniejsze, że wszystko się wyjaśniło. Będziemy teraz co prawda małżeństwem z odzysku, lecz nie jest to ważne. Ważne, że pomimo ostatnich, czasem dość traumatycznych wydarzeń wszystko dobrze się skończyło. Ja kocham mojego męża, a on kocha mnie i żadne z nas nie będzie rozglądało się za nikim innym. Bo i po co, skoro mamy siebie?

CIĄG DALSZY NASTĄPI...

Podziękowania

Bardzo dziękuję osobom, które miały swój własny wkład w powstawanie tej książki, jak i całej trylogii o Zuzce.

Przede wszystkim dziękuję mojej wspaniałej rodzinie. Rodzicom, którzy są zawsze i mnie wspierają, pełnej pomysłów Kasi i Wojtkowi. Moje życie bez Was byłoby dramatem, a nie komedią. Bardzo Was Kocham!

Dziękuję też Pietrasiom, w szczególności cioci Iwonie i babci. Jesteście moimi ulubionymi pierwszymi czytelniczkami.

Wyrazy wdzięczności ślę też moim niesamowitym przyjaciółkom, które czasem muszą mieć naprawdę dość mojego opowiadania o książkach. Marlenka, Zuzia i Patrycja, jesteście wspaniałe.

Dziękuję również całemu zespołowi wydawnictwa Czwarta Strona za ogrom pracy, który włożono w wydanie mojej kolejnej już książki. Wspaniale móc dzielić swoją pasję z ludźmi takimi jak Wy.

Dziękuję też wszystkim Czytelniczkom i Czytelnikom, którzy sięgnęliście zarówno po tę książkę, jak i poprzednie. Ogrom Waszych wiadomości, które dostałam po premierze każdej kolejnej części tej trylogii, pozwala mi wierzyć, że polubiliście Zuzannę tak samo, jak ja, i równie trudno będzie Wam się z nią rozstać. Zachęcam Was do odwiedzania mojej strony na Facebooku (www.facebook.com/przybylekagata). Dzielcie się też ze mną wrażeniami po lekturze moich książek, kontakt z Wami dodaje mi skrzydeł.

POLECAMY

Najpiękniejsze o miłości opowieści Natalii Sońskiej

Masz ochotę poznać historie barwne jak lato i rozgrzewające jak herbata z miodem zimą? Usiądź, odpręż się i przeczytaj...

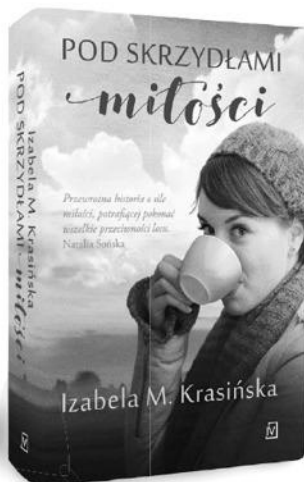


Hania i Kinga są przyjaciółkami z redakcji czasopisma modowego „Pearl”. Jak wiele będą w stanie poświęcić dla pracy i kariery? Czy pragnienie sukcesu przeszkodzi Hani odnaleźć drogę do szczęścia? I jak potoczą się losy Kingi, kiedy jej idealny świat rozsypie się na kawałki? Tego dowiedzie się, sięgając po tę bestsellerową serię obyczajową!

Garść pierników, szczypta miłości, Mniej złości, więcej miłości oraz *Kropla zazdrości, morze miłości* to poruszające historie o miłości, przyjaźni i nie zawsze łatwych emocjach. Bohaterki Natalii Sońskiej wiedzą, że życie wymaga od nas dużo chęci i dobrej woli, by ład i harmonia mogły zagościć w nim na dobre.

*Miłość pokonuje
wszelkie przeciwności losu
Izabela M. Krasieńska*

Co robić, gdy los rzuca kłody pod nogi, a z pozoru najlepsze rozwiązania nie są spełnieniem marzeń



Marta niemalże otarła się o śmierć, ale tak naprawdę zyskała nowe życie... Na ratunek niespodziewanie został jej zesłany prawdziwy anioł. Jednak życie lubi płać figle i komplikować to, co z pozoru proste.

Za głosem serca to kontynuacja świetnie przyjętego debiutu Izabeli M. Krasieńskiej pt. *Pod skrzydłami miłości*. Marta i Piotr muszą przezwyciężyć kryzys w związku i nie zniszczyć rodziny, o którą tak mocno walczyli. Autorka ponownie udowadnia, że mimo nieustannych wyzwań rzuconych przez los, tuż za rogiem czeka na nas szczęście, a każde nawet najbardziej bolesne doświadczenie może wzmacniać.

Spis treści

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27

Rozdział 28

Rozdział 29

Rozdział 30

Rozdział 31

Rozdział 32

Rozdział 33

Podziękowania

Polecamy

